



Maureen Lee
WĘDRÓWKA MARTY

Świat Książki

Maureen Lee

WĘDRÓWKA
MARTY

Dla Davida, Paula i Patricka
„Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”.

Prolog

BOŻE NARODZENIE, LIVERPOOL 1940

Początkowo Kate myślała, że to sen. Sen, w którym cały świat stanął w ogniu, a niebo rozgorzało krwistoczerwoną łuną.

Rozsunęła zasłony zaciemnienia już wieczorem, kiedy szła do łóżka, bo jeśli nie docierało do niej żadne, najmniejsze choćby światełko, czuła się, jakby ją zamknięto na dnie głębokiej jamy. Ale teraz pomyślała, czy nie powinna była jednak ich zasłonić.

Czerwone niebo przedstawiało straszny, niesamowity widok, zgoła pozaziemski: przypominał pejzaże na okładkach książek fantastyczno - naukowych, czytanych przez jej męża. Może nawet w tej chwili czytał coś takiego w swoim obozie wojskowym w Shropshire...

Kate uniosła się i usiadła, oparta o poduszki. Na budziku z fosforyzującymi wskazówkami dochodziło wpół do trzeciej. O tej porze jej mąż już na pewno śpi. W Shropshire niebo nie jest czerwone, a on nie słyszy stłumionych odgłosów wybuchów, które, jak sobie wyobrażała, sprawiają, że dom się trzęsie, chociaż mieszkała w Ormskirk, a bomby wybuchały o dwadzieścia kilometrów od niej, w Liverpoolu.

Pomyślała o Marcie w jej małym domku, tak blisko doków, w Bootle. Dzisiaj wieczorem miał być następny potężny nalot, ale Marta za nic nie chciała opuścić Bootle i przyjechać do niej, do Ormskirk.

- To chyba byłoby nieładnie w stosunku do moich sąsiadów, co, dziewczynko? - powiedziała wczoraj, kiedy Kate przyjechała do niej z tak daleka aż do Bootle i próbowała ją namówić na wyjazd do Ormskirk. - Oni muszą sobie jakoś z tym poradzić, więc dlaczego ja nie miałabym?

- No, to zabierz swoich sąsiadów, skoro to cię powstrzymuje. Gdyby to miało zapewnić Marcie

bezpieczeństwo, Kate chętnie zabrałaby ze sobą wszystkich mieszkańców Bootle.

Teraz poczuła, że ręce jej drżą, a serce tłucze się gwałtownie w piersi: wyraźny sygnał, że jej organizm domaga się papierosa. Specjalnie nie położyła ich sobie przy łóżku, by jej nie kuśiły. Bardzo chciała przestać palić: papierosy były strasznie trudne do zdobycia, poza tym wiedziała na pewno, że wdychanie chmur dymu nikomu nie służy, nawet jeżeli się w końcu ten dym wypuszcza.

Po jakimś czasie serce jej zaczęło jeszcze bardziej łomotać. Wiedziała, że w tym stanie z pewnością nie zaśnie. Nie było innego sposobu: musi zejść na dół na papierosa i filiżankę herbaty.

Kiedy była na podeście, uchyliła drzwi do pokoju Harry'ego i zerknęła do środka. Jasną główkę miał w połowie schowaną pod kołdrą i leciutko pochrapywał, bez wątpienia śniąc o tym, że jest pilotem bombowca albo kapitanem łodzi podwodnej - często rozmawiał z matką o tych swoich marzeniach.

- Chcę, żebyś była ze mnie dumna, mamó - mówił.

- Już jestem z ciebie dumna, synku.

Miał dziesięć lat i gdyby ta straszna wojna miała się ciągnąć tak długo, że mógłby w końcu wziąć w niej udział, Kate by chyba zupełnie zwariowała. Jej starszy syn Peter był w marynarce wojennej i w tej chwili kompletnie nie miała pojęcia, w której części świata się znajduje, bo przecież obowiązywała wojskowa tajemnica. Lucie, jej córka, przebywała w Londynie na szkoleniu pielęgniarek, a mąż Kate był niemal na pewno całkiem bezpieczny, ale odseparowany od niej, jego żony, podczas gdy ona tak strasznie chciałaby go mieć w domu. Chciała mieć w domu całą rodzinę, szczególnie teraz, kiedy Boże Narodzenie było już tak blisko.

Zamknęła drzwi od pokoju Harry'ego, przez kilka sekund stała z czołem opartym o chłodne drewno w nadziei, że mały się może obudzi i będą mogli chwilkę pogawędzić. Zrobiłaby im obojgu herbatę i piłaby swoją, siedząc w nogach jego łóżka, ze stopami wsuniętymi pod kołdrę, grzejąc się ciepłem jego ciała. Dla takiej frajdy gotowa była nawet zrezygnować z papierosa.

Ale Harry się nie obudził. Kate westchnęła i ruszyła po schodach na dół. Choinka - właściwie tylko parę gałązek z jodły, rosnącej w ogrodzie, wsadzonych do pomalowanego na czerwono wiaderka i obwieszonych zrobionymi w domu ozdobami - stała w holu. Więcej ozdób, tym razem już prawdziwych, kupionych na pierwsze Boże Narodzenie po jej ślubie, wisiało na ścianach salonu. Kolorowe lampki już nie działały, bo brakowało jednej czy dwóch żarówek, a teraz, w czasie wojny, nie sposób było kupić zapasowych.

Nastawiła wodę na herbatę i zapaliła papierosa, z miną desperatki wdychając głęboko dym, jakby to był pierwszy papieros w tym roku. Zostało tylko kilka łyżeczek herbaty, a nowy zapas mogła kupić na kartki dopiero pojutrze. Zalała zostawione w czajniczku po wieczornym posiłku listki gotującą wodą i mocno potrząsnęła; napar herbaciany był żałośnie słaby, ale cóż, lepszy taki niż żaden.

Kiedy herbata była już gotowa, a czajniczek schowany pod grubym, robionym na drutach pokrowcem, Kate zgasiła światło i wyszła przed dom - widok, jaki ujrzała, przypominał najokropniejszy koszmar senny.

Jej dom stał na szczycie pagórka, niezbyt stromeego, ale dostatecznie wysokiego, by można było zobaczyć stamtąd Liverpool, w tej chwili dosłownie rozrywany na strzępy. Zamknęła oczy, myśląc o Marcie. Wyobrażała sobie, niemal słyszała w myślach jęki ofiar, wycie wozów straży pożarnej i karettek pogotowia, spieszących rannym na pomoc. Zdawało

jej się, że widzi płonące domy, osuwające się ściany budynków, rozdarte ciała i roztrzaskane szyby w oknach.

Była tam, w samym sercu tych okropności, kiedy zadzwonił telefon. Szybko i cicho wbiegła do domu, zamknęła drzwi, skierowała się do holu i podniosła słuchawkę.

- Słucham? - Nie pamiętała swojego numeru, chociaż mieli go już prawie dwadzieścia lat.

- Witaj, kochanie. Dzwonił jej mąż.

- Wiedziałem, że nie śpisz. Ktoś mnie właśnie obudził i powiedział, że na Liverpool jest teraz kolejny nalot, i to tuż przed Bożym Narodzeniem! Pomyślałem, że zadzwonię do ciebie z biura, chociaż to surowo zabronione. Gdyby mnie sierżant Draper przyłapał, wylałby mnie. - Po tonie głosu poznała, że mąż się uśmiecha.

Przed wojną był dziennikarzem, ale w wojsku tylko kapralem w korpusie odpowiedzialnym za administrowanie finansami wojskowymi, Pay Corps. W jego wieku, a miał już czterdzieści siedem lat, nie mógł być wysłany na front, nawet nie mógł opuścić kraju.

Kate, która dotąd stała oparta o ścianę, osunęła się, tak że w końcu usiadła na podłodze.

- O Boże... Wiesz, jak za tobą tęsknię? - wykrztusiła, prawie płacząc.

- Ja też tęsknię za tobą. Zrobię wszystko, co możliwe, żeby zajrzeć do domu na Boże Narodzenie - dodał pogodnie.

- Naprawdę? Och, naprawdę? - Język jej się plątał, ale miała nadzieję, że mąż ją zrozumiał. - Lucie też się stara przyjechać do domu. Jak byłoby cudownie, gdybyście oboje mogli tu być z nami!

- Lepiej nie licz na to, Kate... Do diabła! Ktoś właśnie wszedł do biura. Będę się musiał wymknąć tylnymi drzwiami. Cześć, kochanie.

Telefon zamilkł.

- Cześć... - szepnęła Kate. - Cześć.

* * *

Przez resztę nocy prawie wcale nie spała. Głównie się modliła: za męża, za swoje dzieci, za Martę i wszystkich mieszkańców Bootle, za wszystkich w Liverpoolu i na całym wielkim, szerokim świecie. Modliła się za Niemców, za niewinnych mężczyzn, kobiety i dzieci, teraz prawdopodobnie też bombardowanych w ich własnym kraju.

Dopiero po piątej ogłoszono koniec nalotu, bomby przestały spadać z nieba i wszystko znowu się uciszyło.

Kate leżała jeszcze przez dwie godziny, w końcu musiała wstać z łóżka i pójść do toalety. Potem zrobiła sobie nową porcję herbaty i wypaliła jeszcze jednego papierosa.

Harry zjawił się w kuchni, kiedy szykowała herbatę. Zwalczyła pragnienie przytulenia syna, bo wiedziała, że to by go tylko zawstydziło. Miał na sobie stary szlafrok brata, o wiele za duży.

Dzięki Panu Wszechmocnemu, że go mamy, pomyślała.

Chcieli mieć tylko dwoje dzieci, a Harry pojawił się na świecie zupełnie nieoczekiwanie, w osiem lat po Lucie. Teraz, gdyby go nie było, Kate musiałaby borykać się z wojną zupełnie samotnie - co za okropna myśl! Musiałaby się chyba gdzieś zaciągnąć. Nie tylko do Pomocniczej Służby Kobiet - tam już należała - ale do jej odpowiednika w lotnictwie wojennym WAAF albo w marynarce WREN (WAAF (Women's Auxiliary Air Force) - Pomocnicza Służba Kobiet w Lotnictwie Wojennym; WREN, właśc. WRNS (Women's Royal Naval Service) - Pomocnicza Służba Kobiet w Marynarce Wojennej.) - oczywiście, gdyby ją przyjęli w jej wieku: skończyła już czterdzieści dwa lata.

- Mam dzisiaj coś do zrobienia - powiedziała - więc poproszę babcię, żeby się tobą zajęła.

Tych dwoje, Harry i jej matka, po prostu świata za sobą nie widzieli. Wyglądał na zadowolonego.

- Okej, mamó.

* * * *

Ku swemu zdziwieniu, dowiedziała się, kupując bilet z Ormskirk do Bootle, że pociąg jedzie cały czas dawną trasą.

- Myślałam, że linie mogą być uszkodzone - zwróciła się do mężczyzny w kasie.

Okazało się, iż linie były nietknięte, ale wiele innych miejsc - tak. Mężczyzna wymienił je po kolei:

- St. George's Hall się palił, być może jeszcze się pali. A galeria malarstwa Gaiety straciła dach. Niektórzy ludzie wewnątrz zginęli - świeć Panie nad ich duszami!

Zrobił znak krzyża i dalej wymieniał inne zbombardowane lub spalone miejsca. Kate poczuła, że robi jej się niedobrze.

Globe Street, gdzie mieszkała Marta, znajdowała się zaledwie o kilka minut spacerem od Marsh Lane Station. Wszystko dookoła wydało się Kate pełne ruchu, chociaż w powietrzu nadal wisiał pył po nalocie i czuć było spaleniznę. Nad dachami unosiły się obłoczki czarnego dymu - w wielu miejscach musiało się jeszcze ciągle palić. Kiedy szła dalej, ujrzała rząd domów zburzonych do cna, tak że została po nich tylko kupka gruzów, na których już teraz bawiły się dzieci. Sklepy były jednak pootwierane, a na Marsh Lane panował duży ruch: zobaczyła nawet mleczarza z wózkiem, ciągniętym przez białe - czarnego konia, i kominiarza na rowerze.

- Bogu Najwyższemu dzięki! - mruknęła. Niemal omdlała z ogromnej ulgi, kiedy weszła na Globe Street i ujrzała, że wszystkie niewielkie szeregowy domki nadal stoją na swoich miejscach. Na ulicy dzieciaki grały w piłkę nożną i huśtały się na słupach ulicznych latarni. Kobieta, która mieszkała w domku obok Marty, szorowała schodki prowadzące do

wejścia, a dwie inne myły u siebie okna. Kate pospieszyła w stronę domku numer dwadzieścia trzy.

Wszystkie kobiety pomachały ręką na jej powitanie. Dobrze znały Kate. Ta, która szorowała schody, na widok nadchodzącej z trudem się podniosła.

- Marty nie ma w domu, kotku - powiedziała. Jej ręce były czerwone od szorowania. Nazywała się Ethel Daniels. - Pukałam do niej raniutko, ale nikt nie odpowiadał.

- Może jeszcze śpi?

Kate była jednak pewna, że nie - skoro ona nie mogła spać, tak daleko, w Ormskirk! W tym oku cyklonu chyba nikt nie spał, a tym bardziej Marta, która miała bardzo lekki sen.

- No, prawdę mówiąc, kochana, weszłam do środka i sprawdziłam. Jej łóżko stało puste. Nie było jej w domu całą noc, na pewno. Wiem, bo podczas nalotów ma zawsze włączone radio. Wyłącza je dopiero po ostatnich wiadomościach, o północy. Dopiero wtedy się kładzie spać. - Kobieta zadygotała. Nie była zbyt ciepło ubrana, jak na tak zimny dzień grudniowy. Rękawy zapinanego sweterka zawinęła powyżej otartych łokci, a w filcowych kapciach miała pełno dziur. - Już chyba skończę szorować te schody. Ten cholerny gnojek, ten Hitler... niech sobie nie myśli, że jakieś tam parę bombek powstrzyma liverpoolskie gospodynie od utrzymywania w czystości wejścia do domu!

- Święta racja.

Kate z uznaniem skinęła głową, choć właściwie nie pamiętała, czy kiedyś w ogóle myła schodki przed swoim domem. Prawdopodobnie nigdy.

- Nie uwierzysz - ciągnęła Ethel, która powoli zaczynała sinieć z zimna - ale mam u siebie swoją wnuczkę, Betty. To córeczka naszej Eileen. Otóż, wyobraź sobie, przespała całą noc jak suseł. Nawet nie mrugnęła okiem.

- To naprawdę nie do wiary.

Beztraska młodości, pomyślała Kate. Bała się, że i ona za chwilę zrobi się sina. Sięgnęła ręką do otworu na listy w drzwiach Marty i wydobyła zawieszony na sznurku klucz. To było bardzo proste.

- Chyba wejść do środka i zaczekam, aż Marta wróci. - Miała nadzieję, że nie będzie musiała czekać zbyt długo.

Wewnątrz domu było niewiele cieplej niż na dworze. W kominku leżało pełno popiołu z wczorajszego ognia. Wszędzie teraz było bardzo zimno: dojmująco brakowało opału. Już od dawna nie paliło się w sypialniach, nawet jeżeli leżał tam ktoś chory. Kiedy oczekiwano gości, rozpalało się na kominku w salonie dosłownie w ostatniej chwili.

W zeszłym roku na Gwiazdkę Kate przenosiła ogień z jadalni do salonu, używając szufelki, metalowego kubelka i dużej dozy odwagi. Okropnie sobie wtedy poparzyła palce i wypaliła parę dziur w dywanie, tak że przysięgła, iż nigdy już tego nie robi.

Opadła na stojący pod oknem duży fotel Marty i postanowiła za chwilę rozpalić ogień, potem zaś zaparzyć herbatę - oczywiście, jeżeli znajdzie dosyć tak opału, jak i herbaty.

Domek Marty, chociaż wyziębiony, był jednak dokładnie posprzątany, wszystko w nim lśniło pięknie wyczyszczone i wypolerowane. Na półkach po obu stronach kominka stały jej książki - prosto jak żołnierze. Pośrodku nad kominkiem wisiał mosiężny krucyfiks, strzeżony z obu stron przez szereg świętych figurek. Mała choinka z zielonej krepiny, którą zrobili przed wielu laty Lily i Georgie, stała na kredensie obok fotografii Joego - cóż to był za przystojny chłopak, wyraźnie zachwycony sobą w tym wojskowym mundurze. Przed wojną przy jego zdjęciu stale paliła się malutka nocna lampka, ale teraz nocne lampki były równie trudne do zdobycia, jak światełka na choinkę.

Kate poczuła w gardle głuchy bulgot gniewu. Pomyśleć tylko! Przeżyła już jedną wielką wojnę, a teraz wybuchła następna. Tym razem, inaczej niż podczas tej pierwszej, nie trzeba się było zaciągać ani zgłaszać na ochotnika, żeby mieć w niej udział. Wystarczyło po prostu siedzieć w domu i czekać, aż cię bomba podczas nalotu rozerwie na strzępy.

Była bliska zaśnięcia, kiedy rozległo się pukanie do frontowych drzwi. Kate omal nie wyskoczyła ze skóry. Marta!

Ale Marta chyba nie musiałaby pukać do swoich własnych drzwi!

Kate wstała i powłokła się w stronę korytarza, w nadziei, że to nie żadna z sąsiadek, spragniona pogawędki o nalotach, Hitlerze i braku tego lub owego.

- Cześć!

Przed nią stała ładniutka, mniej więcej czternastoletnia dziewczynka o brązowych włosach, z filiżanką dymiącej herbaty i dwoma herbatnikami na spodeczku. Kate się domyśliła, że to wnuczka Ethel, Betty.

- Wygląda naprawdę zachęcająco - rzekła z uśmiechem Kate.

- Jest bez cukru. Babcia powiedziała, że pani nie słodzi.

- Zgadza się, nie słodzę.

Kate wyciągnęła rękę po filiżankę, ale Betty weszła już do środka, nadal trzymając herbatę, tak że Kate musiała się odsunąć, żeby jej zrobić przejście.

- Mam nadzieję, że nie przeszkodzę, jeżeli tu pobędę z minutkę - mówiła wesoło mała. - Babci dziś przyszła ochota na sprzątanie. Zawsze tak się dzieje po nalotach. Tyle że gdziekolwiek jestem, narzeka na mnie, że jej się płaczą pod nogami.

- Ależ oczywiście, że mi nie przeszkodzisz! - Kate się uśmiechnęła, chociaż właściwie dziewczynka trochę jej przeszkodziła w planowanej dopiero co, upragnionej drzemce.

- Już nie chodzisz do szkoły? - spytała, kiedy zasiadły obie przed wyziębionym kominkiem.

- Właściwie to dostałam stypendium i jestem teraz w Seafield Convent - odparła dziewczynka z dumą. Kate zrobiło się wstyd, że z góry założyła, iż dziewczynka z robotniczej rodziny musi uczęszczać do państwowej szkoły. - Mam tam chodzić, aż skończę szesnaście lat, a nawet do osiemnastu, o ile mama da radę. Ale chyba wolałabym odejść i zaciągnąć się... do wojska.

- Nie możesz się zaciągnąć, póki nie skończysz osiemnastu lat - wyjaśniła jej Kate.

Betty prychnęła z pogardą.

- Och, wtedy może już być po wojnie. Mam nadzieję, że kiedy skończę szesnaście, będę mogła uchodzić za starszą. Jestem pewna, że tak się robiło już przedtem. Na przykład on.

- Wskazała zdjęcie Joego na kredensie. - On nie wygląda na więcej niż czternaście lat.

- Dokładnie tyle miał - przyświadczyła Kate z oczyma nagle pełnymi łez.

- Tak myślałam! - zawołała Betty z triumfem. - Byłam tu dopiero raz i bardzo chciałam wypytać o niego Martę, ale właściwie nie znam jej aż tak dobrze. Nie znam na przykład jej nazwiska. Babcia mówi o niej zawsze tylko „Marta”.

- Nazywa się Rossi - wyjaśniła Kate. - Marta Rossi. Jej mąż był Włochem.

- A on? Jak miał na imię? - Znowu wskazała fotografię.

- To Joe. - Kate znowu poczuła łyzy w gardle, kiedy się ponownie sadowiła w fotelu. - Chcesz? Opowiem ci o nim.

To będzie dobry sposób na spędzenie czasu w oczekiwaniu na powrót Marty do domu.

Rozdział 1

VAUXHALL, LIVERPOOL 1915

Ziemniaki! Co by bez nich zrobiła? Dziś wieczorem mieli na podwieczorek ziemniaki zmieszane z kapustą i przysmażone na tłuszczu z pieczeni. W Londynie taką potrawę nazywali „wszystkiego po trochu”. Dzieciaki ją uwielbiały. Można było zrobić cuda z ziemniaków i odrobiny utartego, spleśniałego sera oraz rozmaitych jarzyn, które wcale nie musiały być bardzo świeże. Wyobraźmy sobie tylko: jej ulubionym daniem był gulasz z resztek mięsa z warzywami, polany ciemnym sosem - nie taki mdły, w którym właściwie nie ma mięsa, ale zrobiony z porządnej gulaszowej wołowiny; już nie pamiętała, kiedy ostatni raz było ją stać na taką potrawę.

Marta Rossi - niewysoka, o wiele za szczupła, ze zdecydowanym spojrzeniem na niegdyś bardzo urodziwej twarzy, zaczęła coraz prędzej biec ulicą Scotland Road. Mimo że spędziła osiem wyczerpujących godzin w pracy w fabryczce „Worki i Żagle” Ackersona, nie wydawało jej się, by dzień był specjalnie nieudany: teraz wracała do domu, wiedząc, że ma dosyć jedzenia, by przygotować porządny posiłek.

Ulica pełna była ludzi i pojazdów. Tramwaje pędziły niczym szalone po metalowych szynach; zmęczone konie ciągnęły niemal puste wagony; niewątpliwie, wyczekując na podwieczorek tak samo tęsknie, jak ona.

Zresztą i inni przechodnie też zdawali się czuć powiew wiosny: widziało się to po ich krokach i uśmiechach. Trwał nie tylko piękny wieczór, czerwcowy i bardzo słoneczny, ale też wieczór piątkowy: wielu ludzi nazajutrz nie musiało pójść do pracy, a w każdym razie sobotnie popołudnia mieli wolne. Pojutrze zaś była niedziela, dzień odpoczynku - co nie

znaczyło, by Marta pamiętała niedzielę, w czasie której mogłaby sobie odpocząć.

Przez parę sekund podziwiała jakąś kobietę po przeciwnej stronie ulicy. Miała na sobie śliczną bawełnianą sukienkę: różową, z falbankami przy mankietach i z szeroką, rozkloszowaną spódnicą. Słomkowy kapelusz otaczała różowa jedwabna wstążka.

Marta miała kiedyś podobną suknię. Właściwie uszyła ją sobie sama. Tyle że jej była niebieska, a kapelusik kanotier, który kupiła na targu przy Great Homer Street w stoisku z używanymi rzeczami, ozdobiła wstążką w białe i niebieskie pasy.

Odwróciła się i zobaczyła swoje odbicie w oknie wystawowym najbliższego sklepu.

- Jezusie Maryjo! - jęknęła, naprawdę przerażona tym widokiem. Była owinięta czarnym szalem: nigdy bez niego nie wychodziła na ulicę, z wyjątkiem niedziel, albo jeżeli zrobiło się gorąco, niczym w dżungli. Szal osłaniał jej brązowy, bezkształtny ubiór, który miał podobno być suknią, ale w gruncie rzeczy bardziej przypominał worek, co w pewnym sensie do Marty pasowało, jako że jej zajęciem było właśnie szycie worków. Zszywała boki twardych kawałów juty wielką, siedmiocentymetrową igłą z nawleczonym mocnym sznurkiem; przeciąganie go przez jutę zdierało skórę z palców. Za tę pracę dostawała dziennie trzy szylingi, a w soboty o połowę więcej.

Trochę się zasmuciła, przypomniawszy sobie, jak bardzo zmieniło się jej życie od chwili, kiedy nadgarstek Carla został pokiereszowany w wypadku, dziesięć lat temu. Jego kalectwo oznaczało, że nie mógł już się zajmować, jak dotychczas, precyzyjnymi robotami, takimi jak układanie mozaik, marmurów i lastrika. Stracił do tego serce, poddał się, a teraz spędzał całe dnie w łóżku albo wędrował po centralnych

dzielnicach Liverpoolu, oglądając piękne dzieła sztuki w rozmaitych gmachach użyteczności publicznej: dzieła jego własnych rąk lub też jego włoskich rodaków.

Każdego dnia przed pójściem do pracy Marta zostawiała mu cztery kromki chleba z margaryną i trzy pensy, żeby mógł sobie kupić kawałek ciasta z mięsem i kubek herbaty, bo Carlo już nie jadał razem z rodziną. Nocą odwiedzał bary w dzielnicy Mała Italia, zebrząc o drinki. Do domu wracał na tyle pijany, na ile mu się udało naciągnąć nocnych dobroczyńców. W ogóle już nie rozmawiał z żoną i ledwie sobie zdawał sprawę z istnienia własnych dzieci.

Marta potrząsnęła głową. Nie chciała myśleć o mężu - wolała zająć głowę wspomnieniami ich dawnego szczęścia. Los jednak jakby się uwziął, żeby jej popsuć szyki.

Tym razem przybrał postać pięciu eleganckich dziewcząt, idących jej naprzeciw. Były podobnie ubrane, w schludnych białych bluzeczkach i czarnych spódniczkach uszytych według najnowszej mody: były wąskie i ukazujące kostkę nogi, a nie, jak dawniej, sięgające do ziemi. Dziewczęta robiły wrażenie pełnych zdrowia i radości życia.

Marcie niemal stanęło serce, kiedy dostrzegła, że środkową dziewczyną, bodaj najładniejszą ze wszystkich, była jej córka Joyce, osiemnastolatka, jej najstarsze dziecko. Mieszkała od jakiegoś czasu z koleżankami w wynajętych pokojach, niedaleko miejsca, gdzie budowano wielką protestancką katedrę. Za tę kwaterę dziewczęta płaciły wspólnie. Wszystkie pracowały w wielkim, eleganckim domu towarowym Frederick & Hughes przy Hanover Street.

Kiedy dziewczęta przefruwały obok niej, żywo gestykułując i szczebiocząc, Marta spuściła oczy. Nie miała pojęcia, czy Joyce ją zauważyła. Jeżeli nawet tak było, to nie okazała tego w żaden sposób. Cóż, w końcu jej córka wyprowadziła się z domu dla lepszego życia, a także dlatego,

że się trochę wstydziała rodziny. Marta w swoim szalu i w czymś, co przypominało stary worek, z włosami okrytymi zniszczoną chustką, w rozlatujących się i niewątpliwie cuchnących trzewikach, nie miała najmniejszego zamiaru demonstrować publicznie, że jest matką tej ślicznej panny. Biedna Joyce! Nigdy by jej tego nie zapomniała.

Co prawda, nawet teraz jednak pamiętała o rodzinie: wpadała przecież do domu od czasu do czasu.

Marta znów wróciła myślami do zbliżającego się wieczoru. Będzie musiała przedtem podgotować ziemniaki i kapustę, potem to wszystko podgrzeje, utłucze na papkę i podsmaży. Na samą myśl o jedzeniu już jej burczało w brzuchu, była strasznie głodna. Kiedy podwieczorek będzie zrobiony i zjedzony i kiedy posprząta się po nim, Marta usiądzie na schodkach przed domem, wraz z innymi kobietami z King's Court, będą się sprzeczać i podśpiewywać. Zawsze też istniała możliwość, że pojawi się Jimmy Gallagher z ustną harmonijką. Potem sprawdzą, czy uda się zebrać choć parę pensów na kufel piwa dla Jimmy'ego. Biedak stracił wzrok na jakiejś wojnie i mowy nie było, żeby znalazł pracę, czemu zresztą trudno się dziwić, biorąc pod uwagę jego stan.

Już niedługo będzie pora pójść do łóżka... i jeszcze jeden dzień przeminie. Zastanawiała się, czy do tego czasu zdoła utrzymać w sobie to uczucie szczęścia.

* * *

Kiedy weszła do domu, Lily i Georgie leżeli na kanapie z nogami przewieszonymi przez oparcie. Gdyby to był porządny mebel, a nie stary grat, Marta trzepnęłaby pewno solidnie każde z nich po gołych nóżkach. Ale teraz miała serce przepełnione miłością, więc tylko serdecznie poklepała dzieciaki.

- Cześć, mamó! - powiedzieli równocześnie, uśmiechając się szeroko.

Urodzili się dziesięć lat temu, w tym samym roku - Lily w lutym, a Georgie w grudniu. Byli pogodną parką. Chudziutcy jak szczapki - ale w tej dzielnicy bardzo niewiele dzieciaków mogło się pochwalić choćby paroma gramami tłuszczu na ciele.

- Tata się może pokazał? - spytała.

- Nie, mamó - odparli chórem.

- Cóż... dobrze - westchnęła Marta.

Rozpaliła prymus, żeby zagotować ziemniaki i kapustę. Cały pokój wypełnił się zapachem nafty. W domu, co prawda, była w suterenie wspólna kuchnia, ale przypominała raczej brudną norę, w dodatku całkiem opanowaną przez szczury. Lokatorzy zamiast tego urządzali sobie kuchenki w pokojach - co z kolei, zdaniem Marty, groziło pożarem. Ona sama była zadowolona, że jej rodzina zajmowała dwa pokoje na parterze - dom miał trzy piętra - bo w razie gdyby budynek stanął w płomieniach, łatwiej było stąd uciekać. Wodę brało się z pompy na podwórku. Była tam też cuchnąca potwornie ubikacja. Korzystali z niej wszyscy mieszkańcy domu z wyjątkiem Marty i jej dzieciaków, które nawet nie zbliżały się do tego miejsca, poza sytuacjami, kiedy Marta wynosiła tam nocnik. Urządziła do tych celów w sypialni coś w rodzaju alkowy, osłoniętej parawanem. Tylko Carlo się zupełnie nie przejmował smrodem i okropnym stanem publicznej ubikacji, a kiedy z niej wychodził, Marta po prostu nie była w stanie się do niego zbliżyć. Znowu westchnęła.

Mąż czy nie mąż... ostatnio bardzo rzadko widywała Carla. Z reguły spał, kiedy wychodziła rano do pracy, a gdy wracała, już go nie było. Kiedy zaś on wracał, Marta spała już twardym snem, zmordowana po całym dniu.

Georgie powiedział:

- Był tu jakiś mężczyzna, szukał naszego Franka, ale mu powiedzieliśmy, że się wyprowadził z domu, tak jak nam kazałaś.

- Jak wyglądał ten mężczyzna? - spytała Marta.

- Był duży i miał... no, te włosy pod nosem, nie pamiętam jak to się nazywa, mamoo...

- Wąsy - wtrąciła Lily. Była z nich dwojga bystrzejsza. - To się nazywają wąsy. I... och, mamoo, te wąsy to miał strasznie posmarkane. Nie podobał mi się zupełnie!

Georgie przyświadczył:

- Ani mnie. Marta się skrzywiła.

- To na pewno był Milo O'Connor. Jego matka jest lichwiarką, pożycza ludziom pieniądze, a on jest jej agentem.

Jej własny syn Frank miał siedemnaście lat, bez przerwy zmieniał pracę i wiecznie sprawiał mnóstwo kłopotów. Sypiał w domu tylko wtedy, kiedy mu to pasowało, a gdzie spędzał inne noce, Marta nie miała pojęcia. Tylko od czasu do czasu wtykał jej kilka pensów - niby na swoje utrzymanie, chociaż stale z nim o to walczyła. Arogancki drań, zawsze z jakąś dziewczyną uwieszoną u ramienia, zawsze zadowolony z siebie jak dzieciak. Marta postanowiła, że nie będzie się o niego martwić, póki z jego twarzy nie zniknie ten wyraz zadowolenia. I tak nie brakowało jej zmartwień, po co do nich dodawać - bez potrzeby - jeszcze kolejne? W każdym razie miała nadzieję, że takiej potrzeby nie będzie.

- Jestem strasznie głodny, mamoo - pożalił się Georgie.

- Nie ty jeden, dzieciaku.

Marta osączyła patelnię, przelewając płyn do drugiej i zabrała się do tłuczenia kartofli i ugniatania ich razem z kapustą. Otworzyły się drzwi i wpadł przez nie jej drugi syn, Joe.

- Ale ładnie pachnie! - Zerknął na jedzenie i rzucił się na kanapę, na której już wisieli głowami w dół jego siostra i brat.

- A wstaniecie, jeżeli wam dam po pięknym różowym jabłuszku do zjedzenia po podwieczorku?

Sięgnął do kieszeni i wydobył dwa piękne jabłka. Georgie aż zleciał z kanapy, kiedy próbował sięgnąć po jabłko, ale nie zdołał, bo ręce Joego były za daleko.

- Po podwieczorku, powiedziałem! Mam jeszcze jedno dla ciebie, mam. Razem dostałem trzy.

- Ale... a co dla ciebie, synku? - zaprotestowała Marta. - Ty przecież też zasłużyłeś na jabłko.

Joe miał czternaście lat i już od roku rozwoził na rowerze owoce i warzywa właścicielowi sklepu warzywnego przy Scotland Road, panu Johnsonowi. Joe oddawał matce wszystko, co zarobił: pięć szylingów każdego tygodnia, z czego dawała mu sześć pensów na przyjemności.

- Pan Johnson nam dał torbę frytek na obiad, a jakaś pani po kawałku ciasta i po kubku mleka, kiedy jej zaniósłem jarzyny. Zawsze to robi, mówiłem ci już o niej. - Oczy mu zapłonęły. - Ze mną wszystko w porządku, mam.

- Jestem pewna, że tak, synku.

To był naprawdę dzieciak o największym sercu na świecie. Ochrzczono go imieniem Giuseppe, po dziadku od strony Carla, ale to imię od razu skrócono i mówiono do niego Joe. Z trzech synów ten najbardziej przypominał jej wyglądem młodego Carla: był wysoki, miał kręconą czuprynę, w ogóle zabójczo przystojny z tymi ciemnymi, figlarnymi oczyma i wielkim urokiem osobistym. Był równie pewny swojego uroku jak Frank, ale o wiele od tamtego miłszy.

Marta rozciągnęła składany stół, posmarowała margaryną cztery kromki chleba i jedli, nie czekając, aż woda na herbatę będzie gotowa.

* * *

Po zjedzeniu podwieczorka, a następnie - z wielką radością - jabłek, Georgie i Lily pobiegli na plac zabaw przy

Downey Street spotkać się z kolegami i koleżankami ze szkoły, zaś Joe umył twarz, zmienił koszulę i poszedł z wizytą do Albiego Lloyd'a, swojego najlepszego przyjaciela jeszcze z czasów szkolnych. Wybierali się obaj do Teatru Szekspira, gdzie miejsca na galerii kosztowały tylko trzy pensy.

Jej mały chłopiec powoli stawał się mężczyzną. Lubił być czysty i porządnie wyglądać. Można by powiedzieć, że miał wszelkie cechy dandysa.

Joyce była taka sama: stale potrzebowała nowych ubrań. Dawniej, zanim Carlo przestał pracować, Marta sama wyszukiwała w sklepach resztki materiałów i szyła z nich sukienki swojej córeczce, która miała też co najmniej dwie pary bucików: zimowe i letnie, a nawet czasem dodatkowo jeszcze i wyjściowe - o ile Carlo był przy forsie.

Właściwie ich życie potoczyło się jak w Biblii: mieli siedem lat tłustych. Niestety, lata chude nie skończyły się na siedmiu, ale ciągnęły się dalej i dalej. Kiedy się te chude lata zaczęły, Marta w sekrecie przysięgła sobie, że póki żyje, żadne z jej dzieci nie będzie chodziło boso po ulicy. Gotowa była nawet sprzedawać własne ciało na tych samych ulicach, niż pozwolić na taką nędzę. Jakimś szczęśliwym trafem czy zrzędzeniem losu buty zawsze były, nawet jeżeli czasami przyduże, albo przymałe, tak że Marta musiała w nich wycinać noski ostrym nożem.

Zmyła i powycierała naczynia. Kiedy skończyła robotę, poczuła takie znużenie, że nogi nie były jej w stanie utrzymać, a oczy się kleiły. Z westchnieniem ulgi padła na kanapkę i natychmiast zasnęła. Obudziły ją głosy śpiewających na ulicy kobiet:

„We were sailing along on Moonlight Bay...”.

Była to jedna z ulubionych piosenek Marty, podobnie jak następna: „Chinatown, My Chinatown...”. Chodziła kiedyś razem z Carlem na spacer po liverpoolskim Chinatown -

kiedy już byli małżeństwem, ale jeszcze nie zaczęły im się rodzić dzieci.

Tak łatwo było się rozplakać na samą myśl o czasach, kiedy życie było takie dobre, a ona uważała się za szczęśliwą, że wyszła za mąż za wspaniałego Włocha, w eleganckich lakierowanych butach i z wybrylantynowaną czupryną.

Po raz enty przypomniała sobie teraz tamtą noc, kiedy się poznali. To zdarzyło się na jakiejś kościelnej imprezie, organizowanej przez Legion Maryi w sali kościoła Świętego Krzyża.

Było lato, na dworze jeszcze jasno, jak w dzień. Zachodzące słońce rzucało promienie przez wysokie okna, dodając radości wszystkiemu. Przyszło kilka zakonnic. Pilnowały porządku, sprawdzały, czy tańczące pary zanadto się do siebie nie przytulają... Jedynym obecnym tam kapłanem był ksiądz MacPhee, który wyglądał raczej jak uczestnik zabawy niż jej nadzorca. Młody, szczupły, o blond włosach, był tak piękny, że mógłby każdej dziewczynie złamać serce.

Co za strata, myślała wtedy Marta, spoglądając na niego spod rzęs. Co za okropna strata...

Miała wówczas dopiero osiemnaście lat. Siedziała na jednym z krzeseł stojących pod ścianami po każdej stronie sali i chichotała z koleżankami. Wszystkie udawały, że nie patrzą na mężczyzn, którzy się zbili w gromadkę przy drzwiach i dość zuchwale obserwowali dziewczęta. W każdym razie Włosi tak się właśnie zachowywali.

Młodego księdza nagle zasłonił jej ktoś, kto coś bełkotał, w dodatku w języku kompletnie niezrozumiałym dla Marty. Ów ktoś wymachiwał rękami, uśmiechał się, chwycił ją za rękę i gorąco całował. Potem podniósł ją z krzesła. Już po chwili tańczyli razem walca wokół sali. Widocznie poprosił ją do tańca.

Wyglądał naprawdę jak księżę, jak bohater; był niewiarygodnie przystojny w swoich dwukolorowych butach, garniturze w paski i małej czerwonej muszce pod brodą. Jego włosy lśniły w wieczornym słońcu tak samo, jak lakierowane buty.

- Jesteś bardzo piękna - powiedział powoli i z wyraźną trudnością. - Ja się nazywam Carlo Rossi.

- A ja Marta Farrell.

- Ciao, Marta. - Zrobił gest, jakby chciał ją pocałować w policzek, a Marcie to wcale nie przeszkadzało.

Po sześciu tygodniach byli już zaręczeni i zanim rok dobiegł końca, pobrali się. Carlo przeniósł ją przez próg niewielkiego, czystutkiego domku w Małej Italii, gdzie mieli zamiar żyć szczęśliwie do końca swoich dni.

Ale cóż, kiedy wtrącił się Los - i ich życie potoczyło się zupełnie innym torem.

Marta westchnęła, jednak udało jej się powstrzymać łzy, kiedy kobiety śpiewały „When Irish Eyes Are Smiling”. Kiedyś Carlo śpiewał jej tę piosenkę - jej, swojej irlandzkiej narzeczonej. Rodzinie w Ballymenie Marta zapowiedziała, że jedzie do Liverpoolu, żeby tam znaleźć sobie dobrego męża - i to się sprawdziło. Niemniej nikt w Ballymenie nie dowiedział się o tym. Marta nigdy nie napisała do nich listu, z tego prostego powodu, że nie umiała pisać.

„Down by the Old Mill Stream”, śpiewały kobiety, kiedy do nich wyszła. Przyłączyła się do chóru, śpiewając z nimi: „Tam cię spotkałem pierwszy raz”.

Pojawił się i Jimmy Gallagher. Słońce zaszło za dachy domów po przeciwnej stronie King's Court, zaułka złożonego raptem z sześciu domków po każdej stronie. Cała ulica utonęła w półcieniu. Kilkoro maluchów jeszcze zostało na dworze, huštało się na poręczach albo kopało kamyki.

Marta usiadła na schodach przed frontowym wejściem, zanadto zmęczona, żeby robić cokolwiek poza wtórowaniem dźwiękom harmonijki Jimmy'ego i cienkim, smutnym głosem sąsiadek, chyba równie zmęczonych jak ona. Te słodkie pieśni jakoś nie pasowały do ponurego, lichego zakątka, w którym teraz mieszkali.

Obudziło ją lekkie szarpnięcie za ramię. To był Joe.

- Chodź, mamó, czas do łóżka - poprosił łagodnie. - Patrz, przyniosłem ci kawałek czekolady, kilka kostek mlecznej „Cadbury”. Kupiliśmy z Albiem tabliczkę do podziału i każdy zostawił trochę dla swojej mamy.

- Och, syneczku!

Była tak wzruszona, że znowu musiała powstrzymać łzy. Zjadła czekoladę już w łóżku i zasnęła z jej smakiem w ustach.

* * *

Ojciec Lawless z kościoła Świętego Krzyża był ulubionym kapłanem Marty, kiedy jeszcze mieszkali w Małej Italii. Dotąd zaglądał do nich co pięć - sześć tygodni: przyjeżdżał na swoim wielkim, trzykołowym rowerze zwykle wczesnym popołudniem, w niedzielę, na ogół przywożąc ze sobą jakiś poczęstunek, mimo że rodzina Rossich już nie należała do jego trzódki.

- To miało być dla wojska - mówił ksiądz do Marty, wyciągając puszki ze swojej czarnej skórzanej torby. Był niski i okrągły, z czerwonym nosem pijaka i błękitnymi oczami świętego.

- Ach, czy wobec tego, ojcze, nie należało tego posłać na front? - wykrzyknęła.

Nie podobała jej się myśl o biednych żołnierzach, głodujących z jej powodu. Ale równocześnie żołądek aż burczał na samą myśl o wołowinie z ziemniakami na kolację. Na nieszczęście nie miała do niej ciemnego sosu. Ostatnią

butelkę tego specjału wykończyli Georgie i Lily, opychając się chlebem polanym tym sosem pewnego wieczoru, kiedy Marta wróciła później z pracy i dzieci były głodne.

- Nie wiedziałbym, jak im to wysłać - wyjaśnił poczciwy ojciec. - Mamy w parafii kółko pań robiących na drutach i szyjących... o, mój Boże! Przecież i ty byłaś jego członkinią, Marto, i to jedną z naszych najlepszych! Bardzo często wysyłałyśmy paczki z szalikami i rękawiczkami do Francji. Chyba nikomu by nie przeszkodziło, gdyby w środku znalazło się też parę puszek z wołowiną - powiedział z namysłem.

Serce Marty podskoczyło. Chciała, by żołnierzom nie brakowało jedzenia, ale pragnęła też tego samego dla swojej rodziny. Z mieszanymi uczuciami ulgi i winy słuchała, jak ojciec Lawless mówi, że to jednak niewarte zachodu i że skoro te puszki dotarły już tak daleko, byłoby szaleństwem odsyłać je z powrotem.

- A jak tam Carlo? - spytał ksiądz. - Udało ci się zaciągnąć go na mszę?

- Niestety nie, ojcze. Jedyne sposoby, jakie widzę, to skopać drania do nieprzytomności i dopiero wtedy zaciągnąć do kościoła.

Carlo dał sobie spokój z Panem Bogiem, kiedy odkrył, że już nie będzie mógł używać jednej ręki. Wolał odespać pijaństwo poprzedniej nocy, niż iść do kościoła. Marta miała nadzieję, że ksiądz nie słyszy jego chrapania w sąsiednim pokoju, i żałowała użycia określenia „drań”, ale tak jej się po prostu wymknęło.

- Jestem pewien, Marto, że dobry Bóg nie pozwoli, by do tego doszło - powiedział sucho ojciec. - Zobaczysz, że nadejdzie dzień, w którym Carlo pozna swój błąd i wróci do nas. No, muszę już iść. - Zrobił znak krzyża. - Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, moje dziecko.

Kiedy Marta przyklęła, usłyszała, jak jej kolana zatrzęszczały.

- Na wieki wieków, amen, ojciec.

* * *

Niedługo po wyjściu księdza pojawiła się Joyce. Zaszczyciała rodzinę wizytami w niedziele, mniej więcej tak często jak ksiądz, chociaż rzadko się zdarzało, by przychodzili oboje tego samego dnia.

W szarej bawełnianej sukience, z dobranymi do niej rękawiczkami i w małym trójgraniastym kapelusiku z czerwonym piórkiem (wszystko kupione na jakimś targu, na stoisku z używanymi rzeczami) wyglądała tak czyściutko, była taka lśniąca, tak wypolerowana, że Marta aż się obawiała, iż córka się zabrudzi przez samo przebywanie w tym pokoju. Joyce wyglądała kropka w kropkę jak matka, kiedy była w jej wieku, chociaż teraz tego podobieństwa wcale nie można było dostrzec: Marta zawsze miała wrażenie, że z upływem lat się roztapia, jak świeca. Twarz miała zanadto pomarszczoną, ciało zbyt zniekształcone, a umysł za bardzo zmacony, jak na trzydziestosześcioletnią kobietę.

Joyce była o parę centymetrów wyższa od matki, rysy miała drobne i wyraziste, ciemnoniebieskie oczy i kształtne drobne usta. Niemal czarne włosy spadały jej na ramiona w naturalnych lokach.

Ostrożnie usiadła na brzeżku krzesła.

- Jak się masz, mamó? - zapytała uprzejmie.

- Dobrze - równie grzecznie odparła matka, zmartwiona, że córka jej nie pocałowała.

Ale kto by ją za to potępił?

Dziś rano Marta umyła twarz przed pójściem na mszę, ale - tylko twarz. Miała na sobie najlepszą suknię, którą jednak nosiła już od dziesięciu lat i która od miesięcy nie widziała wody ani mydła - przede wszystkim dlatego, że Marta nigdy

nie miała czasu, by się wybrać ze swoimi ubraniami, nie mówiąc już o pościeli, do pralni.

Ubrania dzieci prała sama: teraz na przykład cały ich rząd wisiał na sznurku rozciągniętym w poprzek sypialni. Bała się je wieszać na zewnątrz, bo ktoś mógłby coś ukraść. Frank jakoś sam się zajmował swoimi rzeczami, a Carlo żył w brudzie i nie pozwalał na żadne wtrącanie się do jego rzeczy.

- Ładnie wyglądasz, kochanie - powiedziała Marta. Joyce zmarszczyła brwi.

- Chciałabym móc powiedzieć to samo o tobie, mamó - rzekła poważnie. - Prawdę powiedziawszy, wyglądasz fatalnie. Zresztą tak samo, jak całe to mieszkanie. - Pociągnęła nosem i skrzywiła się. - Poza tym tutaj śmierdzi, nie wiem czym, ale czymś okropnym.

- Tak mi przykro, skarbie. - Marta ze wstydem pochyliła głowę. - To dlatego, że jestem stale taka zajęta, stale zmęczona...

- Wiem o tym, mamó. - Pochyliła się i dotknęła kolana matki. - To ja cię przepraszam. Nie powinnam była tego mówić. I przepraszam cię też, że udałam, iż cię nie widzę, wtedy na ulicy. To po prostu dlatego, że wszystko tak się zmieniło w porównaniu z przeszłością. - Potrząsnęła głową z westchnieniem.

Marta nie miała pojęcia, że córka ją zobaczyła i udała, że jej nie poznaje.

- Cóż, wiesz, kochanie, dlaczego tak jest. Wszystko się zmieniło z powodu wypadku twojego taty.

Joyce niecierpliwie machnęła ręką w rękawiczce.

- Och, mamó, sama siebie oszukujesz. To nie był żaden wypadek. Nie prawdziwy wypadek, a nawet nie przypadkowy wypadek. Tata był pijany, jego koledzy też byli pijani i wszczęli bijatykę z jakimiś irlandzkimi pijakami. To była bójka na noże, mamó, więc nie ma się co dziwić, że mu

przecięli nadgarstek. To on zniszczył nasze życie, a już najbardziej twoje. Ja uważam - rzekła wyniośle, odrzucając ramiona w tył - że powinnaś go opuścić. Będzie ci o wiele łatwiej, jeżeli on ci przestanie wisieć u szyi i odciągać.

Już nie raz o tym mówiły.

- Odciągać mnie? Niby od czego, córeczko? - spytała Marta łagodnie.

- Od szczęścia! - rzuciła Joyce z gniewem. - Sprowadził nieszczęście na nas wszystkich. Niby dlaczego masz wydawać na niego choćby pensja ze swoich ciężko zarobionych pieniędzy, a tym bardziej całe trzy pensje dziennie? Gdybyś te pieniądze miała dla siebie, mogłabyś mieć ładniejsze mieszkanie, a gdybyś się lepiej ubrała i lepiej wyglądała, na pewno dostałabyś korzystniejszą pracę, niż to szycie worków całymi dniami.

W tym, co mówiła Joyce, było tak wiele prawdy! Marta już miała zamiar przytoczyć córce małżeńską przysięgę, co to „w zdrowiu i w chorobie” i „dopóki śmierć nas nie rozłączy”, aby jej wyjaśnić, dlaczego na zawsze będzie związana z Carlem, gdyby nie fakt, że mąż wybrał sobie akurat ten moment, by wyleźć z sypialni. Miał na sobie tylko brudne kalesony, pełne plam wokół krocza i już za ciasne, bo nie mieściły jego brzucha, paskudnie rozdętego od bez umiaru wypijanego piwa.

- Joyce, mia cara!

Oczy mu zabłyśły i uśmiechnął się - pierwszy raz od bardzo dawna.

Joyce była zawsze jego ulubienicą. Podszedł do niej z szeroko rozpostartymi ramionami.

Ale Joyce bynajmniej nie miała ochoty na karesy. Wstała pośpiesznie, nie chcąc pozwolić zbliżyć się ojcu, a tym bardziej znosić jego uścisków.

- Lecę, mamó. Mam się z kimś spotkać przy Pier Head za pół godziny.

Marcie zrobiło się żal męża, jeszcze bardziej niż zwykle. Jego twarz wyrażała taki ból, a ramiona mu opadły w geście najzwyczajszego, beznadziejnego cierpienia.

- Za moment wracam, kochanie - rzuciła do Carla i ruszyła szybko za Joyce, która już była w drzwiach frontowych.

- Zaczekaj chwilkę! - zawołała za nią Marta.

- O co chodzi, mamó? - Dziewczyna stanęła u podnóża schodów. Była już spokojniejsza.

- Nie chciałam, żebyś tak prędko sobie poszła, Joyce, to wszystko - odparła Marta bez tchu. - No, i chciałam też zapytać, z kim to się spotykasz przy Pier Head.

- Po prostu z chłopakiem. - Joyce niecierpliwie odrzuciła głowę do tyłu. - Ma na imię Edward.

- Czy to katolik?

Dziewczyna znowu potrząsnęła głową i równocześnie przewróciła oczami.

- Nie mam pojęcia, mamó. Poznałam go niedawno. Pracuje, tak jak i ja, we „Frederick & Hughes” i poprosił, czy nie moglibyśmy w niedzielę popłynąć do New Brighton i zjeść razem podwieczorku. Do licha, przecież nie mogłam mu powiedzieć „Pójdę, ale tylko pod warunkiem, że jesteś katolikiem”. No, pomyśl tylko! Mogłam?

- Nie... chyba nie - zgodziła się Marta, chociaż, prawdę mówiąc, nie rozumiała, dlaczego nie. - Cóż, kochanie, do zobaczenia. Baw się dobrze.

- Do widzenia, mamó. - Joyce ruszyła przed siebie wytwornym, wystudiowanym krokiem.

Kiedy Marta wróciła do domu, Carlo był już ubrany i wychodził. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa.

* * *

Kiedy Marta obierała kartofle i otworzyła jedną z puszek z wołowiną, które powinny były trafić do walczących żołnierzy, myślała o wojnie. Nie wiedziała o niej zbyt dużo, właściwie tyle tylko, że toczą się jakieś walki w kraju, który się nazywa Francja, że walczą tam ze sobą mężczyźni rozmaitych narodowości, w tym także Anglicy, i że cała ta wojna trwa już ponad rok, a wrogami Anglii są Niemcy.

Znała kobiety, których mężowie zginęli na obcej ziemi, czyniąc z nich wdowy i pozbawiając dzieci ojców. Znała też inne kobiety, które na tej wojnie straciły synów. Pan Johnson, właściciel sklepu warzywnego, gdzie pracował Joe, miał wnuka, o którym się dowiedział, że jest „zaginiony, prawdopodobnie nie żyje”.

Marta pamiętała, jak mężczyźni z płonącym wzrokiem dumnie maszerowali do boju, a orkiestra dęta przygrywała „It's a Long Way to Tipperary”, i wszyscy wznosili radosne okrzyki.

Teraz już wszystko umilkło, nie było więcej zamieszania, ani okrzyków i całej tej gadaniny o królu i ojczyźnie. Sytuacja we Francji nie przedstawiała się dobrze. Tych niewielu mężczyzn, którzy stamtąd wrócili, miało zapadnięte oczy, mówili mało. Niektórym brakowało ręki czy nogi, niektórym obu. Widzieli zbyt straszne rzeczy, żeby mogli o nich opowiadać - w każdym razie Marcie tak się wydawało.

Rozłożyła na stole kawałek ceraty, wyłożyła na nią ziemniaki i wołowinę z puszki, po czym zaczęła to wszystko wyrabiać w coś w rodzaju ciasta, uklepując zajadłe. Postanowiła już więcej nie myśleć o wojnie. To było zbyt przygnębiające.

Wpadli Lily i Georgie, nieprzytomni z przejęcia, kiedy się dowiedzieli, co będzie na obiad. Od razu podała im ich porcje, bo biedactwa umierały z głodu. Zgodnie z zegarem na lombardzie Steggera, który było widać przez okno, dochodziło

wpół do czwartej, a dzieci nic nie jadły od rana, oprócz chleba z margaryną.

Myśląc o przeszłości, Marta często zadawała sobie pytanie, co będzie dalej.

Nie powinna była przyjąć tych puszek z wołowiną. Powinna była nalegać, by ojciec Lawless zabrał je z powrotem i na pewno przekazał żołnierzom. Nie ulegało wątpliwości, że za swoje samolubstwo powinna zostać ukarana, toteż wcale się nie zdziwiła, kiedy wszedł Joe i z dumą oświadczył jej, że patrzy w tej chwili na żołnierza.

- Co przez to rozumiesz, dzieciaku? - spytała, myśląc, że się przyłączył do jakiejś „Chłopięcej Brygady”, czy czegoś w tym rodzaju.

- Zaciągnąłem się, mamó - oznajmił, bardzo z siebie zadowolony. - Ja i Albie, obaj żeśmy się zaciągnęli, dzisiaj po południu. Dali nam po szylingu! Weź tego mojego, mamó - rzekł wspaniałomyślnie i wcisnął jej monetę do ręki.

Rozdział 2

- Nie bądź niemądry - rzekła Marta spokojnie, chociaż serce waliło w jej piersi jak młotem. - Nikt nie może być żołnierzem, jeżeli ma dopiero czternaście lat. Ty musiałbyś mieć... - przez chwilę nie pamiętała, ile chłopak musi mieć lat, żeby pójść do wojska, była jednak pewna, że więcej niż czternaście.

On za to po prostu tańczył z podniecenia.

- Wiem o tym, mamó! Ale ja im powiedziałem, że mam osiemnaście. Albie tak samo. Podpisaliśmy formularze i wciągnęli nas na listę. Uwierzyli nam. Będziemy w Dywizji Piechoty Zachodniego Lancashire, czy coś w tym rodzaju.

- No dobrze, równie cholernie dobrze mogli wam nie uwierzyć. - Głos Marty się wznosił aż do krzyku. - A skąd się wziął ten formularz, coście podpisali? I skąd ten szyling? Masz, zabieraj go sobie z powrotem! - Rzuciła w syna monetą. - Ja go nie chcę!

Joe był jednak zbyt zadowolony z siebie, żeby pozwolić matce na zepsucie mu tego wspaniałego dnia.

- Będiesz ze mnie dumna, kiedy mnie zobaczysz w mundurze, mamó. Armia będzie mi też płacić, a w formularzu zaznaczyłem, że mają te pieniądze posyłać mojej mamie.

- Nie chcę nic od całej twojej armii! - Marta już wpadła w histerię. - Chcę, żebyś ty, Joe Rossi, dalej mieszkał razem z nami! W domu!

Lily, która nigdy nie uroniła ani jednej łzy, zaskoczyła wszystkich wybuchem płaczu.

- Oni cię zastrzelą, Joe - szlochała - tak jak zastrzelili brata jednej dziewczynki u nas w szkole!

- A ja bardzo bym chciał być żołnierzem - oświadczył z zazdrością Georgie.

- Widzisz, co narobiłeś! - darła się Marta na syna. - Patrz, do jakiego stanu doprowadziłeś siostrę! A twój braciszek teraz też chce iść do wojska!

- Nie jesteś dostatecznie wysoki, Georgie - jak najpoważniej zwrócił się Joe do brata. - Nie mógłbyś udawać, że masz osiemnaście lat. A mnie wcale nie zastrzelą, Lil. Nie wyślą mnie na front, zanim nie będą myśleli, że mam dziewiętnaście lat.

- I nie pytali cię o metrykę? - Marta trzymała metryki całej rodziny w pudełku pod łóżkiem.

- Nikt nie wspomniał o żadnej metryce... - Joe poczuł się teraz trochę nieswojo, jakby jego wspaniała przygoda zaczynała mu się wymykać z rąk.

- No, już ja się upewnię, żeby to zrobili - z triumfem powiedziała Marta. - A w ogóle, to kto ci dał ten formularz do podpisu?

- Sierżant Gilligan: ten gliniarz z posterunku policji przy Rose Hill.

- Ernie Gilligan! - parsknęła Marta. - Znam go jak zły szeląg: to wredny drań i wie doskonale, że ty masz dopiero czternaście lat! Nie pamiętasz, jak cię próbował złapać, kiedy jeździłeś na rowerze po chodniku, zamiast po jezdni?

Postanowiła, że zaraz do niego pójdzie. Najpierw jednak wpadnie do pani Lloyd, mamy Albiego. Wspólnie na pewno lepiej to załatwią.

* * *

Lloydowie mieszkali nad sklepem spożywczym, na rogu Queen Anne Street. Pan Lloyd był portierem w jakimś eleganckim hotelu w centrum: nosił królewski, błękitny mundur ze złotymi ozdobami. Albie był ich jedynym dzieckiem.

Marta zapukała do drzwi, które po chwili otworzyła Gwyneth Lloyd. Była niską, szczupłą kobietą i wyglądała,

jakby codziennie myła sobie twarz pumeksem, tak czerwona i kostropata była jej skóra.

Obejrzała gościa od stóp do głów.

- Tak? - rzuciła niegrzecznie, chociaż doskonale wiedziała, kim jest Marta.

Jej ton sprawił, że Marta się cofnęła.

- Chodzi o... o naszego chłopca i pani Albiego.

Z pewnością ta kobieta musiała wiedzieć, dlaczego Marta do niej przyszła. Chyba powinna była się trochę ogarnąć przed przyjściem tutaj, a w każdym razie zdjąć fartuch i zamiast szala włożyć kapelusz...

- Oni się zaciągnęli do wojska. Czy Albie nic pani nie mówił? Zdaje się, że to Ernie Gilligan, ten gliniarz z posterunku przy Rose Hill, namówił ich, by podpisali formularze. Powiedzieli mu, że mają po osiemnaście lat, ale przecież Ernie Gilligan doskonale wie, że to nieprawda, w każdym razie jeżeli idzie o Joego.

Gwyneth wzruszyła ramionami.

- No, i co z tego?

- Jak to, nic to panią nie obchodzi? - sapnęła Marta. Co jest z tą kobietą?

- Idę teraz do Gilligana i pomyślałam, że byłoby najlepiej, gdybyśmy poszły razem.

- Nigdy nie jest za wcześnie dla chłopca stać się mężczyzną, pani Rossi - wygłosiła matka Albiego, z dezaprobatą potrząsając głową, tak jakby Marta popełniała błąd, nie chcąc widzieć syna w wojsku. - Jeżeli idzie o mnie i o pana Lloyd'a, to uważamy, że nasz Albie dotąd wiódł nieodpowiedzialne życie. Dobrze mu zrobi, gdy zobaczy, jaki naprawdę jest świat, dowie się, że nie żyje tylko po to, żeby się bawić, ale też by cierpieć w imię Jezusa Chrystusa. - Pobożnie opuściła głowę i Marta automatycznie zrobiła to samo.

- Wydaje mi się, pani Lloyd, że na tym świecie i tak jest dosyć cierpienia, bez włączania do niego o wiele za wcześnie młodych chłopców.

Odpowiedzią matki Albiego było zatrzaśnięcie Marcie drzwi przed nosem.

* * *

Marta siedziała na ławce przed Klubem Gimnastycznym. Gerard Street znajdowała się dokładnie naprzeciwko domku, w którym mieszkała z Carlem zaraz po ślubie i gdzie cała piątka jej dzieci przyszła na świat; gdzie była czysta, bieżąca woda, własna ubikacja i kuchnia, w której nie było ani jednej plamki, tak czysto ją utrzymywała. Nie byli wtedy biedni, chociaż też musiała uważać na każdy wydany pens. Ale wówczas w domu zawsze było ciepło i wszyscy mieli dosyć jedzenia.

Joyce, Frank i Joe trochę pamiętali to dawne życie, ale Lily miała zaledwie roczek, a Georgie dwa miesiące, kiedy Carla spotkał ten „wypadek”. Joyce miała rację: zawsze za bardzo lubił popijawy i bawiło go wdawanie się w pijackie awantury między Włochami a Irlandczykami.

- To tylko zabawa, mia cara - mawiał, kiedy Marta mu wypominała, że przecież ona, jego żona, jest Irlandką z krwi i kości. - To nic nie znaczy.

A jednak stoczył o jedną bójkę za dużo i zamiast paru skaleczeń i sińców, z których mógłby być dumny, skończyło się na tym, że jego prawa ręka już się do niczego nie nadawała.

Nic go nie mogło pocieszyć. Poddał się i teraz spadał coraz niżej i niżej, a Marta razem z nim. W niej też coś pękło: nie kości, ale duch, nadzieja, że pewnego dnia sprawy przybiorą lepszy obrót niż dawniej.

Tak czy owak, nie pozwolę im zabrać mojego chłopca. Ta myśl była jasna i prosta, bynajmniej nie zmacona, jak inne jej myśli.

Podniosła się z zawziętym postanowieniem i pomaszerowała w stronę Rose Hill, na posterunek policji.

Sierżant Gilligan stał za biurkiem: był ogromny i w dodatku bardzo gruby. Na szerokiej gębie miał pogardliwy uśmiech.

- Słucham, pani Rossi? - Uśmiech się pogłębił.

- Co to znaczy, że pan zapisał naszego Joego do walki w tej cholernej wojnie? - spytała ostro Marta, dygocząc w swoich podartych buciorach i czując, jak stopniowo opuszcza ją niedawna odwaga.

- Powinna pani być dumna, pani Rossi - rzucił szyderczo policjant. Och, jakże go nienawidziła! - Większość matek jest dumna.

- Myli się pan, sierżancie. - Górował nad nią, a jego wzrok był tak okrutny, że poczuła się jeszcze mniejsza, starając się ze wszystkich sił, by jej głos nie drżał. - Większość matek uważa to za szaleństwo, za wariactwo! Zgadzą się ze mną, że tylko mężczyzna mógł wymyślić coś takiego.

Zmarszczył brwi.

- Niech pani lepiej uważa, jak się pani odzywa do dżentelmena i przedstawiciela prawa, moja pani. Już za mniejsze przestępstwo mógłbym panią wsadzić za kratki.

- Wie pan doskonale, że nasz Joe ma dopiero czternaście lat... Zawahała się. Może rzeczywiście mógłby ją zamknąć, a wtedy kto by się zajął dziećmi?

Przełknęła ślinę i zaryzykowała ostatni atak:

- Jest pan po prostu wielkim, tłustym draniem, sierżancie, a już na pewno nie dżentelmenem. - Wstrzymała oddech i

patrzyła na niego zaczepnie. Nie zaskoczyło jej, że stracił cierpliwość.

- A pani jest po prostu brudną dziwką, moja pani! - wrzasnął. - I śmierdzi pani obrzydliwie. Każdy chłopak, razem z tym pani Joem, miałby lepiej w wojsku, niż w domu z panią i tym pani makaroniarzem. Wylazł już dzisiaj z wyra czy nie? Umył się? Ubrał w najelegantszy garnitur? Poszedł do kościoła, a potem na uroczy spacer po dokach z panią pod rączkę? - Jego głos przeszedł w ryk. - To wy i tacy jak wy są zakałą tego kraju! Wynocha mi z posterunku, albo wyrzucę na pysk!

Marta nie była już w stanie znieść jego obelg. Odwróciła się, żeby wyjść, ale sierżant nadał wrzeszczał:

- Przyszłaś po drugiego szylinga, co? Dobra, masz tu trochę drobnych na okrasę!

Umknęła, kiedy monety upadły jej pod nogi. Była tak zgnębiona, że wszystko, co mogła na sobie wymóc, to nie zatrzymać się i nie podnieść tych pieniędzy.

* * *

- Pani Rossi! Chwilecz...! To tylko ja, Ossie Nelson! Pani Rossi!

Wołający musiał powtórzyć te słowa kilkakrotnie, zanim dotarły do jej świadomości. Wzburzona, zatrzymała się w biegu i odwróciła. To był istotnie Ossie Nelson, syn ich dawnego sąsiada z Gerard Street. Miał na sobie mundur policjanta - przypomniała sobie, że został nim niedługo przed ich wyprowadzką. Teraz już od dłuższego czasu był posterunkowym.

- Czego pan chce? - spytała, zdyszana biegiem.

- Chciałem tylko powiedzieć, że wszystko słyszałem, i że mi bardzo przykro, to wszystko. - Zdjął hełm. Miał miłą, otwartą twarz, tak że Marta aż się zastanowiła, co taki miły człowiek może robić w policji. - Joe i Albie nie są pierwszymi

nieletnimi, których Gilligan dzisiaj zapisał. Złapał chyba najmniej z tuzin tych dzieciaków.

- Złapał? Co pan rozumie przez „złapał”? Młody człowiek się zmieszał.

- Właściwie nie powinienem na ten temat nawet otwierać jadaczki, więc muszę panią zobowiązać, żeby pani wszystko to, co powiem o sierżancie Gilliganie, zachowała dla siebie, pani Rossi.

Wziął ją pod rękę i prowadził w stronę King's Court.

- To wszystko stąd, że brat Gilligana pracuje jako ogrodnik dla jednego utytułowanego gościa: ten facet jest generałem i lordem i nazywa się sir Stanley Cuthbertson. Mieszka na drodze do Rainford, niedaleko skrzyżowania. W każdym razie ten generał ma syna, który walczy we Francji - oficera, naturalnie. A i on sam też jako ekszołnierz chyba dobrze wie, co w trawie piszczy. Wygląda na to, że zaczyna nam brakować żołnierzy zdolnych do walki, przecież tylu tych biedaków poginęło! W każdym razie - tu wziął głęboki oddech - generał ogłosił, że da pół korony, czyli dwa i pół szylinga (Przypomnijmy tu dawny system pieniężny w Wielkiej Brytanii, obowiązujący do 1970 roku: 1 funt = 20 szylingów, 1 szyling = 12 pensów, pół korony = dwa i pół szylinga, gwinea = 1 funt + 1 szyling (używane w honorariach lekarskich lub autorskich).) za każdego gościa, którego sierżant zwabi i zapisze do wojska. Nieważne, ile będzie miał lat.

Marta poczuła się zaskoczona.

- Ale... nasz Joe dostał przecież tylko szylinga!

- Zgadza się. Widzi droga pani - wyjaśnił cierpliwie - te półkoronówki dostaje do ręki sierżant. Zarobił już na tym interesie dobre parę funciaków.

- Ale... co w takim razie można zrobić? - jęknęła Marta.

- Niech się w to wtrąci pani mąż, Carlo. On jest w końcu panem domu - rzekł surowo młody policjant. - A Joe jest jego synem w takim samym stopniu, jak synem pani.

* * *

Marta wróciła do domu. Na szczęście dla Joego, zdążył już wyjść. Uniknął w ten sposób solidnego wytargania za uszy przez matkę. Poza tym - nie miała innego pomysłu, co zrobić, dokąd iść, z kim się spotkać. Ossie Nelson podzielił się z nią ważną wiadomością, ale to tylko sprawiło, że była jeszcze bardziej wściekła niż przedtem.

Jezus Maria! Marta tupnęła nogą. Chęć wytargania Joego za uszy wracała zawzięcie, a wraz z nią chęć ucałowania tego chłopaka, zanim padnie, ostatecznie wyczerpana.

Lily i Georgie spokojnie siedzieli przy stole i grali w jakąś grę, którą sami wymyślili, a do której używali guzików, ołówka i kartki papieru. Lily podniosła główkę.

- Mamo, chcesz, żebyśmy ci przynieśli wody? Zrobisz nam herbaty?

- Jeżeli możecie, kochaneczki. Z przyjemnością. - Rzuciła się na kanapę i przycisnęła dłonie do czoła. W tej chwili zarówno w sercu, jak i w głowie huczało jej nieznośnie.

- Przyszykować też chleb i margarynę, mamo?

- Tak, proszę - odparła Marta apatycznie.

Nie tylko czuła się rozpaczliwie zmordowana tą bieganiną po mieście, ale też była zgnębiona tym, jak traci swoje dzieci, jedno po drugim: Joyce już wiodła życie na własną rękę, Franka widywała tak rzadko, że równie dobrze mogła powiedzieć, iż odszedł z domu... a teraz mieli jej jeszcze odebrać Joego! Wkrótce zostanie jej tylko dwójka najmłodszych.

* * *

Kiedy rodzina Rossich mieszkała na Gerard Street, Marta i Carlo spali w dużej sypialni, chłopcy w średniej, a

dziewczynki w najmniejszej. Na King's Court cała rodzina musiała sypiać w tym samym pokoju. Żeby zachować choć odrobinę prywatności, Marta osłoniła podwójne łóżko zasłoną, chociaż ostatnio się nie zdarzało, by Carlo się do niej zbliżał. Dzieci spały po prostu na siennikach na podłodze - Lily z jednej strony, chłopcy z drugiej.

Tej nocy pierwsza poszła spać najmłodsza dwójka, a zaraz po nich Joe, wyraźnie teraz markotny.

- Mama i tata Albiego wcale się nie martwią tym, że on pójdzie do wojska - rzekł ponuro do matki.

- Nic mnie nie obchodzi, co uważają mama czy tata Albiego - odparła Marta, pociągając nosem. - Twoja mama się tym martwi. I to wszystko!

Leżała tam, gdzie się najpierw położyła, to znaczy na kanapie, i czekała, aż Carlo wróci do domu. Miała zamiar przedstawić cały problem jemu, tak jak jej poradził Ossie Nelson. Może niech on coś z tym zrobi. Teraz właśnie nadeszła pora, by sobie przypomnieć, że ma rodzinę i że opieka nad dziećmi to tak samo jego sprawa, jak jej.

Ale Carlo nie powiedział ani słowa, nawet nie zawołał ciao, kiedy późnym wieczorem spotkał się twarzą w twarz z żoną. Może był tak pijany, że nie mógł mówić, a może tak zaskoczony, kiedy zobaczył czekającą na niego Martę, iż nie był w stanie nawet otworzyć ust.

- Nasz Joe po prostu się zaciągnął do wojska - powiedziała Marta otwarcie. Nie miała zamiaru owijać niczego w bawełnę. - Udał, że ma osiemnaście lat, ale przecież sierżant Gilligan, który dał mu do wypełnienia formularz, wie doskonale, że nasz Joe ma dopiero czternaście! Chcę, żeby z tym coś zrobić i chcę, żebyś ty to zrobił. Zaprowadzę cię do łaźni i dam do wyczyszczenia twój garnitur. - Nieźle by się zdziwiła, gdyby nadal na niego pasował: z jego brzuchem! - I będziesz musiał się ogolić. Oni się bardziej liczą z mężczyzną

niż z kobietą. I to trzeba załatwić bardzo szybko, Carlo. Nie możemy po prostu czekać na to, co się stanie. - Nie bardzo wiedziała, kim są ci „oni”, o których mówiła, ale była pewna, że to faceci, którzy na pewno noszą drogie garnitury i mają przesadne wyobrażenie o własnej ważności.

Wszystko jednak, co zrobił Carlo, to się przygarbił. Tak się garbił, coraz niżej i niżej, aż się prawie złamał we dwoje. I taki zgarbiony poczłapał w stronę sypialni, jak stary, bardzo stary człowiek: w oczach miał pustkę, a co najwyżej wyraz swojej własnej, osobistej nędzy.

Marta w tym momencie zrozumiała, że nigdy już więcej nie będzie mogła polegać na swoim mężu.

* * *

W tydzień później Joe otrzymał elegancko wyglądający list, w którym pisano, że ma się stawić w najbliższą niedzielę przed Teatrem Rotunda na Scotland Road, o dziesiątej rano. Tam na przyszłych żołnierzy będzie czekać autokar, którym pojadą do obozu wojskowego w Wigan. Joe był teraz, zgodnie z informacją, członkiem Dywizji Piechoty Zachodniego Lancashire, a jego sekcja nosiła nazwę Vauxhall Pals.

- Ale się pospieszyli, co? - mruknęła kwaśno Marta, zobaczywszy list. - Myślałam, że zanim cię wezmą do wojska, przejdiesz jakieś badania!

- Będą mnie badać, kiedy już tam zajadę - odparł Joe potulnie. - I mam ze sobą zabrać metrykę.

- Oho!

Wszystko w jego sprawie szło na odwrót, a ona nie mogła na to nic poradzić. Przypomniała sobie ojca Lawlessa, który był przecież autorytetem i mógłby im pomóc, ale kiedy się wybrała na spotkanie z ojcem w prezbiterium, jego gospodyni, pani Bailey powiedziała, że ksiądz wyjechał na wakacje.

- Do Morecambe, pani Rossi, razem z sierotami z klasztoru świętej Bernadetty. Wróci za dwa tygodnie. Chce się

pani spotkać z innym księdzem, czy poczeka pani do powrotu ojca Lawlessa? W tej chwili jest jeszcze u nas ksiądz Rafferty. No, on jest troszkę... no, wie pani, biedaczek, ale jest bardzo miły!

Ojciec Rafferty zawsze podczas mszy strasznie bełkotał, tak że nikt nie mógł ani słowa zrozumieć. To nie znaczy, by ktoś oprócz księży znał jeszcze łacinę, ale wierni się zorientowali, że ksiądz Rafferty wygłasza słowa w niewłaściwym porządku. Szczerze powiedziawszy, odmawiał teksty mszalne w jakimś zupełnie innym języku, i ludzie podejrzewali, że po prostu wymyślał go na poczekaniu.

Ale teraz ojciec Rafferty nie potrafił jej zrozumieć! Biedak najzwyczajniej w świecie musiał być obłąkany.

- Jakie wojsko? - pytał nerwowo, przesuając rękami po białej czuprynie i tak je w nią wplątując, że nie był ich w stanie wydobyć. - O jakiej wojnie mówimy? I kto to jest Joe? A w ogóle, kim pani jest, moje dziecko?

Na próżno Marta starała mu się wyjaśnić, co się wydarzyło, i co ona o tym sądzi. Księdzu jeszcze bardziej się wszystko pomieszało. Naprawdę, nie miał więcej rozumu niż nowo narodzony kociak.

Marta wreszcie dała sobie spokój.

- Och, to nieważne, ojcze. - Podniosła się.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, dziecko. - Próbował się też podnieść, ale bez rezultatu.

- Na wieki wieków, amen, ojcze.

A teraz już odjeżdżał, jej chłopiec, jej Joe! Ona zaś nie zrobiła nic, żeby go zatrzymać, poza tym, że się modliła we wszystkich katolickich kościołach w okolicy i wszędzie w jego intencji zapalała świece. Prawdę mówiąc, pomogła mu, a nie przeszkodziła w kupowaniu nowych kałesonów i dwóch par skarpetek. Jak wariatka biegała po bazarach w poszukiwaniu porządnej używanej marynarki, zwalniając się z

pracy i tracąc pieniądze, tak że aż Joe nalegał, by się uspokoiła.

- Nie róbże takiego zamieszania, mamó! - perswadował łagodnie. - Przecież dostanę mundur! W wojsku dadzą nam kalesony i skarpety, pewnie będą koloru khaki. Poza tym dostanę kurtkę, tyle że to się w wojsku nazywa „bluza”.

- Dobrze, synku. - Potulnie skinęła głową, nie chcąc, by odjechał z myślą, że jego matka już zupełnie zwariowała.

- I, och, pan Johnson mi powiedział, że w piątek da mi dwutygodniową pensję, więc wszystko to ci zostawię.

- Nie, nie możesz tego zrobić, synu. - Zmusiła go, żeby zatrzymał połowę wypłaty dla siebie. - Może będziesz chciał coś sobie kupić od czasu do czasu: cukierki toffi, albo lukrecję, czy coś takiego. - To były jego ulubione słodczyki; udało jej się kupić mu w prezencie na zeszłe Boże Narodzenie aż ćwierć kilo tych smakołyków!

* * *

Była niedziela. Po całej dzielnicy rozeszła się wieść, że Joe Rossi, czternastolatek, idzie dziś rano na wojnę. Mieszkańcy King's Court i sąsiednich ulic wyszli z domów zobaczyć, jak odchodzi. Kilka osób przyniosło mu nawet podarki: zrobione na drutach rękawice i szalik; grzebień; wreszcie solidnie podniszczony skórzany portfel, który Joe z dumą wsadził do wewnętrznej kieszeni. Douglas Houghton, stary żołnierz, chyba dziewięćdziesięcioletni, dał mu książkę Klub Pickwicka, napisaną przez niejakiego Karola Dickensa.

- Jest podpisana przez samego autora, tak, synu - powiedział Joemu. - Kupiłem ją, kiedy mieszkałem w Londynie. - Chodziły słuchy, że pan Douglas miał kiedyś poważną posadę w banku, ale podupadł z powodu pijaństwa.

Przez otwarte okno domu, w którym mieszkał Jimmy Gallagher, płynęły dźwięki pięknej pieśni, która Martę zawsze wzruszała do łez. Znała niektóre zwrotki i teraz je nuciła pod

nosem, siedząc na stopniach domu i patrząc przez zamglone łzami oczy na swojego radosnego, z rozjaśnionym wzrokiem chłopca, którego ręką wszyscy potrząsali, którego policzki wszyscy całowali, którego ramiona ściskali.

„There's a long, long trail a'winding into the land of my dreams...” - niosły się słowa popularnego hymnu wojennego.

A potem już przyszedł czas, by zacząć się żegnać. Tydzień temu pojawił się Frank, zaalarmowany przez kogoś, że jego młodszy brat idzie do wojska - i teraz odprowadzał go aż do Rotundy. Poszli tam też z nim Lily i Georgie, zostawiając płaczącą matkę samą. Joyce przyszła pożegnać się z bratem już poprzedniego wieczoru.

Marta poczłapała z powrotem do domu. Właściwie nie była w nim sama: Carlo był tam także. Nadal chrapał, leżąc w łóżku; nie pofatygował się nawet, żeby wstać i choćby powiedzieć „do widzenia” własnemu synowi.

Marta się przeżegnała i przysięgła, że nigdy mu tego nie wybaczy.

* * *

Życie w pewnym stopniu wróciło do normy, ale tylko w tym sensie, że Joe już odszedł, tak więc Marta nie musiała się więcej martwić, że odejdzie. Ale myślała o nim bezustannie i nawet była zaskoczona, ile osób jej mówiło, jakie to oburzające, że rząd bierze do wojska czternastoletnich chłopców. Nawet jej szef w fabryce worków, twardy i brutalny człowiek, którego nikt nie lubił, dał jej przekaz pocztowy na trzy i pół szylinga i polecił to wysłać Joemu. Marta dziękowała mu za to ze łzami w oczach.

Niektórzy ludzie pytali: „A w ogóle to o co właściwie chodzi w tej cholernej wojnie?”.

Marta odpowiadała im, że nie ma pojęcia.

Zresztą nikt nie miał pojęcia. Niemcy przecież nie napadły na Wielką Brytanię, ani Wielka Brytania nie napadła na

Niemcy, więc dlaczego teraz mordowali się nawzajem tysiącami, w dodatku w trzecim, zupełnie innym kraju?

* * *

Joego nie było już od tygodnia, kiedy po raz pierwszy, odkąd zamieszkali na King's Court, pod drzwiami ich domu wylądował list, adresowany do Marty.

Rozpoznała swoje imię na kopercie i imię „Joe” u dołu listu, ale nic więcej. List był napisany bardzo ładnym pismem, ołówkiem, tyle mogła powiedzieć - linijki były prościutkie, a kółeczka na pewno pisane pewną ręką. Teraz chciała tylko, żeby ktoś jej ten list przeczytał i odpisał w jej imieniu.

Carlo nadal spał; nie chciała go budzić, chyba że by nastąpił koniec świata. Lily umiała dobrze czytać, ale i ona, i Georgie byli teraz w szkole, a Marta koniecznie chciała się dowiedzieć, co jest w liście, na długo przedtem, zanim Lily wróci do domu. Nie zamierzała prosić o pomoc nikogo spoza rodziny; wtedy bowiem cały świat by się dowiedział, że Marta Rossi nie umie czytać ani pisać!

Postanowiła wpaść w porze obiadu do „Frederick & Hughes” i poprosić Joyce o przeczytanie.

Joyce właśnie pokazywała klientce rozmaite torebki, wyglądające, jakby były zrobione z wężowej skóry. Marta stanęła przed kontuarem w nadziei, że córka ją zaraz zauważy. Jednocześnie pomyślała, że nawet gdyby miała furę pieniędzy, nie przyszłoby jej do głowy spacerowanie z wetkniętym pod ramię biednym, zdechłym wężem.

- Mamo - syknął znajomy głos - wyglądasz okropnie. Proszę cię, zaraz odejść, zanim cię tu ktoś zobaczy. Nic nie mów, ani słowa! Po prostu wyjdź i już się tu nigdy nie pokazuj!

Joyce przesunęła się razem z klientką o parę metrów dalej. Mówiła kątem ust i nawet nie zerknęła na matkę.

- Ależ, kochanie... ja mam list od naszego Joego - odszepnęła Marta - i chciałam, żebyś mi go przeczytała i odpisała mu, jeżeli możesz.

- Nie mogę! W każdym razie nie mogę tutaj o tym rozmawiać, jestem w pracy! Przyjdę jutro wieczorem i wtedy... dzisiaj mam wieczór zajęty. A teraz naprawdę bardzo cię proszę: odejdz stad!

- Jutro możesz nie przychodzić: Lily mi pomoże - odparła Marta sztywno.

Rzadko kiedy czuła się tak kiepsko. Słowa Joyce głęboko ją dotknęły.

Poszła w kierunku wyjścia, minęła stoisko z rękawiczkami ze skóry, stoisko z perfumami, szminkami, puderniczkami i puszkami do pudru, lśniącą biżuterię. To było miejsce, do którego nie pasowała; do którego nigdy nie będzie pasować.

Już miała wyjść przez wahadłowe drzwi, gdy ktoś dotknął jej ramienia, a czyjś przyjazny głos rzekł:

- Witam! Czy dobrze usłyszałam, że pani chciałaby, aby ktoś przeczytał pani jakiś list? Ja to zrobię z przyjemnością, jeżeli pani pozwoli.

Młoda kobieta, która ją trzymała za ramię, była od niej wyższa co najmniej o pół głowy i szczupła jak tyczka od fasoli. Miała urocze różowe policzki i także wargi, jasnobrązowe oczy i lśniące włosy koloru gałki muszkatołowej, splecione w gruby warkocz, który jej spadał na plecy i sięgał aż poza pas.

- Nazywam się Kate Kellaway - przedstawiła się.

- Marta Rossi - wymamrotała Marta.

- A co do pani listu... to może pójdziemy na Bold Street do Volantiego i wypijemy kawę?

- Nie sędzę... - Marta cały ten ranek spędziła na szyciu worków, i jej ubranie, a niewątpliwie także twarz i włosy były pokryte drobnym pyłem... właściwie powinna była o tym

pomyśleć przed wejściem do „Frederick & Hughes” i nie robić wstydu córce. - Nie sędzę, żebym była odpowiednio ubrana.

- Dla mnie wygląda pani bardzo dobrze, ale jeśli pani woli, możemy pójść gdzieś indziej, gdzie się pani będzie lepiej czuła. Zgoda? - W przeciwieństwie do Joyce, Kate Kellaway nie była ani trochę skrępowana tym, że ktoś ją może zobaczyć z Martą. - A co pani powie o kawiarni na Central Station? Nie mogę zostać długo, mam teraz przerwę na lunch, wie pani, i muszę być z powrotem w szkole o wpół do drugiej. Tak że może się pospieszmy?

Marta też wołała się pospieszyć. O tej samej porze musiała być z powrotem w fabryce.

- Czego się pani uczy? - spytała, kiedy przechodziły przez Bold Street w kierunku Central Station.

- Maszynopisania i stenografii. Mam zamiar w przyszłości zostać dziennikarką - odparła dziewczyna. Z tego wszystkiego Marta niewiele zrozumiała. „Maszynopisanie” miało dla niej sens tylko w pewnym stopniu, a już „stenografia” - w ogóle żadnego. Słowo „dziennikarka” też jej niewiele mówiło.

- Skusi się pani na ciastko, Marto? - spytała Kate. - A jeżeli tak, to na jakie?

- Wszystko jedno jakie.

Miała nadzieję, że - skoro to Kate zamawia - nie będzie musiała za nic płacić. Gdyby musiała, byłaby w prawdziwym kłopotcie, bo w torebce miała raptem półtora pensa. Patrzyła na tę młodą dziewczynę, jak stoi przy kontuarze i czeka na zamówienie, podziwiając jej strój: śliczną sukienkę w biało - czerwona drobna krateczką z szalowym kołnierzykiem i rękawami trzy czwarte. Ponieważ stała trochę niepewnie, a łokcie jej sterczały, wyglądała bardziej na dziewczynkę niż na młodą kobietę. Marta przypuszczała, że Kate może mieć nie więcej niż siedemnaście, no, może osiemnaście lat. Podziwiała

jej bezpośrednie, miłe zachowanie i serdeczność, z jaką zaofiarowała swoją pomoc przy czytaniu listu Joego. Już nie miało znaczenia, że nie należała do rodziny.

Kate wróciła do stolika i powiedziała przepaszająco:

- Przyniosą nam wszystko dosłownie za minutkę, ale wie pani co, zapomniałam zapytać, czy pani lubi kawę. Bo ja mogłabym ją pić od rana do nocy... ale pani może woli herbatę. To z mojej strony naprawdę karygodne, wiem, i bardzo serdecznie przepraszam.

- Nie ma za co - zapewniła ją Marta. - Lubię też i kawę, chociaż jej nie - piłam chyba od lat. - W czasach, kiedy jeszcze mieli możliwość wyboru, Carlo zawsze zdecydowanie wolał kawę niż herbatę.

- Świetnie! - uśmiechnęła się Kate. - A teraz, kiedy czekamy, może mogłaby mi pani przeczytać ten list. - Zaczerwieniła się. -

O Boże, co ze mnie za idiotka! Proszę dać mnie ten list, a ja go pani przeczytam.

Marta podała jej list, który nadszedł tego ranka.

- Ten młody człowiek jest chyba uczniem... co za piękne pismo.

I jest pani synem. I teraz jest w wojsku. No, w każdym razie, Marto, oto, co pisze. - Odchrząknęła.

Droga Mamo!

W Wigan spędziliśmy tylko jeden dzień, a potem przenieśli nas do obozu blisko Lancaster, gdzie robimy teraz tylko ćwiczenia, takie jak skłony do ziemi i wyprosty, uczą, jak trzeba prawidłowo maszerować - to się nazywa musztra - i jak mamy trzymać karabin. Ale ja ciągle patrzę w prawo, kiedy powinienem patrzeć w lewo. Dobrze nas karmią - trzy posiłki na dzień i kubek kakao z całą furą cukru na kolację. Mundur trochę mnie drapie, a buty są za duże, ale to chyba lepiej, niż gdyby były za małe - mogę zawsze wypchać noski

gazetami. Jutro idziemy do miasta zrobić sobie fotografie: następnym razem wyślę Ci w liście moją. I wiesz co, Mamo? Codziennie się myjemy pod prysznicem. Woda jest okropnie zimna i aż się boję pomyśleć, co to będzie w zimie. W każdym razie jeszcze nigdy nie byłem taki czysty. Tęsknię za wszystkimi w domu, ale najbardziej tęsknię za Tobą, Mamo.

Twój kochający syn, Joe

Kelnerka przyniosła zamówienie, kiedy Kate czytała jeszcze głośno list.

- Jaki piękny! - odezwała się. - Naprawdę piękny list. Musi pani być bardzo dumna ze swojego Joego.

- Och, jestem! - zawołała Marta, bliska łez.

Chociaż nikt jej nie musiał przypominać, jak bardzo tęskni za chłopcem, to list przypomniawszy, w jak podstępny sposób jej go odebrali.

- Ile on ma lat, Marto? - spytała Kate.

- Dopiero czternaście.

Dziewczynie ze zdumienia aż szczeka opadła.

- Ale... jakim cudem może być w wojsku, skoro ma dopiero czternaście lat?

Kiedy piły kawę i jadły ciastka, Marta opisała wypadki, które ściągnęły Joego do wojska. Zauważyła, że ludzie zerkają na nią, jakby się zastanawiali, co ta nędzarka robi w takim przyzwoitym lokalu..

- To oburzające - zawołała zaszokowana Kate, kiedy Marta skończyła. - A teraz co do odpowiedzi na list Joego: gdyby pani chciała mi powiedzieć, co pragnie mu napisać, mogłabym to zrobić dziś wieczorem i spotkałybyśmy się jutro o tej samej porze i w tym samym miejscu. Wtedy pokażę, co przygotowałam. A jeżeli się to pani nie spodoba, zawsze mogę to zrobić jeszcze raz. Możemy się tak umówić, Marto?

- Tak, och, tak, pewnie, że tak. I dziękuję bardzo - wyjąkała Marta.

- Nie ma sprawy, Marto - rzuciła lekko Kate. - Więc co mam powiedzieć Joemu? - Wyciągnęła czerwony notatnik i ołówek z wielkiej aksamitnej torby.

- Niech mu pani napisze, że my wszyscy też za nim tęsknimy i żeby na siebie uważał, żeby się ciepło ubierał i wcześniej chodził spać, dobrze? No, żeby nie łąził do żadnych piwiarni, ale że może pójść do kina, jeżeli zechce. I jeszcze, że naprawdę już bardzo czekam na jego fotografię w mundurze. Czy to wystarczy?

- Najzupełniej. - Zerwała się z krzesła jak wańka - wstańka, prawie przewracając stolik. - Muszę już pędzić. Do widzenia, Marto. Do jutra.

* * *

- Dzisiaj przydarzyło mi się coś naprawdę ciekawego - opowiadała matce Kate Kellaway, kiedy już wróciła do eleganckiego, nowoczesnego domu w Ormskirk, na dalekich peryferiach Liverpoolu, gdzie mieszkała z kochanymi i kochającymi ją rodzicami.

Rzuciła torbę na kanapę i sama z rozmachem usiadła. Z kuchni dobiegał rozkoszny zapach - domyśliła się, że to w piecyku „dochodzi” zapiekanka z wołowiny i nerek.

- Wydaje mi się, że codziennie ci się przydarza coś ciekawego, kochanie - zauważyła matka z uśmiechem.

Margaret Kellaway była ładną kobietą, ale w przeciwieństwie do swojej wysokiej córki dość niską.

- Co takiego tym razem? Znalazłaś zagubione dziecko? A może czyjś portfel? Mam nadzieję, że nie próbowałaś znowu przerwać ludziom jakiejś bójki; kiedyś możesz sama oberwać! A jeżeli to ten obrzydliwy facet trzeci raz się przed tobą obnażył, to pozwolisz, że zawiadomię policję.

- Nie, w ogóle nic takiego.

Kate wyjaśniła okoliczności swojego spotkania z Martą.

- Oglądałam właśnie torebki, kiedy ta dziewczyna za ladą, córka Marty, kazała jej wyjść ze sklepu. Najwyraźniej wstydziała się własnej matki. Wyobraź sobie: wstydzić się własnej matki! - powiedziała z oburzeniem.

Kate bardzo często bywała oburzona na to, jak okrutnie życie traktuje biednych, pozbawionych wszystkiego ludzi.

- Mam nadzieję, że nigdy nie pomyślisz tak o mnie, kochanie.

- Och, mamusiu, ty zawsze wyglądasz ślicznie, ale nawet gdybyś była ubrana w takie szmaty, jak ta biedna Marta, za bardzo cię kocham, żeby się ciebie wstydzić! - Posłała matce całusa ręką przez pokój. - W każdym razie jedyne, czego Marta chciała, to żeby córka przeczytała jej list od syna, brata tej dziewczyny, i odpisała mu, bo ona nie umie ani czytać, ani pisać, biedactwo.

- A gdzie jest teraz ten młody człowiek, kochanie?

- W Lancaster, w wojsku. Mam jego list w torbie, zaraz mu odpiszę w jej imieniu. Namówili go, żeby się zaciągnął, chociaż ma dopiero czternaście lat.

Do pokoju wszedł, zapalając fajkę, ojciec Kate.

Był specjalistą od leczenia i pielęgnacji stóp, tak zwanym „chiroprzystą”, i pracował w pawilonie obok domu. Potrafił świetnie postępować z kobietami - tak przynajmniej twierdziła jego żona - bo setkami do niego ściągaly, żeby obejrzał ich stopy; nawet młodziutkie dziewczęta, nie mające najmniejszego pojęcia, co to są haluksy czy odciski. Po prostu było im przyjemnie, kiedy przystojny mężczyzna w średnim wieku masował im stopy ciepłymi, delikatnymi rękami.

- Słyszałem o tym - powiedział. - Już w parlamencie była mowa o tych nieletnich żołnierzach. Niedługo będzie z tego prawdziwy skandal.

- Muszę jutro powiedzieć o tym Marcie.

- Masz się z nią znowu spotkać, kochanie? - spytała Margaret Kellaway.

- Tak, mam jej dać list do Joego. Napiszę go po obiedzie.

* * *

- Mamo? - spytała później, kiedy po skończonym posiłku razem z matką zmywały i wycierały naczynia. - Wiesz, gdzie są te sukienki, które zostały po naszej Evelyn? Jak myślisz... mogłabym je dać Marcie?

Evelyn była starszą siostrą Kate: mieszkała w Nottingham z mężem i dwojgiem małych dzieci.

- I... ona ma córeczkę. Nazywa się Lily i ma dziesięć lat. A u nas przecież są całe fury rzeczy, które na pewno by jej się przydały: nawet i buty. I mogłabym jej może zanieść trochę tego pysznego dżemu i kompotu ze śliwek!

- Nie zaniesiesz jej nic oprócz listu, kochanie - stanowczo powiedziała matka. - Nie znam tej Marty, ale równie dobrze może być bardzo dumną osobą. Jeżeli zaczniesz ją traktować jak obiekt swojej osobistej dobroczynności, możesz jej zrobić przykrość.

Kate postukała się w podbródek właśnie wycieraną deserową łyżeczką.

- Chyba masz rację - przyznała, całując pokrytą loczkami głowę matki. - Zaproponuję jej to wszystko, ale stopniowo, w miarę upływu czasu. Na pewno mnie poprosi o napisanie jeszcze więcej listów do Joego.

Prawdę mówiąc, bardzo już na to czekała.

Rozdział 3

Marta czuła się wyjątkowo radosna, kiedy tego wieczoru wróciła z pracy do domu. Wszystko dzięki Kate Kellaway. Nawet dawniej, kiedy jeszcze wiedli lepsze życie, nie spotkała nikogo, kto byłby tak miły, a przy tym taki elegancki jak Kate, która wyraźnie pochodziła z zupełnie innego świata. Marta z niecierpliwością czekała na spotkanie z nią następnego dnia.

Była w tak świetnym humorze, że postanowiła na podwieczorek kupić frytki i zapiekankę z ryby. Zostało jej jeszcze trochę pieniędzy z tego, co dostał Joe, i nic się nie stanie, jeżeli ich trochę wyda.

Lily i Georgie byli bardziej niż szczęśliwi z powodu niespodziewanej uczty.

- Zostawcie coś dla Franka - przypomniała im.

Frank przez kilka ostatnich tygodni wpadał codziennie w porze podwieczorku, tak że się go w każdej chwili spodziewała. Jak wszyscy - z wyjątkiem Carla, który żył właściwie w swojej własnej, oddzielnej przestrzeni - Frank martwił się o Joego. Poza tym też coś niecoś dorzucał do wspólnego gospodarstwa.

Mam bardzo kochane dzieci, powiedziała Marta do siebie samej. Nasz Frank może i jest trochę łobuzem, ale w gruncie rzeczy ma dobre serce.

Była ciekawa, gdzie też jej syn sypia. Na ogół się zmywał koło ósmej, ale uznała, że chyba lepiej będzie o nic nie pytać; dzięki temu uniknie się sprzeczki.

Kiedy już było po podwieczorku, wpadła Joyce, tak jak się Marta spodziewała. Nie powiedziała co prawda wyraźnie, że przeprasza za to, jak się odzywała do matki wtedy w sklepie, ale Marta widziała, iż wstydzi się tego. Była gotowa zaraz odpisać Joemu, powiedziała, że specjalnie po to przyszła.

- Właśnie dlatego umówiłam się z Edwardem na jutro, a nie na dzisiaj.

Ostatnio stale się spotykała z tym chłopakiem. Marcie udało się z niej wycisnąć, że pracował we „Frederick & Hughes” jako młodszy kierownik, a nie po prostu ekspedient.

- To ładnie z twojej strony, kochanie - powiedziała ciepło Marta - ale wiesz, ta dziewczyna, Kate, zaproponowała, że to dla mnie zrobi. Jutro w porze obiadowej spotykamy się w kawiarni na Central Station.

Joyce wyglądała na urażoną.

- Ale... ja to mogłabym zrobić, mam, wiesz przecież!

- Tak, tylko skąd mogłam wiedzieć, że dzisiaj tu przyjdiesz, prawda, Joyce? Ale jak dostanę ten list z powrotem od Kate, możesz wtedy do niego dopisać, zresztą tak samo Lily i Georgie - i nasz Frank też mógłby napisać coś do Joego. - Zaproponowała mu to, kiedy przyszedł. - Ale, wyobraź sobie, Frank mi powiedział, że on się nie nadaje do pisania listów.

- A niech tam, mam - zgodził się w końcu Frank, wzruszając ramionami, kiedy się pojawił w domu. O wiele bardziej niż listem, był zainteresowany tym, jak wygląda Kate.

- Ma twarz jak budyń z łożu i jest prawie tak szeroka, jak wysoka. Nie chciała, żeby Frank, ten wstrętny drań, wiedział, jaka Kate jest ładna.

Później, kiedy Lily i Georgie już spali, Joyce poszła do domu, a Frank zniknął gdzieś, gdzie aktualnie sypiał, Marta długo myślała o Joem.

Właściwie już się prawie przyzwyczaiła do myśli, że jej średniego syna nie ma w domu. Sądząc z jego listu, był chyba szczęśliwy w wojsku, dobrze jadł, był ciepło ubrany i czysty. Może nie miała racji, robiąc takie zamieszanie w związku z jego pójściem do wojska. Możliwe, że wojna już długo nie potrwa, a Joe wróci do domu i wtedy na pewno będzie miał większe szanse dostać lepszą pracę, niż rozwożenie jarzyn rowerem.

* * *

Kiedy Marta weszła do kawiarni, Kate już siedziała przy stoliku.

Tym razem Marta postarała się trochę porządniej wyglądać: oczyściła się z pyłu i wytarła twarz wilgotną szmatką. Ku jej zaskoczeniu, dziewczyna na jej widok zerwała się i ucałowała ją w policzek - słowem, zachowała się o wiele serdeczniej niż jej własna córka.

- Napisałam te listy, Marto - rzekła.

- Listy? Czy zatem więcej niż jeden?

- Napisałam też list od siebie, tłumacząc, kim jestem, tak aby wiedział, kto do niego pisze w pani imieniu. Czy to źle? - spytała niepewnie.

- Ależ skąd. Uważam, że to świetny pomysł. - Usiadły obie przy okrągłym, marmurowym stoliku.

- Czy kawa i ciastko z kremem, jak wczoraj, czy mam zamówić dla pani coś innego?

- Kawa i ciastko z kremem będą w sam raz. Czekala na nie już od samego rana.

Kate poszła zamówić, po czym wróciła; zaczęła szperać w aksamitnej torbie i wydobyła skórzaną teczkę, z której wyjęła blok z liliowymi kartkami i małym bukietkiem fiołków wydrukowanym w rogu każdej. Wyrwała dwie wierzchnie stroniczki i pomachała nimi Marcie przed nosem. Pismo było duże i niezbyt czytelne, czarne, z jednym miejscem zamazanym.

- To list od pani do Joego. Zaczyna się „Mój Najdroższy Joe” i dalej jest to, co wczoraj ustaliłyśmy. - Czytała list z wahaniem, trochę się krzywiąc, jakby się bała, że Marcie się nie spodoba. - Czy tak jest dobrze? - zapytała, skończywszy. - Na zakończenie napisałam „Twoja kochająca matka”.

Marta skinęła głową.

- Brzmi wspaniale, a ten papier listowy! Nasz Joe będzie naprawdę zachwycony. - Żadne z dzieci nigdy nie nazywało jej „matką”, ale Joemu na pewno będzie wszystko jedno.

- Trochę pokropiłam wodą lawendową.

- To mu się też na pewno spodoba.

Kate jakby odetchnęła z ulgą.

Nadeszła kelnerka z zamówieniem i Kate powiedziała, że chciałyby najpierw, zanim zje ciastko, przeczytać Marcie swój własny list do Joego.

- Boję się, żeby na nim nie zostały tłuste odciski palców. Odkasznęła i zaczęła czytać:

Drogi Joe!

Nazywam się Kate Kellaway. Wczoraj poznałam Twoją matkę, Martę, i zgodziłam się napisać do Ciebie list w jej imieniu. Mam osiemnaście lat i chodzę do szkoły handlowej panien Barleycorn na Hanover Street: uczę się tam stenografii i maszynopisania, bo mam zamiar zostać kiedyś dziennikarką. Musisz być strasznie odważny, skoro się zaciągnąłeś do wojska w wieku zaledwie czternastu lat. Wczoraj wieczorem opowiedziałam wszystko o Tobie mojej matce i ojcu: bardzo się tym wszystkim przejęli. Posyłają Ci przeze mnie najlepsze życzenia, tak samo i ja; poza tym posyłam Ci moje najserdeczniejsze myśli i pozdrowienia z całego serca.

Kate Kellaway

Uśmiechnęła się promiennie do Marty.

- Chciałam narysować krzyżyki jako pocałunki na dole, ale pomyślałam, że to mogłoby być trochę za dużo.

- Myślę, że Joe nie pogniewałby się za kilka całusów.

Mógłby wtedy udawać, że Kate jest jego dziewczyną. Chyba niewielu chłopców w wieku czternastu lat miało dziewczyny, posyłające im listy na liliowych kartkach pachnących lawendą.

- W takim razie zaraz dorysuję pocałunki. - Bardzo dokładnie wyrysowała ołówkiem rząd krzyżyków pod swoim listem. - Tu mam kopertę, już ze znaczkami. Chciałaby się pani podpisać pod swoim listem?

- Nie, dzięki, kochanie. To by tylko wszystko zepsuło. - Wypisywanie własnego imienia zajęłoby jej mnóstwo czasu i wstydzila się nawet próbować.

- Mam nadzieję, że się pani na mnie o to nie pogniewa - mówiła Kate - ale, tak jak napisałam Joemu w liście, opowiedziałam rodzicom o Joem i mój tatuś powiedział, że w Parlamencie mają się zająć skandalem, jakim jest branie do wojska małych chłopców. Całkiem sporo członków Parlamentu ma zamiar zrobić wokół tego dużo szumu.

- Co za członków?

- Członków Parlamentu. Mamusia powiedziała, że gdyby w Parlamencie zasiadały tylko kobiety, nie byłoby więcej wojen. I że gdyby rodzenie dzieci należało do mężczyzn, może by z nimi postępowali trochę lepiej, kiedy dorastają.

Marcie się wydało, że właściwie prawie to samo powiedziała sierżantowi Gilliganowi.

- To prawda - przyświadczyła z pełnym zrozumieniem.

* * *

Czuła się szczęśliwa, tak jakby wydostała się z ciemności, w których już od tylu lat przebywała. Czas spędzony z Kate, niewiele ponad godzinę, radował ją bezgranicznie. Już nie była tylko godną pożałowania, głupią Irlandką, ale osobą, która jest coś warta.

Postanowiła nauczyć się czytać i pisać, tak by jej syn mógł dostawać listy pisane przez własną mamę, a nie przez kogoś, kogo nawet nie poznał, choćby to był ktoś tak słodki i miły, jak Kate.

W fabryce, z trudem przepychając igłę przez gruby materiał, wyobrażała sobie, jak jej Joe wraca z wojska jako

oficer i dżentelmen i żeni się z Kate - dzieliły ich tylko cztery lata, a kiedy będą starsi, ta różnica jeszcze straci na znaczeniu. Nic jej nie obchodziło, jaką religię wyznaje Kate - a Carlo niech sobie nie myśli, że może się ocknąć i wtrącić tu swoje trzy grosze!

W sobotę po pracy, mimo że miała ochotę zasnąć i spać aż do poniedziałku, zebrała pościel i wszystkie ubrania, jakie mogła, w toboł i razem z Lily i Georgiem zaniósła do pralni i łaźni Mary Kelly. Oni oboje i Marta wyszli z kąpieli czysti i świeżutcy jak stokrotki i z górami rzeczy do rozwieszenia i wysuszenia. Włosy Marty znów zaczęły wyglądać jak prawdziwe włosy, a nie tłuste skręcone strąki, jak przedtem. Kiedy je rozczesywała grzebieniem, czuła się po prostu bosko!

Na King's Court porozwieszali pranie po całym mieszkaniu. Kiedy szli spać, pościel jeszcze była wilgotna, musieli więc spać na gołych siennikach i przykryć się ubraniami. Ale ani Marcie, ani dzieciom w ogóle to nie przeszkadzało, a Carlo nawet niczego nie zauważył.

- Kiedy następnym razem będę miała parę szylingów do wydania, pójdę na targ przy Great Homer Street i kupię więcej pościeli - postanowiła. - Jeden komplet dla każdego to za mało. A i wy powinniście mieć więcej ciuchów, rośniecie jak na drożdżach. - Spojrzała na dzieci oskarżycielsko, jakby to była ich wina.

- To może przestaniemy rosnać, mamó, jeżeli tego chcesz? - zaproponowała zawadiacko Lily. - Co, Georgie?

- No właśnie, mamó - przytwierdził Georgie z szerokim uśmiechem.

- Och, wy dwoje! - Marta przytuliła ich z całej siły. - Kocham te wasze chude kosteczki.

* * *

Kilka dni później nadszedł list Joego z fotografią. Kiedy ją Marta obejrzała, po prostu tchu jej zabrakło.

- Niech mnie licho, jeżeli to nie najprzystojniejszy chłopak w Liverpoolu - ba, w całym kraju!

Żałowała, że fotografia w kolorze sepia nie oddaje błękitu jego oczu i pięknego, ciepłego brązu włosów, które wymykały się spod żołnierskiej czapki - w wojsku musieli go ostrzyć. Uśmiechał się lekko do aparatu, ale poza tym wyglądał bardzo poważnie.

- Pokażę to zdjęcie Kate, poproszę, żeby do niego napisała i podziękowała w naszym imieniu za piękną fotografię.

Co prawda obiecała Joyce, że tym razem to ona napisze do Joego, ale przecież nic nie zaszkodzi, jeżeli Kate napisze jeszcze jeden list.

Zawarły z Kate taką umowę: jeżeli Marta będzie chciała się z nią zobaczyć z jakiegoś powodu, miała czekać przed szkołą handlową panien Barleycorn w porze przerwy obiadowej, aż Kate wyjdzie.

- A gdyby padało, proszę stanąć przy wystawie sklepu ze zwierzątkami domowymi naprzeciwko, żeby nie zmoknąć.

Gdyby nie brak czasu, Marta mogłaby cały dzień stać przed tym sklepem. A gdyby nie brak pieniędzy, z przyjemnością weszłaby do środka i wykupiła cały towar. Teraz spędzała mile parę minut, patrząc na szczeniaki i kocięta, bawiące się za szybą wystawy. Jedno całkiem białe kociątko próbowało pacnąć łapką jej palec przez szybę.

- Ach, jakbym cię chciała kupić! - powiedziała mu.

- Witam, Marto! Co to, mówi pani sama do siebie?

Podeszła Kate, uśmiechnięta, niezwykle urocza w zielonej jedwabnej sukience z szydełkowym kołnierzykiem i w małym, pasującym do sukienki kapelusiku.

- Nie, mówiłam do tego białego kociaka. Powiedziałam mu, że chętnie bym go kiedyś kupiła.

- My mamy w domu kota. Nazywa się Horacy, przez pamięć admirała Nelsona, bo ma, tak jak on, tylko jedno oko. - Wzięła Martę pod rękę i ruszyły razem przez Hanover Street. - Śliczne ma pani włosy - pochwaliła. - Przedtem tego nie zauważyłam, ale są prawie tego samego koloru, co moje. Była pani u fryzjera?

Marta udała, że nie słyszy.

Nigdy w życiu nie była u fryzjera i nie chciała się przyznać, że uroda jej włosów to tylko rezultat porządnego umycia.

- Nasz Joe przysłał fotografię - wyjaśniła. - Chciałabym, żebyś napisała do niego i powiedziała mu, że wygląda strasznie przystojnie.

- Och! - westchnęła Kate entuzjastycznie. - Marzę o tym, żeby ją zobaczyć, ale lepiej poczekajmy, aż wejdziemy do restauracji. Myślę, że dzisiaj zjem sobie ciastko z jabłkiem. A pani, Marto?

- Ja też chętnie zjem ciastko z jabłkiem - odparła Marta, uszczęśliwiona.

* * *

Kate znowu westchnęła, kiedy Marta wydobyła zdjęcie i pokazała jej Joego.

- Jest piękny... - wyszeptała dziewczyna.

Marta nie uważała co prawda, żeby słowo „piękny” było odpowiednie dla opisanie chłopca, ale przypuszczała, że skoro Kate go użyła, to musi być w porządku.

- Nieprawdaż? - powiedziała, całym sercem zgodna z opinią Kate.

Mężczyzna siedzący przy stoliku obok też patrzył na zdjęcie. Potem spojrzał na Martę i z uznaniem podniósł do góry kciuk.

- Świetny chłopak - wymówił tylko ruchem ust, a ona aż zadrżała z dumy.

- Przysłał tylko jedną fotografię? - spytała Kate.

- Tak, tylko jedną.

- To musimy z niej zrobić więcej odbitek. Na pewno chciałyby pani mieć jedną mniejszą, do torebki. A ja też chciałabym jedną, jeżeli można. Moi rodzice bardzo się ucieszą, kiedy będą mogli zobaczyć, jak Joe wygląda. I rodzeństwo też pewnie chciałoby mieć po jednej.

- A w jaki sposób mogę mieć ich więcej? - Marta bezradnie patrzyła na Kate, która zdawała się wiedzieć absolutnie wszystko.

- Na odwrocie fotografii jest na pewno nazwisko fotografa i być może też jego adres. Mogę do niego napisać i zamówić dodatkowe odbitki.

Marta odwróciła zdjęcie i rzeczywiście był tam wydrukowany niebieską farbą mały kwadracik z adresem - chyba w obcym języku.

Przeklinała się w duchu, że nie nauczyła się czytać, kiedy była jeszcze dzieckiem, w Irlandii. Ale tam raczej trudno byłoby jej pójść do szkoły. Nie tylko dzieliło od niej wiele kilometrów, ale w gospodarstwie czy w domu Marta stale miała coś do roboty, a nauka w ich rodzinie sytuowała się daleko w tyle za pracą. Carlo, zanim się wycofał z normalnego świata, czytał jej wszystko, co potrzeba, a potem to samo robiła Joyce i Joe.

Kate wyjęła czerwony zeszyt z torby. Adres fotografa wskazywał na Lancaster, powiedziała, zapisując go sobie w notesie.

- Mogłaby pani tam pojechać i zobaczyć się z Joem - zaproponowała. - To wcale nie jest daleko.

Marta już o tym myślała, ale nie wydało jej się to dobrym pomysłem.

- Nie dałabym rady się wyrwać. - Poza tym mogła okazać się jedyną mamą, która by tam pojechała, i Joe mógłby się tym

czuć zakłopotany. - A czy te zdjęcia będą drogo kosztowały? - zapytała nieśmiało.

- Pani nie będą kosztowały ani grosza. - Kate beztrąsko machnęła ręką. - To był mój pomysł, więc trudno, żebym od pani oczekiwała płacenia, prawda? - Przygryzła wargę i opadła na poręcz krzesła, jak przekłuty balon. - Och, Marto, jak mi przykro! - powiedziała z żalem. - Strasznie się we wszystko wtrącam. Stale mi się to zdarza. Moja matka mówi, że jestem apodyktyczna, że chcę rządzić życiem innych. Mówi, że przytłaczam ludzi i dlatego mnie nie znoszą. Ty mnie znosisz, Marto? Przepraszam, czy mogę mówić pani po imieniu? Tak mi się wyrwało...

- Oczywiście, że tak. - Marta się roześmiała. Ta dziewczyna była po prostu otwarta, uczciwa i chętna do pomocy. - Nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie w tych ostatnich dniach. I jestem pewna, że moje dzieciaki docenią, jak to wspaniale mieć fotografię brata w żołnierskim mundurze.

- To chwała Bogu. - Kate robiła wrażenie zadowolonej. - Ale pamiętaj, Marto, musisz mi powiedzieć, gdybym próbowała rządzić twoim życiem. Wtedy zaraz przestanę.

Marcie nie przeszkadzałyby wcale, gdyby ktoś rządził jej życiem, ale Kate prawdopodobnie miała na myśli mówienie jej, co czy jak ma zrobić, ale nie robienie za nią czegoś.

- Będę pamiętać - obiecała.

- A kiedy już dostanę te fotografie, Marto, mam ci je posłać pocztą czy wolałabyś, żebyśmy się spotkały, tak bym ci je osobiście wręczyła?

- Och, bardzo chciałabym, żebyśmy się spotkały. Naprawdę lubię... to znaczy... - Nie wiedziała, jak to wyrazić. - To dla mnie wielka radość widzieć cię, pić z tobą kawę... i jeść ciastko... i w ogóle - zakończyła niepewnie. Miała

nadzieję, że kiedyś to ona będzie mogła zaprosić Kate na kawę i ciastko.

- Bardzo się z tego cieszę, Marto. - Oczy Kate zaślniły. - Bo i ja uważam, że to dla mnie radość. Wiesz, co zrobię? - zawołała z entuzjazmem. - Wyślę ci kartkę z jednym tylko słowem „Joe”! Będziesz wiedziała, co to znaczy: że fotografie już są, i następnego dnia możemy się spotkać tutaj, o zwykłej porze.

Z tymi słowami Kate się zerwała na równe nogi na swój porywczy sposób - Marta nie zdziwiłaby się, gdyby pewnego dnia podskoczyła tak wysoko, że przebiłaby sufit.

- Muszę lecieć! - zawołała. - Obiecałam kupić wodę toaletową dla Cissie Roberts, która siedzi obok mnie w szkole. Cały dzień się dzisiaj źle czuła. Myślę, że to z powodu gorąca.

* * *

Był czerwiec, wyjątkowo upalny tego roku. Ludzie mówili, ocierając pot z czoł, że bardziej przypomina pogodę lipcową albo sierpniową.

- To takie „babie lato” - twierdziła jakaś kobieta w pracy, ale inna ją zakrzyczała, mówiąc, że „babie lato” jest we wrześniu.

Fabryczka „Worki i Żagle” Ackermana mieściła się w małym wycinku Back Seel Street, niedaleko rzeki. Pan Ackerman - o ile w ogóle istniał - nigdy się tam nie pokazywał, nie było też żagli, które prawdopodobnie kiedyś robiono w nieużywanej dzisiaj hali, w czasach, gdy na morzach i oceanach królowały statki z żaglami, zwłaszcza na Atlantyku, jeżeli chodzi o Liverpool.

Obecnie zakładem kierował cudzoziemiec. Nikt nie znał jego nazwiska, ani z jakiego kraju pochodzi. Miał około pięćdziesiątki, był bardzo wysoki, o kolorze skóry ani jasnym, ani ciemnym. Czarne jak smoła wąsy zakrywały mu twarz od ucha do ucha. Zachowywał się porywczo, często wręcz

niegrzecznie. Wszyscy mówili do niego „Mister”, nawet jego żona, która kierowała kobietami i potrafiła szyć worki tak samo szybko, jak każda z robotnic. Była czarnoskóra, miała na imię Jacquetta i wszystkim opowiadała, że jest wnuczką afrykańskiego niewolnika.

Marta przyszła do fabryki któregoś wyjątkowo gorącego dnia i nie zastała tam ani jednej kobiety przy pracy. Wszystkie otaczały Jacquette, która siedziała przy jakimś skomplikowanym urządzeniu i poruszała stopami to w tył, to naprzód, zupełnie jakby pedałowala na rowerze. Urządzenie, cokolwiek to było, robiło okropny hałas.

- Co to takiego? - spytała Marta.

- Przemysłowa maszyna do szycia - powiedziała kobieta, stojąca obok niej, krzywiąc się z niesmakiem.

Marta już miała ponownie spytać „A co to jest?”, ale odpowiedź nie budziła wątpliwości. Była to maszyna, na której można było szyć worki mniej więcej dwadzieścia razy szybciej, niż ona i jej koleżanki kiedykolwiek mogłyby podołać.

Stał tam też Mister, górujący nad nimi wszystkimi wzrostem. Marta nie zauważyła go w pierwszej chwili, bo pochylał się nad nową maszyną i obserwował, jak żona pracuje.

- Wy, kobiety, wszystkie iść do domu, nie mieć tu już nic do roboty - warknął i zrobił taki gest rękami, jakby je odpędzał. - Wszystkie oprócz: ty! - Wskazał palcem na zdumioną Martę. - Kupiłem drugą maszynę dla ciebie, ty na niej pracować. Zarobek wyższy, szyling na dzień, ale już nie ma pracy w soboty. - Po raz pierwszy, odkąd go znała, naprawdę wykonał gest serdeczności: poklepał żonę po głowie. - Jacquetta nie lubić pracować w soboty. Mieć wtedy inną pracę do zrobienia.

Marta gwałtownie robiła w myśli obliczenia. Pięć ekstra szylingów na tydzień, ale mniej o szyling, który zarabiała w soboty, to znaczy, że będzie miała o całe cztery szylingi więcej. Ale czy będzie umiała sobie poradzić z szyciem na tej maszynie?

Mister wyjaśnił, że Jacquetta jej pokaże, jak się posługiwać maszyną, ale powiedział jej to dopiero, kiedy wszystkie kobiety już odeszły, obrzucając Martę urażonymi spojrzeniami. Nie miała im tego bynajmniej za złe.

- Jak się miewa ten twój syn żołnierz? - spytał Mister.

- Nasz Joe? O, bardzo dobrze. Przysłał nam niedawno swoją fotografię. Przyniosę ją jutro i pokażę.

Teraz się domyśliła, że Mister zostawił ją w pracy właśnie z powodu Joego.

Mister chyba zdecydował, iż starczy tej przyjacielskości jak na jeden dzień. Wskazał głową żonę.

- Jacquetta ci teraz pokazać. Lepiej się szybko uczyć, bo wylecieć na zbity pysk jak inne kobiety.

* * *

King's Court nie był dobrym miejscem do mieszkania w czasie upałów - zresztą zimą też nie, ale podczas głębokiej zimy ludzie siedzieli w swoich czterech ścianach i starali się utrzymać ciepło, paląc w piecykach koksem albo skrzynkami po pomarańczach i kawałkami tekturowych pudeł, względnie chroniąc się pod nędznymi kocami i nakładając na siebie wszystko, co tylko mieli.

Latem nie mogli się doczekać, aby wyjść z domów, w których część okien się nie otwierała i smród zgnilizny oraz inne odory, niemożliwe do zidentyfikowania, sprawiały, że ludziom się zbierało na wymioty. Na małym podwórku, nie szerszym niż trzy metry pomiędzy dwoma rzędami domów, bawiły się małe dzieci, mężczyźni bili się między sobą, a

kobiety wrzeszczały - na siebie nawzajem, na swoich mężów i na dzieciaki.

Spędzając cały dzień w pracy, Marta unikała tego wszystkiego, ale naprawdę się bała wieczorów. Na szczęście była w stanie pootwierać okna w swoim mieszkaniu i zostać w domu, jednak hałasy dolatujące z podwórza były nie do wytrzymania, a język - nie do powtórzenia. Pary małżeńskie wyklócały się o najbardziej intymne szczegóły swojego życia, mężczyźni maltretowali żony i bili dzieci bez powodu - chyba że uważali za dostateczny powód fakt, iż nie mieli pracy ani pieniędzy na choćby jeden kufelek piwa. Bójki i awantury trwały do późna w noc, tak że Martę często budził ze snu jakiś ryk czy wybuch gniewu.

Po podwieczorku Lily i Georgie szli zwykle się pobawić na plac zabaw, albo na inną ulicę, porządniejszą, gdzie napięcia nie były aż tak wielkie i ludzie mieli jaką taką przestrzeń do oddychania. Frank i Joyce zazwyczaj nie przychodzili. Carlo szedł do baru. Marta była nawet rada, że jest sama na tej beczce prochu, gdzie już nie raz się zdarzały nawet morderstwa.

* * *

Miała ciężki dzień w pracy. Przywieziono już nową maszynę do szycia: Marcie nie było łatwo się w tym wszystkim połapać i szyć tak, żeby szwy były równe. Ściegi biegły to w tę, to w drugą stronę, a Mister wchodził co chwila, sprawdzał jej robotę i cmokał zirytowany.

- Nie zwracaj na niego uwagi - uspokajała ją Jacquetta. - Mister cię lubi. Lubiego Joego, chociaż go nie zna. Wie, że się szybko nauczysz. Worki z krzywymi szwami też się sprzedają, nie przejmuj się!

Marta odkryła w sobie coś w rodzaju sympatii do Jacquetty, która się wyrażała bardzo wyrafinowanie i opowiedziała jej, że po tym, kiedy jej babkę wyzwolono z

niewolnictwa, wyszła za mąż za kapitana jakiegoś handlowego statku i razem opłynęli siedem mórz.

- Moja matka przyszła na świat w trakcie sztormu, kiedy statek opływał Zatokę Biskajską. Ja sama się urodziłam w Pendżabie, gdzie mój dziadek popłynął kupować dywany. Mój dziadek był równocześnie moim ojcem: ożenił się z moją matką w górach Nepalu. Moja babka już wtedy nie żyła.

- To chyba dla niej dobrze - zauważyła Marta, niepewna, czy ma wierzyć w tę historię, czy nie.

We czwartek obydwie maszyny się zepsuły - nie były nowe, Mister kupił już używane, miały trochę pordzewiałe części. Mister je naoliwił, ale olej z kolei brudził worki. To naprawdę nie była wina Marty ani Jacquetty, jednak Mister na ten widok stracił cierpliwość. Kiedy Marta wychodziła do domu, atmosfera w pracy była nadal gorąca.

Na King's Court też wszystko kipiało.

Tego wieczoru ludzie się tak pobili, że aż przyjechała policja. Zabrała dwóch mężczyzn i teraz z kolei ich żony szykowały się do awantury. Marta, która obserwowała to przez okno, zorientowała się, że Donald Mahon oskarżył Billy'ego Quinna o to, że się przystawia do jego żony Teresy, ładnej Irlandki o prawdziwie celtyckim wyglądzie, z ciemnymi, błyszczącymi oczyma i włosami czarnymi jak sadza.

Teraz Teresa i żona Quinna, Nellie - pulchna kobieta o chorowitym wyglądzie, na co dzień najlepsza koleżanka Teresy - wpatrywały się w siebie oskarżycielsko: od czasu do czasu któraś wymierzała cios, albo kopnięcie. W pewnym momencie, jakby na dźwięk gongu ogłaszającego rozpoczęcie prawdziwej walki, rzuciły się na siebie, szarpiąc za włosy i próbując wydrapać oczy. Warczały przy tym jak dzikie zwierzęta i pluły sobie nawzajem w twarz.

Ich dzieci wrzeszczały, a jeden maluszek, Tommy Mahon, który miał najwyżej osiemnaście miesięcy, próbował złapać swoją mamę i w rezultacie zaplątał się pomiędzy nogami i metrami wirujących spódnic obu kobiet. Nagłe jakieś nieopatrzne kopnięcie wyrzuciło go tak daleko w tył, że wylądował na schodach domku Marty i uderzył główką o róg betonowego stopnia. Leżał tam nieruchomo, a krew lejąca się z rany tworzyła kałużę wokół jego głowy.

Teraz to Marta wrzasnęła. Kiedy wybiegła z domu, odkryła, że przed nią znalazł się tam jeszcze ktoś.

Kate! Trzymała już w ramionach rannego chłopczyka, a krew plamiła jej śliczną kremową sukienkę w kwiaty.

- Trzeba to dziecko zawieźć natychmiast do szpitala - rzuciła pośpiesznie. - Która z was jest jego matką?

- Ja, panienko. - Jakby cudem poskromiona Teresa zbliżyła się i Kate oddała w jej ręce ranne dziecko.

- Proszę. Zawiozę was tam. Och, witaj, Marto! Pojedziesz z nami?

- Tak, Kate. - Osłupiała Marta zauważyła mały samochód zaparkowany właściwie już na podwórku; motor cały czas pracował. Wszyscy patrzyli jak skamieniali, kiedy Kate podeszła do wozu. Teresa zaczęła płakać. Jej łzy mieszały się z krwią synka, a Marta z małym powodzeniem usiłowała wytrzeć jedne i drugie rogiem fartucha.

* * *

W dwie i pół godziny później wypuszczono ich wszystkich ze szpitala, Tommy'ego z sześcioma szwami na główce, owiniętej teraz olśniewająco białym bandażem. Jego mizerna buzia była nareszcie czysta, a przygaszona teraz matka nadal dygotała ze strachu.

- Nie chciałam go zranić - szlochała rozpaczliwie. - To był przypadek. Przyznaję, że daję moim dzieciakom kłapa od czasu do czasu, ale nigdy aż takiego, żeby im zrobić krzywdę!

- Powtarzała to chyba z tuzin razy i za każdym razem kłamała. Rzadko kiedy widywano jej dzieci bez siniaków i skaleczeń na rozmaitych częściach ciała.

- No, ale już po wszystkim, w każdym razie na dzisiaj - energicznie powiedziała Kate. - Będziesz bardziej uważała na przyszłość, prawda?

- Tak, panienko - odparła potulnie Teresa.

- Tylko nie zapomnij znowu pójść do szpitala po paru dniach na zmianę opatrunku, dobrze?

- Nie zapomnę, panienko.

Kate zatrzymała się przy sklepie ze słodyczami i papierosami i kupiła dwanaście lizaków. Jeden dała Tommy'emu, a resztę Teresie.

- To dla twoich dzieci.

- Dziękuję, panienko.

Na King's Court panowała cisza, kiedy tam wjeżdżały, chociaż ludzi było pełno. Ich wjazd został powitany pomrukiem, wyrażającym ulgę. Nellie Quinn rzuciła się Teresie na szyję.

- Dzięki Najwyższemu, że z dzieciakiem jest w porządku. Bo jest w porządku, prawda, Tess? - pytała ze strachem.

- To było rozcięcie skóry, i na tym koniec, Nell. Doktor wszystko pięknie podeszywał.

- Pasuje mu ten bandaż, no nie, Tommy, kochanie? - Nellie uszczypnęła małego pod bródkę. W odpowiedzi się blado uśmiechnął.

Obie kobiety odeszły, znowu zaprzyjaźnione. Nawet się nie pofatygowały podziękować Kate za jej dobroć. Marta zwróciła się do niej.

- Co ty tu właściwie robisz? - zapytała cicho. Była głęboko zawstydzona, nigdy nie podejrzewając, że Kate zobaczy, gdzie ona mieszka. - Skąd wzięłaś mój adres?

- Z listów Joego, naturalnie. A co, może źle zrobiłam, że tu przyjechałam? - Wyglądała na skruszoną, ale tylko trochę. - To dlatego, że napisałam i powiadomiłam cię o nadejściu fotografii, pamiętasz? Tak jak proponowałam, tylko jedno słowo „Joe” na kartce pocztowej - ale chociaż czekałam na ciebie codziennie, nie pokazałaś się.

Marta się zdenerwowała.

- Nie dostałam żadnej kartki pocztowej. Może ktoś ją ukradł. Och, chwała Bogu, że nie wysłałaś mi zdjęć. Chodź, wejdź do domu, zrobię herbatę.

Wewnątrz domu - w każdym razie w tej małej części, należącej do Rossich - było jednak lepiej niż na zewnątrz. Kate wzięła koszyk z tylnego siedzenia samochodu.

- Przyniosłam trochę domowego dżemu - powiedziała - i ciasto z owocami. Moja matka je zrobiła. - Rodzice, jak wyjaśniła, wyjechali do Nottingham z wizytą do jej siostry. - Pojechali pociągiem, moja matka nie wytrzymuje długiej jazdy samochodem.

- Nie wiedziałam, że umiesz tym kierować.

- Nie umiem - zawołała wesoło Kate, jakby to w ogóle nie było ważne. - W każdym razie nie umiałam, ale w końcu spróbowałam i okazało się to strasznie łatwe. Wydało mi się, że to po prostu wstyd, aby auto stało tak bez pożytku, więc pomyślałam, że nim pojedę do ciebie. Muszę wyjechać, zanim się zrobi ciemno, bo nie mam pojęcia, jak się włącza światła.

Lily właśnie cieniutko rozsmarowywała margarynę na dwóch wielkich jak talerze kawałach chleba, kiedy weszła jej matka z niespodziewanym gościem. Lily zamarła z nożem nad kromką, a Georgie tak wybałuszył oczy, że się zrobiły zupełnie okrągłe: oboje wpatrywali się w Kate. Marta przypuszczała, że Kate musi rzeczywiście dziwnie wyglądać, bo na jej modnej sukience widniały ciemne plamy z krwi.

- Wygląda na to, że przyszedłam w samą porę. - Kate wydobyła z koszyka słoje z dżemem. - Truskawkowy. Mam nadzieję, że lubicie?

- Możemy sobie trochę wziąć, mamo? - nieśmiałym głosem spytała Lily.

- Tak, kochanie.

Marta czuła się w tej chwili bardzo dziwnie. Jeżeli o nią idzie, dzieci mogłyby zjeść cały słoik. Modliła się, by do pokoju nie zajrzał Carlo, wyjątkowo wcześniej niż zwykle; żeby na podwórku znowu nie zaczęła się jakaś bójka; żeby nie trzeba było znów z jakiegoś powodu wołać policjantów; wreszcie żeby bardzo prędko się ściemniło, tak by jej gość musiał pojechać do domu. A ponad tym wszystkim na widok słoja dżemu, który Lily teraz nakładała na chleb, do ust jej napływała ślina. Wyglądał, jakby był zrobiony z całych truskawek. Marta się zlekła, że Lily zużyje wszystko od razu. „Zostaw trochę dla mamy, kochanie”, prosiła w duchu.

Tymczasem Kate wyjęła duże kwadratowe ciasto z owocami i jeszcze jeden dżem, który, jak powiedziała, był agrestowy. Już się zbierała do wyjścia, ale zatrzymała się przy drzwiach.

- Może przyjechalibyście wszyscy do mnie w niedzielę? - zaproponowała. - Musicie tylko złapać pociąg do Ormskirk ze stacji Exchange. Nie jedzie się długo. Przyjechałabym po was samochodem, ale tatko mógłby potem zauważyć, że przejechałam za dużo kilometrów i by się gniewał.

Marta rozpaczliwie szukała w myślach powodu, żeby odmówić. Nie chciała tłumaczyć, że ani ona, ani żadne z jej dzieci nie ma przyzwoitego ubrania, w każdym razie takiego, w którym by można wsiąść do pociągu. Ale na buziach Lily i jej brata malował się tak błagalny wyraz, że można by pomyśleć: błagają o życie!

- Dobrze - bąknęła. - O której?

To oznaczało kolejną wizytę w pralni i łaźni Mary Kelly. Ale teraz zarabiała o cztery szylingi więcej na tydzień.

Może więc nadszedł czas, żeby sprawić dzieciakom i sobie nową garderobę?

Rozdział 4

Kiedyś dawniej, w niedzielne poranki po mszy Carlo zabierał starsze dzieci na stację Lime Street albo Exchange, żeby zobaczyły wielkie parowe lokomotywy, podczas gdy Marta szykowała obiad. Nigdy nie jeździli pociągami, bo było im dobrze w ich Małej Italii, która wystarczała za cały wielki świat. Marta nie pamiętała, czy Carlo zabierał tam też i Joego. Czy był już wtedy dosyć duży? Trzeba by o to spytać w następnym liście, który Kate napisze w jej imieniu.

Lily i Georgie, wówczas niemowlęta, nigdy tam nie byli i dlatego teraz widok tych olbrzymich czarnych potworów, wypuszczających chmury białego dymu, zrobił na nich ogromne wrażenie.

- Zupełnie jak smoki - uznała Lily.

Georgie nie chciał podejść, wystraszony, i zgodził się wejść do wagonu dopiero, kiedy matka go trzymała za jedną rękę, a Lily za drugą - co zresztą bardzo utrudniło operację wsiadania.

Początkowo widok z okien pociągu był podobny do tych miejsc, gdzie mieszkali. Ale po piętnastu czy dwudziestu minutach jasnozielone pola zastąpiły obraz wąskich uliczek, od czasu do czasu tylko pojawiały się pojedyncze domy, albo jakiś mały kościółek, który z takiej odległości wyglądał jak zabawka.

Dzieci niczym w transie wpatrywały się w stada krów, które stały tak spokojnie, że Lily początkowo myślała, iż są sztuczne; przyglądały się kępom drzew, łagodnym pagórkom. Od czasu do czasu widać było jakąś okazałą rezydencję, ale głównie niewielkie wiejskie domki z ogrodami pełnymi kwiatów, pola kukurydzy i wąskie strumyki, przecinające krajobraz jak srebrne wstążeczki.

Marta, która pierwsze szesnaście lat życia spędziła w Irlandii, znała dobrze te idylliczne wiejskie krajobrazy, ale

zrobiło jej się przykro, że dwoje najmłodszych dzieci nie wiedziało dotąd o istnieniu takiego piękna - i to tak blisko domu! Postanowiła, że już niedługo znowu się z nimi wybierze w drogę pociągiem - zabiorą kanapki i lemoniadę i zrobią sobie piknik.

Kate, jak obiecała, wyszła po nich na stację. Cała w bieli wyglądała jak obrazek: wielki kapelusz miała związany zieloną szyfonową szarfą pod zdecydowanym podbródkiem.

- Ależ elegancko wyglądacie! - zawołała z uśmiechem. - Wszystko nowe?

- No, prawie - odparła Marta.

Jej problem rozwiązał targ na Great Homer Street. Za cztery dodatkowe szylingi Marta kupiła srebrnoszarą wełnianą suknię dla siebie, poza tym słomkowy kapelusz z czerwoną aksamitną wstążką. Suknia trochę piła pod pachami, ale Marta ją wzmocniła kawałkami innego materiału, tak że teraz mogła służyć latami. Była może trochę za ciepła, jak na ten nieprzyjemnie parny czerwcowy dzień, ale przynajmniej Marta wyglądała przyzwoicie. Czarne buty ze skóry wydawały jej się zupełnie wygodne, kiedy je mierzyła i kupowała za sześć pensów. Ale od wyjścia z domu nielitościwie ocierały jej pięty. Zacisnęła jednak zęby i próbowała nie zwracać na to uwagi.

Lily odkryła na targu jaskraworóżową jedwabną sukienkę z wielkimi ściągniętymi przy nadgarstkach rękawami i szeroką szarfą, którą Marta uznała za trochę wulgarną zarówno w stylu, jak i w kolorze, ale ją kupiła, gdyż Lily absolutnie nie chciała się z nią rozstać.

Dzisiaj jej córeczka uważała się za najpiękniejszą dziewczynkę na świecie.

Georgie był ubrany dyskretnie, na szaro, i miał nadzieję, że nikt na niego nie będzie patrzył. Jak dotąd nikt się nie kwapił.

Z tego, co im zostało z czterech szylingów, starczyło jeszcze na bilety na pociąg.

- Czy to mora? - spytała Kate, oglądając sukienkę Lily.

- Tak - odparła dumnie mała. Zerknęła na matkę: - Ta kobieta na stoisku tak powiedziała, mamó.

- Naprawdę, kochanie? - Marta nic takiego nie słyszała.

Kate opowiadała, że Ormskirk jest ruchliwym małym miasteczkiem ze słynnym targiem, ale że dzisiaj właściwie prawie nikogo nie ma, wszystkie solidne małe domki stoją puste.

Obok nich przedreptał kucyk w pięknym czapraku, przeszła jakaś para w najlepszych niedzielnych strojach, minęli kobietę z książką do nabożeństwa, najwyraźniej w drodze do kościoła albo z powrotem...

- Chodźcie prędzej - wołała Kate. - Jenny zrobiła nam na lunch sałatkę z szynką, a na deser szarlotkę z kremem.

- Kto to jest Jenny? - chciała wiedzieć Marta.

Kate wyjaśniła, że Jenny jest u nich kimś w rodzaju gospodyni, ale mieszka gdzie indziej.

- Pierze i sprząta, i czasem pomaga w kuchni, na przykład obiera kartofle i inne jarzyny, a moja matka robi budynie i ciasta, desery i inne takie rzeczy. Normalnie Jenny pracuje u nas tylko w powszednie dni. Dzisiaj przyszła specjalnie na waszą cześć. - Okazało się poza tym, że mąż Jenny zajmuje się ogrodem, tak że pan Kellaway tylko przystrzyga krzewy i kosi trawę, o ile nie jest zbyt zajęty.

- Myślisz pewnie, że jestem beznadziejna w pracach domowych - powiedziała Kate, i właśnie dokładnie to Marta myślała. - No cóż, chyba masz rację. Ale - ciągnęła - rodzice chcą, żebym zdobyła prawdziwy zawód i właśnie to robię. Chcę być kimś, nie tylko żoną.

- A my wszystkie nie jesteśmy? - mruknęła Marta, nie całkiem pewna, czy ma się zgodzić.

- I ja chcę taka być, kiedy dorosnę, mamó - powiedziała Lily.

- Możesz być tym, kim zechcesz, kochanie - obiecała Marta. Dom Kate był otoczony dużym ogrodem, pełnym drzew i krzewów, łuków, po których się pięły pnącza, i kwiatów. Zbudowany z czerwonej i różowej cegły z połyskiem, nie jak cegły na King's Court, kruszące się i sypiące, jakby były dotknięte zarazą. Marta zawsze uważała, że te domy zbudowano specjalnie dla biednych ludzi.

- Tamten pawilon z boku to gabinet mojego ojca - powiedziała Kate, otwierając frontowe drzwi. Wąski budynek był zbudowany z jeszcze bardziej połyskliwych cegieł, a w oknach miał zielone okiennice.

- Nie wiedziałam, że jest doktorem - rzekła Marta zdziwiona.

- Nie jest. Jest chiropodystą. Pielęguje i leczy ludzkie stopy. Kate weszła do długiego pokoju, w którego głębi okna wychodziły

na ogród i były szeroko otwarte, by wpuścić światło słoneczne.

- Och, proszę, to jest Jenny. Jenny, to moi przyjaciele: Marta, Lily i Georgie Rossi. Sałatka wygląda pysznie. Czy ta szynka to ze świnek twojego Wilfreda?

Jenny, sympatycznie wyglądająca, mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta w białym, sięgającym kostek kitlu, skinęła twierdząco głową i ukloniła się lekko w stronę Marty.

- Wygląda na bardzo delikatną i smaczną - ciągnęła Kate.
- Syn Jenny, Wilfred, hoduje świnki, Marto. Dam ci kawałek szynki, żebyś wzięła ze sobą do domu.

Jenny oznajmiła, że już idzie do domu i że nazajutrz rano weźmie się za naczynia.

- I proszę zostawić wszystko, co do prania, panienko. Pomyślałam, że warto by wyprać zasłony z salonu teraz, kiedy pani mamusia wyjechała. Mój John mówi, że jutro będzie solidnie wiało.

Kate wydała lekki okrzyk.

- Zapomniałam! Moja kremowa sukienka cały przód ma zaplamiony krwią. Czy można coś zrobić, żeby to wywabić?

Jenny robiła wrażenie zaniepokojonej.

- Chyba się panienka nie zraniła?

- Nie! To nie moja krew. To krew małego chłopczyka, który sobie rozbił głowę. Zawoziłam go do szpitala i stąd ta krew.

- Woda utleniona powinna pomóc. Chyba jest trochę w szopie w ogrodzie. No, będę leciała, panienko. Miło było państwa poznać, pani Rossi, Lily i Georgie!

Znowu się ukloniła i wyszła, pozostawiając Martę zadumaną nad tym, jak rozmaite bywa życie ludzi.

Jak to musi być cudownie - mieć kogoś, kto ci pierze zasłony, kiedy wyjedziesz! Nawet samo posiadanie zasłon już było wielkim luksusem co najmniej dla połowy mieszkańców King's Court. Zasłony Rossich pochodziły z targu na Great Homer Street i były miejscami mocno zniszczone. Ale plamy na nich wyglądały jeszcze gorzej niż dziury, więc sobie po prostu wisały z roku na rok, coraz lichsze i lichsze.

* * *

Po zjedzeniu pysznego posiłku goście chodzili po ogrodzie, Kate oprowadzała. Georgie natychmiast się wdrapał na drzewo i wyraźnie miał zamiar tam zostać na dłużej: siedział na samym szczycie jak gigantyczny ptak. Lily natomiast odkryła kota, który miał tylko jedno oko. Marta przypomniała sobie, że Kate jej o nim mówiła, i wspomniała, że ma na imię Horacy. Lily siadła na ławce i pieściła

Horacego, kołysała go do snu, szepcząc: „Cicho, cicho...” i głaskając kota po grzbiecie.

Kate powiedziała, że ma mały czerwony szal do narzucenia na ramiona, który chciałyby dać Marcie, bo świetnie będzie pasował do jej kapelusza i czerwonej wstążki.

- Może wejdziemy po niego do domu? Moja matka mi go wyszydełkowała parę miesięcy temu, ale wiem po prostu, że ja go nigdy nie włożę. Jest dla mnie o wiele za staroświecki.

Szal wyglądał na Marcie bardzo dobrze - rzeczywiście pasował do jej nowego kapelusza. Stały teraz razem z Kate w jej sypialni, która miała ściany pomalowane na kremowo, łóżko z prostym drewnianym zagłówkiem i kołdrą „patchwork”, też zrobioną przez matkę Kate. Był to pokój, w którym wszystko tchnęło spokojem, pokój dobry do modlitwy i do snucia spokojnych myśli. Marta przysięgła sobie, że pewnego dnia i ona będzie miała podobną sypialnię.

Usiadła na łóżku z zamkniętymi oczyma. Słyszeć było tylko szczebiot ptaków na drzewach za oknem. Kate dokądś wyszła. Georgie prawdopodobnie dalej siedzi na swoim drzewie, a Lily kołysze Horacego.

Kate wróciła po chwili. Jej spódnica szumiała jak letni wiatr. Usiadła na łóżku obok Marty.

- Pomyślałam sobie, że Lily i Georgie będą zadowoleni z małych prezencików - powiedziała.

Marta zauważyła po raz pierwszy, jak głęboki głos ma ta dziewczyna, jak go moduluje, jakby śpiewała kołysankę.

- Znalazłam dla Lily lalkę. Nazwałam ją Jaskierka, bo ma żółtą suknię. Dostałam ją, kiedy miałam trzynaście lat i już byłam, moim zdaniem, o wiele za duża na lalki. Dlatego jest zupełnie jak nowa. Nigdy się nią nie bawiłam.

- Jest piękna - wymamrotała Marta, nie wiadomo dlaczego czując się jak pijana; nie, żeby była pijana naprawdę,

ale doznając podobnego uczucia: oszołomienia, rozmarzenia, skołowania.

- A Georgie dostanie ode mnie metalowy samochód. To jedyna chłopięca zabawka, jaką znalazłam. Też się nim nigdy nie bawiłam. - Samochód był czarny i niemal tak długi jak linijka, którą Lily i Georgie nosili do szkoły. - To samochód na parę, marki „Stanley”. Jeżeli się wleje wody do motoru i podstawy pod niego świeczkę, wypuszcza dym. Tatuś jakiś czas się tak nim bawił.

- Dziękuję - mamrotała Marta. - Jestem pewna, że Georgie będzie zachwycony, Lily też. Jesteś dla nas bardzo dobra.

- Ja mam tyle rzeczy - Kate rozpostarła ramiona, jakby w geście bezradności, jakby to, że ma ich tyle, było przekleństwem. - Tak miło jest móc się z kimś podzielić. - Nagle, bez ostrzeżenia, zarzuciła ramiona na szyję Marty. - Och, jak ja się cieszę, że się poznałyśmy, Marto! Naprawdę nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie.

Marta była pewna, że Kate dałaby sobie bez niej doskonale radę. W końcu naprawdę trudno uwierzyć, by ktoś taki, jak Kate Kellaway, był zadowolony z poznania Marty Rossi; mogła najwyżej przyjąć, że Kate udaje, albo może jest po prostu trochę zwariowana.

* * *

Wracając pociągiem, Marta czuła się najzwyczajniej nieszczęśliwa. Widoki z okna były akurat odwrotne, niż w drodze do Ormskirk: zielone pola i małe kościółki ustępowały miejsca domom i ulicom, coraz mniejszym i węższym w miarę, jak się wjeżdżało do Liverpoolu. Niebo robiło się coraz ciemniejsze, podobnie jak jej nastrój. Lily i Georgie byli niezwykle spokojni, tak jakby lalka o imieniu Jaskierka i parowy Stanley nie były ani w części tak pożądane, jak jednooki kot czy drzewo do wspinaczki.

* * *

Następnego ranka nadszedł list od Joego. Teraz Marta już wiedziała, co oznaczają znaki na kopercie, ale nie umiała przeczytać tego, co było w środku.

W godzinie przerwy obiadowej czekała przed wystawą sklepu ze zwierzętami na Hanover Street, aż zobaczyła Kate wychodzącą z budynku naprzeciwko. Nic nie powiedziała, tylko wręczyła jej list. Kate również nie odezwała się ani słowem. Marta nadal była w ponurym nastroju i miała okropne przeczucie, że list zawiera złe wiadomości.

Możliwe, że Kate myślała o tym samym. Nie otworzyła koperty aż do chwili, kiedy już siedziały w restauracji na dworcu, gdzie zamówiła kawę dla nich obu.

- Joego przenoszą do Canterbury, dlatego się boję, że go mogą wysłać za granicę - powiedziała w końcu cichym głosem.

- Do Francji? Tam, gdzie jest wojna?

Gwar panujący w restauracji zmienił się dla niej w nieznośne brzęczenie, które tak wnikało w uszy, że aż od tego cierpły. Gula w gardle sprawiła, że Marta poczuła mdłości.

- Nie mówi tu nic o Francji, ale dokąd mieliby go posłać „za granicę”? - Kate położyła list na kolanach. - Moi rodzice wrócili wczoraj wieczorem - powiedziała zamyślona. - Porozmawiam z tatkiem, kiedy wrócę do domu. On czytuje „Manchester Guardian” codziennie od deski do deski, więc powinien wiedzieć wszystko o tej wojnie. Możesz jutro przyjść, Marto? Wtedy ci powiem, czego się dowiedziałam.

- Tak... Tylko, proszę, odpisz od razu Joemu, żeby się nigdzie nie ruszał, jeżeli tylko to będzie możliwe. Powiedz mu, że jego mama spróbuje go zatrzymać w Anglii.

Pewnie, zrobiłaby to, gdyby tylko wiedziała, jak.

* * *

- Mmmm... - mrucał tego wieczoru pan Kellaway, pocierając brodę. Był uderzająco przystojnym mężczyzną, wysokim, o kształtnej głowie z kasztanowatą czupryną i czarującymi manierami. Przy tym potrafił nadal być skromny i bezpretensjonalny, mimo admiracji, jaką się cieszył u klientów, przede wszystkim u pań, o których stopy regularnie dbał.

- Nie wyobrażam sobie, by wysłali młodego, niewypróbowanego chłopca do Francji, gdzie różni politycy i wojskowe grube ryby uważają, że życie żołnierza nie jest warte złamanego grosza. Padają tam przecież jak muchy: Brytyjczycy, Francuzi, Belgowie i Niemcy. Może do czasu, kiedy Joe wyśle następny list, będzie już wiedział, dokąd go wysyłają. - Wydał wargi z pogardą. - Może do tej pory jakiś idiota we władzach się pofatyguje i powie mu o tym.

- Ale co Marta może tu zdziałać? - spytała córka.

- Mogłaby napisać do Ministerstwa Wojny, albo ty możesz to napisać w jej imieniu. Albo... mogłaby się w tej sprawie spotkać ze swoim członkiem Parlamentu. On mógłby może ściągnąć chłopaka do domu.

- A czy wiesz, kto jest jej członkiem Parlamentu? Ona mieszka w Vauxhall.

- Tak od ręki nie wiem, ale przejrzę moje papiery i sprawdzę. Miał całe teczki wycinków z gazet, zbierane od lat, gotowe do sprawdzenia właśnie przy takiej okazji.

* * *

- Czy cię nie martwi, że nasza Kate trochę za bardzo wciągnęła się w sprawy tej Marty i jej rodziny? - zasugerowała pani Kellaway mężowi później tego wieczoru.

- Nie martwi mnie ani trochę, najdroższa. - Pan Kellaway machnął w powietrzu fajką. - Chce być dziennikarką i to dla niej idealne doświadczenie. A jeżeli chodzi o Martę, to lepiej, że Kate jest w jej sprawy wciągnięta, niż gdyby nie była.

- Czy wiesz, że ona zaprosiła w zeszłą niedzielę Martę i jej dwoje najmłodszych dzieci tu do nas na lunch? - Pani Kellaway nie wiedziała, co o tym myśleć, kiedy Kate jej o tym powiedziała, ale Jenny wyjaśniła, że ta rodzina, która tu przyjechała, była idealnie czysta i przyzwoita. A zatem czym się tu niepokoić? Pani Kellaway sama nie była pewna.

- Nie wiedziałem, ale naprawdę się cieszę, że to zrobiła - powiedział ciepło pan Kellaway. - Mamy o wiele za dużo jedzenia, a Marta i tacy ludzie jak ona, mają go o wiele za mało.

Czasami pani Kellaway się martwiła - dla jego własnego dobra - że poglądy jej męża są zbyt liberalne.

- Och, cóż... Skoro to cię nie niepokoi, kochanie, to i ja się nie będę martwiła.

* * *

I znowu Marta czekała przed sklepem ze zwierzątkami, aż Kate wyjdzie ze szkoły.

Dziewczyna wzięła ją pod ramię.

- Waszym członkiem Parlamentu jest major Norman Brown z Partii Pracy - poinformowała. - Ma biuro na Scotland Road, otwarte dla wyborców w piątki wieczorem, od szóstej. Możesz tam pójść. Chciałabyś, żebym poszła z tobą?

- Myślę, że powinnam iść sama.

W końcu była dorosłą kobietą, a Joe był jej synem. Jasne było, że powinna się tym sama zająć.

- I ja tak myślę. - Kate ścisnęła jej ramię, jakby chcąc okazać wsparcie. - To będzie lepiej wyglądało, chociaż jeszcze lepiej by było, gdyby mógł z tobą pójść twój mąż.

- Carlo się do tego nie nadaje.

Był niemal stale pijany i brudny; czasami myślała, że w ogóle stracił możliwość mówienia. Nigdy, ani razu nie rozmawiała o nim z Kate.

W piątek późno wyszła z pracy. Mister dostał duże i bardzo pilne zamówienie na worki. Była zadowolona, kiedy jej wręczył dodatkowe pół szylinga, ale chciała być dzisiaj wcześniej w domu i przebrać się w nową szarą sukienkę, poza tym wolałaby się pojawić w biurze posła, kiedy jeszcze nie będzie zbyt dużego tłumu: Kate ją ostrzegła, że może być kolejka czekających na widzenie z nim.

Kiedy już znalazła się w domu, zrobiła wszystko jak najprędzej, biegiem się przebrała w szarą suknię i zostawiła Lily i Georgie'ego samych, każąc im zjeść na kolację chleb z margaryną i resztką szynki, którą im dała Kate.

- Czestujcie się - powiedziała nierozważnie, stawiając na stole słoje z dżemem z agrestu. - Aha, i pamiętajcie zostawić trochę dla mamy, jeżeli można. Jestem strasznie głodna.

Biuro posła do Parlamentu mieściło się nad cukiernią na Scotland Road. Przed nią przyszło tam już dziesięć osób, siedzących teraz na drewnianych krzesłach pod ścianami ponurego pokoju, pełnego czerwonych i białych plakatów. Podejrzewała, że to plakaty Partii Pracy i dokładnie je studiowała: raczej litery niż słowa. Było tam „o”, jak w słowach „Rossi” i „Joe”, było „a”, jak w „Marta” czy „Kate”, a także „l”, jak w „Lily”, gdzie były nawet dwa „l”. Ostatnio studiowała sposób, w jaki słowa są pisane, i zaczęła się w tym - przynajmniej trochę - orientować. Uśmiechnęła się szeroko. Za małe sto lat będzie może umiała napisać sama jakiś list.

Do pokoju wszedł mężczyzna. Cóż, jeżeli to był pan Norman Brown, Marta uznała, że podoba jej się jego wygląd. Koło czterdziestki, średniego wzrostu, z wyrażającą dobroć twarzą i łagodnymi brązowymi oczami, miał też uroczy uśmiech. Pochylił się w jej stronę.

- Czy może mi pani podać swoje nazwisko?

- Marta Rossi, pani Rossi - wybąkała. - Hm... pani Marta Rossi. Pan jest majorem Brownem? - Była ciekawa, dlaczego zajął się nią przed innymi.

- Nie, nazywam się Arthur Hanson. Jestem asystentem pana Browna. Mogłaby pani wejść na sekundę do mojego biura, żebym mógł spisać pani dane, by uniknąć marnowania na to czasu, kiedy major Brown już przyjdzie? Obawiam się, że go jeszcze nie ma. Dziś rano w Parlamencie wynikły jakieś ważne i pilne sprawy, tak że późno wyjechał. Jest teraz w pociągu i powinien niebawem przybyć.

- Te „pilne sprawy” to pewnie kupowanie tygodniowego zapasu brandy Napoleon, co? - odezwał się jakiś burkliwy głos. - To jego ulubiony trunek, nie?

- O, jestem pewien, że nie o to chodzi, panie Chapman - odparł Arthur Hanson bardzo uprzejmie. - Myślę, że to ma jakiś związek z podatkami: wie pan, odbiera się bogatym, żeby oddać biednym. Czy nie w to właśnie pan wierzy?

- Właśnie w to nie wierzę, mój panie, ale to faktycznie jest artykuł wiary.

Pan Chapman był najchudszy człowiekiem, jakiego Marta kiedykolwiek w życiu widziała. Jego twarz przypominała czaszkę obciążoną cieniutką warstwą ciała, oczy miał zapadnięte głęboko, w czarnych obwódkach. W gruncie rzeczy cała twarz była czarna, pokryta czymś podobnym do pyłu węglowego. Miał na sobie zniszczoną skórzaną kamizelkę i bawełniane spodnie, aż sztywne od brudu. Bez ostrzeżenia wstał i zwrócił się do całego pokoju, odkasłując, jakby miał powiedzieć coś ważnego.

- Czterysta funciaków na rok ten cały facet Brown bierze jak nic, jeździ za darmochem pociągami: pierwszą klasą, rzecz jasna, a odzywa się w Parlamencie dobrze, jak dwa razy do roku, bo resztę czasu ten kretyń przepija.

Rozległo się parę słabych oklasków, ktoś nawet zawołał „Dobrze mówi!”.

Arthur Hanson zupełnie zignorował tę przemowę i dotknął ramienia Marty.

- Proszę, może pani pójdzie ze mną.

Weszła za nim do kolejnego pokoju, równie ponurego jak pierwszy, tyle że mniejszego.

- To prawda, co mówił ten człowiek? - spytała.

- Pozostawię to pani własnej opinii, pani Rossi. - Uśmiechnął się. - A teraz: w jakiej sprawie chce się pani zobaczyć z majorem Brownem?

Wyjaśniła mu wszystko o Joem, o tym, jak go kupiono za szylinga do wojska.

- Powiedział, że ma osiemnaście lat, ale tylko idiota mógłby w to uwierzyć - mówiła bez tchu. - A w ten poniedziałek... czy nie dostałam listu, w którym pisze, że go wysyłają za granicę? - Wydobyła z kieszeni wszystkie listy Joego. - To są jego listy, do matki! Zabrał ze sobą metrykę, a tam stoi wyraźnie, że ma dopiero czternaście lat. - W jej głosie zadźwięczała stal. - Żądam, żeby go usunięto z armii i odesłano do domu, panie Hanson.

Arthur Hanson zapisał wszystkie szczegóły swoim nieprawdopodobnie eleganckim pismem, pytając, do którego regimentu Joe należy i czy Marta zna jego numer wojskowy.

- To Piechota Zachodniego Lancashire, ale numeru nie znam. Chyba to nie przeszkodzi, żeby go odesłali do domu, prawda? - spytała niepewnie Marta.

- Jestem pewien, że go zdołają odnaleźć bez numeru. - Uśmiechnął się do niej pokrzepiająco. - I jestem też pewien, że pan Brown może coś zrobić w pani sprawie. A teraz będzie pani tak dobra i poczeka tam, na zewnątrz.

Na ścianie wisiał zegar, który w momencie gdy major Brown się pojawił, wskazywał, że Marta czeka tu już ponad

godzinę. Major był ubrany bardzo kosztownie - to dostrzegła od razu. Był średniego wzrostu mężczyzną o czerwonej twarzy, rysach gładkich, bez wyrazu i włosach mysiego koloru. Mógł mieć od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu lat.

- Dobry wieczór, sir. - Arthur Hanson odebrał od majora melonik i skórzaną teczkę. - Mamy tu mały tłumek czekających, jak pan widzi. Pan Chapman był pierwszy, przyszedł dwie godziny temu. Pewnie jego zechce pan przyjąć jako pierwszego?

- Jeżeli muszę... - sapnął major. - Co tam nowego, Chapman? Ruszył w stronę gabinetu, ale pan Chapman, którego kościste palce tańczyły na kolanach przez cały czas, jaki Marta tam przesiedziała, zamiast pójść za majorem, powoli się podniósł i powiedział bardzo głośno:

- Jesteś nawalony jak stodoła, ty cholerny moczymordo. Czuję ten smród, już kiedy wchodziłeś po tych pieprzonych schodach.

- Dzwon na policję, Hanson - znudzonym głosem powiedział polityk - i poprosił ich, żeby przyjechali i zabrali stąd to... tego... tę osobę. - Wykrzywił się z niesmakiem. - A gdyby pan Chapman jeszcze kiedyś postawił nogę w tym domu, masz natychmiast wzywać policję. Natychmiast! Kto następny?

Podniósł się jakiś mężczyzna, podreptał do gabinetu i drzwi się zatrzasnęły.

- Proszę, panie Chapman... sir! - Arthur Hanson przyjaźnie położył rękę na plecach chudego mężczyzny i zaczął go kierować w stronę drzwi.

Na to pan Chapman po prostu uderzył w krzyk.

- Więc kto w takim razie zajmie się moją sprawą dzierżawy? Mam pięćdziesięcioletnią dzierżawę tego budynku, a ten bękart po prostu przyszedł i zburzył go, chociaż nie miał żadnego cholernego prawa!

- Mówiłem już panu, trzeba iść i rozmawiać z adwokatem, sir. To ich zadanie zająć się sprawą, nie pana Browna.

- Może i tak zrobię, panie Hanson. Dziękuję, sir. Może to jutro zrobię...

Jak na członka Parlamentu, organizacji, która, jak Marta sądziła, powinna być wybitnie szacowna, major Norman Brown wyjątkowo ostro przeklinał, o wiele paskudniej niż nieszczęsny pan Chapman. Słysząc było wyraźnie jego donośny głos. Ulubionym wyrażeniem było „pierdolić”. „Odpierdol się!”, „Pierdolić to!” i tak dalej.

Poczuła strach i podejrzenie, że może pan Chapman miał rację, iż polityk po prostu wypił za dużo. W pokoju rozchodził się słodki zapach: to mogło być brandy.

Marta była ostatnia w kolejce, tak że kiedy nadeszła jej kolej, poczekalnia już opustoszała. Arthur Hanson wytknął głowę przez drzwi.

- Nie denerwuje się pani chyba? - zapytał.

- Jestem przerażona - odparła. Wsunęła głowę w drzwi do gabinetu. - Wydaje się, że jest chyba trochę zły.

- Często jest taki. Tylko spokojnie. Proszę mu wyłożyć swoją sprawę. Nie może się pani nie udać - zapewnił łagodnie.

- Ostatecznie racja jest po pani stronie, a także prawo naszego kraju. Młodzi ludzie nie powinni się zaciągać do wojska, jeżeli nie mają osiemnastu lat, ani nie wolno ich wysyłać za granicę, jeżeli nie są jeszcze o rok starsi.

Kiedy Marta weszła w końcu do środka, twarz majora Browna była jeszcze czerwiejsza, poza tym potwornie się pocił. Siadła na krześle przed jego biurkiem i wyjaśniła wszystko na temat Joego, pokazała listy. Natomiast odpowiedź tego człowieka była dla niej kompletnym szokiem.

- Chryste Wszechmogący, kobieto! Czy pani nie zdaje sobie sprawy, że jest wojna? - Pochylił się do przodu tak, że

poczuła na twarzy jego ślinę. - Przecież teraz właśnie jest moment, kiedy „wszyscy do pomp!”, wszyscy! Razem z czternastolatkami. Powinna pani być dumna z syna, a nie jęczeć mi tu i żądać, żeby go usunęli, z wojska. Jeżeli ma pani jeszcze innych synów, powinna ich pani za wszelką cenę namawiać, żeby tam poszli! A teraz, odpierdol się pani. Miałem ciężki dzień i... - Jego twarz zamarła w szczególny sposób, po czym, bez dalszych wstępów, upadł twarzą na biurko i zwymiotował.

Marta czym prędzej zgarnęła cenne listy Joego i uciekła z pokoju. Arthur Hanson próbował ją zatrzymać, ale go odepchnęła.

- Pani Rossi! - wołał. - Mam coś dla pani!

Ale Marty już nie było. Płakała przez całą drogę do domu.

* * *

- Ach, a więc to, co mówią, to prawda! - zauważył ojciec Kate w parę dni później, kiedy mu opowiedziała o przygodach Marty z członkiem Parlamentu.

- Co masz na myśli, tatusiu?

- Sprawozdawcy parlamentarni mówią, że major Norman Brown to fantastyczny gazownik, mówiąc obcesowo. - Uśmiechnął się drwiąco. - Wybacz mi ten język, ale skoro masz zamiar zostać dziennikarką, musisz się do niego przyzwyczaić. Wiesz, co to znaczy „gazownik”?

- Chyba się domyślam. Marta powiedziała, że to pijak. Śmierdział brandy czy czymś takim i zwymiotował na biurko. I nie tylko to: kiedy mu opowiedziała o sprawie Joego, kazał jej się „odpierdolić”.

Ojciec spoważniał.

- Rzeczywiście... biedna kobieta, to bardzo przykre dla niej. Myślę, że jej następnym krokiem - albo raczej powinienem powiedzieć, twoim, kochanie, będzie dotrzeć do

prasy, żeby sprawa nabrała pewnego rozgłosu. Wtedy będą musieli coś z tym zrobić.

* * *

Za zgodą Marty, Kate wybrała do nagłośnienia sprawy Joego gazetę „Lancashire Post”. Po doświadczeniach z majorem Brownem Marta była zbyt przygnębiona, żeby tam pójść nawet z nią, a tym bardziej sama.

- Jesteś ode mnie mądrzejsza - powiedziała niepewnie w parę dni później, kiedy Kate zaproponowała jej rozmowę z prasą. - Ja... tylko bym tam siedziała jak tabaka w rogu i pozwalała, żeby ludzie mi wymyślali.

- Powinnaś była walnąć w łeb tego obrzydliwego polityka - powiedziała nierozważnie Kate. - Ja bym tak zrobiła.

- Ty może i mogłabyś tak zrobić; ja trafiłabym do więzienia! Kate wybrała „Lancashire Post” przede wszystkim dlatego, że mieli swoje miejscowe biuro na Hanover Street, tuż obok szkoły panien Barleycorn.

Poszła tam zaraz po zajęciach, w swoim najelegantszym kostiumie: lnianej bluzeczce z krótkimi rękawkami w śliwkowym kolorze, obcisłym, wysoko zapinanym zakieciku sięgającym ud oraz prostej spódnicy z tego samego materiału, pokazującej co najmniej siedem centymetrów łydki. Do tego białe pantofle na wysokim obcasie z kokardkami i biały jedwabny kapelusik bez ronda.

Weszła do niewielkiej recepcji, gdzie siedział przy biurku chłopak mniej więcej w (prawdziwym) wieku Joego, z potężnie wybrylantynowaną czupryną i pracowicie nalepiał znaczki na stos brunatnych kopert.

- Co to takiego? - zapytała, wskazując palcem miseczkę obok chłopaka. Pocierał o nią każdy znaczek.

- Tam jest mokra gąbka, którą zwilżam znaczki. Dzięki temu nie muszę lizać całego tego cholernego stosu - wyjaśnił chłopiec z silnym londyńskim akcentem.

- Sprytny wynalazek - z uznaniem rzekła Kate.
- No! Też tak myślę. Nie cierpię smaku kleju. Zbiera mi się od niego na rzyganie.

Kate natychmiast przypomniała sobie, po co tu przyszła.

- Czy mogę się zobaczyć z redaktorem? Mam dla niego naprawdę ważne wiadomości.

- Redaktor tu nie pracuje. Jest w głównym biurze w Blackpool. Tutaj mamy tylko reportera.

- A z nim mogłabym pomówić? Rozumiem, że to mężczyzna.

- No, chyba nie myśli paniusia, że to mogłaby być kobieta, co? - odparł lekceważąco chłopak. - Siądź paniusia na minutkę, powiem mu, że paniusia tu jest. - Zniknął za drzwiami i po chwili wrócił, polecając Kate pójść za sobą.

Weszli po wąskich schodach do niespodziewanie obszernego, miłego pokoju, którego okna wychodziły na sklepy przy Paradise Street. Pośrodku pokoju stało wielkie biurko, na nim zaś wyjątkowo mała maszyna do pisania - widocznie jeden z tych modeli „przenośnych”, wywnioskowała Kate.

- To właśnie ta młoda dama, panie Dexter - rzekł protekcjonalnie chłopak.

- Dziękuję, Herbercie. - Młody człowiek wyglądał właśnie przez okno. Odwrócił się i rzucił Kate lodowaty uśmiezek, zanim jej podał rękę. - Jestem Clive Dexter. Proszę usiąść, panienko. - Wskazał jej wygodny fotel po jednej stronie pustego kominka, a sam usiadł w takim samym fotelu po drugiej stronie, z otwartym notatnikiem na kolanach i uniesionym do góry ołówkiem, gotów do robienia notatek. - Po pierwsze, jak się pani nazywa, a po drugie, bo Herbert jest nowy i zapomniał spytać, z czym pani do mnie przychodzi?

- Jest pan strasznie młody jak na reportera - zauważyła Kate, trochę zawiedziona jego młodością.

Był szczupłym, bladym mężczyzną o chłodnym wyrazie twarzy i pełnych, wrażliwych ustach. Niektóre kobiety może uznałyby ten kontrast za pociągający, jak też fakt, że włosy miał odrobinę za długie i kręcone, sięgające aż do szczupłej szyi. Nosił jasnoszare spodnie i kamizelkę oraz - jej zdaniem - raczej odważną, ciemnoniebieską koszulę z luźno zawiązanym szarym krawatem, co mu tylko dodawało uroku. Co nie znaczy, żeby była nim choć trochę zauroczona, powiedziała sobie szybko.

- A kogo pani oczekiwała? - zapytał lodowatym tonem.

- Kogoś w średnim wieku i z większym doświadczeniem.

- Mam dwadzieścia jeden lat i raczej umiarkowane doświadczenie. - Zapisał coś w notatniku. - Jeżeli pani woli rozmawiać z kimś innym, proszę albo odwiedzić nasze główne biuro w Blackpool, albo pójść do „Liverpool Echo”, które ma biuro niedaleko stąd i reporterów w każdym wieku do wyboru, niektórych z wielkim doświadczeniem. Do wyboru, do koloru.

- Czyżbym była bardzo niegrzeczna? - Matka często ją oskarżała o to, że mówi, zanim pomyśli.

- Jeszcze jak.

- Co pan sobie zapisał w tym notatniku? Popatrzył na kartkę.

- „Nie lubię tej młodej damy”.

- Przepraszam.

- Jeszcze mi się parli nie przedstawiła.

- Katherine Kellaway, panna Kellaway.

- A więc, panno Kellaway - powiedział, naturalnie nadal lodowato - czy ma pani zamiar tu zostać, czy szukać reportera o wyższych kwalifikacjach do wysłuchania pani historii niż ja?

- Zostanę - cicho stwierdziła Kate. Udał, że mu to sprawiło ulgę.

- Wobec tego notuję.

- Chodzi o Joego. Joe Rossi. Jego matka Marta jest moją przyjaciółką. - Wyjaśniła sprawę Joego i jego ostatniego listu, w którym powiadamiał matkę, że ma być wysłany za granicę. - Ona chce powstrzymać jego wyjazd. Była u Normana Browna, członka Parlamentu dla Vauxhall, ale nie chciał jej słuchać; mówiąc obcesowo, kazał się jej „odpierdolić”, po czym upadł we własne wymiociny.

Clive Dexter uniósł brwi, najwyraźniej zaszokowany użytym przez nią słownictwem, ale Kate było wszystko jedno.

- Wygląda na to, że to dzikus - skomentował.

- Prawda? Chciałam tam z nią pójść, ale wolą iść sama.

- Czy pani Rossi może nam udzielić wywiadu?

- A czy to będzie absolutnie konieczne? - Nie była pewna, czy Marta jest już w stanie to zrobić.

Przejrzał uważnie notatki - jego stenografia, w porównaniu z jej własną, wyglądała bardzo nieporządnie.

- Nie, właściwie nie. Uważam, że to się raczej nadaje na artykuł, niż tylko do wiadomości, a mam tu chyba dość materiału. Czy jest jakaś fotografia tego Joego?

- Przyniosłam ją ze sobą, ale prosiłabym o zwrot, jeżeli można. - Sięgnęła do torebki po zdjęcie i wręczyła mu. - Czyż to nie przystojny chłopiec?

- Bardzo. - Uśmiechnął się po raz pierwszy, nie do niej, tylko do niewinnej buzi Joego. - Chyba nikt go nie weźmie za osiemnastolatka. - Zerwał się z krzesła (zauważyła, że był najwyżej o parę centymetrów wyższy od niej). - A zatem, panno Kellaway, zabieram się do pracy. Pan Henderson, redaktor, może to wstawi do sobotniego wydania: wtedy jest więcej lokalnych artykułów niż w ciągu tygodnia. Aha! I proszę mi podać swój adres.

Kate wstała i wyrecytowała mu adres. Powiedziała też, że uczęszcza do szkoły handlowej po drugiej stronie ulicy i że

może tu wpaść w każdej chwili, o ile on jej zostawi wiadomość w sekretariacie.

- To zaraz przy drzwiach. Mam zamiar zostać dziennikarką, jak pan - rzekła chętnie. - Już potrafię stenografować sześćdziesiąt słów na minutę.

- Jestem pewien, że pani będzie wspaniałą dziennikarką, panno Kellaway - powiedział. W jego tonie wyczuła kpinę. - Ciekaw jestem tylko, jak pani sobie poradzi, skoro jest pani jeszcze młodsza i jeszcze mniej doświadczona niż ja?

Kate nie raczyła odpowiedzieć.

- Och! Ma pan telefon! - Zauważyła dziwaczny czarny instrument wiszący na ścianie. - Mój ojciec też zamówił taki do swojego gabinetu. - Okręciła się dookoła i wskazała fotografię pięknej kobiety z ciemnymi kędziorami, w sukni z marynarskim kołnierzem. - A to kto taki? - spytała bez namysłu.

- Ależ z pani ciekawsza osoba, panno Kellaway. Ten ktoś taki to panna Lettice Conway, moja narzeczona.

- Co za niespotykane imię. Czy się wymawia tak samo, jak sałata? (Sałata po ang. „lettuce” (przyp. tłum.))

- Nie, w tym imieniu jest „i”, a w sałacie „u”.

- Aha, rozumiem. No, to do widzenia, panie Dexter. - Wyciągnęła do niego rękę. - Miło było pana poznać.

- Do widzenia, panno Kellaway. Poznanie pani to dla mnie prawdziwe doświadczenie.

Rozdział 5

Herbert wyszedł o wpół do szóstej wysłać pocztę, ale Clive się nie ruszył. Gdzieś w zakamarkach mózgu mętnie zdawał sobie sprawę, że na zewnątrz ludzie zamykają sklepy i biura i mówią sobie „dobranoc”. On jednak był tak skoncentrowany na artykule, który pisał, że wyłączył się ze wszystkiego.

Siedział przy biurku i szybko sunął piórem po papierze, wolał najpierw napisać ręcznie, niż od razu na maszynie. Od czasu do czasu przerywał, by zerknąć na fotografię ustawioną obok zdjęcia Lettice. Joe Rossi, wiek: czternaście lat, prawdopodobnie już w drodze do Francji i do walki na najstraszniejszej wojnie wszechczasów.

Wszystkie kraje biorące udział w tej wojnie były nader kulturalne, wydały wielkich pisarzy i kompozytorów, myślicieli i filozofów: Woltera, Ruskina, Nietzschego, Dickensa, Wagnera, Marię Skłodowską - Curie... by wymienić tylko kilka nazwisk. Niemniej konflikt pomiędzy tymi państwami powstał z zupełnie innego powodu. O ile Clive się orientował, Wielka Brytania, Francja czy Belgia nie miały żadnego powodu, by angażować się w tę wojnę, niemniej właśnie w tych ostatnich dwóch krajach toczyły się ciężkie walki z butnymi, zarozumiałymi Niemcami.

Starał się w swoim artykule nie dać ponieść emocjom, nie pisać o zmarnowanych ludzkich istnieniach i o mordowaniu niewinątek - Joe nie byłby pierwszym dzieckiem posłanym, żeby walczyć, a już na pewno nie pierwszym, które mogłoby wtedy zginąć.

Clive przysunął sobie maszynę do pisania i zaczął wystukiwać artykuł ze swoich ręcznie pisanych notatek, używając do tego wskazujących palców obu rąk oraz kciuka do klawisza spacji.

Nie wątpił, że panna Kellaway, tam, po przeciwnej stronie ulicy, pisze na maszynie jak wiatr, używając każdego ze swoich długich, białych, wyjątkowo irytujących palców. Wszystko go w tej dziewczynie irytowało: jej głos, jej zachowanie, to, co mówiła...

Rozbolała go szyja. Przerwał pisanie, plecami oparł się o krzesło i z rękami na karku myślał o tym, jak weszła tu, do pokoju, jak wpadła niczym powiew świeżego powietrza, z szelestem sukni, z oczyma zaglądającymi w każdy kącik, nieznośnie dociekliwa.

Na szczęście już się pewnie nigdy nie spotkają. Wrócił do pisania artykułu.

Pół godziny później skończył. Powoli przeczytał wersję zapisaną na maszynie, zrobił kilka poprawek i przepisał te strony na nowo, po czym włożył zadrukowane kartki do dużej koperty, razem z fotografią Joego. Jutro wcześniej rano pojedzie do Blackpool i odda to do rąk własnych Edgarowi Hendersonowi, naczelnemu redaktorowi. Chciał się upewnić, czy w sobotnim wydaniu znajdzie się miejsce.

Im wcześniej odeśła Joego Rossi do domu, tym lepiej.

Clive szedł piechotą do domu przy Rodney Street, gdzie mieszkał wraz z rodziną. Jego ojciec, makler giełdowy, chwalił się, że to najlepszy adres w Liverpoolu. Dexterowie mieli też letni dom na wyspie Man oraz mieszkanie w Londynie.

Kiedy wszedł do domu, zdenerwował go widok ojca, schodzącego do niego z góry: jak mógł, unikał kontaktu z tym człowiekiem.

- Ciężki miałeś dzień? - zainteresował się Jeffrey Dexter.

Clive wiedział, że pytanie nie było grzecznościowe, ani nie spowodowane prawdziwym zainteresowaniem, tylko krytyką pracy syna i sposobu, w jaki spędzał czas.

- Ani ciężki, ani lekki - odparł obojętnie.

- No cóż, mam nadzieję, że się dobrze bawiłeś. Twoja matka i ja idziemy dziś na herbatę do państwa Guthrie w Princes Park. Ich syn został ciężko ranny w bitwie pod Artois we Francji. Leży tam teraz w szpitalu.

Clive zdjął kapelusz i zawiesił go na jednym z rogów wspaniałego niegdyś jelenia, który teraz pełnił funkcję wieszaka na kapelusze.

Już chyba naprawdę był czas, żeby odejść z tego domu i znaleźć sobie jakiś własny kąt. Mieszkał tam dotąd tylko ze względu na matkę, która po wyprowadzeniu się dwojga innych dzieci zmartwiłaby się bardzo, gdyby i on od niej odszedł.

- A więc chciałbyś, żebym tam teraz był, ojcze? - spytał równie obojętnie. - Poważnie ranny i w szpitalu we Francji?

- Wolałbym to, niż patrzeć, jak chodzisz odpicowany niczym ciota i pracujesz w pedalskim zawodzie, tak, wolałbym! - pogardliwie wykrzyknął ojciec.

Był niski, zbudowany jak bokser, z krótką grubą szyją, szerokimi barami i wysklepioną piersią. Obaj synowie i córka często z ulgą stwierdzali, że na szczęście są podobni do delikatnej, subtelnie zbudowanej matki.

- Praca maklera jest o wiele mniej niebezpieczna niż praca dziennikarza - podkreślił Clive. - Na froncie są reporterzy, podający wiadomości z wojny, natomiast wątpię, czy jest tam choć jeden makler giełdowy. Wszyscy siedzą bezpiecznie w domach i liczą forszę.

Szerokie oblicze Jeffrey'a zaczerwieniło się niebezpiecznie: Clive był przekonany, że ojciec ma słabe serce albo nadkwasotę żołądka.

- Nie wyobrażam sobie ciebie na froncie, synu.

Clive nie pofatygował się pośpieszyć z informacją, że pisał już do wszystkich gazet w kraju, prosząc o posadę korespondenta wojennego, niestety wszędzie dostawał

odpowieź odmowną. Był za młody i za mało doświadczony, tak mu mówiono - podobnie zresztą, jak mu to wypomniała panna Kellaway. Potrzebowali starszych i bardziej twardych mężczyzn niż on. Nie wspomniał o tym ojcu, bo nie obchodziło go, co on na ten temat sądzi.

Ojciec zawrócił z powrotem na górę, niewątpliwie po to, by uniknąć widoku swego tchórzliwego syna. Clive wszedł do gabinetu i nalał sobie dużą porcję whisky. Był zadowolony, że jego brat Guy, obecnie dziewiętnastoletni, studiuje fizykę w Oksfordzie, daleki od dziwacznych żądań ojca, który by wolał widzieć swojego syna nieżywym, albo rannym, byle się tym móc pochwalić w swoim beznadziejnym klubie. Po skończeniu państwowej szkoły Clive preferował raczej praktyczną naukę dziennikarstwa, niż stratę czasu na uniwersytecie. Jego siostra Veronika, która miała dopiero czternaście lat i była w szkole z internatem, twierdziła tak samo: miała zamiar zostać aktorką na londyńskiej scenie. Niewątpliwie czekały ją podobne walki z ojcem, kiedy nadejdzie czas.

Do pokoju weszła matka Clive'a, Berenice. Pocałowała miękko syna w policzek. Była już gotowa na spotkanie z państwem Guthrie, w sukni z bladoszarego szyfonu i wyszukanych dżetowych kolczykach.

- Witaj, kochanie. Miałeś dobry dzień? Opowiedział jej o Joem i o swoim artykule.

- Zawiozę go osobiście do Blackpool do Edgara Hendersona, zaraz jutro rano.

- Biedny chłopiec. Załedwie czternastoletni! Założę się, że matka naprawdę jest o to wściekła.

- Najbardziej jest wściekła na gościa, który go wciągnął do wojska: sierżant policji, wyobraź sobie tylko!

Aż zadygotała.

- Ohydny człowiek! Och, a propos, Clive, jadłam dziś podwieczorek z Hester Gainsborough: powiedziała, że chyba wkrótce będzie następny pobór. Co zrobisz, jeżeli będziesz musiał walczyć w tej okropnej wojnie?

- Odmówię, jako człowiek odmawiający pójścia do wojska z uwagi na przekonania. - Clive podjął to postanowienie, kiedy tylko pierwszy raz usłyszał słowo „pobór”. Poszedłby wtedy do pracy w kopalni, albo prowadziłby ambulans na terenach walk, tam, gdzie przydzielano takich ludzi. - Co ty na to?

Matka się roześmiała.

- Wszystko mi jedno, kochanie. Lubię myśleć, że mam trójkę dzieci indywidualistów: dziennikarza, obiecującą aktorkę i fizyka, cokolwiek to znaczy.

Znowu się roześmiała.

- Biedny ten twój ojciec. W każdym razie zawsze może mnie potępić za to, że mu dałam takie rozczarowujące potomstwo!

* * *

Około ósmej wieczorem, wkrótce po rozmowie Clive'a Dextera z matką w ich wytwornej rezydencji - w zupełnie innej części Liverpoolu Marta Rossi siedziała w oknie mieszkania przy King's Court. Dwoje młodszych dzieci już spało w drugim pokoju, ona zaś słuchała, jak chłopczyk Teresy Mahon szlocha, że aż się serce kraje, a Teresa go uspokaja, wrzeszcząc: - Zamknij się, ty mały gnoju!

Słysząc też było inne dźwięki. Na schodach prowadzących do kilku domów przewalali się pijani, na innych mężczyźni grali w karty; pół tuzina chłopców kopało piłkę, już niemal rozdartą na pół, uderzając nią o ścianę domu. Ale nie było słyszeć ani tego, co wołali, ani co wyśpiewywali, bo wszystko zagłuszały krzyki dziecka i wrzask jego matki.

Przez te dwadzieścia cztery godziny, które upłynęły od wizyty w szpitalu, bandaż małego Tommy'ego Mahona już zniknął z jego główki. Na szczęście szwy trzymały mocno. Bandaż się w końcu znalazł i został ponownie zawiązany na główce małego. Od tej chwili dzieciak niemal nie przestawał płakać - płakał przez cały dzień, jak powiedziano Marcie. Miała nadzieję, że rana nie została zakażona. Chciała jakoś pomóc, ale się bała, że Teresa, która była drażliwa i gwałtowna, każe jej iść do diabła. Co prawda posłuchała przedtem Kate, ale tylko dlatego, że jej zaimponował strój młodej kobiety, samochód, pewność siebie i to, że naprawdę się przejęła losem jej synka. Sama Teresa regularnie tłukła swojego małego chłopczyka, ale nie chciałyby, żeby umarł.

Opiekuj się swoimi maluchami, Tess, dopóki możesz, chciała jej powiedzieć Marta. Ani się obejrzysz, a one już będą duże, a wtedy kto wie, jakie okropności mogą spotkać na swojej drodze.

Nie mogła przestać myśleć o Joem. Wydawało jej się, że wieki już upłynęły od jego ostatniego listu, w którym mówił, że go mają wysłać za granicę, chociaż to było zaledwie parę dni temu.

No nie, nie mam ochoty wychodzić dziś wieczór na śpiewanie, pomyślała Marta, kiedy grający w karty zaczęli bójkę na pięści. Bywało, że - zwłaszcza latem - King's Court stawało się niebezpiecznym miejscem, przyciągało włóczęgów, szukających jakiegokolwiek kąta, gdzie mogliby się przespać, a także pijaków, kryminalistów i szulerów. Wszyscy oni wiedzieli, że tam nie spotkają gliniarzy, którzy nie kwapili się tu przychodzić, chyba że ich specjalnie wezwano. Policjanci uważali ludzi tam mieszkających za niewartych ochrony. A kiedy cała ta łobuzeria siedziała cicho i nie wchodziła im w drogę, nie dokuczała też szacownym

mieszkańcom pobliskich, porządnym ulic. Marta aż podskoczyła, kiedy drzwi frontowe się otworzyły.

- Frank! - krzyknęła z ulgą na widok najstarszego syna.

We frontowych drzwiach była zasuwka, zamykana, kiedy rodzina już szła spać. Frank zasunął ją teraz i położył palec na ustach.

- Gdyby ktoś mnie szukał, mamie, to nie wiesz, gdzie jestem.

- A dlaczego? Co takiego zrobiłeś? - spytała z gniewem. - Znowu ten lichwiarz cię ściga, ten... jak mu tam, Milo O'Connor? Przychodził tutaj parę tygodni temu.

- Winien jestem parę szylingów jego mamie - przyznał Frank. Próbował się uśmiechnąć, ale na próżno: wyglądał na wystraszonego.

- A ile jesteś mu... jej winien? - Maggie O'Connor była twardą starą dziwką. Marta wolałaby umrzeć z głodu, niż pożyczyć od niej choćby pensa.

Frank się skrzywił.

- Tylko jakieś pięć funciaków.

- Tylko pięć funtów? - wykrzyknęła Marta. - Jezus Maria, Frank! A niby skąd mielibyśmy wziąć takie pieniądze?

- Ty nie musisz ich znikąd brać, mamie. - Wypiął pierś. - Ja je muszę wziąć. Tak czy owak, nie z powodu pieniędzy tu jestem.

- A z jakiego powodu?

- To nic ważnego. Sam to załatwię.

- Napijesz się?

Marta zapaliła prymus i postawiła na nim czajnik. Musiała się napić herbaty, żeby uspokoić nerwy. Niepokój o Joego już był dostatecznie przykry, a teraz jeszcze ten Frank...

- Tylko czekać, a nasz Georgie zabierze się do rabunku, czy czegoś takiego - wyrzekła. - Moi synowie chyba postanowili wpędzić swoją nieszczęsną mamę do grobu. Na co

ty wydałeś te pieniądze, jeżeli wolno wiedzieć? - spytała ze złością najstarszego.

Wepchnął ręce w kieszenie i zagapił się chytrze na swoje buty; dobre buty, zauważyła: porządnie wyczyszczone.

- Koniki, mamó. Zagrałem raz czy dwa. To miały być pewniaki: gwarantowali mi, że wygrają, tymczasem okazało się, że przegrały z kretešem. - Popatrzył jej prosto w oczy. - Przepraszam, mamó. Mogę tu zostać przez kilka dni?

- Możesz zostać, jak długo chcesz, chłopaku, wiesz przecież. - Nigdy nie odwróciłaby się od żadnego ze swoich dzieci. - Ale musisz jak najszybciej zapłacić Maggie O'Connor. Gdyby ten jej Milo dostał cię w swoje łapy, obdarłby cię żywcem ze skóry.

- Wiem... muszę coś wymyślić.

- To myśl jak najszybciej - poradziła mu Marta.

* * *

Ten ranek był wyjątkowo piękny. Clive dojechał do Blackpool tak wcześnie, że w redakcji „Lancashire Post” zastał ledwie paru pracowników. Zostawił artykuł o Joem na biurku Edgara Hendersona i wyszedł na spacer po plaży.

Było jeszcze zupełnie wcześnie, od morza wiał rześki, ożywczy wiaterek. Słońce blado oświetlało mlecznobłękitne niebo, a Morze Irlandzkie lśniło niczym srebro. Clive oparł się o barierkę i wziął parę głębokich oddechów: chłonał pachnące solą powietrze. Życie było piękne w taki poranek jak dziś.

Zauważył, że w małej drewnianej budce na plaży sprzedają napoje; paru rybaków już skorzystało z tego faktu. Zszedł na dół i przyłączył się do nich: zamówił herbatę, którą mu podano w cynowym kubku, mocno osłodzoną, chociaż wcale nie prosił o cukier. Mimo to bardzo mu smakowała. Przysłuchiwał się, jak otaczający go mężczyźni porównują między sobą wczorajsze połowy, jak rozmawiają o pogodzie i o zawodach rybackich w niedzielę we Fleetwood. Żaden z

nich ani słowem nie wspomniał o wojnie, za co Clive był im wdzięczny.

Skierował się z powrotem do redakcji „Lancashire Post”; tym razem w biurze już panował dziki zamęt. Edgar Henderson był nowoczesnym facetem: co najmniej połowę załogi stanowiły kobiety, jedna była nawet reporterką wiadomości, chociaż jej działkę stanowiły wyłącznie tematy związane z kobietami. Clive pomyślał o pannie Katherine Kellaway i nie mógł powstrzymać sardonicznego uśmiechu.

Pan Henderson siedział w swoim gabinecie i czytał artykuł o Joem, paląc okrutnie śmierdzącą fajkę. Był to niski, korpulentny człowiek po pięćdziesiątce, z przedwcześnie posiwiałą głową. Kiedy zobaczył Clive'a, wskazał mu palcem krzesło, ale nic nie powiedział. Po pięciu minutach odsunął się z własnym krzesłem do tyłu, odłożył fajkę i spojrzał na młodzieńca przez druczane okulary.

- Dobrze - wyrzekł. - Więcej niż dobre. Doskonale, szarpie struny serca, sprawia, że chce się wybiec na ulicę i krzyknąć: „Co to się wyrabia na tym cholernym świecie!”. Ale nie mam najmniejszego zamiaru tego opublikować, Clive.

Clive szeroko otworzył usta.

- Ale... dlaczego nie, sir, jeżeli to takie dobre?

- Bo opisuje prawdę, a nasi czytelnicy nie chcą znać prawdy. Ciekaw jestem, ilu młodych ludzi z Lancashire w tej chwili walczy w tej przeklętej wojnie? Tysiące pewnie. A już setki, o ile nie więcej, zdążyły stracić życie lub co najmniej odniosły rany. Czy nasi czytelnicy rzeczywiście chcą, by im powiedzieć, że ich synowie, mężowie czy bracia giną na próżno, albo są poświęceni dla kłamstwa? - Potrząsnął głową.

- Wątpię. A czy ty chciałbyś tego, Clive, gdyby twój brat był w tej chwili żołnierzem we Francji? Jeżeli o mnie chodzi, ja bym nie chciał.

- Gdyby Guy został zabity, chciałbym znać prawdę. Chciałbym wiedzieć, dlaczego - stanowczo odparł Clive.

- Wobec tego powiem ci tylko, że musisz być wyjątkiem.

- A ja mogę tylko powiedzieć, że pan nie docenia ludzi. - I pomyśleć, że uważał dotąd Hendersona za przewidującego! Clive wziął z biurka artykuł. - Jeżeli pan pozwoli, sir, myślę, że wrócę teraz do domu.

- Ale... myślałem, że skoro tu przyjechałeś, może zechciałbyś zjeść ze mną lunch.

- Nie, dziękuję. - Wolał być teraz sam.

- Czyżbym cię zmartwił, Clive? - Edgar wyglądał na trochę rozbawionego tym faktem. Mógł sobie uważać wojnę za cholerną zbrodnię, ale to mu bynajmniej nie spędzało snu z powiek, jak młodemu człowiekowi.

- Nie, sir - skłamał Clive.

Pożegnał się i pomału jechał z powrotem do Liverpoolu. Był w ponurym nastroju. Piękna pogoda nie pomagała w niczym, przeciwnie, zmuszała do rozmyślań nad tym, jaki świat byłby piękny, gdyby tylko państwa potrafiły się zdobyć na zaprzestanie walk pomiędzy sobą.

Kiedy Clive wrócił do biura, Herbert przypomniał mu, że za pół godziny powinien być już w ratuszu i przeprowadzić wywiad: jego rozmówcą miał być członek rady miejskiej, Cedric Kershaw - Jones, a tematem wywiadu jego zastrzeżenia co do budowy wielkiego kina w dzielnicy Woolton.

Clive pospieszył go zapewnić, że o tym nie zapomniał - choć to nie była prawda. Właściwie uważał Herberta za pętaka nie na miejscu i nie chciał, by tamten myślał, że jego szef pozwala niemal na upadek pisma. Był teraz rad, że nie został w Blackpool na lunchu z Edgarem Hendersonem.

Nie znał dotąd Cedrica Kershaw - Jonesa, ale Bogiem a prawdą wcale mu na tym nie zależało. On sam uważał, że

każde miasto w kraju powinno mieć raczej kina niż bary na rogach wszystkich ulic.

Tego popołudnia powinien był jeszcze stawić się na setnych urodzinach pewnej pani z Ormskirk, która miała już ponad stu pięćdziesięciu potomków. Na obie okazje powinien mieć ze sobą aparat fotograficzny.

Radny Cedric Kershaw - Jones okazał się totalnym nudziarzem, czego zresztą Clive mniej więcej oczekiwał, natomiast stuletnia pani była absolutnie rozkoszna: bez przerwy wspominała dość prowokujące wydarzenia z okresu swojej młodości.

Urodziła się za panowania króla Jerzego IV, wówczas księcia regenta - i na chrzcie otrzymała imię Caroline, jak jego żona. Stulatka miała na sobie czarną jedwabną suknię i biały czepek z organdy, zawiązany pod pomarszczoną brodą na wielką kokardę. Była wdową od ponad pięćdziesięciu lat, a jej obrączka starła się tak, że teraz przypominała cienki złoty drucik.

Na urodzinowym przyjęciu zjawiała się całkiem spora część jej stu pięćdziesięciu potomków, ale tylko niewielu się zmieściło w maleńkim wiejskim domku o kamiennych podłogach i oknach z wieloma małymi szybkami. Większość rozeszła się po ogrodzie, stała przed domem i za nim albo po prostu wylądowała w pobliskim barze Muchomor.

Clive planował tam zostać tylko tyle czasu, ile mu zajmie rozmowa z Caroline i zrobienie jej zdjęcia; potem miał zamiar wrócić do biura.

Okazało się to jednak trudne, bo nie mógł się wyrwać od tych rolników, prawdziwych synów ziemi, opowiadających rozwlekłym akcentem z Lancashire o ziemi, tak jakby była żywą istotą, miała swoje humory i nastroje, jeżeli nie pada dość deszczu, albo jeżeli jest za dużo słońca.

- Ona nie ma ochoty być taka sucha jak pieprz, rozumiesz
- powiedział jeden z nich.

Ich żony, niezależnie od wieku, były z reguły korpulentnymi, spokojnymi kobietami o różowych policzkach. Rozmawiały o tegorocznych urodzajach jabłek. O ile Clive dobrze zrozumiał, to jabłka w tym roku nie obrodzą. Miało za to być dużo truskawek, ale z kolei nie było komu ich zbierać, tylu mężczyzn ze wsi poszło na wojnę. Kobiety liczyły jednak na pomoc.

Wojna była w ogóle popularnym tematem rozmów, choć kobiety mówiły o niej z goryczą. Wszystkie bodaj znały kogoś, kto stracił bliską osobę, a nawet dwie, albo w każdym razie jego krewni ucierpieli. Jedna z kobiet, troszeczkę lepiej ubrana od innych, mówiła prosto z mostu:

- Jak oni śmia zabierać nam dzieci? - pytała, nie kierując tego właściwie do nikogo. - Co oni sobie myślą? Że kim niby oni są, ci wielcy starcy, zasikani i śmierdzący i bez odrobiny rozumu we łbach?

Caroline знаła chyba wszystkich po imieniu. Teraz pieściła dzieci, głaskała je pod bródką pogiętymi, starczymi palcami. Clive ją sfotografował z najmłodszym potomkiem, dwumiesięcznym prapraprawnukiem, Wilfredem.

Ostatecznie wyszedł stamtąd około piątej, po prostu dlatego, że natura wzywała, a on nie mógł się zdobyć na wejście do ubikacji w podwórzu, która miała ściany z podartego płótna i była po prostu dziurą wykopaną w ziemi. Dochodzące stamtąd wonie sprawiały, że żołądek mu fiknął koziołka.

Przypomniał sobie, że kiedy w drodze do Ormskirk mijał stację, zauważył tam toaletę dla panów. Zatrzymał samochód przed dworcem, skorzystał z ubikacji i już miał wsiadać z powrotem do auta, kiedy ze stacji zaczął się wylewać tłum ludzi. Prawdopodobnie właśnie przyjechał pociąg.

- Ależ to pan Dexter! Co u licha pan tutaj robi? - wykrzyknął głos, który Clive natychmiast rozpoznał. - Przyjechał pan tutaj, żeby się ze mną spotkać?

- Panna Kellaway... - Clive zdjął kapelusz i grzecznie się uklonił. Czyżby naprawdę myślała, że przejechał całą tę drogę do Ormskirk tylko po to, żeby ją spotkać przy wychodzeniu z pociągu, kiedy jego biuro i jej szkołę w Liverpoolu dzieliła odległość zaledwie paru metrów? - Byłem na przyjęciu - wyjaśnił chłodno. - Pewna urocza dama z Ormskirk obchodziła dzisiaj swoje setne urodziny i miałem za zadanie przeprowadzić z nią wywiad.

- To może być tylko Caroline Winterbotham. Wszyscy ją tu znają. Moja matka zaniósł ją dziś rano kwiaty. Napisał pan artykuł o Joem? - spytała z przejęciem.

- Tak. Jeżeli zachce pani wpaść do mojego biura jutro o dowolnej porze, wyjaśnię pani, co się stało.

- A nie może mi pan tego teraz powiedzieć? - Zamiast dąsów, normalnych w takim wypadku u każdej innej kobiety, zmarszczyła surowo brwi.

- Wolałbym nie. - Wiadomości, jakie dla niej miał, nie były przyjemne, a już wczoraj wyczuł, jak bardzo jej zależy na losach młodocianego Joego Rossi. - Jutro byłoby lepiej.

- Och, niechże pan nie będzie takim niemądrym głuptasem! - parsknęła w bynajmniej nie eleganckim stylu. - Boi się pan, że na jego wiadomość zemdleję, czy coś takiego? Jeżeli pan tak myśli, to wsiądę do samochodu, tam nie będę miała dość miejsca, żeby upaść. - Otworzyła gwałtownie drzwiczki auta i wskoczyła do środka.

Clive zgrzytnął zębami, powstrzymując zdenerwowanie, wsiadł do auta od strony kierowcy i opowiedział jej, co się stało, kiedy zawiózł artykuł o Joem dziś rano do Blackpool i dał do przeczytania redaktorowi.

- Odrzucił go stanowczo. Nie wiem właściwie, co teraz robić, poza tym, że mogę panią odwiedzić do domu. Gdzie mniej więcej pani mieszka?

Opisała mu drogę do domu, kończąc ostro:

- Zabiłabym tego pańskiego redaktora.

- Nie pani jedna - odparł Clive.

Nie rozmawiali ze sobą aż do momentu, kiedy Clive stanął przed jej domem. Na podjeździe jakiś pan w średnim wieku czyścił przednią szybę auta - dokładnie takiego samego, jak jego ford T. Panna Kellaway podziękowała za podwiezienie i weszła do domu. A tam, zgodnie z przewidywaniami Clive'a, było tak:

* * *

- Wcześniej dziś jesteś - zauważyła matka, kiedy Kate weszła do domu.

- Ktoś mnie podwiózł od stacji. - Kate padła na krzesło i starała się zebrać myśli. Co teraz powinny zrobić, ona i Marta?

- Zastanawiam się - rzekła matka - kto ze znajomych w Ormskirk mógł cię podwieźć. Wikary jest w tym tygodniu na urlopie, tak że to nie mógł być on. A doktor Draper jest zwykle o tej porze zajęty w szpitalu.

- To Clive Dexter - wyjaśniła Kate. - Nie znasz go. Jest reporterem w „Lancashire Post”. - Matka patrzyła na nią wyczekująco, licząc na dalsze informacje. Zaczęło to denerwować Kate. Czy jej córka nie ma prawa do żadnej prywatności? - Wczoraj byłam u niego w sprawie Joego Rossi - wyjaśniła. - Joe napisał ostatnio Marcie, że go wysyłają za granicę.

- Dokąd? - spytała matka.

- Nie napisał, dokąd. Chyba nie wiedział.

- A co ten Clive Dexter robił w Ormskirk? Kate niemal zgrzytnęła zębami.

- To nie ma nic wspólnego ze mną. Przyjechał zrobić wywiad z Caroline Winterbotham.

- Byłam u niej rano. - Matka się rozjaśniła, jakby to był rzeczywiście niezwykły zbieg okoliczności. - Wspaniała staruszka. Bardzo czekała na ten dzień. Czy ten twój znajomy reporter zrobił jej zdjęcie?

- Nie mam pojęcia, mamo.

Kate miała nadzieję, że jeżeli ona dożyje stu lat, nikt jej nie nazwie „wspaniałą staruszką”. To brzmiało okropnie protekcjonalnie.

- Czyżbym cię denerwowała? - spytała matka.

- A dlaczego tak myślisz?

Nie czekała na odpowiedź, tylko weszła na górę umyć ręce i twarz i pomyśleć sobie, jak bezużytecznym i nieskutecznym facetem jest ten cały Clive Dexter. Jego artykuł o Joem musiał być beznadziejny.

Żałowała, że się w ogóle do niego z tym wybrała. Był pewnie do niczego i w dodatku nie wiedział nic o wojnie.

Wpatrzona w sufit leżała na łóżku, aż matka zawołała z dołu, że obiad gotów. Ku swemu przerażeniu, Kate schodząc na dół, zobaczyła, jak ojciec zaprasza Clive'a Dextera do jadalni i przedstawia go żonie.

- Właśnie podwoził tutaj Kate - mówił tata - kiedy zobaczyłem, że ma fordą T, ten sam model, co mój. Wymieniliśmy poglądy. - Spojrzał na Kate. - Najwyraźniej znacie się już. Dlaczego nam pana nie przedstawiłaś, kochanie?

- Nie pomyślałam... - odparła Kate słabym głosem. Spojrzała spode łba na Clive'a, a on na nią. Nie przypuszczała, że go dzisiaj jeszcze zobaczy.

- Nasza Kate była wczoraj u pana w sprawie Joego Rossi.
- Matka wyraźnie chciała się włączyć do rozmowy.

- Tak, Clive mi o tym mówił. - Pan Kellaway głośno zatarł ręce. - Zaprosiłem go na obiad, Margaret. Chyba znajdzie się dosyć w garnku dla czworga?

- Naturalnie, Gilbercie. Mamy gulasz jagnięcy. Jest go dosyć.

- To naprawdę ogromnie miło z pani strony. - Clive się uklonił, a Kate aż się niedobrze zrobiło.

* * *

W połowie posiłku Kate niechcący kopnęła pod stołem gościa w goleń. Już myślała, żeby go nie przeproszać, ale dobre maniery wzięły górę.

- Przepraszam! - rzuciła ze złością.

- Ależ nie ma za co - zapewnił ją. - Ledwie poczułem.

On i ojciec Kate z punktu świetnie się dogadywali. Ustalili pomiędzy sobą, że dobrze by było, gdyby Kate zaaranżowała spotkanie Clive'a z Martą Rossi.

- We trójkę na pewno wam się uda coś zdziałać w sprawie Joego - rzekł ojciec.

Kate wewnątrz aż kipiała ze złości. Marta była jej przyjaciółką, a Joe był jej sprawą. Sterczała przy stole, aż zjedzono ostatnie kęsy puddingu, po czym przeprosiła, mówiąc, że dokucza jej ból głowy i chce się położyć.

- Nie kładź się spać po takim ciężkim posiłku! - poradziła jej matka. - Zobaczysz, że jutro rano wstaniesz z niestrawnością.

* * *

Kiedy Clive Dexter wyjechał, pani Kellaway weszła na górę i usiadła przy łóżku Kate. Wyglądała na kompletnie oczarowaną.

- To naprawdę przystojny młody człowiek i ta jego interesująca bladeść! - zachwycała się entuzjastycznie. - Ma głębokie przemyślenia i wie mnóstwo na temat wojny. Twój ojciec był naprawdę pod wrażeniem. Och, a jego ojciec jest

maklerem giełdowym. Mieszkają na Rodney Street, więc muszą mieć furę pieniędzy. - Nie do wiary, ale naprawdę mrugnęła! - To dobra partia, Kate.

- Och, mammo, nie bądź niemądra. - Kate udała znudzone ziewnięcie. - Poznałam go raptem wczoraj! - A co do tej „interesującej bladości”, to jej zdaniem wyglądał po prostu bardzo niezdrowo.

Rozdział 6

Zanosiło się na kolejny piekielnie gorący dzień. Kiedy Marta dochodziła do pracy, już cała spływała potem. Mister się nie uśmiechnął, kiedy weszła, ani nie odpowiedział na jej „dzień dobry”. Była jednak przyzwyczajona do jego zmiennych humorów i już się nimi nie przejmowała. Zniknął w narożnym pokoiku, który nazywał swoim biurem.

- Co on tam robi? - spytała kiedyś Marta Jacquetty, ale tamta tylko wzruszyła ramionami. Chyba do prowadzenia firmy z dwiema pracownicami, szyjącymi worki, nie było trzeba wiele pisaniny!

Jacquetta skarżyła się, że dopadła ją jakaś choroba.

- Jaka? - dopytywała się Marta.

- Chyba coś... wschodniego - pociągnęła nosem Jacquetta. Marta nie miała pojęcia, o co chodzi, ale chciała wierzyć, że się nie zaraziła. Siadła do roboty przy maszynie: worki, które teraz robiły, wymagały podwójnego przeszycia, a potem jeszcze podszywania u góry.

Latem drzwi do fabryczki przy Back Seel Street były szeroko otwarte, żeby wpuścić do ciemnego, wąskiego pomieszczenia jak najwięcej świeżego powietrza. Marta właśnie ostro pedałowowała na maszynie, kiedy nagle usłyszała głos:

- Witaj, mammo!

- Joe! - krzyknęła i zerwała się na równe nogi, tuląc go z całej siły, aż biedny chłopak musiał się poczuć prawie uduszony na śmierć.

- Och, Joe, mój chłopcze... - Głaskała go po twarzy i obsypywała pocałunkami.

- W porządku, mammo - powiedział, świadomy wrażenia, jakie na niej zrobił. Wywinął się z jej objęć. - Nie ma sensu przesadzać.

Puściła go i w tym momencie spadła mu czapka, podniósł ją zatem i ucałował.

- Och, mój chłopcze! Jak to cudownie, że znowu jesteś! - W dodatku w tym mundurze. - Na jak długo przyjechałeś do domu? - Serce jej wezbrało nadzieją. - Czy na dobre?

- Niestety, mamó, raczej nie. Mamy wyjechać...

Zanim skończył, Mister wyszedł ze swojego biura z uśmiechem od ucha do ucha na swojej dziwnie zabarwionej twarzy.

- Czyżby to był Joe? - niemal wykrzyknął. - To jest Joe Rossi? Marta wypchnęła syna naprzód. Aż drżała z podniecenia, że oto ma go z powrotem, w każdym razie teraz.

- Tak, to nasz Joe, Mister. Przyjechał do domu odwiedzić rodzinę. - Zwróciła się do Joego. - Pamiętasz? To właśnie jest Mister, który wysłał ci pocztowy przekaz na trzy i pół szylinga.

- Dziękuję, sir - grzecznie odezwał się Joe. Marta jeszcze nigdy przedtem nie słyszała, żeby mówił do kogoś „sir”. Musiał się tego nauczyć w wojsku.

- Jesteś bardzo bohaterskim chłopcem - powiedział Mister, klepiąc Joego po ramionach obiema rękami. - Wszyscy tutaj, w firmie „Worki i Żagle Ackermana” jesteśmy z ciebie dumni.

- Pomyślałem sobie, że to pora obiadu, więc może mógłbym wyjść z moją mamą na herbatę - powiedział Joe.

- Tak, teraz jest czas na obiad. Idź z mamą na dziesięć filiżanek, idź z nią na obiad. - Mister wsunął wielką rękę do kieszeni spodni i wy dobył z niej garść miedzianych i srebrnych monet. - Wypij tę herbatę w moim imieniu, Joe Rossi, zjedz obiad. - Wcisnął Joemu pieniądze i zaczął jego i Martę wypychać w stronę smugi światła słonecznego, padającej z otwartych drzwi.

- Zabawny gość - uśmiechnął się Joe, kiedy już byli na ulicy, a szef powiedział Marcie, że nie musi wracać do pracy, aż do popołudnia. Chłopiec zabrzęczał drobnymi w kieszeni. - I to z gatunku tych porządnych. - Mrugnął do matki. - Dokąd teraz pójdziemy, mamo?

Marta splotła ręce na piersiach.

- Ja bym najpierw poszła do domu i się przebrała, mój mały. Mam taką nową, ładną sukienkę. I już wiem, dokąd pójdziemy na tę herbatkę - na Central Station. Tam jest naprawdę elegancko.

* * *

Królowa Anglii we własnej osobie nie czułaby się wspanialej niż Marta, kiedy siedziała w kawiarni na Central Station, podczas gdy Joe zamawiał kawę dla mamy, czajniczek herbaty dla siebie i talerz ciastek dla obojga. Co więcej, miała na sobie swoją szarą suknię, słomkowy kapelusz z czerwoną wstążką i czerwony szal od Kate. Czowała się po prostu nieprzytomna z radości, mając Joego przy tym samym stoliku. Jej jaśniejący uśmiech dosłownie rozświetlał całą salę, a chłopak był celem pełnych podziwu spojrzeń wszystkich gości.

Podszedł do nich jakiś dobrze ubrany pan.

- Przyjechałeś do domu na urlop, synu? - spytał.

- Tylko na czterdzieści osiem godzin - odparł Joe.

- Walczyłeś we Francji?

- Jeszcze nie byłem we Francji, ale mamy tam jechać w przyszłym tygodniu.

Już zdążył o tym powiedzieć Marcie, ale teraz udawała, że nie słyszy. Nie chciała o tym myśleć, dopóki jej syn nie wyjedzie. Nie chciała, by widział, jak matka sobie wypłakuje oczy. Pragnęła, żeby wyjechał z Liverpoolu z obrazem jej uśmiechniętej twarzy. Miała nadzieję, że Carlo się trochę

ożywi, kiedy ich syn tu będzie. Taty już nie było, mówił jej Joe, kiedy przed południem zajrzał do domu.

- No cóż, życzę ci szczęścia, synu. - Mężczyzna potrząsnął dłonią Joego i równocześnie wsunął mu do ręki banknot dziesięcioszylingowy.

- Jezusie drogi! - skomentowała to Marta. - Chyba się też ubiorę w mundur.

Nigdy nie miała zapomnieć tego dnia. Był najwspanialszy w jej życiu.

Wyszli z kawiarni i paradowali pod ramię po Bold Street. Zdała sobie sprawę, że Joe odrobinę urósł od wyjazdu z domu i że musi podnosić głowę, by na niego spojrzeć. Rozmawiała o butach i ubraniach na wystawach supereleganckich sklepów i wskazywała palcem rzeczy, które chciałaby kupić kiedyś, pewnego dnia, kiedy rodzinie Rossich będzie się lepiej powodziło.

- Ostatecznie - stwierdziła - nie będziemy przecież wiecznie biedni!

Joe chciał jej kupić coś ze złota za te dziesięć szylingów, podarowanych przez gościa z kawiarni - kolczyki albo pierścionek - ale Marta stanowczo zaprotestowała.

- Możesz mi kupić coś takiego, kiedy ta cholerna wojna się skończy, a ty cały i zdrowy wrócisz do domu.

Gdy już się przespacerowali w górę po jednej stronie Bold Street i w dół po drugiej, powiedziała, że czas już wracać do pracy, a Joe zapowiedział, że wpadnie do tego wielkiego magazynu, w którym pracowała Joyce, i odwiedzi siostrę.

- Nie posiadzie się z zachwytu - rzekła z przekonaniem Marta. Och, Joe na pewno się spotka z o wiele lepszym przyjęciem niż jego mama wtedy, kiedy pobiegła do Joyce z jego listem, prosić, by jej przeczytała. - Założę się, że będzie cię chciała pokazać wszystkim swoim koleżankom!

* * *

Mister pozwolił jej wcześniej pójść do domu, gdzie znalazła Joego rozciągniętego na kanapie. Lily i Georgie siedzieli mu okrakiem na brzuchu, a on im opowiadał o swoim życiu w wojsku.

- Mamo, nasz Joe codziennie się tam myje pod prysznicem, wiesz? - zawołał Georgie. - Ja też bym chciał, żebyśmy tu mieli prysznic!

- I codziennie zjada trzy duże posiłki! - zapiszczała Lily.

- Ja też bym chciał, żebyśmy takie tu mieli - westchnął Georgie z tęsknotą w głosie. - I zawsze ma pudding na koniec, tylko na śniadanie nie! - dodał z zazdrością. - U nas pudding jest tylko w niedzielę.

- Wobec tego chyba my wszyscy, cała rodzina Rossich, powinniśmy wstąpić do wojska - zażartowała Marta.

Lily tłukła brata piąstkami po brzuchu.

- Ja nie chcę, nie chcę, żebyś ty jechał do Francji, Joe! To jest przecież gdzieś na drugim końcu świata.

- Nie, wcale nie jest, głuptasie. Jest tylko po drugiej stronie Kanału Angielskiego - zapewnił ją Joe. - A ja bym nie chciał, żebyś ze mnie wytlukła resztki życia tymi swoimi kościstymi łapkami.

Lily znów go walnęła tak, że aż mu zabrakło tchu. Marta kazała jej natychmiast przestać, w obawie, że chłopcu się zrobi niedobrze.

- A ty też, Georgie! Usiądź na krześle, czy jak tam.

Przybiegła Joyce, okropnie elegancka w swoim sklepowym uniformie: białej bluzce i czarnej spódnicy. Marta się zastanawiała, czemu ta dziewczyna pachnie stekiem i cynaderkami, dopóki tamta nie wydobyla dwóch potężnych placków, które kupiła w rzeźniczym sklepie Kronera w drodze do domu.

- Jeszcze ciepłe, mamó. Masz trochę ziemniaków? Marta potwierdziła.

- Ale chciałam je podać z marchewką i rzepą, posypane odrobiną sera. - Wszystko było już gotowe na patelni.

- No dobrze, to je zjedzcie z tymi plackami z mięsem i cynaderkami.

- Mniam, mniam. - Georgie pogłaskał się po brzuszku.

- Muszę zostawić trochę dla naszego Franka - och, właśnie przyszedł!

Frank znowu się wyprowadzał, martwiąc ją śmiertelnie, bo najprawdopodobniej nie zdołał zapłacić pięciu funtów Maggie O'Connor. Teraz przyszedł wysztafirowany, jak do burdelu, w za dużym na niego pasiastym garniturze. Co on u diabła robił cały dzień tak ubrany, zastanawiała się. Oczy mu zabłyśły na widok brata. Uściskali się i przez dobre pięć minut udawali, że się boksują.

Marta poczuła, że serce jej podchodzi do gardła.

Joyce mogła sobie być trochę nadęta, poza tym Marta nie miała pojęcia, co wyrabia Frank, ale tak czy owak - miała wspaniałą rodzinę. Zostali długo, wreszcie Joyce powiedziała, że musi wracać do siebie. Powspominali dawne dzieje i nawet od czasu do czasu coś podśpiewywali.

Joyce, zanim wyszła, powiedziała, że jej chłopak Edward chciałby jutro wieczorem zabrać całą rodzinę do teatru, o ile oczywiście zechcą.

- To taki wiktoriański music - hall. Grają go w Rotundzie na Scotland Road - wyjaśniła. - Pomyślał, że to dobra pora, by nas wszystkich poznać, a już idealna okazja, skoro akurat nasz Joe jest w domu!

Wszyscy się zgodzili, że to po prostu znakomicie, podczas gdy Joyce na chwilę odciągnęła matkę na stronę.

- Mamo - rzekła stanowczo - proszę, dopilnuj, żebyście się na jutro wszyscy wykąpali: umyli włosy i tak dalej. I włoż tę szarą sukienkę. Nie chcę robić z siebie widowiska przed Edwardem. Nie zapominaj, że jest teraz młodszym

kierownikiem. I och! - dodała po namyśle - postaraj się zabrać tatę i w ogóle, inaczej Edward może podejrzewać, że z naszą rodziną jest coś nie tak.

Marta zaczęła się zastanawiać jak zdoła załatwić to wszystko i do tego jeszcze pójść do pracy. Chciała się spotkać z Kate, powiedzieć jej, że Joe przyjechał do domu. Gdyby wcześniej pomyślała o tym, mogliby poczekać, aż Kate wyjdzie ze szkoły, i spotkać się z nią. Ale była zbyt przejęta widokiem syna.

- Coś nie tak? - zapytała, kiedy Joyce parsknęła „A niech to!” nie wiadomo, z jakiego powodu.

- Nieraz to bym chciała powiedzieć Edwardowi, że mój tata nie żyje.

- Och, Joyce, kochanie, chyba tak nie myślisz! - Marta była naprawdę przerażona.

- Ależ tak, mamó.

Z tymi słowami wyszła. Niemal zawsze jej się udawało zostawić matkę w stanie szoku, albo czegoś równie nie milego.

* * *

Kiedy tata wrócił, Lily i Georgie już spali, ale Marta i Joe nadal siedzieli przy stole. Carlo się chwiał, jakby lada moment miał upaść, i mrugał oczyma w migocącym świetle gazowej lampy. Wyglądało na to, że ich nie poznawał, i chyba myślał, że trafił do niewłaściwego domu. Jego twarz wyraźnie wymagała ogolenia, a śmierział niczym śmietnik.

- Witaj, tato - powiedział Joe, wstał i podszedł do ojca, ściskając mu rękę.

- Joe!

Głos ojca był tak zmęczony i zbolący, że Marta aż się wzdrygnęła. Zabolęło ją serce.

Powinna była coś zrobić w sprawie Carla, nie powinna była pozwolić, żeby sprawy przybrały aż tak zły obrót. Ale

przecież próbowała! Próbowała nie raz, tylko że Carla to po prostu nie interesowało.

Joe tłumaczył ojcu, że cała rodzina ma jutro iść do teatru i że tata musi się wykapać.

- Idź do łaźni, tato, ogól się i ostrzyż, i doprowadź do porządku garnitur.

- Tak, tak, Joe - bezradnie powtarzał ojciec.

- Ja jutro rano polecę zobaczyć się z paroma dawnymi kolegami, ale zostawię ci kilka szylingów na stole, żebyś zapłacił za golenie i wszystko inne. W porządku, tato?

- W porządku, Joe - przytaknął potulnie Carlo.

* * *

Dla Marty naprawdę ogromnym przedsięwzięciem było sprostanie wszystkim wymaganiom Joyce i w dodatku przyszykowanie całej rodziny do teatru na wpół do siódmej. Z pewnością nic by z tego nie wyszło, gdyby Mister nie powiedział, że może wcześniej pójść do domu - nawet nie musiała go o to prosić.

Carlo wyglądał na zupełnie oszołomionego w swoim garniturze, który został wyczyszczony i odprasowany. Lily w olśniewającej różowej sukience i Georgie, ubrany jak na mszę niedzielą, zdołali się też jakoś zorganizować i Marta była z nich naprawdę dumna. Frank wyglądał prawie jak manekin z wystawy sklepu z męskimi ubraniami, a Joe był w swoim wojskowym mundurze.

Złapali tramwaj na Scotland Road, który ich dowiózł do Rotundy, a tam już spotkali Joyce i Edwarda. Przez cały dzień Marta była tak podniecona, że właściwie niewiele myślała o Edwardzie, niemniej był pierwszym z chłopców jej córki, którego wolno było poznać jej rodzinie. Czy to oznaczało, że ich związek jest poważny? Marta podejrzewała, że się tego niebawem dowie.

* * *

Czuła się przytłoczona teatrem, jego ciemnoczerwonymi ścianami i wyszukanymi gipsowymi ozdobami, pomalowanymi na czarno i złoto. A ile, zastanawiała się, mogła kosztować ta karmazynowa aksamitna kurtyna, obramowana kremowym atłasem, opadająca w takich równych, eleganckich fałdach na scenę? Aż trudno sobie wyobrazić szycie czegoś takiego na maszynie do szycia!

Siedzieli na najlepszych miejscach, jak im objaśniła Joyce, w trzecim rzędzie od sceny. Wuj Edwarda był przyjacielem dyrektora i udało mu się tanio kupić te miejsca.

- To wszystko dzięki Joemu - mówiła Joyce. - Wszyscy kochają naszych żołnierzy, jest nawet o tym piosenka.

Edward wydał się całkiem miłym młodzieńcem, ale nie było w nim nic, co by zwracało uwagę. Zdaniem Marty, był po prostu troszkę zbyt miły, taki zanadto przymilny, nieco za bardzo pełen szacunku.

I pomyśleć, gdyby było odwrotnie, już by go uważała za ordynusa. Może po prostu był nieśmiały? I ani w przybliżeniu tak przystojny jak Frank czy Joe, albo Georgie, kiedy jeszcze trochę dorośnie. Tak czy owak, Joyce go sobie wybrała. Przecież nie do Marty się zalecał.

Ledwie usiedli, kiedy zgasły światła, podniosła się kurtyna i na scenę wpadło dwóch młodych mężczyzn: turlali się po niej, jak piłki. Za nimi zjawili się dwaj inni, potem jeszcze dwaj, w końcu cała scena była pełna turlających się mężczyzn. Kiedy się przestali turlać, zaczęli się wspinać jeden na drugiego, tworząc wieżę, chwiejącą się niebezpiecznie na scenie. Marta aż krzyknęła i cofnęła się na oparcie fotela na wypadek, gdyby cała ta konstrukcja miała spaść wprost na nią. Próbowwała pociągnąć za sobą Georgie'ego, ale ją powstrzymał.

- Mamo, oni tylko udają - powiedział. To miał być szept, ale chyba cały teatr go usłyszał.

Marta usiadła prosto. Skąd on mógł wiedzieć coś takiego? Siedzący za nimi ludzie się śmiali, a jej się zrobiło okropnie wstyd.

Potem występował człowiek z tańczącym psem. Marcie strasznie było żal tego psa. Biedaczek tak bardzo chciał zaspokoić życzenia swojego pana, że Marta gotowa by się założyć, iż go okrutnie traktują. Kiedy ta część się skończyła, po prostu nie chciała klaskać: przeciwnie, siedziała z założonymi rękami. Później miała nadzieję, że mężczyzna tego nie zauważył; pewnie zemściłby się na psie.

Następna była kobieta - miała dobre osiemdziesiąt lat, zdaniem Marty - która śpiewała kilka okropnych piosenek równie okropnym głosem. Georgie, który miał program, powiedział, że to arie operowe.

Marta twardo postanowiła nigdy w życiu nie pójść do opery.

Nigdy by tego nie powiedziała Joyce, ale nie podobał jej się ten teatr. Był zanadto hałaśliwy, a oni siedzieli za blisko sceny; odnosiło się wrażenie, jakby rodzina Rossich brała udział w przedstawieniu. Wolałyby siedzieć gdzieś z tyłu, ukryta pod balkonem.

Potem wystąpił mężczyzna, który grał na skrzypcach i równocześnie śpiewał oraz tańczył. Marta była przeświadczona, że się cały czas uśmiechał właśnie do niej. Po nim sztukmistrz w cylindrze i czarnej pelerynie obramowanej szkarłatem. Ale jej nie oszukał, kiedy udawał, że przecina na pół swoją małą asystentkę. Jednak chociaż Marta wiedziała, że to udawanie, nadal się bała, iż z drewnianej skrzynki, do której wsadził tę biedną dziewczyninę, zacznie kapać krew. Tak czy siak, prawdziwe czy nie, to było okropne.

Niewiele lepiej okazało się po przerwie: podobali jej się tylko mężczyzna i kobieta w wieczorowych strojach, którzy naprawdę pięknie ze sobą tańczyli. To jej przypomniało czasy,

kiedy - zanim na świat przyszedł dzieci - w sobotnie popołudnia ona i Carlo chodzili na tańce do „Tęczowych Sal” przy Scotland Road. Spojrzała wzdłuż rzędu na męża i, ku swojemu przerażeniu, zobaczyła łzy w jego oczach.

W ostatniej części mocno wygorsetowana kobieta w szmaragdowozielonej aksamitnej sukni z jaskrawo rudymi włosami do pasa została zapowiedziana jako: „Ulubienica Londynu, największa z gwiazd, jedyna i niepowtarzalna Maudie McCrea!”.

„Gwiazda” musiała być bardzo popularna, bo jej występ przyjęto dzikimi okrzykami, a ona robiła wygibasy na scenie i posyłała widowni pocałunki obiema rękami.

- Najdrożsi - powiedziała niespodziewanie ostrym głosem - jak cudownie was widzieć!

- Cudownie i ciebie widzieć, Maudie! - zawołał jakiś mężczyzna. Maudie nagrodziła go deszczem pocałunków, po czym stanęła w pozie: z jedną ręką uniesioną do góry, a drugą wyciągniętą w stronę widowni i zaczęła śpiewać: „If You Were the Only Boy in the World...” („Gdybyś był jedynym chłopcem na świecie”, „Przy starym Bull and Bush”, „Długa droga do Tipperary”, „Chłopcy w khaki mają fajne dziewczyny” - piosenki z czasów I wojny światowej autorstwa Anglików, Irlandczyków i Australijczyków, popularne, śpiewane przez wojsko i dla wojska.). Publiczność natychmiast się przyłączyła do śpiewu, włącznie z Joyce i Edwardem, którzy najwyraźniej znali słowa piosenki.

Następnie zaśpiewała „Down the Old Bull and Bush” i „It's a Long Way to Tipperary”.

Marta musiała przyznać, że to była naprawdę gwiazda, bo pociągnęła za sobą widownię, sprawiła, iż się wsłuchiwali w każde jej słowo. A kiedy uniosła ręce w górę, wszyscy zamilkli.

- Panie i panowie, dziś wieczorem mamy u siebie specjalnego gościa, młodzieńca, który niebawem dołączy do naszych dzielnych żołnierzy, walczących za naszą wolność we Francji. Chciałabym wam go przedstawić... - Tu zrobiła długą pauzę. - Joe Rossi!

I w tym momencie na Joego padło światło reflektora: wstał, popchnięty przez ludzi siedzących za nim, nieśmiało mrugając, z nerwowym uśmiechem: wyglądał tak, jakby ziemia się pod nim otworzyła i miała go zaraz pochłoniąć.

- A Joe ma jechać do Francji... - wołała Maudie McCrea - kiedy to ma być, Joe?

- Pojutrze - odparł Joe. - W niedzielę.

- W niedzielę. Cóż! Me chcemy cię stracić, Joe - zaczęła śpiewać

- ale chyba powinieneś tam pojechać. To była znana piosenka; Marta już przedtem ją słyszała.

Joe, jej Joe, został zaproszony na scenę, kiedy Maudie śpiewała kolejną pieśń „The Boys In Khaki Get the Nice Girls”.

- Panie i panowie! - rzekła, kiedy skończyła, a Joe stał obok niej.

- W holu naszego teatru jest dzisiaj sierżant, który prowadzi rekrutację. Jeżeli są wśród was młodzi ludzie, tacy jak ten uroczy chłopiec, niech się zgłoszą: sierżant zapisze ich nazwiska i zanim się obejrzą, już będą we Francji i będą walczyli za naszą ojczyznę.

Położyła dłoń na ramieniu Joego i zaczęła śpiewać „Keep the Home Fires Burning” („Niech w naszych domach pali się ogień” - piosenka patriotyczna z 1915 roku.), a publiczność śpiewała razem z nią - z wyjątkiem Marty. Marta wcale nie chciała, żeby jej syna używano do sprzedawania wojny innym młodym ludziom. Maudie nie zadała sobie trudu, by powiedzieć, że Joe ma dopiero czternaście lat. Marta

chciałaby bardzo wykrzyzczyć całą prawdę, wiedziała jednak, że byłoby to ogromnie przykre dla całej rodziny, a zwłaszcza dla Joego.

Wreszcie przedstawienie zaczęło zmierzać ku końcowi. Maudie kilkakrotnie wywoływano na scenę i za każdym razem, kiedy wracała, aplauz był coraz większy. Publiczność domagała się bisów.

Wreszcie gwiazda zaśpiewała „Come into the Garden, Maud” („Chodź do ogródka, Maud” - piosenka z 1857 roku, ze słowami Arfreda Tennysona.) w bardzo sugestywny sposób, a następnie - Marta nigdy nie zapomniała, jak okropnie to było obrzydliwe - zdjęła rudą perukę i okazało się, że to był mężczyzna.

* * *

Zanim rodzina Rossich wróciła z teatru do domu, ktoś inny odwiedził ich mieszkanie na King's Court. Arthur Hanson, osobisty asystent Normana Browna, członka Parlamentu na centrum Liverpoolu, zorientował się, że jego szef nigdy się nie zaangażuje w coś tak kontrowersyjnego, jak sprawa nieletnich żołnierzy, i skontaktował się z politykiem, o którym wiedział, że mógłby się tym zająć.

Sir Arthur Markham, członek oddziału Mansfield okręgu Nottingham, poruszył już kiedyś w Parlamencie sprawę udziału w walkach dzieci - żołnierzy.

Arthur Hanson opowiedział mu o sprawie młodocianego Joego Rossi, tamten zaś się zobowiązał tym zająć, jednak zanim zgłosi imiennie temat w Izbie Gmin, potrzebował pisemnej zgody choćby jednego z rodziców.

Arthura Hansona nigdy nie przestały szokować warunki, w jakich żyło wielu wyborców jego szefa. Był przerażony stanem King's Court i żałosnych ludzi na tej ulicy, nie wyłączając małych dzieci, które nadal się bawiły na podwórzu, pomimo bardzo już późnej godziny. Jedno z dzieci,

jeszcze właściwie niemowlę, z brudnym bandażem na głowce wyglądało na tak chore, że bez wątpienia powinno było pójść do szpitala.

Odnalazł mieszkanie Rossich i zapukał do drzwi. Kiedy nikt nie wyszedł, Arthur zastukał w okno. Nadal nie było odpowiedzi, więc szybko napisał notatkę i wsunął ją przez otwór na listy, gdzie kartka wylądowała wśród skrawków papieru, sznurków, kłębków kurzu, piórek, a nawet paru muszelek, zalegających korytarz domu przy King's Court.

Kiedy rodzina wróciła, przeciąg wywiał kartkę przez frontowe drzwi. Następnego ranka znalazła się na podwórku z tyłu domu, deptana przez wszystkich, którzy tamtędy przechodzili do ubikacji. Nikt zatem, nawet gdyby ją podniósł i spróbował przeczytać, już nie odcyfrowałby zapisanej tam wiadomości.

A Joe Rossi następnego dnia pojechał ciężarówką na drugi koniec kraju.

W niedzielę już płynął do Francji.

Rozdział 7

Joe w końcu wyjechał, Frank po raz kolejny wyprowadził się z domu, a Joyce wpadła z wiadomością, że Edwardowi bardzo się spodobała Marta i że chciałby ją poznać ze swoimi rodzicami. Zresztą Lily i Georgie też mieli być im przedstawieni. Zaprasza ich na elegancki podwieczorek, w niedzielę o czwartej, w domu jego rodziców przy Spellow Lane. Poza tym, dyktowała władcym tonem Joyce, Marta ma sobie kupić inną suknię na targu przy Great Homer Street; ona wyłoży na to pieniądze. Ta szara, zdaniem Joyce, wyglądała, jakby poprzednia właścicielka używała jej do mycia podłóg. Kapelusz z czerwoną wstążką był dobry, ale różowa sukienka Lily wymagała szarfy, najlepiej białej z różowymi kropkami albo paskami. I prośba, by pod żadnym pozorem nie nazywać Edwarda „Eddie”. On tego nienawidzi.

- A czy ten Edward ma w ogóle jakieś nazwisko? - lodowato spytała Marta. Przy tylu zarządzeniach ta wizyta zaczynała przypominać przyjęcie u króla.

- Oczywiście, że ma. Nazywa się MacDonald.

Marta nie próbowała nawet pytać, czy ci MacDonaldowie to katolicy. Mówiąc szczerze, teraz jej to nie obchodziło, może najwyżej zacznie wtedy, kiedy Joyce i Edward postanowią się pobrać.

Według tego, co mówiła Joyce, Frank nadal był winien parę funtów Maggie O'Connor, chociaż spłacił już ponad połowę. Powód, dla którego wtedy tak gwałtownie wpadł do domu, był zupełnie inny.

Po prostu mieszkał z kobietą, której mąż, domokrążny sprzedawca nut, niespodzianie wrócił do domu i znalazł Franka na górze w łóżku ze swoją żoną. Frank nie ukrywał się przed lichwiarzami, tylko przed tym mężem.

Marta zapytała, ile lat ma ta kobieta.

- Koło dwudziestu pięciu - odparła Joyce. - Jest bardzo ładna, w każdym razie tak mi powiedział Edward.

Frank pewnie myślał, że Edwardowi zaimponuje jego zdobycz, ale Edward był, przeciwnie, zaszokowany i powiedział o tym Joyce, a ona z kolei matce. Marta czuła się jeszcze bardziej niż zaszokowana - lepszym słowem byłoby „zgorszona” - jednak Frank był jej synem i wobec tego uznała, że Edward zachował się zupełnie jak stara baba - i na dodatek pleciuga.

W niedzielę pokazał się ojciec Lawless, ale Joe wyjechał dzień wcześniej, więc nie doczekał się specjalnego błogosławieństwa. Marta, zwykle ogromnie lojalna katoliczka, zdenerwowała się, kiedy ksiądz podkreślił, że Joe będzie dobrym żołnierzem.

- Nie jest jeszcze w tym wieku, żeby w ogóle miał być żołnierzem, ojciec - zauważyła ostro.

Wtedy ojciec wystąpił z tymi wszystkimi bzdurami na temat dumy i poświęcenia i że walka za ojczyznę to przywilej. O mały włos, a straciłaby cierpliwość: musiała się z całej siły trzymać na wodzy, żeby nie wybuchnąć. Cały czas czuła gniew, zwłaszcza wobec sierżanta Gilligana, wobec rządu i wobec Carla.

Po wizycie w teatrze jej mąż znowu stał się po prostu cieniem, a kiedy wychodziła w poniedziałek rano do pracy, chrapał sobie w najlepsze w łóżku. Już znowu zarósł, i Marta zauważyła, że Joyce nie włączyła go do grona gości rodziców Edwarda w niedzielę. To w pewnym sensie była ulga, bo Marta nie miała ochoty znowu go szorować po całym tygodniu brudu. W zeszły piątek był Joe i chciał go widzieć w dobrym stanie, ale teraz Joe wyjechał i wszystko, czego Marta pragnęła, to się porządnie wypłakać. Tyle że musiała zająć się dziećmi, aby Lily i Georgie wyglądali jak należy: tylko to jej

przypominało, że jest jeszcze potrzebna jako matka, jeżeli nie jako żona.

W poniedziałek w porze obiadu czekała na Kate przed wystawą sklepu ze zwierzętami: stęskniła się już za przyjaciółką i chciała jej opowiedzieć o wizycie Joego w domu. Na wystawie nie było białego kociaka, za to kłębił się cały miot pręgowanych: sześć miniaturowych tygrysków bawiących się ze sobą. Znowu pomyślała, że chętnie kupiłaby je wszystkie.

- Ale... Marto, wyobraź sobie, co by było, gdyby one wszystkie dorosły - rzekła Kate, kiedy już przyszła, a Marta wspomniała o swoim zachwycie nad kotkami. - Sześć wielkich kotów, łązących po całym domu! Bez przerwy byś się o nie potykała.

- Pewnie tak - westchnęła Marta. - A wyobraź sobie tylko, że musiałabym je karmić! - Opowiedziała Kate o Joem. - Chciałabym, żebyś go kiedyś poznała.

- I ja tak samo - poważnie stwierdziła Kate. - Ale nic straconego. Jeszcze będzie okazja.

- Kłopot w tym - rzekła Marta ze łzami w głosie - że wczoraj popłynął do Francji. Już pewnie tam jest.

Nie miała najmniejszego pojęcia, jak taki obcy kraj wygląda - Irlandii nie uważała za „obcą”. Czy tam tak samo budują domy? Czy mają drogi i konie, i wozy, i samochody, jak w Anglii?

- Och, Marto! - Kate objęła ją za szyję. - Tak mi przykro. Ale wszystko to po prostu pomyłka, prawda? Nie będą go tam długo trzymali. Jestem pewna, że wkrótce odeślą go z powrotem.

Szły w stronę Central Station. Stolik tuż przy wejściu, który już zaczęły uważać za własny, był wolny. Tym razem Marta nalegała, żeby Kate usiadła, a dziś dla odmiany ona zapłaci za kawę i ciastko. W teatrze Joe dostał dobre kilka

szylingów i większość pieniędzy zostawił matce. Marta ciągle jeszcze piekliła się na samą myśl, że użyto go jako wabika, by przekonać młodych ludzi do zaciągnięcia się do wojska. Opisała całą wizytę w teatrze Kate, która uznała, że to rzeczywiście było okropne.

- Myślę, że najgorszy ze wszystkiego był ten mężczyzna, udający kobietę. To znaczy nie rozumiem sensu tej całej maskarady. - Marta jeszcze się nie otrząsnęła ze zdumienia i obrzydzenia. Uważała to za o wiele gorsze, niż wszystkie grzechy jej Franka. - W każdym razie - dodała, krzywiąc się - ważne jest tylko to, że nasz Joe już wyjechał i że nie udało mi się go zatrzymać.

- Ale Marto! Przecież próbowałaś - przypomniała jej Kate. - Poszłaś do tego ohydneho sierżanta policji i jeszcze ohydniejszego polityka, prawda? No i tamten facet z „Lancashire Post” napisał artykuł... tyle że redaktor nie chce go opublikować.

- Tak bym go chciała przeczytać! - zawołała Marta, zapominając, że nie zna sztuki czytania. Ale Kate może przecież to dla niej zrobić. - Powinnam mu podziękować. Jak się nazywa?

- Clive Dexter. Spróbuję go jutro przyprowadzić.

Zostawił kartkę w biurze szkoły, prosząc o spotkanie, ale Kate nie chciało się do niego chodzić. Jej zdaniem, był beznadziejnym reporterem, który tylko zepsuł sprawę i jej, i Marcie.

* * *

W powrotnej drodze do szkoły Kate zajrzała do biura „Lancashire Post”. Chłopak na dole powiedział, że szef jest w swoim gabinecie i kazał wchodzić.

- Czy nie mógłbyś mnie przedtem zaanonsować? - ostro spytała Kate.

- To nie przyjęcie za zaproszeniami, paniusiu. To biuro gazety. Szef nie ma prawa odmówić nikomu, inaczej mógłby stracić duży zysk, czy coś w tym rodzaju.

Kate wbiegła susami na górę i zastukała do drzwi Clive'a Dextera. Odpowiedział gromkim: „Wejść!”.

- Wejść? - spytała pogardliwie, wchodząc do środka. - Czy tu nie ma zwyczaju mówić „proszę”?

Siedział za biurkiem, czytając egzemplarz swojej własnej gazety. Miał na sobie jasnopłowy garnitur z taką samą kamizelką i kremową koszulę. Marynarkę powiesił na oparciu krzesła. Uznała, że jest przystojny, ale w mało ciekawy sposób.

- Uważam, że każdy może się odzywać, jak chce, panno Kellaway - odparł beztrąsko. Podniósł się z lekkim ukłonem, a Kate pomyślała, trochę nawet niechętnie, jaki jest elegancki i szczupły. - Miło znów panią widzieć. - Uśmiechnął się trochę ironicznie. - Jest pani w swoim zwykłym uprzejmym nastroju, jak widzę. Jak się mają pani rodzice? - ciągnął. - Naprawdę bardzo ich polubiłem.

- Och, oni pana też - zachichotała Kate. - Moja matka nawet uznała, że jest pan „interesująco blady”.

Uniósł brwi.

- Doprawdy? Zawsze sądziłem, że bladość wskazuje na słabe zdrowie, to właściwie anemia.

- Też tak uważam - odparła Kate, z zadowoleniem potakując.

- Ale ja się czuję naprawdę doskonale.

- To po prostu dowodzi, że pozory bywają mylne.

- Istotnie, panno Kellaway. A teraz proszę usiąść, o ile ma pani zamiar tu zostać, tak bym mógł odciążyć trochę stopy - inaczej moja bladość stanie się jeszcze bardziej interesująca - a może mniej. Nie jestem pewien, co bym wolał.

Kate opadła na krzesło przed biurkiem, nie zwracając uwagi na jego komentarze.

- Zostawił pan dla mnie wiadomość w szkole - przypomniała mu.

- Rzeczywiście zostawiłem i dlatego pani tu jest w końcu - zakończył z naciskiem na ostatnie słowa. - Na szczęście to nie było aż tak strasznie ważne.

- Więc w końcu, o co chodziło? - spytała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- Pomyślałem, że chce pani mieć z powrotem fotografię Joego. Nie chciałem jej zostawiać w szkolnym sekretariacie, bo mogłaby się tam zawieruszyć. Proszę. - Z koszyka pełnego papierów wziął stertę kartek ze zdjęciem Joego przypiętym na wierzchu. - Dać pani kopertę?

- Tak, poproszę. To ten pana artykuł? Mogę przeczytać?

- Jeśli pani chce. - Wręczył jej papiery. - Chciałbym go mieć z powrotem, do swojej dokumentacji. Wie pani, nigdy nic nie wiadomo, nastroje w kraju mogą się zmienić. Kiedy klimat będzie inny, może da się to opublikować.

- Nie przeszkodzi panu, jeżeli to przeczytam zaraz, tutaj? Potrafię bardzo szybko czytać.

To jej może oszczędzić przychodzenia tu z powrotem.

- Jeśli pani chce - powtórzył, lekko wzruszając ramionami. - Jestem pewien, że pani potrafi robić bardzo szybko mnóstwo rzeczy. - Wrócił do lektury numeru „Lancashire Post”, a Kate zabrała się do artykułu.

Po paru minutach podniosła głowę i powiedziała cicho:

- Cudowne. Pisał pan to nie tylko rozumem, ale i sercem. Nie zdawałam sobie sprawy, że to może być tak świetne. Myślałam, że skoro redaktor to odrzucił, musi być beznadziejne. Naprawdę tak właśnie myśli pan o wojnie?

- Jasne! - parsknął. - Byłoby zwykłą hipokryzją pisać coś takiego, myśląc inaczej. Mój naczelny jest zdania, że lepiej ludzi śmiertelnie wystraszyć, niż ich urazić.

- Przepraszam - powiedziała ze skruchą. - Naprawdę mi się podoba ten kawałek: „Czy ci obwieszeni medalami generałowie wiedzą, że w tej wojnie walczą za nich dzieci? A nawet jeżeli wiedzą, czy to ich obchodzi?”. Myśli pan, że wiedzą?

Twarz mu pociemniała, a oczy błysnęły.

- Myślę, że wiedzą, i nie sądzę, by ich to obchodziło. Ludzie prowadzący wojnę, ci na szczycie, którzy wszystko organizują, są szaleńcami, wszyscy! Kto przy zdrowych zmysłach mógłby najpoważniej w świecie usiąść i opracowywać plany mordowania jednych ludzi przez drugich? Gdyby chociaż ten kraj został zaatakowany czy zajęty siłą! Wtedy to byłoby logiczne i ja bym pierwszy poszedł na taką wojnę na ochotnika. Ale ta wojna! - Rozłożył ręce w geście pełnym bezradności.

Kate nie odpowiedziała. Siedziała wpatrzona w jego pełną gniewu twarz, a jej uczucia do niego odwracały się o sto osiemdziesiąt stopni.

Był niewiarygodnie przystojny. Najwyraźniej w świecie miał głębokie przemyślenia, dokładnie tak, jak to przepowiedziała jej matka, poza tym wiedział bardzo wiele na temat wojny. Była ciekawa, czy zechciałby przyjść do nich znowu na obiad. Postara się przekonać rodziców, żeby go zaprosili.

Właściwie miała ochotę wyjść za niego - chciała zostać jego żoną.

Dopiero wtedy, zauważywszy na biurku zwróconą do niej tyłem fotografię w srebrnej ramce, przypomniała sobie, że przecież Clive ma narzeczoną, niejaką Lettice.

Och, do diabła! Omal nie zaklęła głośno. Potem przypomniała sobie coś jeszcze.

Nie powiedziała mu najnowszych nowin na temat Joego. Zakasłała, żeby zwrócić jego uwagę, ponieważ robił wrażenie odległego myślni o tysiące kilometrów.

Spojrzał na nią ciemnymi oczami. Odezwała się:

- Przed chwilą widziałam się z Martą. Wczoraj wysłali Joego do Francji.

- To okrutne - mruknął. - Chłopca w tym wieku! - Zabębnił palcami po biurku. - A ta Marta... mógłbym się z nią spotkać?

- Między innymi dlatego tu przyszedłem - wyjaśniła Kate. - Ona chce panu podziękować za artykuł.

- Tak jakby on się na coś przydał... - Siedział, ponuro wpatrzony w blat biurka. - Nawet się nie ukazał.

- Ale jednak... pan się starał. Próbował pan i to usilnie, tak jak i ona. Oboje próbowaliście coś zrobić. - Kate złożyła dłonie jak do modlitwy, starając się wyrazić, jak wielkie wrażenie zrobił na niej jego artykuł. - Wie pan co? Gdyby pan przyszedł jutro mniej więcej za kwadrans pierwsza do kawiarni na Central Station, to będę tam, razem z Martą.

Clive Dexter odparł:

- W takim razie i ja tam będę.

* * *

Kiedy Kate wyszła, Clive wstał i kopnął nogą biurko. Podszedł do okna i z kolei kopnął ścianę, co było głupim i bolesnym sposobem pozbycia się frustracji, jednak najlepszym, jaki w tych okolicznościach mógł wymyślić.

Kate nie zabrała ze sobą fotografii Joego. Clive wrócił do biurka i wziął zdjęcie do ręki. Ten chłopak wyglądał tak niewinnie - prawdopodobnie jedyną kobietą, która go całowała, była matka. Niech diabli wezmą ludzi, co kierują tym cholernym krajem i całą tą haniebną wojną!

- Co o tym myślisz, Letty? - Usiadł i zwrócił się do fotografii narzeczonej. - Ty się na pewno cieszysz z tej przeklętej wojny, prawda? - Lettice pracowała w Londynie dla Admiralicji. Mieszkała razem z kilkoma innymi urzędniczkami. - Ci wszyscy przystojni młodzi oficerowie, z którymi można flirtować... - mówił do roześmianej twarzy na zdjęciu. Prawdopodobnie sypiała co noc z kim innym.

Lettice Conway była daleką kuzynką, którą Clive znał dosłownie całe życie. Zawsze byli najlepszymi przyjaciółmi, ale ani Clive by się z nią nie ożenił, nawet gdyby wniosła mu w posagu tysiąc funtów, ani ona nie wyszłaby za niego. Był dla niej za nudny, zbyt zamknięty w sobie, fatalnie tańczył, w towarzystwie prezentował się beznadziejnie, nie znał się na najnowszych ploteczkach, poza tym nie przebierał w słowach.

Natomiast zaręczyny były dla obojga bardzo wygodne. Oznaczały, że matka Clive'a przestanie wszędzie wyszukiwać właściwej narzeczonej dla swojego najstarszego syna, a rodzice Letty nie będą musieli mieć wciąż nadziei na pojawienie się odpowiedniego kandydata na męża, o ile taki w ogóle istniał. To również znaczyło, że nie będą jej przeszkadzali zamieszkać w Londynie, gdyż, jak mu powiedziała jej matka „Skoro to ciebie nie niepokoi, drogi Clive, to czemu miałyby niepokoić nas?”.

Rzeczywiście, czemu? Co prawda Clive się niepokoił, ale tylko troszkę. Podziwiał Letty za to, że potrafiła odrzucić wszystkie zahamowania, ale jego zdaniem szła w dosyć niebezpieczną stronę i bał się, że kiedyś może się zranić.

Zarazem zaś był ogromnie zadowolony, że nie jest jej prawdziwym narzeczoną.

* * *

Clive polubił Martę Rossi od pierwszego wejrzenia, kiedy się nazajutrz spotkali w kawiarni na stacji. Przepraszała za swój wygląd.

- To moje robocze ubranie - mówiła z żalem, wygładzając brudną spódnicę czerwonymi, spierzchniętymi rękami. Skóra na jej palcach była popękana od przytrzymywania codziennie przez kilka godzin grubego, twardego materiału. Wniosła ze sobą silny zapach pyłu i płótna na worki.

Kiedyś musiała być bardzo ładna, ale czas odcisnął na niej swoje piętno: teraz jej cera wyglądała na zniszczoną, wokół oczu miała ciemne obwódki, a usta wyschnięte. Jej uroda wracała razem z uśmiechem, który pojawiał się na twarzy zawsze, kiedy mówiła o Joem i swoich pozostałych dzieciach. Włosy - to, co można było dostrzec - miała ciemne i niemal całkiem ukryte pod zniszczoną chustką, kryjącą uszy i związaną z tyłu głowy. Oczy dość duże, o ciepłej brązowej barwie.

Kiedy panna Kellaway przedstawiła Marcie Clive'a, wręczył jej bukiet z różowych róż i listków paproci. Przyniósłby chętnie duży bukiet, ale pomyślał, że być może Marta nie ma odpowiedniego wazonu, a mały bukiet może włożyć nawet do słoika po dżemie.

Była tak zaskoczona, taka wdzięczna! Zachwycała się i wykrzykiwała, bąkając podziękowania. Aż się zastanowił, czy kiedykolwiek przedtem ktoś jej przyniósł kwiaty... ale przecież musiała jakieś dostawać, choćby z okazji ślubu. Nalegała, żeby ją nazywał Martą, na co on odparł, że w takim razie ona powinna do niego mówić „Clive”.

- Nie wiem czemu, ale już teraz myślę o tobie jako o „Marcie”, a nie o „pani Rossi” - wyznał.

- Dziękuję za artykuł o Joem - wyszeptała. - Kate ma mi go niedługo przeczytać.

- A może - zaproponował - przyszlabyś, Marto, jutro do mojego biura, wtedy sam ci go przeczytam. - Zdawał sobie sprawę, że młoda panna w tej chwili rzuciła się gniewnie, i z

trudem ukrył uśmiech. - Może i pani mogłaby przyjść, panno Kellaway?

- Dziękuję panu, panie Dexter. Będzie mi bardzo miło - powiedziała wyniośle.

Zwrócił się do Marty:

- Panna Kellaway mówiła mi, że poszłaś się zobaczyć z członkiem Parlamentu, majorem Normanem Brownem, i okazało się, że on nic nie pomoże.

- Zupełnie nic - przyświadczyła Marta z grymasem gniewu na samo wspomnienie. - On zdaje się myślał, że powinnam być zadowolona, iż Joe może pojechać do Francji, tam gdzie są walki. Prawdę mówiąc, był pijany jak bela.

- Tak, on ma reputację tęgiego pijusa - zgodził się Clive. - Jeżeli się zgodzisz, to myślę, że teraz ja powinienem napisać w twoim imieniu do Ministerstwa Wojny, przypomnieć im, że to jest łamanie prawa, i zażądać, by Joe natychmiast został odesłany do domu.

- Pewnie, że się zgodzę. - Marta poważnie kiwnęła głową.

- Wobec tego napiszę tam dzisiaj po południu - obiecał.

* * *

Następnego ranka Clive posłał Herberta do restauracji na Paradise Street po kanapki z wołowiną i butelkę wina.

- Słodkie białe wino - polecił. - To ma być dla damy. A kiedy ona już tu będzie, trzeba, żebyś się kręcił w pobliżu na wypadek, gdyby zamiast tego wołała herbatę. - Na dole w łazience był piecyk i wszystko, co potrzebne do zrobienia herbaty czy kawy. - I dopilnuj, żeby było świeże mleko.

- Tak jest, szefie - odparł służbiście Herbert. - Czy to ma związek z tym, co pan teraz pisze?

- Skoro uważasz, że to twoja sprawa, Herbercie, to tak, ma - wyniośle odrzekł Clive. - To jest właśnie to, co się nazywa dziennikarstwem. A propos, ile masz lat?

Przypuszczał, że chłopak musi być mniej więcej w wieku Joego. Jego ojciec, londyńczyk, pracował w drukarni „Lancashire Post”. Herbert wylądował w redakcji jako pomocnik Clive'a na skutek najzwyczajszego nepotyzmu.

- Czternaście, szefie. Będę miał piętnaście na Boże Narodzenie. - Robił wrażenie bardzo zadowolonego z siebie, jakby był jednym z niewielu wybrańców, którzy niebawem osiągną poważny wiek piętnastu lat.

- A jak byś się czuł, gdyby cię wysłali na wojnę do Francji? Myślę, teraz, od razu?

Chłopiec popatrzył na niego z zawziętością.

- Nienawidziłbym tego, szefie. Ten gość, nasz sąsiad... jego wysłali do Francji i nie był tam nawet pięciu minut, jak już leżał martwy jak cholerna kłoda. Strzelili mu prosto w głowę... biedny palant.

Chłopiec miał barwny sposób wyrażania się. W każdym razie Clive odniósł wrażenie, że Herberta nie dałoby się namówić na wstąpienie do wojska za żadną cenę.

Obie panie przyszły razem. Jedną z niewielu rzeczy, które Clive'owi się podobały w tej mówiącej bez pardonu to, co myśli, pannie Kellaway, był wyjątkowo serdeczny stosunek do przyjaciółki. Zawsze pilnowała, by Marta usiadła pierwsza, wkładała jej cukier do herbaty, a kiedy szły, trzymała ją pod rękę. Co tu dużo mówić: pośród jej rozlicznych wad na pewno nie znalazłoby się snobizmu.

- Skoro pan i Marta macie zamiar mówić sobie po imieniu, to myślę, że pan i ja powinniśmy zrobić to samo - rzekła wyzywająco panna Kellaway, jakby sądziła, że Clive natychmiast zaprotestuje.

- Nie mam nic przeciw temu... Kate - przyjaźnie odparł Clive. Dopilnował, żeby obie wygodnie usiadły przy jego biurku, na którym ustawił kanapki i wino.

Marta zgodziła się wypić pół kieliszka.

- Nie więcej, bo mi pójdzie do głowy - zastrzegała się. - A muszę dziś jeszcze być w pracy. Co za szkoda, że to wszystko - omiotła ręką biuro razem z kanapkami i winem - i spotkanie z Kate tutaj dzieje się dlatego, że naszego Joego namówili, by poszedł do wojska.

- Wolałbym z pewnością, byśmy się poznali w innych okolicznościach - zgodził się Clive.

- I ja też - powtórzyła za nim panna Kellaway... Kate, która chyba nie chciała pozostać w tyle. Ona też poprosiła tylko o pół kieliszka wina, bo musiała wracać do szkoły.

Najpierw Clive głośno przeczytał list, który napisał do Ministerstwa Wojny, potem artykuł odrzucony przez redakcję „Lancashire Post”. Teraz, słuchając własnych słów, Clive uznał, że artykuł był być może zbyt niepoohamowany, zanadto gniewny, jak na coś, co ma być drukowane w rodzinnej gazecie. Nie miał jednak zamiaru niczego tonować, łagodzić tej „gniewności”: uważał, że powinien być wydrukowany w takiej formie, jak został napisany.

Kiedy czytał, Marta co chwila kiwała głową i robiła wrażenie bliskiej łez. Miał nadzieję, że się nie rozpłaczę, bo wtedy on nie wiedziałby, co ma powiedzieć. Z zadowoleniem zauważył, iż zaczęła sączyć wino.

Kiedy Clive czytał swoje własne słowa, doznał dziwnego wrażenia: wydało mu się, że cały świat przestał robić to, co robi, by wysłuchać jego tyrady; że ruch uliczny się zatrzymał, wszystkie maszyny i urządzenia wyłączono, ludzie przerwali rozmowy, a tylko jego głos, głos Clive'a Dextera, był jedynym mówiącym całemu światu, jak straszny błąd ten świat popełnia.

Gdy skończył czytać, niemal czuł, że żołnierze po obu stronach frontu powinni odłożyć broń, walki powinny się zakończyć, a na całym świecie ma na zawsze zapanować pokój.

Dotarłszy jednak do końca artykułu, usłyszał odgłos miłego dla ucha stukotu końskich kopyt i turkotu wozu przejeżdżającego po kocich łbach bruku przed domem; jakiś człowiek coś krzyknął, jakaś dziewczyna się śmiała, a Herbert na dole gwizdał głośno jak lokomotywa.

Potem zadzwonił telefon, na dźwięk którego Clive i Kate aż podskoczyli, a Marta nieomal zleciała z krzesła, bo nigdy przedtem nie słyszała podobnego dźwięku. Jak wytłumaczyła, nie wiedziała nawet, że coś takiego jak telefon w ogóle istnieje.

No, ale ostatecznie żadne z nich się nie rozpląkało. Clive stwierdził to z prawdziwą ulgą, bo podejrzewał, że on płakałby najbardziej ze wszystkich.

* * *

- Nie kupiłaś chyba tego na targu! - wykrzyknęła Joyce, kiedy przyszła na King's Court i zetknęła się twarzą w twarz z Martą, ubraną w jedwabną zieloną suknię barwy mchu z głębokim dekoltem w kształcie litery „V”, z obcisłymi rękawami i atłasowym pasem koloru ciemniejszej zieleni. - Wygląda na diablo drogą.

- To prezent - powiadomiła ją Marta.

- Dostała to od Kate. - Lily lekko pociągnęła lśniący materiał sukni matki, jakby samo dotykanie go sprawiało jej przyjemność. - Należała do Evelyn, siostry Kate, która się przeprowadziła do Nottingham. Kate powiedziała, że suknia jest trochę niemodna, bo nie pokazuje za wiele łydek, ale mamie to wszystko jedno.

- Pewnie, że wszystko jedno - potwierdziła Marta. Nigdy dotąd nie miała równie wytwornej sukni, nawet w dawnych czasach. Aż się bała w tym chodzić. Czerwoną wstążkę na kapeluszu zmieniła na zieloną, poza tym włożyła używane buty na wysokich obcasach, które ją uwierały.

Joyce spojrzała spode łba.

- Czy to też Kate dała ci ten pasek? - zwróciła się do Lily wystrojonej w swoją jaskraworóżową sukienkę. Wszyscy byli ubrani na wizytę u rodziny Edwarda na Spellow Lane.

Marta domyślała się, że Joyce nie lubi Kate, chociaż się w ogóle nie znały. Pewnie z powodu pretensji Joyce, iż to Kate pisze listy do Joego w imieniu matki, podczas gdy właściwie ona to powinna robić.

- To nie pasek, tylko szarfa. - Lily rozwiązała pas otaczający jej talię i rozwinęła go. Szeroki, prostokątny, mienił się tysiącem kolorów, wśród których był też jaskrawo różowy. Założyła go teraz na ramiona, jak szal, i określiła się. - Widzisz? Można ją nosić na rozmaite sposoby.

- Tak... bardzo sprytne - pociągnęła nosem Joyce. Nagle jej kwaśny humor zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Uściskała i pocałowała siostrzyczkę. - Wyglądasz w tym uroczo, Lil. - Zwróciła się do Marty. - A ta suknia doskonale ci pasuje, mamó. Świetnie ci w zielonym.

- Dziękuję, kochanie. Wszyscy gotowi do wyjścia? - spytała Marta. Było jej okropnie nieswojo wychodzić na podwórko: czuła się wystrojona jak na wesele. Ludzie mogą zacząć myśleć, że rodzina Rossich się wzbogaciła, czy coś takiego.

* * *

Pani MacDonald miała najdonośniejszy głos na świecie, w każdym razie tak się wydawało Marcie. Poza tym od czasu do czasu potrafiła bez szczególnego powodu wydawać z siebie ostry, przenikliwy pisk.

Georgie naprawdę się wystraszył, kiedy go jej przedstawiono, a ona wrzasnęła, najwyraźniej zaskoczona widokiem jego zębów, jej zdaniem wyjątkowo dużych, jak na dziesięcioletniego chłopca.

- Nikt nigdy przedtem nic takiego nie mówił - rzekła nieco zirytowana Marta. Georgie chował się za jej plecami,

nadal roztrzęsiony. Suknia Evelyn dodawała Marcie otuchy. Czowała się w niej pewniejsza siebie.

- Te zęby wyglądają na bardzo mocne - odezwał się pan Mac Donald, jakby przepaszając za żonę. Był niedużym, jowialnym panem o mrugających oczkach i potężnie wywoskowanych wąsach, spiczasto zakończonych po obu stronach. Mówił bardzo niewiele, głównie dlatego, że rozmowę z reguły dominowała pani MacDonald - wysoka, chuda kobieta z opadającymi na oczy powiekami, ponurym wyrazem twarzy i władczym sposobem bycia.

Dom przy Spellow Lane był duży, z obszernymi pokojami, chociaż gabinet, w którym siedzieli, przeładowano tyłoma ciemnymi meblami, że trudno się w nim było poruszać. Zasłony z brązowego aksamitu tak ściśle zaciągnięto, że prawie żaden promień światła nie mógł się przez nie przedostać. Na ciemno wytapetowanych ścianach wisiało kilka obrazów, przedstawiających raczej smutne zwierzęta leśne, wyglądające na wyjątkowo żalosne albo ledwie żywe.

Marta naprawdę wolałaby już być na King's Court - tam przynajmniej było dzienne światło. Co gorsza, w pokoju czuło się jakiś niehigieniczny zapaszek, jakby rury się zatkały... a już piski i pokrzykiwania pani MacDonald przyprawiały ją o ból głowy.

- Joyce mi mówiła, że pani małżonek jest kontrolerem w tramwajach - huczała ta baba - i dlatego nie mógł dziś do nas przyjść, bo musi pracować w większość niedziel.

- To prawda. - Marta zerknęła na córkę. Mogła ją chociaż ostrzec, jakie kłamstwo zafundowała rodzinie Edwarda.

Pani MacDonald znowu wrzasnęła:

- Ależ to okropne!!! Och, ja chyba umarłabym z rozpaczy, gdyby mój biedny Reginald musiał pracować w

niedziele. - Wyglądała na zadowoloną z siebie. - To ostatecznie dzień odpoczynku.

- Niestety, nie dla każdego - rzuciła Marta elegancko. - Niektórzy muszą przecież pracować w szpitalach, hotelach i...
- Jej mózg w tym momencie zastrajkował.

- Na promach - dopomogła jej Lily - i w pociągach, i w restauracjach.

- Gliniarze pracują w niedziele i muszą nawet łapać tramwaje - dodał Georgie, usiłując ukryć swoje zęby.

- A niektórzy muszą łapać tramwaje, żeby pojechać na nabożeństwo, mój drogi - podkreślił pan MacDonald przyjaźnie, niestety tylko po to, żeby napotkać pogardliwe spojrzenie małżonki, wyraźnie niezadowolonej, że straciła okazję włączenia się do rozmowy.

Cała ta wizyta zaczynała się robić coraz mniej przyjemna. Marta postanowiła, że od tego momentu będzie się zgadzać ze wszystkim, co powie pani MacDonald, nieważne co - i modliła się, by reszta popołudnia przebiegła bardziej gładko.

Nic z tego.

Pani MacDonald oznajmiła, że wkrótce podwieczorek będzie gotowy.

- Spodziewam się, że wszyscy lubią flaki i cebulę.

Cały pokój ogarnęła jakby drętwota, po czym nagle Georgie zaczął krzyczeć - o wiele głośniejszym, dłuższym i mocniejszym głosem niż pani domu.

Zrobił się czerwony i rzucił się w ramiona Marty, wrzeszcząc, że chce już iść do domu.

- W porządku, kochanie - uspokajała go Marta. - Dobrze, zaraz pójdziemy. Ma atak - wyjaśniła gospodarzom.

- A może mały chłopczyk pójdzie na chwilę na górę i się położy? - uprzejmie zaproponował pan MacDonald.

- Nie, dzięki. Lepiej pójdziemy do domu. Chodź, synku. - Marta starała się podnieść małego, ale był za ciężki. Zaczął ją ciągnąć do drzwi.

- Chcę już iść, mammo!

- Często miewa takie ataki, jak ten? - chciała wiedzieć pani MacDonald.

- Nie, nieczęsto. - Marta przeprosiła serdecznie za kłopot i wyszła. Lily pomagała jej prowadzić chłopca.

Kiedy tylko znaleźli się za rogiem i dom państwa MacDonaldów zniknął im z oczu, Georgie przestał krzyczeć.

- Nie mógłbym jeść flaków, mammo - płakał - za żadne skarby!

- Ani ja bym nie mogła. - Lily położyła rękę na sercu. - Wolałabym umrzeć, niż jeść flaki. Sprytny jesteś, Georgie, że udałeś ten atak.

Mogli sobie być biedni, mogli być bardzo głodni - ale nikt z rodziny Rossich nie zamierzał jeść flaków.

- Dziwaczna rzecz, podawać coś takiego na podwieczorek - powiedziała Marta ze złością - flaki z cebulą! Dawniej, kiedy myśmy zapraszali na podwieczorek, podawałam zawsze kanapki z szynką i bułeczki z masłem.

* * *

- Byliście zaproszeni na podwieczorek z kolacją, a nie na zwykły podwieczorek - wściekała się Joyce, kiedy wpadła do nich tego wieczoru, twierdząc, że rodzina zrobiła z niej widowisko, mimo że Marta wyjaśniła, dlaczego musieli wyjść tak szybko. - Podwieczorek z kolacją to coś zupełnie innego, niż zwykły popołudniowy podwieczorek. Zawsze się wtedy podaje mięso albo rybę.

- Wybacz, kochanie, ale nie miałam pojęcia, że jest jakaś różnica - uspokajała ją Marta. - W każdym razie, od kiedy to jadasz flaki? I co to za opowiadanie, że niby tata pracuje w tramwajach? - W tym momencie spokój ją opuścił i zaczęła

się denerwować. - A w ogóle co ta kobieta sobie myśli, że gdzie my żyjemy? Któregoś dnia się okaże, że uważa King's Court za pałac Buckingham!

- Ona myśli, że mieszkamy na Gerard Street. - Joyce upadła na kanapę.

- Zobaczysz, że sobie kiedyś napytasz biedy przez te twoje wszystkie kłamstwa, Joyce.

- Wiem, mamó - westchnęła córka. - Ale przecież nie mogłam jej powiedzieć prawdy, nie uważasz? Zaczynam żałować, że nie powiedziałam Edwardowi, iż jestem sierotą.

- Co takiego? Wyrzekłabyś się własnej mamy i całej rodziny? Joyce, kochanie - zaczęła Marta ostrożnie - jeżeli nie możesz powiedzieć chłopakowi prawdy o sobie, to najlepiej przestań się z nim w ogóle widywać.

Joyce zaczęła płakać.

- Nie mogę, mamó! Ja go kocham.

Marta pogładziła córkę po kędzierzawej głowie.

- W takim razie będzie się musiał pogodzić z tym, że twój tata jest taki, jaki jest, tak jak ty musisz się pogodzić z charakterem jego mamy. To nie jest miła kobieta, skarbie. Otwarciem mówiąc, nie chciałabym, żeby mnie z nią porównywano i żebym wypadła gorzej od niej.

- Och, mamó, ty gorsza niż pani MacDonald? Nigdy! Tamta to prawdziwa stara krowa! - Joyce chlipnęła i wytarła nos. - Czego to ludzie nie robią dla miłości, mamó... - westchnęła.

- Nie masz o tym pojęcia nawet w połowie, córeczko.

Rozdział 8

Jacquetcie udało się namówić Mistera do wyjazdu na urlop na wyspę Man.

- Ostatnio zrobił się o wiele sympatyczniejszy - zwierzyła się Marcie. - Myślę, że to z powodu twojego Joego. Zawsze marzył o synu, ale nigdy nie mieliśmy dzieci.

Marta była do nieprzytomności przejęta, kiedy Mister powiedział, że podczas ich urlopu z Jacquetą będzie miała tydzień wolny - w dodatku miał jej mimo to zapłacić.

- Tylko się nie przejmuj i bądź dzielna... dla Joego - rozkazał, klepiąc ją po czubku głowy. Dał jej ogromny klucz i poprosił, żeby była tak dobra i kilka razy zajrzała do fabryczki sprawdzić, czy wszystko w porządku. - A w razie czego wzywaj gliny; przyjdą i wszystko załatwią.

- Co będziesz robiła przez ten cały tydzień? - spytała Kate.

- Będę się uczyła czytać i pisać - odparła Marta bardziej pewnie, niż w głębi duszy uważała.

Kate wyglądała na zdenerwowaną.

- Ale... jeżeli już nie będę musiała więcej pisać listów do Joego, nie będziemy dłużej przyjaciółkami...

- Nie bądź niemądrą dziewczynką, Kate - parsknęła Marta. - Już jesteśmy przyjaciółkami, tak czy nie? Przecież nie przestaniemy nimi być tylko dlatego, że będę mogła sama pisać listy do własnego syna, prawda?

* * *

Był ostatni tydzień wakacji szkolnych. Lily i Georgie poprzednie tygodnie spędzili, wędrując po Liverpoolu albo we dwójkę, albo z kolegami. Wychodzili wczesnie z domu, z butelką wody i paroma kromkami chleba z margaryną. Potem spędzali długie godziny na przystani Pier Head, bawili się na stopniach St. George's Hall albo na stacji przy Lime Street, gdzie się przypatrywali, jak z hukiem wjeżdżają na nią i

wyjeżdżają ogromne pociągi. Kiedy Marcie udawało się dać im kilka miedziaków, wsiadali na prom przez rzekę do Birkenhead, Seacombe albo do New Brighton, które zwiedzali przed powrotnym rejssem do domu.

Ponieważ Carlo rzadko wychodził z domu przed południem, idealnym miejscem do nauki czytania i pisania dla Marty była fabryczka „Worki i Żagle Ackermana”, gdzie siedziała sama i nikt jej nie przeszkadzał.

Nikomiu poza Kate nie powiedziała, że Mister i Jacquetta wyjechali.

W poniedziałek wyszła z domu o zwykłej porze, zabierając ze sobą ABC panny Flower, książkę kupioną kiedyś dla Joyce, gdy zaczynała chodzić do szkoły, a teraz należącą do Lily. Inaczej niż dziewczynki, żaden z jej chłopaków nie wykazywał specjalnego zainteresowania nauką, chociaż i Joe, i Frank całkiem dobrze umieli czytać. Natomiast Georgie był beznadziejny. Marta wzięła też ze sobą listy Joego, zeszyt za pół pensa, ołówek i kuchenny nóż do temperowania. Ułożyła to wszystko na końcu długiego stołu, z którego drugiego końca stały maszyny do szycia, i zabrała się do pracy.

Joe zawsze zaczynał listy od „Droga Mamo”, a podpisywał je „Twój kochający syn Joe”.

Marta otworzyła zeszyt i pracowicie wydrukowała „Drogi Joe” na szczycie pierwszej strony, zaś „Twój kochający Mama” na dole. Teraz pozostało tylko wypełnić środek. Uznała, że jest już w połowie drogi.

Po długim zastanowieniu stwierdziła, że jeżeli odejmie „D” ze słowa „drogi”, pozostanie słowo „rogi”. To odkrycie wprowadziło ją w doskonały nastrój, choć nie pomogło w pisaniu listu.

Przewróciła kartkę w zeszycie i na drugiej stronie wypisała swoje własne imię, imię męża i imiona wszystkich dzieci, do każdego dodając „Rossi”.

Po dalszym zastanowieniu i głośnym odczytaniu wszystkich imion, podkreślając je głosem, wróciła do listu. Napisała „tęsknimy Joe”, ale dalej już nie dała rady. Gdyby od imienia „Frank” odjąć ostatnią literę i zastąpić ją dwiema ze słowa „Rossi”, powstałoby słowo „Franss”. Franss - Francja. Chciałaby spytać Joego, czy mu się podoba we Francji, ale nie wiedziała, jak to zrobić. W każdym razie napisała słowo „Franss”, po prostu, żeby sprawdzić, jak wygląda.

Odchyliła się w tył na oparciu krzesła, przyglądając się drewnianym deskom nad głową. Tam na górze, jakby na gigantycznej półce, robiono kiedyś żagle. Dziś jedynym dźwiękiem było gniewne skrzeczenie mew na dachu. Te dźwięki jakby odbijały się echem, bo dookoła nie było nikogo oprócz niej. Zakasłała - i ten dźwięk również się powtórzył, aż w końcu ucichł. To było straszne, ale Marta rozkoszowała się swoją bytnością tutaj, uszczęśliwiona, że nie musi robić absolutnie nic poza tym, co jej sprawia przyjemność. Nikt na świecie niczego od niej w tej chwili nie chciał.

Poszła do biura Mistera, nie wiadomo dlaczego - na palcach. Było to małe pomieszczenie bez drzwi i okien, całe zabudowane metalowymi półkami, pełnymi starych gazet, książek i kartonowych pudeł. Przeszła się po pokoju, dokładnie wszystko obejrzała, ale właściwie nic jej tam nie zainteresowało. Sterta białych papierów miała na szczycie napis „Worki i Żagle Ackermana” - wiedziała, co te słowa oznaczają, bo takie same widniały na drzwiach od ulicy.

Na biurku leżało z pół tuzina ołówków różnych długości, a także książka z kolorową okładką, cynowe pudełko z tytoniem i zapalki, paczuszka tabaki, bardzo stare, zeschnięte jabłko i zardzewiała taca, na której stało parę butelek alkoholu. Na ścianie wisiał zegar, tak wielki, że pasowałby na stację kolejową. Bił co pół godziny.

Marta usiadła na wyściełanym krześle z powyrywaniem sprężynami, stojącym przed biurkiem, i spróbowała wyciągnąć korek z jednej z butelek, żeby spróbować, co to jest, ale korek siedział za ciasno, aby go ruszyć, a ona nawet nie marzyła o tym, by go wyrwać siłą. Zamiast tego powąchała go i natychmiast zaczęła kichać. Podobnie jak wcześniej kaszel, tak teraz dźwięk kichnięcia rozszedł się echem w powietrzu, wreszcie zamilkł.

Zaniosła kartkę białego papieru na stół, przy którym siedziała, i przepisała napis „Worki i Żagle Ackermana” do zeszytu. Zauważyła, że jeżeli się weźmie pierwszą literę ze słowa „Worki” i dopisze do „Ackerman”, powstanie „Wackerman”. Teraz już wiedziała, jak napisać „i”, więc je wpisała na stronę z listem do Joego. Teraz było tam napisane: „Drogi Joe tęsknimy Franss i twój kochający Mama”.

Marta się uśmiechnęła. To nie miało sensu, ale postanowiła, że zanim ten tydzień się skończy, napisze cały list. A potem będzie czekała na list od Joego, z którego się dowie, do którego miejsca we Francji może posłać swój.

W książce ABC każda litera miała swój kwiatek. Marta przepisywała te litery całe popołudnie, po jednej literze na każdej stronie, i wpisywała nowe słowo zamiast kwiatka. „Ackerman” był słowem na „A”, ale nie mogła sobie przypomnieć żadnego na „B”. Wpisała „Carlo” pod C, „Frank” pod F, „Georgie” pod G, „Joe” i „Joyce” pod J, „Lily” pod L, a siebie samą pod M. Potem dopisała pod W „Worki”, wreszcie po namyśle „Kate” pod K i „Edward” pod E.

Kiedy skończyła, zeszyt był solidnie wypełniony. Przejrzała go kilka razy z prawdziwą satysfakcją, że wszystko to sama osobiście napisała.

Przez całą resztę dnia po prostu gapiła się w przestrzeń, aż nadszedł czas, żeby wyjść. Czowała się lekka jak piórko, tak jakby najłżejszy powiew wiatru mógł ją zdmuchnąć.

W drodze do domu kupiła kilka klopsików, żeby je podać z ziemniakami, które już były gotowe. Po jedzeniu poprosiła Lily o dopisanie w zeszycie słów tam, gdzie były tylko puste litery.

- Puste litery, mamó? - roześmiała się Lily. - Nie ma czegoś takiego, jak „pusta litera”.

- No, to pusta strona, Mała Wszystkowiedząca Panno. - Marcie też się chciało śmiać. - Chodzi mi o to, jak ta litera się nazywa?

- To jest „B”, mamó. „B” jak baran, jak balonik - wiesz, można się bawić balonikiem. Narysuję ci go, dobrze? Wtedy już zawsze będziesz wiedziała, jak to się wymawia.

- Daj, ja narysuję barana - wtrącił się Georgie. Jego delikatna buzia się rozjaśniła. - Nasza Lily umie pisać. Ja - umiem rysować, mamó.

Następną „pustą stronę” była litera „D”, wobec czego Georgie narysował dom, a Lily podpisała to pod spodem rysunku dużymi literami.

Wszyscy troje przeszli w ten sposób przez cały alfabet. Kiedy doszli do „Z” i napisali „ZOO”, Georgie narysował cały szereg małych zwierzątek za prętami klatek. Najwyraźniej był dobrym małym rysownikiem.

Lily zaproponowała, że napisze list do Joego, ale Marta postanowiła zrobić to sama.

- Mam trzydzieści sześć lat, córeczko. Najwyższy czas, żebym się nauczyła sama pisać listy.

- Przechowam ten zeszyt na zawsze - oznajmiła później, kiedy skończyli, przyciskając mały zeszycik do piersi. Nawet gdyby poznała wszystkie słowa na świecie, nie będzie ich dosyć, by opisać, jak bardzo kochała swoje dzieciaki.

* * *

Następnego dnia Marta dopisała w liście do Joego jeszcze parę słów. Potem, wiedząc, że jest zupełnie wolna i może

robić to, co chce, wyszła z fabryczki, zamknęła ją i poszła w kierunku przystani Pier Head, gdzie usiadła na ławce i wpatrywała się w migoczącą wodę, od czasu do czasu zdobioną białą koroneczką piany. Niebo było równie połyskujące, chociaż w powietrzu czuło się odrobinę chłodu. Pomyślała nawet, jaka szkoda, że nie wzięła szala.

Był już wrzesień. Lily i Georgie w poniedziałek poszli do szkoły.

Marta myślała, gdzie też jej Joe jest tam, we Francji. Oczywiście, gdyby nawet ktoś jej to powiedział, nazwa nic by jej nie mówiła. Potem zastanawiała się, jak to będzie, kiedy Joe wróci.

Ile jeszcze czasu będzie w stanie znosić zachowanie Carla? Aż do jego śmierci? A może do jej śmierci? Naprawdę, Lily i Georgie zasługiwali na coś więcej na podwieczorek, niż kartofle z odrobiną klopsików. Zasługiwali także na lepsze mieszkanie, z porządnymi sypialniami, na ubikację w domu, na miejsce do zabawy, jakieś miłe miejsce, gdzie mogliby zaprosić przyjaciół.

Marta przymknęła oczy, zacisnęła pięści i w duszy złożyła przysięgę. Nie miała pojęcia, jak jej się to uda, ale postanowiła, że niedługo życie jej dzieci zmieni się na lepsze.

List do Joego teraz brzmiał:

Mój drogi Joe,

Jak się masz dziś we Franss.

Mister Cię pozdrawia.

Lily i Georgie pozdrawia też.

Tęsknimy, Joe.

Twój kochający Mama.

W czwartek poszła aż na William Brown Street i weszła do okropnie eleganckiej biblioteki, gdzie usiadła w wielkiej sali, otoczona mnóstwem półek z książkami. W tych

wszystkich książkach musiały być chyba miliony słów!
Wdychała ich zapach i czuła magię.

Kiedy się tylko nauczy czytać, zapisze się do biblioteki i będzie co tydzień pożyczała jedną książkę!

* * *

Piątek był jej ostatnim wolnym dniem. Z całą półkoronówką, którą przeznaczyła właśnie na ten cel, zabrała dzieci do New Brighton. Popłynęli wczesnym promem, kiedy jeszcze nad rzeką wisiała mgła, a słońce przeświecało przez kurtynę chmur. Lily i Georgie, przejęci, biegali z jednego końca statku na drugi, a ich krzyki były równie głośne i ostre jak skrzeczenie mew, unoszących się nad wodą w poszukiwaniu żeru.

Kiedy przybyli do New Brighton, Marta kupiła trzy kubeczki herbaty przy barze na końcowej stacji promu. Pili ją, wpatrzeni w ciemnosrebrną rzekę i olbrzymią wieżę ze wspaniałymi ogrodami, które mieli zaraz zwiedzać. Na samą myśl o tym Martę aż wierciło w brzuchu.

- Chciałbym, żeby nasz Joe był tutaj z nami - westchnął Georgie.

- Gdyby Joe był w domu, to by pracował! Rozwoziłby jarzyny ze sklepu pana Johnsona - przypomniała mu Lily.

- No, ale przynajmniej moglibyśmy mu opowiedzieć wieczorem, gdzie byliśmy - upierał się braciszek.

Marta od bardzo dawna nie była w słynnej wieży (Wieża w New Brighton - stalowa wieża wysoka na 173 m, zbudowana w latach 1896 - 1900, w czasie I wojny światowej zamknięta dla publiczności, w latach 1919 - 1921 rozebrana. Był to wówczas najwyższy budynek na Wyspach Brytyjskich.) w New Brighton. Pamiętała, że oglądała tam wystawę z Dzikiego Zachodu z prawdziwymi kowbojami i Indianami i że razem z Carlem tańczyła fokstrota w wielkiej, wspaniałej sali balowej.

Teraz sezon wakacyjny już się kończył i wszędzie panował spokój. W ogrodach nie było wielu ludzi, dzięki czemu Lily i Georgie mieli mnóstwo miejsca do skakania po ścieżkach, jak też okazji do wypytywania mamy o nazwy rozmaitych egzotycznych roślin. Nie знаła zresztą prawie żadnej z wyjątkiem czegoś, co mogło być „palumą”.

- Jestem strasznie niedouczona, wiem - jęknęła i zaproponowała, żeby wjechać windą na sam szczyt wieży i zobaczyć stamtąd wyspę Man. Wstęp kosztował sześć pensów, ale dzieci wchodziły za darmo.

Kiedy jednak podeszli do wejścia na wieżę, Lily przeczytała wywieszkę, informującą, że zwiedzanie jest zabronione „z przyczyn wojskowych”.

- Co oni sobie myślą? Że po co tu przyjechaliśmy, mamó? - pytała, ale Marta również tym razem nie była w stanie jej odpowiedzieć.

W południe, gdy niebo było już o wiele bardziej błękitne, a słońce większe i powietrze cieplejsze, gdzieś w pobliżu zaczęła grać orkiestra. Wytropili zatem muzyków, wystrojonych w czerwono - złote stroje, którzy grali na małej estradce pośród drzew i drewnianych ławek. Siedzieli tam długo i słuchali orkiestry, przeważnie wygrywającej poważne marsze.

Podczas jednej z przerw między utworami Marta zauważyła, że Georgie trzyma się za brzusek, w którym burczy straszliwie: przypomniała sobie, że teraz powinna kupić dzieciom coś do zjedzenia.

Naokoło było wiele restauracji, ale wydały się jej bardzo drogie. Uznała, że lepiej będzie znaleźć coś skromniejszego.

- Myślę, że zupełnie nam wystarczy talerz ryby z frytkami - stwierdziła. Sama umierała z chęci wypicia filiżanki herbaty i zjedzenia chleba z margaryną - nie, nie z margaryną! Z

masłem, prawdziwym masłem. Na myśl o tym jej własny żołądek potężnie zaburczał.

Po posiłku poszli na mały spacerek wzdłuż plaży, żeby dać odpocząć nogom. Dzieci zdjęły buty i skarpetki i chlapały się w spienionej wodzie. Lily poskarżyła się, że woda jest „zimna jak lód”. Marta zaczęła zbierać do kieszeni muszelki i kolorowe kamyczki: chciała je potem w domu włożyć do szklanego słoja i ustawić na parapecie na pamiątkę tego dnia w New Brighton.

Kiedy miała już pełne kieszenie, a dzieciaki włożyły z powrotem skarpetki i buty, wrócili do wieży, tym razem do lunaparku: Marcie starczyło na szczęście pieniędzy, żeby Lily z Georgiem mogli się przejechać górską kolejką po serpentynach, poza tym kupiła trzy rożki z lodami i zapłaciła za powrotny rejs promem.

* * *

Marta płynęła do domu z dziećmi przy obu bokach: Georgie położył główkę na jej kolanach, a Lily oparła się o jej ramię - ciała dzieci były rozgrzane i takie kochane! Sama, niemal zasypiając, leniwie patrzyła na słońce unoszące się jak balon na ciemniejącym niebie. Widziała, jak powoli się zbliża do horyzontu, a jego odbicie tańczy na coraz ciemniejszej wodzie rzeki.

Kiedy dotarli na King's Court, czekał na nich list od Joego. Lily przeczytała go głośno.

Droga Mamo!

Jest zabawnie w tej Francji, ponieważ jest właściwie zupełnie taka sama jak Anglia. Wylądowaliśmy w miejscu, co się nazywa Calais, i pojechaliśmy ciężarówkami do obozu, niedaleko od wsi. Kiedy ludzie nas zobaczyli, zaczęli wołać „Vive les Anglais”, to znaczy „Niech żyją Anglicy”. Wszystko tu jest zielone i płaskie i na polach pasie się bydło, zupełnie jak w Anglii. Krowy i owce też są takie same jak w Anglii.

Obóz nie ma żadnych porządných budynków, tylko namioty. Ja z innymi chłopakami śpimy w namiocie i jest jeszcze jeden naprawdę wielki, do jedzenia i do chodzenia na mszę i na wykuady. Nawet klo jest w namiocie...

- Co to są „wykuady”, mamó? - chciał wiedzieć Georgie.

- Pojęcia nie mam, kochanie.

Lily powiedziała też, że nie wie. Czytała dalej:

A w ogóle my wszyscy w tym obozie to młodziaki i mówi się o nas, że mają nas posłać do domu, bo jesteśmy nieletni i w ogóle tu nie powinniśmy być.

Więc nie wiadomo, jak będzie: możesz mnie zobaczyć o wiele wcześniej niż myślisz.

Twój kochający Joe.

Kiedy Lily skończyła czytać, Georgie wykrzyknął:

- Wcześniej niż myślimy, powiedział! Możemy naszego Joe zobaczyć wcześniej niż myślimy.

Marta przysięgłaby, że serce jej rośnie z radości. Jeżeli nie przyjazd Joego, to sam jego list był najlepszym możliwym zakończeniem tego wspaniałego dnia.

* * *

W poniedziałek czekała na Kate przed wystawą sklepu zoologicznego i pomachała jej listem.

- To od naszego Joego, napisał z Francji - wołała ze śmiechem. Kate aż klasnęła w dłonie.

- Nie mogę się doczekać, żeby go przeczytać! - Złapała Martę za rękę. - Ale chodźmy najpierw do naszej kawiarni.

Pięć minut później, już w kawiarni na Central Station, Kate podniosła oczy znad listu.

- Możliwe, że niedługo wróci do domu - zawołała z płonącymi policzkami. - Och, Marto, to byłoby cudowne!

- Prawie nie mogę uwierzyć - cieszyła się Marta. - Nie mogłam spać w nocy. Myślałam tylko o Joem. Zaraz jak przyjedzie, ściągnę z niego ten pieprzony mundur, zanim się

obejrzy, i wsadzę na niego stare rzeczy. A kiedy będzie miał osiemnaście lat, a wojna jeszcze się nie skończy, przywiążę go za nogę do łóżka, tak żeby się nie mógł ruszyć z domu.

- No, a co z waszym Frankiem? - przypomniała jej Kate. - Ma siedemnaście lat, prawda? Gdyby on się zaciągnął, będziesz się martwiła?

- Pewnie, że tak, ale nasz Frank jest taki: on dobrze wie, z której strony jego chleb jest masłem posmarowany. - Nie chciała wyjaśniać dokładnie, co Frank w tej chwili wyprawia. - Nie, to nie jest taki typ, co dałby się wziąć do wojska za nędznego szylinga dziennie, w dodatku z ryzykiem, że może zostać ranny, a nawet zabity.

Aż zadrżała na myśl, że coś takiego mogłoby się przytrafić jej Joemu. Ale przecież nie teraz, kiedy miał wrócić do domu.

* * *

Marta wyszła najwyżej minutę temu, kiedy ktoś wślizgnął się na miejsce, które opuściła.

- Wygląda pani na bardzo z czegoś zadowoloną, panno Kellaway - zauważył Clive Dexter. Sam wyglądał niezwykle wytwornie w szarobrazowym tweedowym garniturze i krawacie z miękkiej wełny.

- To dlatego, że Joe wraca do domu, panie Dexter - odparła Kate, starając się stłumić uczucie zadowolenia i zaskoczenia jego niespodziewanym przybyciem.

- To dobra wiadomość.

Uśmiechał się, ale Kate się wydało, że nie wkładał w ten uśmiech serca. Po prostu usiłował być miły.

Och, ale ona go kochała! Czuła, jak mdli ją w żołądku z powodu bliskości jego bladej przystojnej twarzy, jego wygiętych ust, ładnego nosa, który nie był ani za długi, ani za krótki, tylko zupełnie doskonały. Zaglądała do sekretariatu szkoły tyle razy na dzień, by sprawdzić, czy może nie zostawił

dla niej wiadomości, że to już zaczęło być krępujące. Ale nie było żadnej.

- Szukał mnie pan? - spytała. Jego odpowiedź średnio jej pochlebiła.

- Coś w tym rodzaju. Właściwie szukałem Marty. Już poszła, czy pani na nią czeka?

- Już poszła.

- Byłem tylko ciekaw, czy mój list do Ministerstwa Wojny wywołał jakiś skutek.

- Gdyby tak było, Marta coś by mi o tym wspomniała. Ale dostała list od Joego z Francji.

- I napisał, że wraca do domu?

Skinęła głową, marząc, żeby interesował się nią tak samo, jak Joem i Martą.

A poza tym - czy teraz nie mieli już sobie mówić po imieniu? Naprawdę nie zamierzała mówić do niego „Clive”, skoro on ją nadal nazywał „panną Kellaway”.

Z zadowoleniem zatarł ręce.

- Skoro tak - to znaczy, kiedy wraca do domu - urządzę dla niego przyjęcie.

Spojrzał na nią uprzejmie.

- Pani jest oczywiście też zaproszona, panno Kellaway.

- Dziękuję, panie Dexter.

Urządzi przyjęcie dla Joego i zaprosi ją. Ależ to niesłychanie uprzejmie z jego strony! Gdyby nie ona, nie miałby pojęcia, że Joe w ogóle istnieje.

Że też musiała się zakochać w tak irytującej osobie, pomyślała z rozpaczą.

- To mi przypomina - ciągnął - że muszę napisać do pani rodziców i zaprosić ich wkrótce na obiad. A może lepiej byłoby na niedzielny lunch? Ormskirk jest za daleko, żeby wracać samochodem po nocy. A teraz robi się ciemno coraz wcześniej i wcześniej. Zauważyła pani?

Kate drętwo kiwnęła głową. Po przeciwnej stronie sali kawiarnianej za kontuarem palił się rząd małych lamp gazowych: ich płomyki odbijały się w lustrze. Wyglądały ładnie, ale przypomniały jej o bliskiej już zimie i Gwiazdce. Niedługo trzeba będzie zacząć kupować prezenty. Zwykle ją to bawiło, ale nie w tym roku. W gruncie rzeczy cieszyła ją każda pora roku: po zimie następowała wiosna; wiosna z kolei zapowiadała piękne lato; lato przechodziło w jesień; i nagle znowu była zima, z jej czystym, mroźnym powietrzem. Kate uwielbiała śnieg, wieszanie dekoracji świątecznych i noszenie szarych karakułów mamy wraz z dobranym do nich kapeluszem, bo czuła się w tym stroju jak jakaś zagraniczna królowa.

A teraz wszystko się popsuło - wszystko! Dlatego, że się zakochała w tym nienawistnym indywiduum, siedzącym teraz naprzeciwko niej.

- Skoro zapraszam pani rodziców, czy mogłaby pani przyjść także, panno Kellaway? - zapytał. - Jeżeli dobrze pamiętam, gdy byłem na obiedzie w pani domu, nie była pani zbyt zadowolona z mojej obecności. - Rzucił jej przeproszający uśmiech. - Ale nie mam zwyczaju zachowywać urazy. Proszę się czuć zaproszoną, oczywiście, o ile pani zechce.

- Dziękuję, panie Dexter, ale w niedziele zwykle odwiedzam przyjaciół w... w rozmaitych miejscach. W każdym razie bardzo dziękuję za zaproszenie: doceniam to.

Czasami była największym wrogiem dla siebie samej.

Rozdział 9

Kiedy po spotkaniu z Kate Marta wróciła do fabryczki, Mister i Jacquetta byli akurat w samym środku niewątpliwie dobrodusznej dyskusji. Jacquetta mówiła szybko w języku, którego Marta nie rozumiała, a Mister odpowiadał jej powoli, po angielsku.

- Przestań się martwić - usłyszała Marta jego słowa, kiedy wchodziła do budynku. Z bełkotliwej odpowiedzi Jacquetty, uzupełnionej dramatycznym wzruszeniem ramion, Marta wywnioskowała, że to coś w rodzaju „To już będzie tylko na twojej głowie!” - określenie, którego i Marta często używała, zwykle podczas rozmów z Frankiem.

Para doskonale się bawiła na wyspie Man. Mister kupił sobie laskę spacerową z rączką w kształcie ptaka, opowiadała Jacquetta, a jej sprawił parasolkę z falbankami.

- Codziennie rano chodziliśmy na spacer po całym Douglas - chwaliła się. - Mister ze swoją laską, a ja w najlepszym kapeluszu i z nową parasolką. Czuliśmy się naprawdę wspaniale.

- Bo tak powinno być - przyznała Marta.

Wyobrazila sobie tę niezwykłą parę, spacerującą pod rękę. Wszyscy musieli się za nimi oglądać. Przypomniła sobie, że Carlo kiedyś planował wyjazd z nią na wyspę Man, gdzie jeden z jego kuzynów, Freddy, miał salon z lodami, ale po „wypadku” Carlo stracił z nim kontakt - zresztą nie tylko z kuzynem, ale z całą rodziną we Włoszech, włącznie z matką.

Poszła do szefa i pokazała mu list Joego. Mister przeczytał go trzy razy, podczas gdy jego uśmiech stawał się coraz szerszy. Przejmował się losami Joego o wiele bardziej, niż własny ojciec chłopca. Wczoraj zostawiła list na stole, żeby Carlo mógł go przeczytać, ale nic o tym nie wspomniał, więc nie wiedziała, czy go czytał, czy nie.

Tego wieczoru po powrocie na King's Court Marta zorientowała się, że ma gości. Lily i Georgie podejmowali pod jej nieobecność Arthura Hansona, asystenta majora Normana Browna, członka Parlamentu reprezentującego Liverpool.

Kiedy weszła, pan Arthur wstał i ukłonił jej się niemal w pas. Czowała się podwójnie skrępowana: to, że stała przed nim w roboczym ubraniu, już było dostatecznie przykre, ale przyjmowanie go w tak odrażającym miejscu, jakim od dziesięciu lat stał się jej dom, było jeszcze gorsze.

- Ma pani dwójkę naprawdę uroczych dzieci, pani Rossi - zauważył, zanim Marta miała czas przeprosić za którykolwiek z elementów swojego życia. - Lily przygotowała mi filiżankę herbaty, a Georgie narysował obrazki, które zaraz jutro powieszę sobie na ścianie w biurze. - Wziął kilka kartek, które Georgie widocznie wyrwał ze swojego bloku rysunkowego, i wsunął do skórzanej teczki.

Marta zdobyła się na słaby uśmiech. Wyglądał tak miło, robił wrażenie tak szczerego, a dzieci były w nim wręcz zakochane. Poprosiła, żeby znowu usiadł. Sama przysiadła na stołeczku.

- Czy pani otrzymała notatkę, którą zostawiłem... kiedy to było? - Zmarszczył czoło. - Och, już parę tygodni temu. Pukałem, ale nikt się nie odzywał, więc włożyłem kartkę do skrzynki na listy.

- Pewnie się zawieruszyła.

Czowała się winna, że nie sprząta korytarza, ale to należało do obowiązków wszystkich w domu, nie tylko jej. Inni lokatorzy po prostu brodzili w śmieciach, aż w końcu Marta się zabierała do porządków w tym miejscu, mniej więcej raz w miesiącu. Przypomniała sobie, że Kate też przecież wysłała jej kartkę, która musiała się zawieruszyć tak samo, jak wiadomość od Arthura Hansona.

- Tak właśnie myślałem, że coś podobnego musiało się wydarzyć. W tej notatce prosiłem panią o pisemną zgodę dla sir Arthura Markhama, członka Parlamentu, na poruszenie w Londynie sprawy Joego. Chce to zrobić, bo wziął sobie do serca cały ten skandal z nieletnimi żołnierzami.

- Na pewno bym się zgodziła, tyle że już nie trzeba. Widzi pan, dostałam właśnie list od Joego: wraca do domu. - Marta czuła, jak na samą myśl o tym krew jej zaczyna żywiej krążyć w żyłach. Wyciągnęła list z kieszeni. - Chce pan przeczytać?

Podawała mu list i patrzyła, jak odczytywał słowa Joego. Miał taką miłą, przyjazną twarz i z pewnością się przejmował losami jej syna. Przypomniała sobie, jakie na niej zrobił wrażenie przy ich pierwszym spotkaniu.

- Tak, słyszałem o tym obozie dla młodzików pod Calais - powiedział. - Cóż, miejmy nadzieję, że Joe już niebawem wróci do Anglii.

- Nie możemy się doczekać! - radośnie westchnęła Lily.

- Żadne z nas nie może - dodała Marta.

- Ma szczęście ten chłopiec - powiedział gość serdecznie - że może wrócić do takiej kochającej rodziny. Niektórzy uważają, że najważniejsze dla nich w życiu są pieniądze, piękne domy czy dobre jedzenie. Tymczasem nie ma nic cenniejszego od domu, w którym panuje miłość - a właśnie tak jest tutaj, pani Rossi. - Znowu się podniósł. - Teraz już muszę państwa opuścić, nadchodzi pora kolacji. Ale gdybym mógł się kiedyś w przyszłości na coś przydać, proszę się nie wahać, tylko przyjdź do mnie. - Zatrzymał się przy drzwiach.

- Do widzenia, dzieciaki. Dziękuję za herbatę i rysunki.

- Do widzenia, panie Hanson - zawołali chórem Lily i Georgie. Marta podeszła razem z nim do frontowych drzwi.

- Cieszę się, że Joe wraca - powiedział Hanson już na schodach.

- Sytuacja we Francji i tak już dostatecznie zła, teraz wygląda na gorszą niż kiedykolwiek. Chyba się zbliża kolejna wielka bitwa. - Potrząsnął jej ręką. - Lepiej, żeby Joe był od tego z daleka.

Z tymi słowami odszedł.

Marta przez krótką chwilę patrzyła na dzieci bawiące się na podwórzu. Ich matki w ogóle nie zwracały uwagi na to, jak się już zrobiło zimno. Mały Tommy Mahon, już od dawna bez bandaża, miał na sobie tylko brudny podkoszulek, o wiele na niego za duży. Czym prędzej zamknęła drzwi: jej szczęście było zbyt cenne, żeby je niszczyć takim widokiem. Przeżegnała się i podziękowała Bogu za odesłanie jej syna z powrotem do kochającej rodziny.

* * *

Chryste Panie, w tym zakazanym kraju robiło się ciemno o wiele wcześniej niż powinno. Sierżant Reggie Moules dygotał, wyciągając ręce w stronę nędznego ognia w kuchni jakiejś opuszczonej wiejskiej chałupy. Miał o wiele za dużo opału, ale palenisko było o wiele za małe - nie, chyba było odwrotnie: za duże palenisko, ale za mało opału. Odrobina drewna pozostawionego przez gospodarzy wypaliła się już parę godzin temu, a było zbyt ciemno, żeby chodzić na poszukiwanie nowego. Jutro będzie musiał wstać...

Westchnął. Podrzucano go do tej chałupy parę dni temu razem z polowym radiem i powiedziano, że to będzie teraz centrum łączności. Jeśli to miał być cholerny żart, to niezbyt udany. W tym przeklętym miejscu nie było linii telefonicznej, a sygnał radiowy diabelnie kiepski. Nikt się nie pofatygował, żeby mu zostawić jakikolwiek pojazd. Pomyśleć tylko! Nigdy się nie nauczył prowadzić, chociaż bardzo chciał spróbować. Co niby miał zrobić z każdą wiadomością, którą mógłby otrzymać, oczywiście pod warunkiem, że ktoś sobie

przypomni, iż centrum łączności mieści się blisko wioski Saint - Omer, pomiędzy Calais i Loos?

W szopie obok domu znalazł dwa stare rowery, ale gdyby musiał odjechać rowerem, żeby zawieźć wiadomość, kto pilnowałby radia? Zresztą nigdy się nie nauczył dobrze jeździć na rowerze, nawet w dzieciństwie. Wystarczyło, że kilka razy nacisnął pedały, a już się czuł zmęczony. A co by się stało, gdyby trzeba było rozwieźć dwie wiadomości, pod dwa różne adresy? W stronie Loos zaczynały się walki, a w Calais był obóz pełen chłopaków, których mieli odesłać do Blighty. Naprawdę potrzebował ludzi, nie tylko do pomocy w funkcjonowaniu tego centrum, ale i dla towarzystwa. Poza tym potrzebował więcej jedzenia, więcej opału, czystych ubrań, książek, ciemnego piwa, talii kart i czarnowłosej dziewczyny z piersiami jak futbolowe piłki, która miałaby słabość do łysych mężczyzn z brzuszkiem.

Podszedł do okna i wyjrzał. Płasko, płasko... wszystko tu było płaskie jak cholerny naleśnik, a niebo wyglądało jak szary, poplamiony koc. Żadnego pagórka, najwyżej dziwaczne drzewo przypominające szkielet i od czasu do czasu wiejska chałupa. Żadnych latarni ani świateł w oknach, ani ludzi, ani księżycy. Kiedy tylko szare niebo zrobiło się czarne, zaczął się obawiać, że ślepie, bo z okna nie widział absolutnie nic. Widok był tak całkowicie różny od widoku z okien jego domu w Bolton, jak tylko jakiś widok może się różnić od innego.

- Cholerny świat!

Aż jęknął głośno, ale ten jęk się zakończył uśmiechem. Tam w Bolton zostawił żonę, Emily. I wolał już być tutaj, w tej ciemnej, opustoszałej, prawie nieumeblowanej i okropnie zimnej wiejskiej chacie, nawet gdyby nie miał już nigdy zobaczyć żywej duszy - niż przebywać w domu z Emily.

W końcu przede wszystkim dlatego się zaciągnął, żeby od niej uciec.

* * *

- Joe Rossi? Czy szeregowy Joe Rossi jest obecny? - wołał czyjś głos. - Rossi? Szeregowy Joe Rossi!

- Obecny, panie kapralu!

Głos jednak nie przestawał wykrzykiwać, a Joe odpowiadać, aż on i właściciel głosu, kapral Horace Miller stanęli przed sobą twarzą w twarz w mesie, gdzie żołnierze właśnie kończyli jeść południowy posiłek.

- Aha, jesteś tutaj, Rossi - rzekł kapral wyraźnie zirytowany, jakby Joe próbował go wywieść w pole. Kapral był niskim i szczupłym indywiduum z krzaczastymi wąsami, z ciągle groźnie zmarszczonym czołem. - To prawda, że rozwoziłeś rowerem jarzyny, żeby zarobić na życie?

- No, niedokładnie, żeby zarobić na życie, panie kapralu. - Nie zarobiłby na życie: to było tylko parę szylingów tygodniowo. - Po prostu to było moje zajęcie.

- A to nie to samo?

Joe nie był gotów do dyskusji na ten temat.

- Może i tak - przyznał.

- Wobec tego chodź za mną.

- Dokąd idziemy, panie kapralu?

- Jak za mną pójdziesz, chłopcze, to się dowiesz.

- To on, sierżancie Moules - powiedział kapral w dobre pięć minut później, kiedy już się przepchnęli przez powoli pustoszejący namiot. - To szeregowy Joe Rossi. Inteligentny chłopak, czyta książki i wie coś niecoś o futbolu - czyim jesteś fanem, Joe?

- Everton - odparł Joe z dumą.

- Czy jesteś liverpoolczykiem, Joe? - zainteresował się sierżant.

- Tak, panie sierżancie - odpowiedział Joe z jeszcze większą dumą.

- A jakie książki czytasz?

- Przeczytałem kilka o Sherlocku Holmesie, a teraz jestem w połowie Klubu Pickwicka. - Dostał tę książkę od pana Houghtona z King's Court. Nie przyznał się sierżantowi, że trochę ciężko szło mu jej czytanie. Inaczej niż w książkach o Sherlocku Holmesie, w Klubie Pickwicka niewiele się działo. Jak dotąd nikogo jeszcze nie zamordowano.

- Mądry chłopak - powiedział z uznaniem sierżant Moules. - Sam to czytałem, ale nie będąc w twoim wieku. Ile ty właściwie masz lat?

- Osiemnaście, panie sierżancie - skłamał natychmiast Joe.

- Bujać to my, ale nie nas, chłopie. Gdybyś miał osiemnaście, nie trzymaliby cię w tym obozie.

- No, więc czternaście, panie sierżancie.

- Kiedy tych smarkaczy odsyłają do domu? - zwrócił się sierżant Moules do kaprała.

- Oj, naprawdę nie mam pojęcia, sierżancie. Czekamy na potwierdzenie z kwatery głównej.

- Równie dobrze już mogło przyjść do centrum łączności - zauważył sucho sierżant. - Czy mógłbym sobie wypożyczyć Joego na parę dni, aż dostanę kogoś na stałe? W tej chałupie są dwa rowery, tak że mógłby mi rozwozić wiadomości.

- Bardzo bym chciał, panie sierżancie! - zawołał Joe z przejęciem. Obozowe życie było nudne. Właściwie nie mieli tam nic do roboty oprócz słuchania wykładów, zwykle na ten sam temat: religii albo higieny. Był jeden o tym, żeby się trzymać z daleka od „cudzołożnic”, okropnie śmieszny. - Ale... a co z moim kolegą, Albertem Lloydem? Nie mogę pójść i zostawić Albiego.

- Zrobisz to, co ci się każe, Rossi - prychnął kaprał, ale sierżant Moules powiedział beztrąsko:

- Pozwólcie, kapralu, pójść też i temu Albiemu, jeżeli zechce. Może mi pomagać w sprzątaniu chaty, w gotowaniu,

na przykład. Mówiąc prawdę, leń ze mnie, nie umiem gospodarować. A teraz będę wdzięczny, jeżeli za kilka godzin przygotujecie mi dokumenty obu chłopców. Dziś rano podwiozła mnie tu ciężarówka z zaopatrzeniem: będzie wracała gdzieś o wpół do czwartej. - Sierżant rzucił wesoło okiem na Joego. - A co do ciebie, kolego, i twojego przyjaciela Albiego, to możecie obaj pakować manatki.

* * *

Joe bardzo polubił pracę posłańca. Uwielbiał pusty wiejski krajobraz, przez który pędem przejeżdżał. To mu dawało poczucie swobody, jakiego nigdy przedtem nie doznał: czuł się, jakby był jedynym człowiekiem na świecie. Ulubioną porą dnia był dla niego wczesny ranek, kiedy słońce stało tuż nad horyzontem - naprawdę mógł widzieć horyzont, co w Liverpoolu było niemożliwe - a także drzewa i krzaki, z których kapła rosa, i wszędzie pachniało świeżo ziemią i naturą. Joe wyobrażał sobie, że tak właśnie musiała pachnieć ziemia na samym początku, jeszcze zanim zbudowano fabryki, które całe niebo zasnuły dymami z kominów.

Zwykle jeździł do miejscowości o nazwie Loos, gdzie toczyły się walki, albo do obozu, w którym przedtem mieszkał z Albiem. Rzadko spotykał w drodze jakiś pojazd, a jeżeli już, to z reguły wojskowy: brytyjski albo francuski. W takim wypadku zarówno pasażerowie pojazdu, jak i Joe byli tak przejęci nawzajem swoim widokiem, że się nie obywało bez potężnej porcji okrzyków, pozdrowień i trąbienia. Joe zsiadał z roweru i machał ręką, aż pojazd mu zniknął z oczu, a ręka drętwiała.

Czasami spotykał konia z jeźdźcem albo parę zwierząt ciągnących jakieś rolnicze maszyny, jak pługi, czy coś w tym rodzaju. Te z reguły należały do Francuzów. Większość z nich opuściła swoje wiejskie domy i gospodarstwa, które teraz mijał: nic dziwnego, skoro armia niemiecka była niedaleko.

Tylko kilku Francuzów uparło się zostać i opiekować swoim kawałkiem ziemi, żeby nie zarósł chwastami.

Joe nie mógł się doczekać, kiedy opowie mamie o swoich przygodach posłańca. Ciągłe myślał o napisaniu listu, ale noce mu teraz schodziły na grze w karty z sierżantem Moulesem i Albiem, na opowiadaniu sobie nawzajem historii z życia każdego z nich w starym, poczciwym Liverpoolu i w Bolton - no, i na dyskusjach na temat piłki. Sierżant miał żonę - wiedźmę imieniem Emily, która go zameczała na śmierć swoim zrzędzeniem tam, w Bolton.

Kiedy Joe dotarł już do celu, zawsze był gorąco witany przez wszystkich. Pomiędzy żołnierzami istniało prawdziwe koleżeństwo i wzajemne ciepło. W końcu każdy z nich tkwił w tym tak samo jak reszta, co było gwarancją najlepszej przyjaźni. Zawsze się znalazł ktoś, kto wziął Joego pod swoje skrzydła, poczęstował kubkiem herbaty i porządnym jedzeniem - zależnie od tego, co akurat zjedli albo niebawem mieli zjeść - po czym odsyłano go z powrotem do centrum łączności w Saint - Omer.

Pewnego ranka, w dwa tygodnie po ich przeniesieniu - bo te „parę dni”, na które sierżant sobie wypożyczył chłopaków, rozciągnęło się już w tygodnie - akurat był w drodze powrotnej, kiedy chwyciło go nagle dokuczliwe pragnienie, więc postanowił, że się zatrzyma przy najbliższej zagrodzie i poprosi o wodę, o ile tam kogoś znajdzie. Bardziej prawdopodobne było, że zagroda będzie pusta, a wtedy może przecież sam sobie wziąć wody z kranu na podwórzu.

Najbliższym miejscem była rozwalająca się chałupa z paroma budynkami z tyłu. W oknach wisały zasłonki, ale na pukanie Joego nikt nie odpowiedział. Jak przypuszczał, na tyłach domu znalazł kran. Właśnie wlewał sobie do ust zimną wodę, kiedy usłyszał jakiś dźwięk, coś, co przypominało żalną czkawkę.

Ugasiwszy pragnienie, rozejrzał się, szukając źródła tego dźwięku, i ku swemu przerażeniu zobaczył, że właściciele domu nie tylko zostawili tam psa, ale go przywiązali do słupa przed niewielką stodołą. Był to owczarek collie, ale na pierwszy rzut oka przypominał już teraz tylko kłęb białej i złotobrazowej sierści, rzuconej na kamienie.

Joe ukląkł obok niego.

- Cześć, staruszk... - wyszeptał.

Pies z trudem otworzył przekrwione oczy i znowu wydał ten czkający odgłos.

- No cóż... nie zostawię cię tu przecież, jak sądzisz? Podniósł zwierzę z ziemi - było leciutkie niczym piórko. Odwrócił psa tak, że leżał mu w ramionach jak dziecko, i został nagrodzony czułym trąceniem w brodę.

- Ale jak ja cię stąd zabiorę?

Nie bardzo dałby radę jechać na rowerze, taszcząc psa. Zaniósł stworzenie pod kran, tak że strumień wody lał mu się prosto do pyska. Pies pił i pił, aż do wyczerpania.

- Zajrzyjmy teraz do tej stodoły - mruknął Joe.

Stodoła miała tylko trzy ściany i połowę dachu. Leżały tam zardzewiałe łopaty, motyki i grabie oraz prymitywnie sklecona taczka z jednym drewnianym kołem. Idealna!

Oczywiście psa trzeba będzie przymocować do taczki, inaczej z niej wypadnie. To zaś oznaczało, że Joemu będzie potrzebny sznurek, w dodatku na tyle długi, by to wszystko przywiązać do roweru i pociągnąć. Zauważył sznur do bielizny, rozciągnięty na podwórzu, który byłby w sam raz.

Postanowił wejść do domu i sprawdzić, co jeszcze tam mógłby znaleźć. Ułożył psa w taczce i wytłumaczył mu, że idzie po jakieś kocyki, żeby było mu wygodniej jechać.

- Zobaczysz, jeszcze ci przyniosę poduszeczkę, jeżeli tylko znajdę.

Nie zaskoczyło go, że drzwi do domu były zamknięte, ale Joe, bardziej niż kiedykolwiek przedtem rozgniewany na tych łotrów, co zostawili stworzenie na pastwę losu i pewną śmierć z głodu i pragnienia, po prostu ze złością kopnął drzwi. Otworzyły się natychmiast.

Miejsce było żałosne, ciemne i brudne, ale Joe się tym nie przejął. Przeszukał kuchnię, rozglądając się za czymś, co mogłoby się ewentualnie przydać w centrum łączności, jednak półki i szuflady były puste. Na górze to samo, z wyjątkiem paru sfatygowanych kocyków i sterty starych butów oraz brudnych łachów.

- Tylko to znalazłem - powiedział psu, owijając go w jeden z koców. Drugi poskładał i ułożył na dnie taczki, tak że zwierzę na nim leżało. Ściągnął sznur do bielizny i owiązał nim taczkę, psa i koce, a następnie wszystko to przytroczył do siodełka roweru.

- Gotów do drogi? - spytał psa. Pies czknął i ruszyli.

* * *

Sierżant i Albie czekali przy furtce, kiedy Joe i jego pasażer nareszcie dotarli na miejsce po długiej, powolnej i wyboistej podróży.

- Gdzieś ty się u diabła podziewał, chłopie? - popędliwie spytał sierżant Moules. - Baliśmy się o ciebie okropnie. Prawda, Albie?

Ale Albie był zbyt zainteresowany psem, żeby go słuchać.

- On chyba nie żyje - powiedział po krótkich oględzinach.

- Lepiej, żeby tak nie było. - Joe miał nadzieję, iż podróż nie wykończyła biednego stworzenia. Odwiązał sznur i wniósł zwierzę do domu.

- Nalej trochę wody do miski i postaw na podłodze - polecił Albiemu. - Zobaczymy, czy będzie mógł pić.

Psu udało się parę razy łyknąć wody, zanim znowu opadł bez sił na koc.

- Co mam teraz zrobić? - spytał Joe sierżanta. - Nigdy nie mieliśmy w domu psa.

- Myślę, że najlepiej go położyć blisko ognia, zawiniętego w koc - doradził sierżant - ale nie za blisko. I zostawmy mu wodę, tak by mógł do niej sięgnąć, to kiedy będzie chciał, może się napić. Położymy mu też trochę jedzenia, kawałki chleba. Właściwie to najlepiej namoczmy mu ten chleb w wodzie. Jak jutro poczuje się lepiej, to zje coś porządnego.

- No, i musimy go jakoś nazwać - dodał Joe. - Nie możemy o nim mówić po prostu „pies”.

Albie siedział na podłodze obok psa i odmawiał „Zdrowaś Mario” na intencję jego wyzdrowienia. Sierżant dokładnie obejrzał psa.

- To nie jest pies, tylko suka - orzekł. - Proponuję ją nazwać Emily, po mojej żonie. Nie będę miał nic przeciwko temu, żeby czasem opieprzyć tę Emily, tak dla odmiany, nawet jeśli nie jest człowiekiem. Och, dobrze już, nie będę jej opieprzał - dodał, widząc zaniepokojoną twarz Joego. - Ale przynajmniej mogę jej rozkazywać. To mi wystarczy.

* * *

Kilka następnych tygodni to były najlepsze chwile w życiu Joego.

Cała trójka - czwórka, jeśli liczyć też Emily, która nie wiadomo kiedy doszła do siebie i teraz była zdrowa jak ryba - doskonale się czuła razem. Albie, zawsze trochę niepewny siebie, tak że Joe musiał często stawać w jego obronie, jeszcze w szkole, a ostatnio parę razy także w wojsku - stał się bardziej towarzyski i ufny. Sierżant Moules był, jak sam mówił, leniwym draniem, więc całe gotowanie i sprzątanie, a teraz jeszcze wyprowadzanie Emily na spacer spadło na Albiego. Czasem też kolega towarzyszył w drodze Joemu na drugim rowerze. Początkowo Joe musiał go zostawiać w tyle mniej więcej w połowie trasy i w powrotnej drodze zabierać

ze sobą, ale Albie, podobnie jak Joe, był teraz zdrowszy niż kiedykolwiek i szybko nabrał dosyć energii, żeby jeździć równie szybko, jak przyjaciel.

Joe zaczął pisać list do mamy. Pewno wprost nie uwierzy, jakie życie teraz prowadzi jej syn. Ale jakoś nigdy nie miał czasu, żeby skończyć ten list.

Sierżant Moules lubił rzucać kijkiem, który Emily łapała.

- Łap! - wołał. - Kochana sunia. Przynieś zaraz panu patyczek.

Sierżant też czuł się teraz tak dobrze, jak nigdy w życiu, ale wiedział, że nie będzie to trwać wiecznie. Trwała wojna - i to niezła wojna - i nie było w porządku, żeby on, czy ktokolwiek inny się nią cieszył. Nie wiedział, czy chłopcy to zauważyli, ale kiedy się weszło na górę w ich domku, na sam strych, kiedy było ciemno, i wyjrzało przez okno w stronę Loos, na niebie widniała okropna, groźna łuna, czerwona i zmieszana z czarnym dymem, a od czasu do czasu pojawiały się towarzyszące wybuchom pomarańczowe płomienie. A gdy się otworzyło okno i dobrze wsłuchało, można było dosłyszeć grzmoty salw armatnich i - sierżant był przekonany, że to też - krzyki konających.

* * *

Był kolejny typowy wrześnieowy dzień, niedziela, troszkę chłodniej niż poprzedniego dnia, słońce zamglone, a powietrze świeże i tak

musujące, że aż dech zapierało. W centrum łączności zainstalowano już telefon i, jak co dzień, zanim Joe i Albie wyruszyli do Loos z kartkami rozkazów, sierżant zadzwonił do obozu w Calais polowym telefonem, by upewnić się, czy to nie tego dnia chłopcy mają wrócić do Anglii.

- Powiedzieli, że pewnie w następny weekend obu was odeślą do domu - oznajmił im właśnie tego ranka. W małym pokoiku na dole było teraz biuro. Wniesiono tam fotel, a na

kominku palił się ogień. Emily leżała przed nim: jej długi nos spoczywał na łapach, jakby się oddawała głębokim przemyśleniom.

Joe i Albie spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami. Za dobrze się ostatnio bawili, żeby myśleć o domu.

Wyszli po śniadaniu z plikiem dokumentów do dostarczenia w Loos pod trzy różne adresy.

- Sprawy w tamtych stronach nie idą dobrze - ponuro oświadczył sierżant.

Joe często słyszał odgłosy bitwy, kiedy tam był, ale postanowił o tym nie myśleć.

Sierżant stanął w drzwiach chaty i machał im ręką na pożegnanie. Nie miał dzieci, a teraz traktował tych chłopców, jak własną rodzinę.

- Do widzenia! - krzyknął, kiedy chłopcy odjeżdżali. Obaj podnieśli ręce i machali, nie odwracając się. - Do widzenia! - krzyknął znowu, ale już go nie usłyszeli. Patrzył za nimi, aż ledwie mógł ich dostrzec, po czym wrócił do chaty.

Nie miał bujnej wyobraźni, był raczej przyziemnym typem, dość ospałym, więc nie rozumiał, dlaczego ma takie dziwne uczucie, że już nigdy więcej nie zobaczy tych dwóch chłopaków.

Rozdział 10

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Joe i Albie jechali do Loos, Kate Kellaway obudziła się z niejasnym wrażeniem, że tego dnia ma się coś wydarzyć - coś nieprzyjemnego.

Zacisnęła powieki i próbowała sobie przypomnieć, co to takiego. Po paru sekundach do niej dotarło: jej rodzice mieli dziś pojechać do Southport na lunch z Clive'em Dexterem.

A ona, z powodu swojej własnej niebotycznej głupoty, nie wybierała się z nimi.

- Ciekawe, dlaczego ciebie nie zaprosił, kochanie? - powiedziała jej matka któregoś dnia w zeszłym tygodniu, kiedy przy śniadaniu przeglądała pocztę i otworzyła zaproszenie od Clive'a. - Uważam, że to raczej niegrzecznie. Myślę, że powinniśmy odmówić. Zobaczmy, co na to powie twój ojciec.

- On mnie zaprosił. - Kate uznała, że powinna to powiedzieć. - Ale odparłam, że będę zajęta.

Kompletna idiotka.

Matka zmarszczyła czoło, odcinając czubek ugotowanego na miękko jajka.

- A czym dokładnie miałaś być zajęta w porze lunchu, w dodatku w niedzielę?

- Szyciem - wymyśliła na poczekaniu Kate. Całkiem straciła ochotę na swoje jajko. - Postanowiłam sama uszyć zimowy płaszcz. Jasnoczerwony, z mosiężnymi guzikami.

Matka wyglądała na nieco przerażoną.

- To brzmi szkaradnie, kochanie. Będiesz w tym wyglądała koszmarnie. Zresztą każdy by tak wyglądał.

- Dzięki za zachętę, mamo. - Kate nie miała najmniejszego zamiaru szyc sobie czerwonego płaszcza, ale poczuła się urażona tą krytyką.

- Co za dziwna z ciebie dziewczyna, Kate Kellaway - rzekła z czułością matka. - Kiedy będę mu odpisywać na zaproszenie, mam napisać, że zmieniłaś zdanie?

- Nie! - Wbiła łyżeczkę w jajko tak gwałtownie, że je przedziurawiła na wylot i żółtko wyciekło. - Nie waż się! Nie mam zamiaru chodzić na lunch z Clive'em Dexterem.

Matka widać jednak uznała, że pora wyłożyć karty na stół.

- Wiesz co, Kate, właściwie zupełnie dobrze go sobie wyobrażam jako zięcia - wyznała całkiem otwarcie. - Jest zawsze taki grzeczny i miły... i z pewnością pochodzi z dobrej rodziny.

Kate dała sobie spokój z jajkiem i wepchnęła do ust potężny kęs chleba z masłem. Wiedziała, że się w tej chwili zachowuje poniżej wszelkiej krytyki.

- Cóż, mamó, w takim razie będziesz musiała poprzestać na wyobrażaniu sobie. Ma narzeczoną; mówiłam ci już o tym przedtem. Jej fotografia stoi na jego biurku.

- Kiedy był u nas, jakoś ani razu nie wspominał o narzeczonej, więc chyba aż tak często o niej nie myśli. A, o ile ja wiem, mężczyzna jest wolny tak długo, dopóki nie odejdzie od ołtarza z żoną u boku.

Odtąd matka ciągle ją próbowała namówić do pójścia na ten lunch. Ale im bardziej się starała, tym bardziej uparcie Kate odmawiała, chociaż coraz bardziej chciała tam pójść.

W niedzielę rano, w dzień owego lunchu, myślała, jak rozkosznie byłoby spędzić całe dwie godziny w jego towarzystwie.

Matka weszła do jej sypialni i spytała, czy Kate zada sobie tego ranka trud podniesienia się z łóżka.

Kate wyskoczyła z pościeli i otworzyła drzwi swojej garderoby.

- Sprzątam teraz pokój. Zastukała drewnianymi wieszakami.

- Odkąd to? A co z tym czerwonym płaszczem, jaki zamierzałaś sobie szyć?

Kate kompletnie zapomniała o płaszczu.

- Nie znalazłam materiału, który by mi się spodobał - skłamała. - Tak czy owak dzisiaj po południu mam dużo roboty do odrobienia w domu. - Tym razem mówiła prawdę. Powinna była poćwiczyć stenografię i pisanie urzędowych pism. Ale wszystko to było obrzydliwie nudne.

- Uważam, że to jeden z poranków, kiedy dobrze by ci zrobiło pójście do kościoła - zauważyła matka pozornie nieracjonalnie.

- Przecież my nigdy nie chodzimy do kościoła - odparła Kate z pretensją w głosie.

Rzeczywiście, nie byli tego rodzaju rodziną. Ojciec był ateistą, matka agnostyczką, a ona... cóż, ona nie miała pojęcia, kim jest. Ani jej, ani siostry nawet nie ochrzczono.

Matka szykowała się dzisiaj bez końca. Przebierała się dwa razy, zanim uznała, że jest zadowolona ze swojego wyglądu. Jaka szkoda, że ona nie może wyjść za mąż za Clive'a Dextera, pomyślała Kate z niechęcią, po czym nagle poczuła się wprost okropnie, gdyż coś takiego byłoby możliwe tylko w wypadku, gdyby jej ojciec, którego kochała całym sercem, umarł.

Kiedy rodzice wychodzili, przytuliła się do ojca, jakby chcąc się wytłumaczyć z tych ohydnych myśli.

- Jedź ostrożnie - poprosiła.

No, bo powiedzmy, że zginąłby dzisiaj w wypadku... To byłaby tylko jej wina. No, matka też mogłaby zginąć z nim razem, i to też byłaby jej wina!

- Czy ty się na pewno dobrze czujesz, kochanie? Zachowujesz się dzisiaj tak dziwnie... - Matka położyła jej rękę na czole. - Jesteś strasznie rozpalona.

- Jak ty to możesz wyczuć, Margaret? - zdziwił się pan Kellaway. - Jesteś w rękawiczkach.

- Nie powinnam jej zostawiać samej w takim nastroju - rzekła matka z niepokojem.

- Ależ nic mi nie jest, zupełnie nic - zapewniała dzielnie Kate. - I nie jestem w żadnym nastroju.

Kiedy rodzice wyjechali, rzuciła się na krzesło i długo wypłakiwała sobie oczy.

Po jakimś czasie się podniosła, wytarła oczy z myślą, jaka z niej trywialna istota, całkowicie pozbawiona charakteru. Połowa ludności świata to mężczyźni. To śmieszne zamartwiać się tak z powodu jednego z tych indywiduów, kiedy dookoła są miliony innych, na pewno o wiele miłszych i dużo, dużo przystojniejszych niż Clive Dexter. Po prostu akurat tak się złożyło, że był pierwszym interesującym mężczyzną, jakiego spotkała, ale na pewno nie ostatnim. W każdym razie taką miała nadzieję.

Z jakiegoś powodu strasznie chciało jej się pogadać z Martą, tyle że nie wypadało jej odwiedzać w niedzielę, kiedy pewnie w domu była cała rodzina, oczywiście z wyjątkiem Joego.

Rodzice Kate przyjechali do domu po południu, zadowoleni z uroczo spędzonego czasu - jak to określiła matka. Ojciec stwierdził, że odbył „nadzwyczaj ciekawą rozmowę z tym twoim młodym człowiekiem”. Kate nie chciała pytać, czy Clive o niej wspomniał, i w końcu poszła spać tak samo wściekła na siebie, jak się tego ranka obudziła.

* * *

Tej właśnie niedzieli u Marty na King's Court zebrała się czwórka dzieci. Tuż przed obiadem zapukała Joyce i spytała, czy ojciec jest w domu.

- Poszedł do baru - powiadomił Georgie, który jej otwierał drzwi.

- W takim razie wejdziemy. Przeprowadziłam ze sobą Edwarda. On wie, jaki mamy problem z tatą, ale nie chcę, żeby się spotkali twarzą w twarz. Przynajmniej wtedy w teatrze ojciec wyglądał w miarę przyzwoicie, a poza tym był trzeźwy.

Georgie nie miał pojęcia, o czym siostra mówi. Jaki problem z tatą? Znał tłumy dzieciaków, których tatusiowie pół dnia spędzali w łóżku, a drugie pół w barze i włóczyli się wszędzie z wiecznie żalonymi gębami. Niektórzy się upijali o wiele bardziej niż ich tata, w dodatku bili swoje żony i dzieciaki, tak że chodziły całe posiniaczone, tymczasem ich tata żadnego z nich nie tknął nawet palcem.

- Frank jest w domu - poinformował. Joyce zmarszczyła nos.

Georgie też nie wiedział, dlaczego. Był ogromnie dumny z Franka, chociaż bardziej lubił Joego. Za Frankiem zawsze włóczyły się tłumy dziewczyn. Często się zdarzało, że jakaś panna zaczepiała na ulicy jego albo Lily i pytała: „Hej, dzieciaki! Co też teraz ten wasz Frank porabia?”.

Ponieważ ani on, ani Lily nie mieli najmniejszego pojęcia, co też porabia Frank, wymyślali rozmaite odpowiedzi. W ich opowiadaniach Frank bywał piratem, doktorem, uczył się galopować na koniu, pojechał do Francji i został Francuzem - taki pomysł rzuciła Lily - był właścicielem tego wielkiego sklepu na Hanover Street, gdzie pracuje Joyce, albo chodził po linie w cyrku. Dziewczeta z reguły robiły wrażenie bardzo tym przejętych.

Dziś Frank miał na sobie płaszcz z wielbłądziej wełny z futrzanym kołnierzem. Kupił go na Paddy's Market za pół korony, jak powiedział mamie.

Georgie siedział i głaskał wełniany rękaw płaszcza, kiedy Frank go z siebie zdjął.

„Biedny wielbłąd”, myślał mały.

Joyce przyszła, żeby zaproponować uroczyste obchody, kiedy Joe wróci do domu.

- Jakieś przyjęcie, powiadam, chociaż może to nie będzie takie prawdziwe przyjęcie - mówiła tym swoim dziwnie wymuszonym „dystyngowanym” głosem (robiła wszystko, żeby się pozbyć liverpoolskiego akcentu). - Obawiam się - tu rozejrzała się ze wzgardą po pokoju - że nie moglibyśmy jednak zaprosić ludzi na przyjęcie tutaj.

Marcie nawet nie przeszło przez myśl robienie tu przyjęcia.

- Nasz Joe był naprawdę zadowolony z tej kolacji, kiedy jedliśmy ryby z frytkami - przypomniała.

- Tak, ja też - zamyśliła się Joyce. - Moglibyśmy właściwie pójść do teatru, a potem na kolację, jak ostatnim razem.

- A kto zapłaci za to wszystko, kochanie? - spytała Marta.
- Ja nie jestem aż taka bogata. - Nikomu o tym nie mówiła, ale już zaczęła oszczędzać, żeby przyjąć Joego, kiedy wróci, i udało jej się zebrać dwanaście szylingów i sześć pensów, ale to było o wiele za mało na taki wieczór, jaki planowała Joyce.

- Edward, tak samo jak ostatnio - z wielkopańska odrzekła Joyce. Edward skromnie przypatrywał się swoim stopom i nic nie mówił. - Edward naprawdę polubił Joego - ciągnęła Joyce - i chce mu zrobić miłą niespodziankę.

Frank, który nie lubił Edwarda, wtrącił z sarkazmem, że i on doda dwa funciaki do składki, na co Edward zaoferował pięć.

Marta się rozgniewała, mówiąc, że to nie aukcja. Joe byłby zupełnie zadowolony z tego, co proponowała Joyce, a Frank i Edward mogą się złożyć po połowie.

Miała nadzieję, że tym razem nie będzie już w teatrze mężczyzn przebranych za kobiety. Na samą myśl o tym robiło jej się mdło.

Spytała Joyce, czy ona i Edward zostaną na kolacji, na co Joyce się skrzywiła i rzuciła „Nie, mamó, dziękuję” tonem, z którego można by wnioskować, że na tę kolację podadzą zdechłego kota. Frank też przeprosił, mówiąc, że wróci później.

- Ktoś mi dzisiaj szykuje kolację gdzieś indziej - oświadczył mętnie.

- Cieszę się, że tylko my zostaliśmy - odetchnęła Marta, kiedy starsze dzieci już wyszły. - Obydwoje zrobili się wyjątkowo wymagający, jeżeli chodzi o jedzenie.

- A co będzie na kolację, mamó? - spytała Lily.

- Mięśny gulasz z kluskami - poinformowała ją Marta.

- Kluski to coś, co lubię najbardziej! - zawołał Georgie, pocierając zgłodniały brzusek. - Tak samo, jak Joe. Ciekawe, czy im w wojsku dają kluski?

- Spytamy go, kiedy wróci - obiecała Marta.

* * *

Tego ranka, przed wyjazdem z Saint - Omer, Albie przygotował potrawkę z jarzyn i zostawił ją w piecyku, żeby pomalutku „doszła”. To znaczyło, że należało podtrzymywać ogień dotąd, aż w izbie robiło się gorąco, a potrawka była gotowa. Jedli ją zwykle z wołową konserwą.

Teraz Joe i Albie wracali z Loos. Jechali spokojnie obok siebie, milcząc. Widoki, które zobaczyli tego ranka, sprawiły, że oniemieli i nie byli w stanie wymyślić nic innego, o czym mogliby rozmawiać.

Joe słyszał oczywiście już przedtem wybuchy, huk strzałów, rat - tat - tata salw armatnich, ale nigdy nie myślał poważnie o skutkach tych okropnych hałasów, o tym, że na skutek tych dźwięków ludzie umierają, albo są strasznie poranieni.

Może po prostu nie chciał o tym myśleć. Słyszał dźwięki, ale świadomie pozwalał sobie wyrzucić je z mózgu.

Tego jednak ranka nie można było ich uniknąć. Kiedy jechali w stronę Loos, słyszeli, że bitwa jest coraz bliżej, chociaż gdy przyjechali, wszystko akurat na chwilę ucichło. Dziesiątki rannych leżały na ziemi, czekając na karetki, które ich miały wywieźć poza linię frontu. Niektórzy mieli na sobie zakrwawione bandaże, co oznaczało, że już się nimi zajęli sanitariusze, zbierający ich z pola bitwy. Innych poprzykrywano, od głowy do stóp, kocami: to już nie byli prawdziwi mężczyźni, ale ciała mężczyzn, których dusze uleciały do nieba.

Joe miał nadzieję, że Bóg ich przyjmie z uśmiechem, z błogosławieństwem i szeroko otwartymi ramionami.

Ale dzisiaj usłyszeli jeszcze inne odgłosy - takie, jakich Joe jeszcze nigdy nie słyszał. To były głosy mężczyzn jęczących, wzdychających, wołających, mówiących do siebie. Wołali głośno jakieś imiona: przywoływali jakąś Jean, Pauline, Esther, Minnie...

- Czy to ty, słoneczko?...

- Gdzie jesteś, mamo?...

- Noga mnie już prawie nie boli, moja Marie...

- Jesteś tu, tato?...

Kiedy chłopcy już doręczyli wszystkie rozkazy, Joe chciał zostać, żeby pomóc rannym, odpowiadać na ich pytania najlepiej, jak mógł, głaskać po czołach, dać im się napić wody, o którą błagali. Nawet już zapytał oficera, który wyglądał na dyżurnego:

- Czy mogę pomóc, sir?

Ale ten odrzucił jego propozycję.

- Wracaj do Saint - Omer, synu. Poza wszystkim, nie powinni cię tu byli przysyłać. Czy to prawda, co słyszałem, że już w tym tygodniu mają was wszystkich młodziaków odesłać z powrotem do Blighty?

- Zgadza się, sir. Nie wiem tylko którego dnia.

- No, to wynoście się stąd, obaj. Sioo!

Jakoś tak dziwnie powiedział, „sioo” - takiego słowa się chyba nie używa przy równie poważnej okazji. Niemniej chłopcy odjechali i byli nawet z tego ich wyrzucenia zadowoleni: właściwie woleliby tu w ogóle nie przyjeżdżać.

- Gdybyśmy się nie zaciągnęli do tego cholernego wojska, moglibyśmy dziś rano pójść na mszę do Świętego Krzyża, a potem sobie pospacerować po dokach... - rzekł Albie, przerywając długie milczenie w powrotnej drodze.

Joe się przyłączył do tych marzeń:

- ... A przy Pier Head spotkalibyśmy Pete'a i Bertiego Slatera...

- I może wybralibyśmy się nawet na wycieczkę promem...

- Albo pojechalibyśmy aż do Lyon's Corner House na herbatę. Tamte dziewczyny chyba były z hotelu Adelphi. - Dziewczyny były hotelowymi pokojówkami, przeważnie z Irlandii, i w niedzielę miały jedyne wolne popołudnie. Chłopcy próbowali z nimi nieśmiałego flirtu.

Albie spytał, zamyślony:

- Żałujesz, że się zaciągnąłeś, Joe?

Joe przytaknął.

- Nie chciałem aż tak bardzo zmartwić mamy. Ale gdybym nie miał mamy i taty, ani braci i sióstr, chyba bym się nie zawahał i poszedłbym walczyć za swój kraj. Chyba nawet mógłbym za niego zginąć, gdyby nikt po mnie nie płakał.

- Ja bym po tobie płakał, Joe - mruknął Albie.

- Ja też po tobie, druhu.

Dojechali do jedynej pochyłości na tej aż nużąco płaskiej drodze, do długiego zjazdu w dół, a potem wzniesienia w górę. Ambicją Joego było zawsze tak się rozpędzić z górki, żeby wjechać na szczyt pochyłości, w ogóle nie naciskając pedałów. Jak dotąd nigdy mu się to nie udało. Mocno schwycił kierownicę, wyprężył nogi i wrzasnął „uiiii!”, pędząc

w dół. Niemal zleciał z roweru, kiedy nagle błyskawicznie przegonił go jakiś samochód, głośno trąbiąc.

- Jeezus Maria! - wykrzyknął Albie, tuż za nim. - O mało nie rymśnałem na ziemię!

Samochód, wojskowy pojazd malowany na kolor khaki, zatrzymał się na grzbiecie wzgórza. Kiedy chłopcy tam dotarli, kierowca już stał obok drzwiczek z założonymi rękami. Zsiedli z rowerów, ale żołnierz się nie odezwał.

Z wozu rozległo się ostre wołanie:

- Otwórzcie drzwi, kapralu! Żołnierz usłuchał.

Pierwszą rzeczą, jaką Joe dostrzegł, była para wysokich butów, tak wyglansowanych, że wyraźnie widział w nich swoje odbicie. Dostrzegł siebie samego, jak stoi i saltuje. Stojący za nim Albie zrobił to samo.

Właściciel butów pochylił się do przodu. Mundur miał przepięknie wyprasowany: nigdzie ani jednej fałdki. Mosiężne guziki kurtki lśniły, tak samo klamra u pasa. Jego ordynans musiał tego ranka ciężko się napracować, żeby oficer mógł się pokazać światu w tak nienagannym stroju - stroju, który Joe uznał w duchu za zupełnie zbędny, biorąc pod uwagę stan mężczyzn, których dopiero co zostawili za sobą.

Oficer był przystojnym facetem o rysach tak wypranych z wszelkiego wyrazu, że można by je rzeźbić w drewnie. Nawet kiedy mówił, jego wargi ledwie się poruszały. Było w tym jego bezruchu coś, co śmiertelnie przeraziło Joego, o wiele bardziej, niż gdyby oficer się gniewał.

- Kim jesteście, żołnierze? - rzucił chłodnym i całkowicie beznamiętnym głosem, jakby Joe i Albie byli istotami rodzaju, jakiego nigdy dotychczas nie widział.

- Szeregowy Joseph Rossi, sir. - Joe po raz drugi zasalutował.

- Szeregowy Albert Lloyd, sir - głos Albiego zadrżał.

- I dokąd to jedziecie w tak horrendalny sposób? Obaj przynosicie wstyd naszej armii.

- Przepraszam, sir - grzecznie powiedział Joe. Aż do chwili, kiedy pojawił się ten samochód, w okolicy nie było żywej duszy, która mogłaby zobaczyć, jak się zachowują. - Właśnie doręczyliśmy rozkazy do dowództwa Chalk Pit, sir, a teraz mój kolega i ja jedziemy z powrotem do centrum łączności w Saint - Omer, na kolację. - Tęsknie pomyślał o potrawce zrobionej przez Albiego.

Oficer odchylił się na siedzeniu tak, że widać było tylko jego buty: Joe znowu miał okazję obejrzeć swoje niewyraźne odbicie i zastanowił się, ile harówki wymagało doprowadzenie cholewek do tak intensywnego połysku. Żał mu się zrobiło ordynansa, który musiał wykonywać tyle nikomu niepotrzebnej pracy w samym środku tej morderczej wojny.

W tym momencie głos się znowu odezwał, tak zimny, że Joe aż zadygotał.

- Mowy nie ma, żołnierze. Natychmiast wróćcie do dowództwa Chalk Pit i zgłoszcie się do porucznika Cliftona. Powiecie mu, że was posyła kapitan Whitley - Neville. W tej dywizji bardzo brakuje ludzi, tak że się tam przydadacie o wiele bardziej niż tutaj, zabawiając się na rowerach w miejscu, gdzie jest teren działań wojennych.

- Ale, sir - zaprotestował Albie - zostaliśmy wysłani z powrotem do...

- Spokój!

Kapitan stuknął laseczką w drzwi wozu.

Jakakolwiek dyskusja była bez sensu, pomyślał Joe, nic więc nie powiedział. Zauważył, że podbródek Albiego zaczyna się trząść, jakby chłopiec miał się za chwilę rozpłakać.

- A co z ich rzeczami, sir? - spytał kapral.

- Załatwcie, żeby im je przenieśli z centrum łączności do Chalk Pit, kapralu. A teraz bądźcie uprzejmi zamknąć drzwi auta i ruszajcie dalej.

Tylne drzwi wozu się zatrzasnęły. Kapral popatrzył na chłopców i lekko wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Przepraszam, ale nic tu nie mogę zrobić”. Wsiadł do wozu i odjechał.

- Cholera! - zaklął Joe.

- Do pieprzonego diabła... - westchnął Albie. Zawrócili rowery i pojechali z powrotem.

* * *

Następnego dnia Marta z promiennym uśmiechem czekała na Kate przed sklepem zoologicznym.

- Jakieś nowe wiadomości? - spytała Kate, zaciekawiona.
- Od Joego?

- Nie, ale urządzamy coś, kiedy wróci do domu; nie takie zwykłe przyjęcie. Pomyśleliśmy, że można by znowu pójść do Rotundy, a potem na kolację. - Oczy Marty tak jasno lśniły, jakby miały zaraz eksplodować. - Ciekawa jestem, czy ty i Clive Dexter też moglibyście przyjść?

- No... Ja będę mogła, na pewno. Nie wiem, jak pan Dexter - rzuciła Kate niedbale.

Myślała o Dexterze przez caluteńki weekend, tak że jej praca domowa wydatnie na tym ucierpiała.

- A... mogłabyś go poprosić w moim imieniu?

- Jeżeli chcesz... - Może zajrzeć do jego biura w powrotnej drodze do szkoły albo może powinna poczekać do jutra, kiedy będzie miała na sobie coś ładniejszego niż stara granatowa spódnica i żakiet? Wzięła Martę pod rękę. - Pójdziemy na kawę i ciastko?

- A co dają w Rotundzie? - zainteresowała się, kiedy już siedziały przy swoim stoliku w kawiarni.

- Coś, co się nazywa Ciotka Karola (Ciotka Karola (Charley's Aunt) farsa w 3 aktach Brandona Thomasa z roku 1892, która pobiła wszystkie historyczne rekordy popularności sztuk teatralnych. Grana też z powodzeniem w Polsce. Doczekała się wielu wersji filmowych i telewizyjnych.). To jakaś sztuka. Ma jeszcze iść przez dwa tygodnie. Joe powinien już być w domu, zanim to przestaną grać.

- Mam nadzieję, że tak. Zawsze chciałam obejrzeć Ciotkę Karola. Zrobi wszystko, żeby w teatrze siedzieć obok Clive'a. Miejmy

nadzieję, że do tego czasu uszyje sobie nową sukienkę.

- Jestem strasznie przejęta - zwierzała jej się Marta. - To śmieszne, ale od chwili, kiedy Joe poszedł do wojska, spotyka mnie tyle ciekawych rzeczy. Teraz już drugi raz w życiu będę w teatrze, poza tym poznałam tylu miłych ludzi, przede wszystkim ciebie, Kate. - Ścisnęła rękę przyjaciółki. - Nie wiem, co bym zrobiła bez ciebie, dziewczynko.

- Och, Marto - zawołała Kate z uczuciem - to, że cię poznałam, to jedna z najlepszych rzeczy, jaka mi się w życiu zdarzyła!

* * *

- Z prawdziwą przyjemnością poszedłbym do teatru - mówił Clive Dexter tego samego dnia, tyle że trochę później. Kate nie mogła wytrzymać do jutra tylko po to, by włożyć na siebie coś ładniejszego.

Kiedy się spotkali, wydał jej się tak nieprawdopodobnie przystojny, że o mało nie zemdląca.

- Chciałbym poznać resztę rodziny Marty. Moglibyśmy tam pójść razem, prawda? - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - A może ten pomysł panią obraża? Zapomniałem, jaka pani potrafi być drażliwa.

Kate udała oburzenie i przysięgła, że przenigdy nie czuła się obrażona. Żałowała, iż na początku zrobiła na nim takie złe wrażenie.

- Uważam, że powinniśmy być dla siebie mili... ze względu na Martę - dodała.

- Zgoda. Ale czy Marta musi być do tego potrzebna, czy też możemy być dla siebie mili nawet, kiedy jej nie ma?

- Kpi pan ze mnie, panie Dexter?

- Ależ nie, panno Kellaway! - zaprzeczył gładko, z protekcyjnym uśmiechem. - Trochę się obawiam pani ostrego języczka, to wszystko. Nie chciałbym być dla pani miły i dostać za to po uszach, jak to się już kiedyś zdarzyło.

- Nawet nie pomyślałam o zrobieniu czegoś takiego - zapewniła go.

- To dla mnie istotnie wielka ulga, panno Kellaway. W takim razie pozwoli pani sobie powiedzieć, że wygląda pani dziś prześlicznie. A poza tym, skoro już mamy być dla siebie mili, czy nie sądzi pani, że już czas, bym panią nazywał Kate, a pani mnie Clive? W końcu już nawet do pani rodziców mówię po imieniu, więc dlaczego nie miałbym tak mówić córce? Chyba nawet proponowałem coś podobnego już przedtem.

- Rzeczywiście, dlaczego nie, panie Dext... Clive - rzekła skromnie. - Aha, tak, istotnie już pan to przedtem proponował.

Jednak nadal nie mogła się oprzeć wrażeniu, że z niej kpi.

* * *

Ciotkę Karola wystawiono w Rotundzie i w dwa tygodnie później zeszła z afisza, a oni nadal nie mieli żadnego znaku życia od Joego. Marta się gryzła, ale wiedziała, że i tak nie zdoła nic na to poradzić. Mogła się jedynie modlić o jego rychły powrót.

Pewnego sobotniego popołudnia zabrała dzieci do kawiarni na Central Station na kawę i ciastko, tak po prostu,

żeby im sprawić przyjemność. Lily uwielbiała kawę, a z kolei Georgie jej nie cierpiał i przysięgał, że nigdy w życiu tego pić nie będzie. Potem poszli na rynek St John's, gdzie Georgie dostał od matki książeczkę z malowankami, zaś Lily zestaw do manikiuru dla dziewczynek, bo mała marzyła o takich ślicznych paznokciach, jakie miała Joyce. Poza tym Marta kupiła słownik - dla siebie.

Joyce ostatnio mówiła, że ona i Edward planują zaręczyny na Boże Narodzenie, a Frank cały tydzień nocował w domu. Nie wyjaśniał matce, dlaczego, ona zaś nie pytała.

* * *

Coś takiego nigdy się przedtem nie wydarzyło. Nie miała pojęcia, że Carlo zna adres fabryczki „Worki i Żagle Ackermana”. Musiał go jednak znać, bo się tam zjawił pewnego ranka w początkach października: cichutko otworzył drzwi i równie cicho je za sobą zamknął. Marta nie miała pojęcia, jak długo tam już był, dopiero Jacquetta podniosła wzrok i go zauważyła.

- Tak? - zapytała, jak zwykle głosem nieznoszącym sprzeciwu, sądząc, że to jakiś obcy.

Marta odwróciła się i zobaczyła, że to Carlo.

Trzymał coś w zdrowej ręce, jakąś pomarańczową kopertę. Wiedziała, co takie pomarańczowe koperty oznaczają.

Wstała, oszołomiona, podeszła do niego, on zaś wcisnął jej gwałtownie kopertę do ręki, jakby się jej chciał czym prędzej pozbyć, jakby nie był w stanie jej dłużej dotykać. Wzięła ją, wyciągnęła ze środka kartkę papieru i przyjrzała jej się. Ale druk był jej obcy i nie rozumiała go.

- Co to jest? - spytała, wiedząc już doskonale co, ale chciała, żeby jej mąż to potwierdził. - Co tam zapisane?

Och, te jego oczy, te oczy! Kiedyś takie bystre i pełne radości, teraz przypominały oczy nieboszczyka. Patrzył - nie

na nią, ale w jakiś punkt poza nią. I nic w nich nie było, żadnego uczucia. Nic.

- Tam jest napisane, że nasz Joe nie żyje.

Ręce mu opadły bezwładnie wzdłuż ciała, jakby nie miała siły ich unieść, a jego włoski akcent był tak silny, że aż ją zaskoczył.

- Tam jest napisane, że nasz Joe „zaginął”, istnieje domniemanie, że nie żyje”.

* * *

Marta nie zmrużyła oka przez całą tę długą, ciemną noc. Nie powiedziała młodszym dzieciom o ich bracie: nie była w stanie wymówić wobec nich tych najprostszych kilku słów: „nasz Joe nie żyje”. Nie wierzyła w to „zaginięcie”. Nikt zresztą w to nie wierzył. Wszyscy wiedzieli, że człowiek, który „zaginął”, już nie żyje. Nasz Joe nie żyje.

Wypisała sobie te słowa w głowie wielkimi, ciężkimi literami. Nasz Joe nie żyje. Wyobrażała je sobie wykute w złocie na marmurowym nagrobku, albo wypisane krwią w jej sercu.

Nasz Joe nie żyje.

Dwójka młodszych spokojnie spała na podłodze, jedno obok drugiego, nie wiedząc, że ich mamą owładnął teraz ogromny, pochłaniający wszystkie inne uczucia ból, ból tak straszny, że musiała sobie wciskać pięści do ust, żeby powstrzymać krzyk.

W pewnej chwili w nocy wrócił Carlo, wlaźł do łóżka i zaczął rozpaczliwie płakać.

Mimo trwających już od dziesięciu lat zimna i obojętności między nimi, Marta wzięła męża w ramiona i uspokajała go, szepcząc „cicho, cicho...” i „no... no...”, jakby był dzieckiem, które upadło i stukło sobie kolano.

Ku jej zdumieniu i niesmakowi, zaczął się z nią kochać w jakiś taki dziwaczny, obojętny sposób, jakby to robił z

pierwszą lepszą kobietą, bez śladu namiętności, a nawet uczucia. Kiedy skończył, odwrócił się do niej plecami i zasnął, pozostawiając Martę pogrążoną w jeszcze większym bólu niż przedtem.

Ale Carlo nie spał. Nadal płakał, tyle że wewnątrz. Słyszał pełne rozpaczy i żalości westchnienia Marty, ale nie potrafił się zdobyć na próbę pocieszenia jej. Czuł się osobiście odpowiedzialny za śmierć syna. Mógł zrobić coś więcej, nie zaś zwalać wszystko na Martę. Wiedział z całą pewnością, że to poczucie winy pozostanie między nimi do końca życia. Nie było od niego ucieczki.

* * *

Zaczęło się przejaśniać, przez cienkie zasłonki już przenikało słabe światło dnia, kiedy Marta wstała z łóżka, okryła się szalem i wyszła z domu na podwórze. Tam upadła na kolana, wyciągnęła ręce w niebo i zaczęła zawodzić, przeklinać Pana Stworzenia za to, że jej zabrał syna.

Jej krzyki budziły ludzi z dobrze zasłużonego snu: przerywały im marzenia senne i zmieniały je w koszmary. Zrywały ze snu dzieci, przekonane, że zły duch idzie je porwać, jak je zwykle straszili mama i tata, kiedy były niegrzeczne. Budziły kobiety z ich podwórka, które od razu pojęły, że oto jedna z ich sióstr straciła coś bardzo cennego.

Kobiety wstawały z łóżek, chwytaly chustki i szale i wychodziły na zewnątrz, przyłączając się do swojej pogrążonej w bólu przyjaciółki: klękały wokół niej, aż Martę okrył po prostu płaszcz współczujących ramion.

Nie było wśród nich kobiety, która by nie przeżyła w życiu jakiejś tragedii. Tak wyglądał ten świat, takie życie.

Oto dlaczego były na tym świecie - żeby tracić swoje dzieci, tracić mężów i tracić nadzieję.

Rozdział 11

Marta po prostu kipiała z gniewu. W ostatnich dniach wrzał w niej taki gniew, że nadal nie mogła spać. Taki gniew, że jej głowa, całe ciało aż pulsowało ze złości.

Dręczyły ją obrazy ukochanego syna w chwili śmierci. W pracy się nie odzywała, tylko z pasją pedałowiała na maszynie do szycia. Jacquetta i Mister taktownie zachowywali milczenie.

Kiedy wracała do domu w poniedziałek po otrzymaniu wiadomości o Joem, poszła od razu na policję na Rose Hill, gdzie sierżant Gilligan rządził teraz po równi: niewinnymi i winnymi z za swojego wielkiego biurka.

Zastała go tam, jak przerzucał papiery i usiłował wyglądać na „ważnego”.

- Ty morderco! - wypluła z siebie Marta.

Po szerokim obliczu policjanta przemknął rumieniec.

- Uważaj no, paniusiu... - zaczął, ale Marta nie miała zamiaru słuchać ani jednego słowa wychodzącego z tej paskudnej gęby. Zrozumiała, że się zaczerwienił, bo wiedział już o Joem - i o tym, czego się może spodziewać od rozwścieczonej matki chłopaka.

- O nie! To ty uważaj, ty cholerna tłusta świni! - wrzasnęła. - To przez ciebie mój chłopiec nie żyje, mój Joe! Miał dopiero czternaście lat! Nie zbliżyłby się nawet do wojska, gdyby nie ty! - Wyciągnęła rękę przed siebie tak daleko i tak mocno, że aż ją to zabolalo. - Morderca! - prychnęła znowu. - Piękny z ciebie policjant, co morduje dzieci!

Sierżant musiał mieć bardzo słabe nerwy, bo natychmiast stracił cierpliwość.

- Aresztować ją! Aresztujcie tę kobietę! - ryknął na dwóch posterunkowych, którzy byli akurat w pobliżu.

Żaden z nich nawet nie mrugnął. Twarz sierżanta zrobiła się szkarłatna i zaczął kaszleć; robił się coraz czerwieńszy i walczył z brakiem oddechu, który mu ochryple bulgotał w gardle.

- Mam nadzieję, że się zadławisz na śmierć! - rzuciła Marta, odwracając się na pięcie.

Kiedy przyszła do domu, Lily i Georgie tonęli we łzach. Od chwili, kiedy im powiedziała o braciszku, płakali aż do mdłości, nie jak ich matka, która czuła w sobie takie szaleństwo, że mogłaby rozedrzeć cały świat na strzępy.

Tuliła dzieci w ramionach, obsypując pocałunkami ich zrozpaczone buzie.

- Czy też Frank i Joyce pokażą się dzisiaj? - szepnęła.

- Joyce nam obiecała przynieść rybę z frytkami, mamó - przypomniała Lily.

- Prawda, kochanie, zapomniałam.

Cała rodzina była załamana stratą Joego. Carlo siedział w domu cały weekend, rzeczywiście siedział razem z nimi w pokoju, z oczami o tragicznym wyrazie, w czerwonych obwódkach. Nie mówił wiele, ani Marta się do niego nie odzywała. Czuła, że jako ojciec Joego powinien był coś zrobić, powinien był go zatrzymać w domu, zamiast to wszystko pozostawić Marcie, zwykłej kobiecie. Czuła się winna, że nie zrobiła więcej, że na przykład nie wysłała Joego do Irlandii, gdzie miała krewnych i gdzie mógłby spokojnie mieszkać aż do końca wojny. Zbyt łatwo zrezygnowała, a powinna była zrobić straszliwą awanturę.

Postanowiła, że pójdzie do Arthura Hansona i spyta, czy mógłby się dowiedzieć szczegółów na temat śmierci Joego: w jaki sposób zginął i gdzie. Musiała to wiedzieć, nie mogła tego ot, tak zostawić. Wyobrażała sobie tysiące rozmaitych wersji, jak jej syn zakończył swoje zbyt krótkie życie. W każdym

razie, zanim nie pozna prawdy, nie będzie w stanie w tę śmierć uwierzyć.

Przyszła Joyce, przyniosła rybę z frytkami, a potem pojawił się Frank z torbą miętówek. Marta dziwiła się sama sobie, że jest w stanie jeść, chociaż jedzenie nie sprawiło jej żadnej przyjemności. Carlo wyszedł.

- We wczorajszej gazecie było coś na temat poboru - rzekła Joyce, kiedy skończyli jeść. - To znaczy, że rząd powołuje mężczyzn do wojska, a nie czeka, aż się sami zgłoszą na ochotnika - wytłumaczyła, kiedy matka spojrzała na nią, nie rozumiejąc.

- A dlaczego powołują tylko mężczyzn? - chciała wiedzieć Lily.

- Bo kobiety nie mogą walczyć - wyjaśnił jej Frank. - Nie tak, jak mężczyźni.

- Ja bym mogła - z dumą oświadczyła Lily. - Zadałabym bobu temu niemieckiemu żołnierzowi, co zabił Joego.

- Nie myślę, że... - zaczęła Marta, próbując jako tako zebrać mętne, niesforne myśli. - Ja nie myślę, że to wina jakiegoś tam niemieckiego żołnierza, Lil. To mógł być taki sam chłopak, taki, co wcale tam nie chciał być. Może go tak samo podstępem ściągnęli, jak Joego? A teraz i on już może nie żyje? Nie, to wina tych, co zaczęli wojnę, tych, którzy pewnie nawet prochu nie powąchali. I założę się, że to nie tylko Niemcy.

- No... ale ja chciałabym zabić kogoś - uparcie powtórzyła Lily.

Teraz Frank się odezwał po chwili milczenia.

- Czy to znaczy, że i mnie powołają, siostró?

- To dotyczy wszystkich mężczyzn od osiemnastu lat - objaśniła go Joyce. - Kiedy tylko miną twoje następne urodziny, przyślą ci papiery do wojska. Wiem o tym wszystkim, bo Edward ma teraz dwadzieścia jeden lat i jego

też powołają. Rozmawialiśmy o tym wczoraj wieczór. Jak sobie możecie wyobrazić, nie jest tym specjalnie zachwycony. Prawdę mówiąc, mamó - zerknęła na matkę - jeżeli rzeczywiście będzie musiał pójść, myślimy o ślubie, jeszcze zanim go powołają.

Marta nadal próbowała sobie uświadomić, że nim się obejrzy, będzie miała następnego syna w wojsku. Że może stracić Franka tak samo, jak straciła Joego. I nagle zrozumiała to, co mówiła córka. Joyce mówiła o wyjściu za mąż i o tym, że Edward też się będzie musiał zaciągnąć, tak że i on mógłby zginąć... i w ogóle...

Do czego, u licha, zmierza ten świat? Czy kompletnie oszalał? Niedługo zostaną na ziemi same kobiety!

* * *

- Co mamy zamiar z tym zrobić? - spytała Kate.

- A co możemy zrobić? - rzucił z wściekłością Clive. Było to parę dni wcześniej. Kate właśnie widziała się z Martą i wpadła do biura Clive'a podzielić się tymi szokującymi wiadomościami. - Wiesz, że pisałem do Ministerstwa Wojny. Dostałem potwierdzenie, że list przyjęli, ale żadna odpowiedź nie nadeszła. Dlaczego, do cholery, nie naciskałem bardziej, nie byłem bardziej uparty? - Walnął pięścią w poręcz krzesła. - Nigdy nie przestanę się za to przeklinać!

- To nie twoja wina - łagodnie rzekła Kate. Przysiadła niebezpiecznie na krawędzi krzesła i chciała się zerwać na nogi, przycisnąć jego głowę do piersi i delikatnie ją głaskać, a potem... żeby on zrobił to samo.

Nigdy nie poznała Joego, ale jego fotografia sprawiła, że wydawało jej się, jakby go znała osobiście, jakby był jej przyjacielem. Co więcej, rozpacz Marty była zaraźliwa. Kate poczuła smutek dławiący ją w gardle.

- Marta też się bez przerwy obwinia - powiedziała. - Ja sama również się czuję okropnie, chociaż nie mogę wymyślić

nic, co miałabym zrobić. Mój ojciec twierdzi, że wszystkie te rządowe instytucje są jak maszyny parowe, pracujące na pełnych obrotach. Absolutnie nic ich nie może powstrzymać, chyba że sami kierujący pomyślą o założeniu hamulców.

- Wierzę, że twój ojciec mógł tak powiedzieć - rzekł Clive ze słabym uśmiechem. - To bardzo mądry człowiek.

- Chyba każdy uważa, że jego ojciec jest mądry.

- Och, nie wiem - odparł Clive jakby trochę sucho. - „Mądry” to nie jest określenie, jakiego bym użył w stosunku do mojego ojca.

- Przepraszam... - Jego słowa wstrząsnęły Kate. Był tak pewnym siebie człowiekiem, że nigdy by nie pomyślała, iż jego życie rodzinne mogło nie być doskonałe. Próbowwała pomyśleć o czymś, co by im obojgu poprawiło samopoczucie.

- Właśnie sobie przypomniałam, że moi rodzice chcieli cię zaprosić na lunch w niedzielę, oczywiście, o ile będziesz miał czas. - Rodzice nie planowali nic takiego, ale była pewna, że się na tę propozycję z radością zgodzą, w każdym razie matka na pewno, byle Kate rzuciła takie hasło. Spojrzał na nią z rezerwą.

- Obawiam się, że w niedzielę, panno Kellaway... Kate, będę musiał być w Londynie. Mam odwiedzić narzeczoną.

- Pannę Lettice Conway - westchnęła Kate i natychmiast tego pożałowała.

- Istotnie, pannę Lettice Conway. Jestem zaskoczony, że zapamiętałaś jej imię.

- Bo jest takie niecodzienne. - Kate udało się odzyskać trochę klasy. - To jedyne kobiece imię, jakie znam, które też oznacza jarzynę. Och! - Tupnęła nogą z niechęcią. - Dlaczego gadamy o takich rzeczach, kiedy Joe nie żyje?

- Nie zauważyłem, byśmy rozmawiali inaczej niż normalnie - prychnął. - To ty jesteś niegrzeczna i obraźliwa,

mówiąc w ten sposób o imieniu osoby, której nigdy nie poznałaś i najprawdopodobniej nigdy nie poznasz.

Kate zerwała się z krzesła i zaczęła chodzić dookoła niego długimi krokami.

- Jestem taka przybita. Nie wiem po prostu, co robię czy mówię. Myślę, że najchętniej bym się z tobą pokłóciła, krzyczała i wrzeszczała na ciebie, ciągnęła za włosy i kopała po nogach albo deptała po palcach! - A dosłownie dziesięć minut temu marzyła o tym, żeby go pocieszyć.

- Niby dlaczego mnie? - Wyglądał bardziej na urażonego niż zirytowanego.

- Bo jesteś mężczyzną, a to mężczyźni zaczynają wojny.

- I mężczyźni muszą na nich walczyć - podkreślił.

- Powinni odmawiać. - Była bliska szału z wściekłości. - Generałowie nie zaszliby daleko, gdyby nie mieli mężczyzn, którzy za nich odwalają te wstrętne bitwy.

Popatrzył na nią zmęczonym wzrokiem.

- To, o czym mówisz, to coś w rodzaju utopii, która nigdy nie zaistnieje.

- No, to kobiety powinny odmówić rodzenia dzieci! Wtedy nie będzie żołnierzy do walki!

- Gdyby kobiety nie rodziły dzieci, świat by się skończył. Przestała spacerować i stanęła przed nim, rozkładając ręce. Przetarł oczy, jakby oszołomiony jej widokiem.

- No, więc co można zrobić? - spytała. Bezradnie wzruszył ramionami.

- Nie wiem, czy mówisz teraz o sprawie Joego w szczególności, czy o wojnach w ogóle, ale moim zdaniem, nic się nie da zrobić, nic absolutnie.

* * *

- Rozumiem - rzekł tego wieczoru Jeffrey Dexter do syna - że istnieje duża szansa na wprowadzenie w naszym kraju w bardzo niedługiej przyszłości obowiązkowego poboru.

- Wiem, ojciec - lekko odparł Clive. - Czytałem o tym w „Timesie”.

- I co wtedy zrobisz, mój dzielny synu? - zadrwił starszy pan. - Będziesz musiał iść się bić. Nie będziesz miał wyboru.

- Nie, ojciec, mylisz się. Nadal będę miał wybór i wybiorę pozycję odmawiającego służby ze względu na przekonania - będę taką „czarną owcą”, jak by powiedzieli ludzie twojego pokroju, a jest ich pełno. Mogliby mnie wtedy wysłać do pracy w kopalni, albo na front jako sanitariusza czy innego pracownika szpitala wojskowego. Mógłbym wówczas naprawdę skończyć śmiercią za ojczyznę; ale po prostu nie chcę iść się za nią bić.

* * *

Marta nadal nie mogła spać. Przeklinała się za to, co się stało, przeklinała też Carla i sierżanta Gilligana - ale byli przecież inni, o wiele bardziej potężni, ci, co dali mu mundur i włożyli do rąk karabin, wsadzili do pociągu, potem na statek i przewieźli do Francji.

I jeszcze ktoś inny, kto mu rozkazał iść tam, gdzie mężczyźni zabijają się wzajemnie - i tak Joe, zgodnie z oczekiwaniami, został zabity.

Cały czas przypominała sobie wydarzenia z ostatnich paru miesięcy: myślała o tym, jak Joe przyszedł do niej pewnego niedzielnego popołudnia i oznajmił, że idzie do wojska. Powiedział jej: „Jestem teraz żołnierzem, mam”, czy coś w tym rodzaju.

Tego samego dnia poszła wtedy do sierżanta Gilligana i nagadała mu, ile wlezie. Kiedy tylko wyszła z posterunku policji, Ossie Nelson z Gerard Street, teraz też glina, zatrzymał ją i powiedział, że sierżant zwabia dzieciaki do wojska z polecenia jakiejś ważnej figury, jakiegoś sir... wyteżyła pamięć, aha, sir Stanleya Cuthbertsona, przypomniała sobie z uczuciem triumfu. Brat sierżanta był u

niego ogrodnikiem. Sir Stanley był generałem i tak dalej, przypominała sobie. Mieszkał w Rainford. Zdaje się, że do Rainford nie jest daleko, można dojechać pociągiem...

„On ma syna walczącego we Francji, ten generał - powiedział jej wtedy Ossie. - Oficera, oczywiście”.

W sobotę, postanowiła, pojedzie do Rainford, odnajdzie tego generała sir Stanleya Cuthbertsona i wyciągnie z niego wszystko.

* * *

Jakaś kobieta w pociągu powiedziała jej, gdzie mieszka generał.

- Nie sposób go nie znaleźć, kochana. W ogrodzie przed domem stoi wysoki maszt z angielską flagą. Widać ją już od skrzyżowania. Niech pani idzie po prostu w tamtą stronę, a w parę minut dojdzie się do jego domu.

Dom był spory, stał na obszernym terenie przy ulicy pełnej podobnych, różniących się jedynie stylem rezydencji. W ogrodach stały posągi, kwitły kwiaty tak piękne, że nigdy piękniejszych nie widziała, rosły drzewa o rozmaitych odcieniach zieleni, niektóre już żółkły, bo nadchodziła jesień, a tu i ówdzie jacyś mężczyźni kopali grządki, ścinali trawę albo myli okna.

Dom Cuthbertsonów na każdym rogu miał wieżyczkę, na podjeździe stał samochód, a flaga, o której Marta już wiedziała, wesoło powiewała na słupie. Wewnątrz było widać pokojówkę w średnim wieku, trzymającą w ręku skurczawkę z piórek. Marta weszła na ścieżkę i pociągnęła za sznur, wiszący obok łukowatych frontowych drzwi. Usłyszała dźwięk dzwonka, po czym pokojówka, ubrana tak samo jak tamta ścierająca kurze, otworzyła drzwi i ostrym spojrzeniem zmierzyła przybyłą od stóp do głów.

- Wejście dla służby jest z drugiej strony - oświadczyła, sznurując wargi.

- Nie jestem służącą - wyniośle odparła Marta. Miała na sobie szarą suknię i kapelusz z czerwoną wstążką oraz porządne, chociaż sprawiające ból buciki, więc nie rozumiała, czemu ją automatycznie wzięto za służącą. - Jestem tu, bo chcę się spotkać z generałem sir Stanleyem Cuthbertsonem.

- Jest pani umówiona? - spytała pokojówka równie wyniośle.

- Nie, nie jestem.

- W takim razie nie może się pani z nim zobaczyć.

Już miała zamknąć drzwi, kiedy Marta wsunęła przez nie nogę.

- Jeżeli mnie pani do niego nie zaprowadzi, będę tu stała i dzwoniła aż do skutku!

- To wezwę policję - zagroziła kobieta.

Zanim Marta zdążyła pomyśleć, co ma odpowiedzieć, wtrącił się w ich rozmowę jakiś głos, jakby dziecięcy.

- Kto przyszedł, Polly? Co się dzieje?

- To jakaś kobieta. Chce się zobaczyć z panem, panno Roweno. Mówiłam jej, żeby weszła od tyłu.

- Goście ojca zwykle nie wchodzą tylnym wejściem, Polly. Proszę, zaproś tu panią.

Drzwi się otworzyły i Marta weszła do obszernego, ponurego holu, obrzucając złym spojrzeniem pokonaną pokojówkę, która się oddaliła z nadąsaną miną.

Osoba, która się odezwała, okazała się dziewczynką najwyżej czternastoletnią, ubraną w prostą czarną sukienkę i z czarną wstążką w ładnych blond włosach. Marta pomyślała, że dziewczynka jest w żałobie, zwłaszcza gdy zobaczyła lustro w holu przesłonięte czarnym woalem.

- Witam. - Dziewczynka wyciągnęła rękę. - Nazywam się Rowena Cuthbertson. Przykro mi, ale ojciec w tej chwili nie czuje się dobrze i nie przyjmuje nikogo. Czy mogę pani w czymś pomóc?

- Nazywam się Rossi, Marta Rossi. - Potrząsnęła dłonią dziewczynki. - Nie, chyba mi nie możesz pomóc, w niczym. To sprawa osobista i dlatego chciałam się z nim zobaczyć. - Byłoby kompletnie nie na miejscu mówić córce generała to, co miała zamiar powiedzieć jemu samemu.

Dziewczynka zmrużyła oczy.

- Czy pani czasem nie pomagała w dzieciennym pokoju, kiedy byłam malutka? Coś mi się wydaje, że panią pamiętam. - Jej twarz się skurczyła w bolesnym uśmiechu. - Pewnie pani przyszła powiedzieć ojcu, jak pani przykro z powodu tej strasznej wiadomości o Gideonie. To naprawdę ładnie z pani strony, ale równie dobrze może to pani powiedzieć mnie, jego córce. Gideon nie tylko był moim bratem, ale też najlepszym przyjacielem. Nigdy nie przestanę za nim tęsknić, aż do śmierci.

- Tak mi przykro... - wyjąkała Marta. Ze słów Roweny zrozumiała, że Gideon, syn generała, nie żyje. Zastanawiała się, czy miał też innych synów. Czy Gideon był w wojsku?

- Nabożeństwo pożegnalne Gideona odbędzie się w pierwszą niedzielę grudnia w kaplicy świętego Łukasza, niedaleko Rainford Junction. Powiedziano nam, byśmy się nie spodziewali, że jego ciało tu wróci - trafił go pocisk artyleryjski, wie pani, tak że go rozerwało na strzępy - więc pogrzebu nie będzie. To właśnie tak przybiło ojca, to, że już nigdy więcej nie zobaczy Gideona, nawet martwego. - Rowena za wszelką cenę starała się nie płakać. - Czy pani przyjechała pociągiem? - Marta tępo skinęła głową. - No, to z łatwością znajdzie pani ten kościół.

Marta znowu skinęła.

- Dziękuję. - Rowena nawet chyba nie zauważyła, z jakim trudem przyszło jej powiedzieć to słowo.

- Bardzo, bardzo pani dziękuję, że pani do nas przyszła - mówiła smutno Rowena. - Chętnie bym panią poczęstowała

herbatą, ale lada chwila przyjdzie doktor do ojca. Biedny, już od lat ciężko choruje na płuca, a wiadomość o Gideonie po prostu go powaliła. - Otworzyła drzwi i znów je zamknęła. - Właśnie sobie przypomniałam! Nie widziała pani Gideona od czasu, kiedy był małym chłopcem. Chce pani zobaczyć, jak wyglądał teraz - w każdym razie, zanim go ten niemiecki pocisk rozerwał na strzępy? - Nie czekając na odpowiedź, zniknęła w przyległym pokoju i wróciła z oprawioną w srebrne ramki fotografią młodego człowieka w mundurze, który był tak bardzo podobny do trochę starszego Joego, że teraz Marcie zebrало się na płacz.

- To on, dwudziestoletni, w swoim mundurze - rzekła z dumą Rowena. - Czy nie najprzystojniejszy z mężczyzn? Moja matka byłaby z niego taka dumna! Umarła zaraz po tym, kiedy się urodziłam... ale oczywiście pani ją znała, prawda?

- Naprawdę, strasznie mi przykro z powodu waszej straty - wymamrotała Marta, wzruszona i przejęta tym, jak dzielnie ta mała boryka się z tragedią. - Mam nadzieję, że ojcu będzie niedługo lepiej. - Naprawdę tak myślała.

- Och, i ja też! Gdyby tatuś umarł, zostałabym bez nikogo bliskiego na tym świecie.

Marta niemal pędziła aż do Rainford Junction, gdzie wsiadła w powrotny pociąg do Liverpoolu. To, że generał Cuthbertson stracił własnego syna, nie znaczyło, by Marta miała go mniej obwiniać o stratę swojego, ale nie chciała się z nim widzieć teraz, kiedy był chory i w żałobie.

Jej własna strata nadal nie wydawała się całkiem rzeczywista. Czy Joego rozerwało na strzępy, tak jak syna generała? Czy go zastrzelili? Czy go jeszcze kiedyś zobaczy, czy już go pochowali w grobie we Francji? Albie Lloyd także nie wrócił do domu. Nikt nie wie, czy żyje, czy umarł...

Musi się dowiedzieć, co się stało z Joem, inaczej zwariuje.

* * *

- Jakie to dziwne - powiedziała pewnego ranka pani Kellaway, otwierając pocztę. - Przyszedł list od Clive'a Dextera z przeprosinami, że nie mógł być u nas w niedzielę. Tymczasem, jako żywo, nie przypominam sobie, żebym go zapraszała. Pewnie to twój ojciec go zaprosił i nic mi nie powiedział? - Pan Kellaway akurat pucował samochód przed domem.

- To ja go zapraszałam - przyznała się Kate. - Był tak samo jak ja strasznie przygnębiony sprawą Joego, więc go zaprosiłam na lunch, żeby mu poprawić humor, chociaż trochę. - I przy tej okazji sobie samej. - Ale nie mógł przyjść, bo się wybierał do Londynu na spotkanie z narzeczoną.

- Och, kochanie! - Pani Kellaway wyglądała na szczerze zmartwioną. - A tak go sobie wymarzyłam dla ciebie. Czy z tą dziewczyną z Londynu to coś poważnego?

- A skąd ja mam to u licha wiedzieć, mamó? On raczej nie miał ochoty na rozmowę ze mną o swojej narzeczonej, nie? Wiem tylko tyle, że ma jakieś okropne imię - Lettice.

- Dlaczego okropne? To ładne, świeże imię.

- Może się z nią dlatego żeni, że jej imię mu się bardziej podoba niż moje.

Matka wzięła tę uwagę na serio.

- To z pewnością niemożliwe, kochanie. - Zabrała się do czytania reszty listu Clive'a. - W każdym razie - powiedziała, skończywszy czytać - pisze, że jest wolny w następną niedzielę i wtedy będzie mógł tu przyjechać na lunch. Napiszę do niego, że go serdecznie zapraszamy.

* * *

Clive ponownie jechał do Blackpool, na rozmowę z wydawcą „Lancashire Post”.

- Wybacz, Clive, ale nie. - Edgar Henderson odsunął nekrolog Joego napisany przez Clive'a. - To jest za bardzo emocjonalne. Poza tym pisane zbyt zapalczywie: z takich

nekrologów mogą się rodzić rewolucje. - Przerwał i zajął się swoją śmierdzącą fajką. - Nie! - powtórzył. - W tym tygodniu, podobnie jak w innych, dostaliśmy mnóstwo nekrologów mężczyzn z tej okolicy, zabitych we Francji. Są krótkie i rzeczowe, nie jakieś wielkie tyrady o tym, jakie to nie w porządku, że akurat ta osoba zginęła.

- Rozumiem, sir, ale właśnie ta osoba to przypadkiem było dziecko! - Clive starając się pohamować gniew, zacisnął pięści tak mocno, że paznokcie wbiły mu się boleśnie w dłonie. - To przede wszystkim wbrew prawu. Poza tym wysyłanie dzieci z kraju na wojnę nie jest czymś, z czego nasza ojczyzna powinna być szczególnie dumna.

- Zgoda, ale też nie jest to powód do wstydu dla naszych czytelników. - Edgar zaczął już wyglądać na zmęczonego własnym rozsądkiem. - To nie oni wysyłają na wojnę. Nawet jeśli ich krewni nie zostali zamordowani, mają dość własnych zmartwień bez czytania o tych twoich dzieciach. Wiesz, co ci powiem? - Odchylił się na oparcie krzesła i wydmuchnął kłęb dymu w sufit. - Dam tu jego zdjęcie, tej samej wielkości, co inne zdjęcia, a pod spodem kilka szczegółów, tak jak w innych nekrologach. Co ty na to?

- Nie mógłby pan przecież odmówić zamieszczenia tego! - Clive się starał, żeby jego słowa nie zabrzmiały zbyt gorzko, tak jak to naprawdę odczuwał. - Przecież pan nie może wybierać sobie nekrologów, które pan publikuje. Raczy pan podać wiek Joego? A może się pan obawia, że i to może przygnębić pana czytelników?

- Oczywiście, że podam jego wiek. A gdyby jakiegoś czytelnika to sprowokowało do napisania listu do gazety i wyrażenia swojego oburzenia, też to opublikuję.

- Och, dzięki, sir - rzekł Clive z gorzką kpina w głosie. - Dziękuję panu bardzo.

Nadal czuł się źle, jeszcze długo później, kiedy jechał do Londynu spotkać się z Lettice Conway, swoją rzekomą narzeczoną. Pojechał pociągiem: kupił bilet pierwszej klasy, by móc pomyśleć w spokoju. O szóstej spotkał się z Lettice w hotelu Ritz, gdzie mieli zjeść razem obiad. Orkiestra grała „Peg o' My Heart”. („Peggy, którą mam w sercu” - popularna piosenka z 1913 roku.)

- Wyglądasz wspaniale - rzekł z podziwem. Przyjechał na jej prośbę. Lettice rzeczywiście była niezwykle piękna, ze swoimi kruczoczarnymi falującymi włosami i jaskrawoczerwonymi wargami. Miała na sobie szmaragdową wieczorową suknię, która trzymała się tylko na dwóch wąziutkich ramiączkach. Dosłownie co drugi facet w restauracji się na nią gapił.

- Kochany Clive... - szepnęła, sugestywnie oblizując karminowe wargi. Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia.

- Czego ode mnie chciałaś, Letty? - spytał. Znał doskonale jej sztuczki.

- Męża - zaszczebiotała. - Szampana! - szepnęła, obniżając głos, do kelnera, kiedy podszedł.

- Męża? - zdziwił się Clive. Zawsze się zarzekała, że nie wyjdzie za mąż, dopóki nie skończy co najmniej czterdziestu lat, czyli, jak mówiła „kiedy będę już za stara i zbyt brzydka, żeby się dobrze bawić”.

- Jestem w ciąży, kochanie - powiedziała, udając tragiczny ton. - Spodziewam się potomka, jestem w błogosławnym stanie, czy jak się tam mówi.

- Kto jest ojcem? - Zwykle Lettice go bawiła, ale dziś działała mu na nerwy.

- Och, lord jakiś - tam czy inny. Takie cudo bez podbródka, nudny jak flaki z olejem i dostatecznie stary, żeby być moim ojcem. - Machnęła długą białą dłonią z

paznokciami tak czerwonymi, jak jej usta. - Jeździ na polowania, na strzelania, wędkowania i różne takie bzdury.

- Skoro to taki nudziarz, to czemu się z nim spotykałaś? - spytał Clive. - Już nie mówiąc o pójściu do łóżka.

- O widzisz, mój drogi Clive, to jest właśnie coś, nad czym się nigdy nie przestanę zastanawiać. No, chyba dlatego, że mnie oszołomiło jego olbrzymie konto bankowe. - Uśmiechnęła się chłodno. - Kupił mi etolę z nurków na urodziny.

- Och, Letty, jesteś horrendalnie nieodpowiedzialna. - Był naprawdę wstrząśnięty. To nie był sposób, by sprowadzać dziecko na ten świat. - Nie możesz się pozbyć ciąży? - spytał bez ogródek.

Westchnęła i przestała odgrywać wampa.

- Nie mogę, mój drogi. Jest już za późno. To przeszło cztery miesiące; usunięcie byłoby niebezpieczne. Obawiam się, że muszę je urodzić.

- I chcesz, żebym ci znalazł męża?

- Ależ nie, Clive, moja ty jedyna miłości. Ja chcę, żebyś to ty został moim mężem.

Nie mógł się powstrzymać. Roześmiał się głośno. Lettice, na szczęście, wzięła to za dobrą monetę i zaczęła się śmiać razem z nim.

- Czyżbym została odrzucona? - spytała, chichocząc.

- Boję się, że tak, Letty. Zawsze pozostanę twoim przyjacielem, ale mężem nigdy, chociaż czuję się pochlebiony, że mnie o to poprosiłaś. A co z tym nudnym lordem? Nie ożeni się z tobą?

- Piorunem! - odparła zgnębiona. - Nie wie o dziecku, ale mi się oświadcza co najmniej raz w tygodniu. Kiedyś byłam w jego posiadłości, gdzieś... chyba w Dorset, albo w Durham; nie pamiętam dokładnie.

- I to na pewno jest jego dziecko? - spytał Clive. Nie zadał sobie trudu tłumaczenia jej, że Dorset i Durham dzieli odległość setek kilometrów.

Wydeła pąsowe wargi. Wyglądało, że chce się wymigać od odpowiedzi.

- Jestem mniej więcej pewna.
- Ale nie na sto procent?
- No... nie do końca, kochanie.
- Och, Letty!

Przypatrywał się jej pięknej, umalowanej twarzy i, nie wiadomo dlaczego, przyszła mu na myśl Kate Kellaway, śliczna i nieupudrowana, z naturalnie różowymi wargami i szczerymi oczyma. Tamta była tak do szpiku kości uczciwa i bezpośrednia, tak zupełnie pozbawiona mrugnięć, sztuczek i omdlewających westchnień Letty. Złapał się na tym, że wolałby teraz być z Kate, nawet wdać się z nią w zdrową kłótnię na jakiś naprawdę ważny temat, jak ta przeklęta, głupia wojna, niż siedzieć tutaj z Letty, która myśli i mówi wyłącznie o sobie.

* * *

Dopiero w grudniu Marta się dowiedziała, że Albie Lloyd wrócił do domu. Była wówczas naprawdę w dziwacznym nastroju, bo zdała sobie sprawę, że jest znowu w ciąży.

To, że Bóg zsyła jej kolejne dziecko na skutek tych paru krótkich i pozbawionych serdeczności minut spędzonych z Carlem, wydawało się niemal cudem. To mógłby być tylko chłopiec, na miejsce tamtego, straconego. Niepokoiło ją tylko, że sobie przysięgła postarać się, by Lily i Georgie mieli lepsze życie, a jak to będzie możliwe, skoro dojdzie jej jeszcze opieka nad nowym dzieckiem?

Nie mówiła o tym nikomu. Niedługo pewnie powie Kate, która oczywiście będzie z tego powodu rozanielona, ale Marta nie potrafiła nawet zgadywać, jak to przyjmie Carlo. Mogła

sobie jedynie wyobrazić, że zrobi się jeszcze bardziej ponury. Pomyśli najwyżej: „jeszcze jedna gęba do wykarmienia”, chociaż to nie on ją będzie karmił - nie był teraz w stanie nakarmić choćby siebie samego.

Wstąpiła do Lloydów, wracając z pracy do domu. Wiał przejmujący do szpiku kości wiatr, chodniki były oblodzone. Kilka okien sklepowych już ozdobiono ostrokrzewem i łańcuchami z papieru - do Bożego Narodzenia został tylko tydzień.

Drzwi otworzyła jej pani Lloyd.

Ku zdumieniu Marty, objęła ją serdecznie i wciągnęła do mieszkania. Marta przypomniała sobie ich ostatnie spotkanie, kiedy ta kobieta zachowała się wobec niej tak ordynarnie. Zostawiła ją wtedy na progu i zatrzasnęła jej drzwi przed nosem.

- Pani Rossi! Strasznie się cieszę, że pani przyszła. Co za okropna pogoda! - Zatarła ręce. - Napije się pani herbaty? Nasz Albie jest teraz w saloniku, grzeje się przy kominku. Na pewno będzie chciał porozmawiać z panią. Ja i Idris nie jesteśmy w stanie wydobyć z niego nawet piśnięcia. Biedak od powrotu do domu nie powiedział ani słowa.

- Czy... to znaczy, że wrócił do domu na dobre, prawda, pani Lloyd? - pytała Marta, kiedy tamta prowadziła ją do salonu, gdzie płonął niewielki ogień. Po obu stronach kominka stały wygodne fotele, a na stoliku, nakrytym do podwieczorku, leżał pięknie haftowany obrus.

- Jeszcze nie, pani Rossi. Po Bożym Narodzeniu mają go zabrać, trochę mu jeszcze poprawić twarz. Powiedzieli, że biegł prosto tam, gdzie był wybuch, ale doktor uważał, że parę tygodni z mamą i tatą powinno mu dobrze zrobić. - Jej oczy napełniły się łzami. - Kłopot w tym, że się do nas nie odzywa.

- Chciałabym go zapytać o naszego Joego - odważyła się powiedzieć Marta.

- Proszę go pytać, o co tylko pani zechce, pani Rossi. Po prostu mam nadzieję, że on pani odpowie. Przygotuję herbatę, a pani ją sobie zabierze do saloniku.

To oznaczało, że Marta wejdzie do saloniku sama, będzie więc mogła rozmawiać z chłopcem swobodniej, bez obecności matki.

W saloniku w kominku było solidnie napalone. Albie pół leżał, pół siedział na kanapie z dermy, oczy miał zamknięte. Marta zdjęła szal i siadła na stołku nakrytym dywanikiem, po drugiej stronie kominka.

- Witaj, Albie - powiedziała wyraźnie.

Aż się wzdrygnęła na widok twarzy chłopca. Była pokryta cięciami i sińcami. Część nosa zniknęła, a jedna z brwi została przecięta na pół. Całą głowę miał w bandażach, owijających też szyję i brodę. - Jestem Marta Rossi, mama Joego.

Przez chwilę, może nawet minutę chłopiec nawet nie drgnął. Dopiero potem, jakby przez ten cały czas jej słowa do niego docierały, powoli otworzył oczy, zamrugał i spróbował spojrzeć jej prosto w twarz.

- Pani Rossi - wyszeptał. - Mama Joego.

- Tak, właśnie tak, synku. - Wyciągnęła rękę i poklepała go po kolanie. - Twoja mama powiedziała, że niedługo poczujesz się lepiej.

- Joe nie żyje - powiedział z rozpaczą.

- Wiem. - Nie mogła się zdobyć na zadanie najprostszego pytania. Czułaby, że męczy tego biednego chłopca. Pewnie ostatnią rzeczą, jakiej chciał, było mówić o tym, jak zginął jego przyjaciel.

- Powinniśmy już byli wracać do domu, ja i Joe - zaczął mówić po długiej przerwie. Zauważyła, że wierzchy jego dłoni były tak samo poranione i posiniaczone, chociaż już wolne od bandaży.

- A czemu nie wróciliście, Albie? - szepnęła.

- Ten gość, ten oficer, kapitan, zatrzymał nas.

Znowu długa przerwa, aż do chwili, kiedy Marta zapytała, bardzo łagodnie:

- Dlaczego, kochanie?

- Bo się bawiliśmy rowerami, zjeżdżaliśmy w dół pagórka, no, tak... Bo my dostarczaliśmy wiadomości. A ten kapitan, on nas posłał z powrotem do Loos. Tak się śmiesznie nazywał. Joe się potem z tego śmiał.

- Jak się nazywał?

Okaleczone wargi chłopca naprawdę się wygięły w uśmiechu.

- Nie pamiętam, tylko to, że Joe go nazywał „Neville diabeł”.

- Neville diabeł... - powtórzyła Marta.

- Pani tak mówi jak Joe, pani Rossi.

Spróbował usiąść: Marta podeszła i podłożyła mu poduszkę pod plecy. Robił wrażenie trochę bardziej ożywionego.

Co te dzieciaki robiły na rowerach, zastanawiała się. I dokąd to dostarczali te wiadomości?

- Joe... on wzywał panią bez przerwy, pani Rossi. „Chcę do mamy. Gdzie moja mama?”. Tak wołał. A potem: „Albie, Albie”. - Chłopiec zaczął szlochać. - Ale ja nie mogłem do niego pójść. Nic nie widziałem. Byłem bardzo poraniony i Joe mnie wyratował, ale wtedy ten... ten diabeł kazał mu znowu wyjść i nie pozwolił wrócić. Ale Joe miał złamaną nogę i musiał ją ciągnąć za sobą. I wtedy utknął tam, w błocie, a bitwa trwała dalej. Wszyscy strzelali do siebie. Wszędzie leżeli nieżywi, na ziemi i w okopach, wszędzie. Joe nie przestawał krzyczeć, aż zegar wybił północ. Pamiętam, bo liczyłem uderzenia. Myślałem, że się nigdy nie skończą. To pewnie wtedy Joe umarł. Modliłem się i modliłem, pani Rossi, ale już potem go nie słyszałem.

Głos mu się wznosił, zaczynał bełkotać. Marta znów go poklepała po kolanie.

- Cicho, synku - powiedziała. - Cicho, no, już... nie dręcz się. Trzymała mu rękę na kolanie, aż chłopiec zaczął drzemać. Wtedy podniosła filiżankę z herbatą, której prawie nie piła, i zaniósła ją do drugiego pokoju, gdzie pani Lloyd przypadła do niej.

- Wydobyła pani coś z niego? - pytała z niepokojem.

- Głównie o Joem. Ale proszę się nie martwić, pani Lloyd, jestem pewna, że z chłopcem będzie wszystko dobrze. Bywają wspomnienia, które ranią bardziej niż cięcia czy sińce. Zrobi nam pani tę łaskę, dobrze? Kiedy on już trochę dojdzie do siebie, proszę, niech to wszystko dokładnie spisze, wszystko, co się zdarzyło tej nocy, kiedy on był ranny, a Joe zabity. Nigdy nic nie wiadomo... może to mu naprawdę dobrze zrobi, kiedy wyrzuci z siebie wszystko, napisze, jak było.

- Zrobię tak, pani Rossi. Spróbuję to załatwić jeszcze przed Gwiazdką, zanim wojsko go znów zabierze.

- Cóż... będę teraz uciekać, pani Lloyd. Cieszę się, że ma pani znów w domu swojego chłopca.

- Dziękuję, pani Rossi. Strasznie mi przykro, że pani nie ma swojego.

Rozdział 12

- No, a gdzie spędzisz Boże Narodzenie, kochany Clive? - spytała matka Kate.

Jako że była to kolej Clive'a na zaproszenie ich do restauracji, siedzieli teraz w hotelu Adelphi, najelegantszym w Liverpoolu, i jedli bożonarodzeniowy lunch, chociaż do Bożego Narodzenia zostało jeszcze kilka dni. Nawet przy swoich dochodach państwo Kellaway, przedstawiciele klasy średniej, w żadnym razie nie mogliby sobie pozwolić na taką ucztę. Chociaż mąż i córka robili wrażenie obojętnych na to, co ich otaczało, pani Kellaway była w najwyższym stopniu podekscytowana śnieżnobiałymi obrusami z irlandzkiego płótna, srebrną zastawą stołową i kelnerami, którzy raczej fruwali między stolikami, niż chodzili. Aż westchnęła z zadowolenia, słuchając muzyki z Mikada Gilberta i Sullivana (Mikado opera komiczna w 2 aktach A. Sullivana i W.S. Gilberta z 1885 roku, satyra na politykę brytyjską.), granej przez kwartet smyczkowy - była na tej operze dwa lata temu z mężem w Empire Theatre.

- Zostaję tu, w Liverpoolu - odparł Clive. - Moja rodzina wybiera się do Londynu; mamy tam apartament, a oni chcą pójść na kilka przyjęć. Ale ja wolę zostać w domu.

Kate aż jęknęła.

- Sam! Och, ale to przecież okropne! Gdybyśmy nie jechali na święta do Nottingham, do siostry, mógłbyś spędzić to Boże Narodzenie z nami.

Clive popatrzył na nią z wyrzutem.

- Chociaż to zabrzmi nadzwyczajnie, mam jeszcze jednego czy dwóch przyjaciół. Nie będę taki zupełnie sam. No i mam robotę. Mogę zabrać maszynę z biura i pracować w domu. - Zwrócił się do pana Kellaway, któremu zwierzał się najchętniej. - Mam wrażenie, że będę musiał coś zrobić dla tej przeklętej wojny. Nie zamierzam walczyć, ale myślę o

wyjeździe do Francji i zgłoszeniu się na kierowcę ambulansu. W każdym razie podczas tych świąt muszę koniecznie napisać parę listów.

- Pewnie, czemu nie, młodzieńcze. - Pan Kellaway kiwnął głową z uznaniem. Gdyby on i Margaret mieli syna, chcieliby, żeby był taki jak Clive.

- Czuję się okropnie sfrustrowany - ciągnął Clive, trochę podnosząc głos. - We Francji i Belgii żołnierze giną jak muchy, a tymczasem tutaj wszyscy wygodnie siedzą w domu i cieszą się życiem.

- Spojrzał z obrzydzeniem na luksusowe otoczenie. - To mi się nie podoba, to nie jest w porządku. - Walnął w stół trzonkiem noża, tak że para siedząca przy sąsiednim stole spojrzała na niego ze zdziwieniem. - To nie jest w porządku! Jak można radośnie obchodzić Boże Narodzenie, wiedząc, że niewiele kilometrów stąd, po drugiej stronie Kanału tysiące młodych ludzi morduje się na froncie?

- Och, ale gdybyś tam pojechał, mogliby cię zabić! - zawołała Kate. - Byłabym wściekła, gdyby cię zabili!

- Kate, kochanie, nie reaguj tak emocjonalnie - zwróciła jej uwagę matka. - Wszyscy bylibyśmy wściekli, gdyby zabili Clive'a!

- A niby co u licha jest złego w reagowaniu emocjonalnie, mamó?

- Teraz już para przy sąsiednim stole po prostu się na nich gapiła.

- Ja nie chcę, żeby Clive zginął!

- Ani ja, Kate - mówiła spokojnie pani Kellaway - ale przecież nikt tego nie chce: ani twój ojciec, ani rodzina Clive'a, ani sam Clive. Tylko proszę cię, nie krzycz o tym na całą restaurację. - Zwróciła się do gospodarza uczyty. - A powiedz nam, proszę, czy narzeczona podziela twoje zdanie na temat wojny? Czy nie martwi się, że chcesz jechać do

Francji? - Pani Kellaway od dawna wypatrywała okazji, by zadać Clive'owi pytanie na temat Lettice Conway i teraz była uszczęśliwiona nadarzającą się sposobnością.

- Doprawdy, Margaret - zwrócił jej uwagę mąż. - To przecież nie nasza sprawa.

- Przykro mi o tym mówić, ale przed kilku tygodniami Lettice i ja zerwaliśmy narzeczeństwo - odparł sucho Clive.

- Och, Clive, kochany chłopcze! Przepraszam... - Pani Kellaway, zadowolona jak rzadko z czegokolwiek w życiu, naprawdę potrafiła zabarwić drzeniem swój głos. - Mam nadzieję, że nie jesteś tym zbyt przygnębiony.

- Margaret! - zaprotestował mąż.

- Czuję się doskonale, dziękuję - powiedział Clive tym razem z uśmiechem. - A teraz: co państwo życzylibyście sobie na deser? - spytał, kiedy kelner pojawił się, niby duch, przy stole, żeby sprzątnąć naczynia.

- Świąteczny pudding! - szybko zawołała Kate. - Uwielbiam świąteczny pudding i świąteczne ciasto, i babeczki z bakaliami. I w ogóle wszystko, co jest związane z Gwiazdką!

Clive też zamówił pudding dla siebie, chociaż bez entuzjazmu. Uważał, że powinien jeść tylko wołowe konserwy, tak jak żołnierze po drugiej stronie Kanału.

Ale nawet gdyby tak zrobił - kto by o tym wiedział i kogo by to obeszło? Tylko jego! A co dobrego by z tego wynikło dla kogokolwiek?

* * *

- Hej, Marto! To ty?

Kobieta stojąca przed wystawą sklepową odwróciła się na dźwięk zdziwionego głosu Clive'a.

- Czekam na Kate. Mam coś, co chciałabym, żeby mi przeczytała. Trochę padało, a ona wyglądała tak żałośnie w

swojej czarnej chuście, że Clive poczuł, jak bardzo jest mu bliska.

- Ale szkołę Kate zamknęli teraz na święta - wyjaśnił. - Otworzą dopiero w styczniu. W dodatku Kate nawet nie ma w Liverpoolu: pojechała z rodzicami do siostry, do Nottingham.

- A prawda... - Przeczesła palcami wilgotne włosy. - Mówiła mi to przecież, ale zapomniałam.

- Może ja ci to przeczytam?

- Mógłbyś? - Twarz jej pojaśniała. - Uczyłam się już sama czytać i chyba się dosyć nauczyłam, by przeczytać list Albiego... no, właściwie to nie jest list... ale on po prostu bazgrze i nie mogę tego ani rusz zrozumieć. I nie to, bym nie mogła poprosić innych dzieci, żeby mi przeczytały... ale przedtem muszę wiedzieć, co tam jest napisane.

Clive ujął ją pod ramię.

- To może wejdźmy do mojego biura? Tam jest spokojnie. I poproszę, żeby Herbie nam zrobił herbaty. - Herbie miał pilnować biura, kiedy Clive'a tam nie było. Jeżeli wyszedł, na co się zanosilo, dostanie porządną burę, kiedy raczy się tam znów pokazać.

- Czy ktoś tutaj przychodzi i karmi te biedactwa podczas Świąt? - spytała Marta.

- Jakie biedactwa? - Nie miał pojęcia, o czym Marta mówi.

- No, tego szczeniaka i kocięta tu, w oknie. - Wskazała na klatkę pełną kociąt, wesoło się turlających i na małego czarnego szczeniaczka, smutnego i żalosego w swojej samotności.

- Właściciel jest zobowiązany do ich nakarmienia - powiedział Clive z przekonaniem. - To jego towar, on tym handluje, prawda? W końcu przecież będzie chciał je sprzedać.

- Chyba tak... - Jego odpowiedź sprawiła, że Marta rozchmurzyła się odrobinę.

- Więc co to jest? - spytał, kiedy już znaleźli się w jego biurze. Na dole Herbie szykował herbatę.

Marta podała Clive'owi dwie kartki papieru, wydarte ze szkolnego zeszytu, zapisane dziecinnym, niemal nieczytelnym pismem. Ortografia wołała o pomstę do nieba.

- To napisał Albie, najlepszy kolega Joego. Byli razem, kiedy Joe zginął, ale nie potrafił mi o tym dokładnie opowiedzieć, kiedy z nim rozmawiałam jakiś tydzień temu. Jego mama się zgodziła, żeby to wszystko opisał, kiedy się trochę pozbiera.

- Wiesz tak mniej więcej, o co tu chodzi, Marto? Przeglądając pobieżnie tekst, Clive zauważył dziwne słowo i zdanie, które uznał za dość przerażające.

Skinęła głową. Była blada jak śmierć.

- Nie mogę przestać o tym myśleć. Chciałam się dowiedzieć, jak Joe umarł, bo myślałam, że to mi pomoże się uspokoić i trochę odpocząć, ale odkąd wiem, jest tylko gorzej. Nikomu nie mówiłam o tym, co mi powiedział Albie - ani mężowi, ani Kate.

Clive studiował pierwszą z zabazgranych stroniczek.

- Tu jest napisane, że Albie i Joe szli do ataku na wroga, kiedy nastąpił wybuch: Albiego odrzuciło w tył, potem nic nie widział. Prawdopodobnie na jakiś czas oślepl.

- Całą twarz ma pociętą, w czarnych i niebieskich sińcach - wtrąciła Marta - to tyle, co można zobaczyć.

W tym momencie wszedł Herbert z herbatą na tacy i kawałkiem ciasta z czarnymi porzeczkami.

- Moja mama zrobiła - pochwalił się. - Ale to nie dla pana, szefie, tylko dla tej tu paniusi.

- Dziękuję, synku.

Marta tęsknie popatrzyła za oddalającym się Herbertem. Clive robił, co mógł, żeby odnaleźć sens w bezładnym sprawozdaniu Albiego.

- Wygląda na to, że Joe go zaciągnął z powrotem do okopu, do którego obaj wpadli. Joe miał poważnie zranioną nogę, albo na skutek eksplozji, albo po wpadnięciu do okopu.

- Clive zerknął na Martę w nadziei, że prawda jej zbyt nie rozstroi. - Albie pisze, że Joemu udało się go oprzeć o ścianę okopu, ale wtedy przyszedł jakiś „diabeł”

i kazał mu z powrotem wyjść. - Zmarszczył brwi. - Chyba miał na myśli, że kazał wyjść Joemu, nie Albiemu.

Marta przytaknęła.

- Tak, tak było. A ten „diabeł” to oficer, chłopcy go tak nazywali. Naprawdę się nazywa Neville, czy jakoś podobnie.

- Rozumiem. - Clive czytał dalej. - Joemu się jakoś udało wspiąć po drabinie mimo zranionej nogi. Albie pisze dalej, że wszędzie tam było „okropne błoto”. - Słyszał już przedtem, że pole bitwy zamieniło się w morze błota, co robiło wrażenie piekła na ziemi i że wojsko jadło i spało w tym błocie, w ubraniach, które nigdy nie wysychały. Widać, że było to miejsce, w którym żadna ludzka istota nie powinna się była znaleźć, a co dopiero czternastoletni chłopcy.

Znów spojrzał na Martę, by sprawdzić, jak to przyjęła. Twarz miała nadal bladą i tak smutną, jak tylko smutna może być ludzka twarz.

Pomyślał, że chciałby, by była tu z nimi Kate: trzymałaby Martę za rękę i od czasu do czasu ścisnęła współczująco jej ramię.

Reszta sprawozdania była już naprawdę paskudnie szokująca, ale Clive nie miał zamiaru niczego cenzurować.

- Najwidoczniej - powiedział, pokaszując - Joe musiał upaść niedaleko od okopu. Wtedy zaczął wołać ciebie, Marto. Albie pisze: „Wzywał swojej mamy. Od czasu do czasu wołał

też i mnie, ale ja się nie mogłem ruszyć. Odkrzykiwałem coś, ale nie wiem, czy mnie słyszał".

W tym momencie Marta zaczęła szlochać.

- Od czasu, kiedy Albie mi o tym powiedział, ciągle słyszę, jak Joe mnie woła: w domu, w pracy... nawet kiedy śpię. Budzę się, ale nikogo nie ma. - Przycisnęła ręce do piersi. - Serce mnie boli, kiedy myślę o tym, jak umierał i jak potrzebował wtedy mamy. - Spuściła głowę i wyszeptała: - To nigdy nie przejdzie, ten ból. Zostanie ze mną, aż umrę. - Uniosła głowę i popatrzyła na niego błagalnie. - Dlaczego nie napisali do mnie z wojska, że znaleźli jego ciało i pochowali? Chyba... chyba mam prawo wiedzieć, co się z nim stało, prawda?

- Albie uważa, że ciało Joego zabrano następnego ranka. Píše: „Dwóch mężczyzn przyszło i go zabrało. Powiedzieli: To ten młodziak". - Clive westchnął, odkładając sprawozdanie Albiego na biurko. - Sądzę, że niedługo napiszą do ciebie z wojska, Marto. Wątpię, czy tam jest wszystko zorganizowane, jak należy.

Clive nie wiedział, co jeszcze powiedzieć. Zastanawiał się, czy gdyby był na froncie - powiedzmy, jako sanitariusz - mógłby pomóc Joemu? Albo pomóc jakiemuś innemu Joemu, w innym momencie?

Marta się podniosła; robiła wrażenie ogromnie zmęczonej.

- Muszę wracać do pracy - rzekła. - Mister cały ranek był w fatalnym humorze... lepiej, żebym się nie spóźniła.

- Zabierz to może ze sobą. - Clive chciał jej podać sprawozdanie Albiego, ale Marta uniosła rękę.

- Dziękuję, że mi to przeczytałeś, ale... czy mógłbyś to tutaj dla mnie trzymać? Nie chcę, żeby któreś z dzieci to znalazło. Wolałabym, żeby nie wiedziały, jak ich braciszek umierał.

Począpiała w stronę drzwi. Clive się zerwał, żeby jej otworzyć.

- Mam nadzieję, że... - Chciał powiedzieć „że będziesz miała przyjemne Święta”, ale zamiast tego rzekł: - że się postarasz nie martwić tak bardzo. - Wiedziony impulsem, pochylił się i pocałował ją w policzek. - Bóg z tobą, Marto. - Minęło już wiele lat od czasu, kiedy przestał wierzyć w Boga.

- I z tobą, synu.

Patrzył przez okno, jak odchodziła. Kiedy zniknęła, wrócił do biurka i zauważył, że nie zjadła ciastka upieczonego przez matkę Herbiego.

Nagle, bez ostrzeżenia, po policzkach Clive'a popłynęły łzy. Gdyby jego ojciec to widział, z pewnością by się go wyrzekł.

* * *

Wcześnie rano w Wigilię na King's Court przyszły dwie przesyłki. Pierwszy był indyk, dostarczony prywatnym autem od Kate, już upieczony, razem z dużym koszem innych przysmaków: ciasto, dwa puddingi, dwa tuziny babeczek z bakaliami, paczka sosu w proszku i pudełko czekoladek Bournville.

Tuż po południu na podwórko zajechała bladozielona furgonetka ze złotymi napisami „Frederick & Hughes” na bokach i przywiozła białe tekturowe pudło. Pudło było od Clive'a Dextera i zawierało kremowy szal, cieniutki jak pajęczyna, lalkę - niemowlę naturalnej wielkości, pociąg, którego lokomotywa puszczała prawdziwy dym - oraz butelkę irlandzkiej whiskey.

- To pewnie dla ciebie. - Marta wręczyła butelkę whiskey zakłopotanemu mężowi. Carlo ją otworzył, pociągnął łyk i odtąd co jakiś czas powtarzał tę czynność.

Marta patrzyła na pyszne jedzenie i inne prezenty, myśląc, że jednak wolałaby chodzić w zniszczonych szmatach i aż do śmierci jeść tylko kaszę, ale mieć tutaj nadal swojego syna.

Nie wątpiła, że reszta rodziny jest tego samego zdania.

* * *

W dzień Bożego Narodzenia Marta, Carlo i dwoje najmłodszych dzieci siedli razem do obiadu. Carlo tego dnia nie zrobił ani kroku w kierunku wyjścia. Nawet się ogolił, włożył czystą koszulę i czasem się włączał do rozmowy: zauważył, że indyk jest niezwykle delikatny, a whiskey łagodna jak śmietana. Bella! mruknął, trzymając butelkę pod światło: złocisty płyn w środku migotał jak roztopione złoto.

Już rano rozpałił ogień na kominku, używając małego woreczka węgla „orzech”, kupionego specjalnie na tę okazję, i paru drewnianych pudeł po pomarańczach, które Lily i Georgie znaleźli w porcie.

Obiad upłynął w smutnej atmosferze, którą dopiero trochę ożywiła Joyce: przyszła z Edwardem i pokazała całej rodzinie pierścionek zaręczynowy.

- To brylant soliter - chwaliła się, poruszając palcami lewej ręki tak, żeby malutki klejnocik skrzył się i mienił.

- Winszuję wam obojgu - ciepło powiedziała Marta. Nareszcie jakaś dobra wiadomość na odmianę.

Frank zjawił się później. Jadł obiad gdzieś indziej i wyglądało na to, że koniecznie chce rodzinie poprawić nastrój przy pomocy paru dowcipów i pudełka z grami oraz talii kart. Godzinami się zabawiał z najmłodszym rodzeństwem, aż jego uwagę zwróciła kolejka, jaką dostał Georgie. Frank - w swoim najlepszym garniturze - położył się na podłodze i, niczym dziecko, z radością przyglądał się, jak malutka lokomotywka i wagoniki jeżdżą w kółko po rozstawionych torach. Nawet dawniej, kiedy Carlo jeszcze pracował, nie mogliby sobie pozwolić na tak kosztowną zabawę.

- Ależ to by się podobało naszemu Joemu! - zawołał. Bawił się pociągiem jeszcze przez jakiś czas, po czym, kiedy się zorientował, że bary są już otwarte, zabrał ojca na drinka.

- Pewnie wrócę późno - zawołał, wychodząc. - A gdyby nie, to się zobaczymy w sylwestra!

Joyce ubierała i rozbierała lalkę Lily, Jaskierkę, wreszcie powiedziała, że już oboje z Edwardem muszą iść, bo jej koleżanki urządzą przyjęcie.

Marta stanęła na schodach i machała im na pożegnanie, kiedy zauważyła, że malutki Tommy Mahon, ubrany zupełnie niedostatecznie, jak na grudzień, siedzi na schodkach domu naprzeciwko, tam, gdzie w piwnicy mieszka jego rodzina.

Oburzona Marta przebiegła po oblodzonych kocich łbach bruku i zaczęła walić w okno ich piwnicy.

- Jest tam kto? - wołała. Nie było odpowiedzi.

- Gdzie twoja mama i tata? - pytała drżącego z zimna dzieciaka. Miał na sobie krótkie spodenki, zniszczony sweterek i kalosze, każdy innej wielkości.

- Pošli - niewyraźnie odparło dziecko.

- Zapomnieli cię ze sobą zabrać, czy jak?

- Nie Wiem.

- Świnie! - parsknęła. Dzieciak nie protestował, kiedy go wzięła na ręce i zaniósła do własnego mieszkania.

Siedziała tak, zajmując się małym, prawie cały wieczór. Karmiła go kawałkami indyka i czekoladkami, trochę z obawą, że może się rozchorować, jeżeli zje za dużo. Tymczasem Lily i Georgie grali w gry i śpiewali kolędy, rywalizując między sobą, kto zaśpiewa głośniej.

Teresa i Donald Mahonowie wrócili parę godzin później, pijani jak bela, wymyślając sobie nawzajem. Reszta ich dzieci wlokła się za nimi.

Marta, rozgniewana, poszła do nich z Tommym, który, jak się okazało, sam wrócił do domu aż z Everton, gdzie mieszkała siostra Teresy, dokąd rano pojechała cała rodzina.

- Już ja dam temu gówniarzowi, co mu się należy, jak tylko wejdę do domu - zarzekała się matka, wyrywając synka z rąk Marty. Dziecko zaczęło płakać.

- Nie, Tereso, proszę, przecież dziś Boże Narodzenie! - błagała Marta.

- Pilnuj swojego kaprawego nosa. - Ruszyła w dół po schodach do sutereny.

Marta wróciła do domu. Kiedy kładła dzieci spać, czuła taki smutek, że nie mogła wypowiedzieć słowa.

Na dworze było już cicho, a z ognia pozostało tylko parę żarzących się węgielków, kiedy Carlo wrócił do domu, sam. Frank podobno poszedł się zobaczyć z kolegą.

Carlo był jeszcze stosunkowo trzeźwy. Widząc to, Marta uznała, że ma okazję powiedzieć mu o dziecku, którego się spodziewała.

W pierwszej chwili zanadto osłupiał, żeby coś powiedzieć. Beznamiętnie pomyślała, jaki jest jeszcze przystojny, o ile się ogoli i włoży porządne ubranie.

- Kiedy się urodzi? - spytał, gdy się trochę otrząsnął.

- W końcu czerwca, albo na początku lipca. Brzuch Marty już się zaczął powiększać.

- Może Bóg go nam zsyła na miejsce Joego - powiedział głosem pełnym nabożnego lęku.

- Będę się cieszyć, mając znowu pięcioro dzieci, ale nigdy to nie będzie „na miejsce Joego”.

Na jego miejscu pozostała pustka, pusta przestrzeń, która się nigdy nie zapełni, nieważne, ile jeszcze dzieci będzie miała.

- Muszę napisać do mamy - rzekł Carlo. - Zawsze do niej pisałem, kiedy się spodziewaliśmy kolejnego dziecka, a

później posyłałem jej ich fotografie. A w zamian mama przyśle na pewno prezent: szal albo kocyk, który sama zrobi na drutach.

- Pamiętam - wymamrotała Marta, trochę zaniepokojona w duszy. Nie spodziewała się, że Carlo kiedykolwiek jeszcze wspomni o swojej matce, a już tym bardziej, że do niej napisze. - Mieliśmy kiedyś do niej pojechać - przypomniała mu - tak samo, jak popłynąć na wyspę Man i odwiedzić twojego kuzyna Freddy'ego.

Ogień na palenisku powoli dogasał, wzgórki i mostki czerwonego żaru osypywały się, rozsiewając deszcz iskier. W pokoju zrobiło się wyraźnie chłodniej, a zużyli już cały opał.

- Tęsknię za Italią - mówił Carlo. - Tęsknię za wzgórzami i winnicami... i za zapachami. Tam to naprawdę był spokój. - Marta już mu nie przypominała, że spokój panował też w ich domu w Liverpoolu, zanim Carlo nie zaczął bijatyk z Irlandczykami. Zadrżał. - A na południu jest zawsze ciepło, nawet w Boże Narodzenie. - Ni stąd ni zowąd zaczął narzekać. - Chyba już nie potrafiłbym napisać listu w moim własnym języku!

- Możesz spróbować - zachęciła go Marta. Chyba trochę za późno (bo minęło ponad dwadzieścia lat) dla Carla na nostalgię, na tęsknotę za ojczyzną. Ale może to był dobry znak; Carlo zaczynał się czuć z powrotem normalnym człowiekiem, przestawał się poruszać po świecie jak lunatyk.

- Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy ostatnio pisałem do kogoś list, po angielsku czy po włosku.

- To było wtedy, gdy się urodził Georgie. Niedługo po tym zraniłeś się w rękę.

Carlo skrzywił się w stronę zdrowej ręki, wymruczał „dobranoc” i poszedł spać, zostawiając Martę przed kominkiem. Patrzyła, jak czerwony żar powoli szarzeje, i czuła, że w pokoju robi się coraz zimniej i zimniej.

Z daleka słyhać było jakieś krzyki i śpiewy. Wsłuchała się lepiej, świadoma, że ktoś hałasuje tuż przed jej drzwiami: odgłosy uderzeń, zduszone jęki, czyjś groźny głos...

Wyjrzała przez okno i zobaczyła, jak jakiś ogromny chłop, niemal dwa razy większy od Franka, kopie go z całych sił.

Marta wrzasnęła, schwyciła pogrzebacz i wypadła na zewnątrz. Wielki facet ciągnął teraz jej syna w górę, trzymając go za klapy wielbłądziego płaszcza. Robił wrażenie, jakby chciał go przerzucić przez całe podwórze. Walnęła go z całej siły pogrzebaczem z tyłu po nogach: ryknął i upadł na kolana. Frank w tym samym momencie zdołał się podnieść.

- Do środka! - warknęła Marta. - A tego gnoja zostaw mnie!

- Nie bądź niemądra, mamó. Zrobi z ciebie siekaninę. Daj mi ten pogrzebacz.

- Mowy nie ma, szczeniaku! Jeszcze go zabijesz, a wtedy sierżant Gilligan na pewno dopilnuje, żeby cię dokładnie powiesili, i sprawdzi, czy na pewno umarłeś. Powiesiłby i mnie, gdyby mu się udało. - Zakręciła pogrzebaczem nad głową, bo zobaczyła, że napastnik powoli się podnosi. - Podejdź tylko bliżej, a rozwalę ci ten twój cholerny łeb! - zagroziła.

Facet poczłapał na ulicę ze schyloną głową, ukrywając twarz.

Okazało się, że Frank już dawno popłacił swoje długi. Nie miał pojęcia, dlaczego ktoś miałby go zaatakować. Tego dnia najniewinniej w świecie odwiedzał przyjaciółkę, kiedy niespodziewanie pojawił się jej mąż, zrozumiał wszystko na opak i Frank został poproszony o opuszczenie domu. Teraz sądził, że ten facet przed domem to sąsiad męża przyjaciółki, emerytowany bokser.

- Któregoś dnia wpakujesz się w prawdziwe kłopoty - skarciła go Marta, przykładając mu do wargi watkę z jodyną.

Oczy miał podpuchnięte, a na szyi czerwone ślady w miejscach, w których ów „sąsiad” go ścisnął, próbując udusić.
- Gdybym nie wyszła w porę, ten potwór na pewno by cię zabił!

Okropność tego, co powiedziała, sama myśl, jak łatwo mogła stracić kolejnego syna, była tak straszna, że łzy jej się puściły z oczu. Za chwilę Frank poszedł w jej ślady, solennie przy tym obiecując, że do końca życia będzie się prowadził jak święty.

- To nie żarty, mamó! Naprawdę.

* * *

Clive Dexter zaczął szukać informacji na temat służby frontowej, ale nie w charakterze żołnierza. W kilka dni po Bożym Narodzeniu jechał do Londynu, chcąc się osobiście zameldować w Ministerstwie Wojny, kiedy na zakręcie, tuż za Oksfordem, znalazł się oko w oko z koniem, który ciągnął wóz po niewłaściwej stromej drodze. By uniknąć kolizji, Clive wjechał samochodem do rowu, rozbił sobie głowę i złamał rękę w dwóch miejscach.

Tydzień później Kate odwiedziła go w biurze. Był w paskudnym nastroju.

- Czego chcesz? - warknął na nią, kiedy weszła. Guz na czole zżółkł, a prawa ręka była w gipsie. Pisanie - zarówno ręczne, jak na maszynie - przy użyciu tylko lewej ręki okazało się diabelnie trudne.

- Marta będzie miała dziecko - oznajmiła Kate. - Właśnie mi powiedziała.

- Pogratulować - mruknął opryskliwie. Oczy Kate zabłyśły.

- Och, ale czy to nie wspaniała wiadomość?

- Cudowna. - Tak naprawdę nie widział w tym jednak nic cudownego.

- Herbert mi mówił, że miałeś wypadek. Okropnie wyglądasz - rzekła współczująco. - Jak się czujesz?

- Cudownie - powtórzył. - Czuję się cudownie. Zasiadła przed jego biurkiem, promiennie uśmiechnięta.

- Pewnie nie ucieszą cię życzenia Szczęśliwego Nowego Roku.

- Masz rację: nie ucieszą. - Wskazał na swoją rękę na temblaku.

- Ale co do Marty, to dobra wiadomość, prawda? To jej trochę odwróci myśli od Joego.

- Wątpię - rzucił. - Narodziny nie likwidują śmierci. Jak ona się czuje? - W gruncie rzeczy był naprawdę zainteresowany wszystkim, co się wiązało z Martą. - Widziałaś ją dopiero co?

- Dzisiaj był pierwszy dzień zajęć po Świętach w szkole, więc się spotkałyśmy, pierwszy raz od Bożego Narodzenia. A co u ciebie? Miałaś przyjemne Święta, oczywiście nie mówiąc o tym wypadku?

- Cudowne.

- Widzę, że dziś dla ciebie wszystko jest „cudowne”, prawda, Clive? - rzekła z ożywieniem. Wyglądała prześlicznie w różowym kostiumiku i puszystym różowym kapelusiku, z policzkami również zaróżowionymi od zimna.

- Gdyby pani była choć odrobinę bardziej spostrzegawcza, panno Kellaway, zauważyłaby pani, że ton mojego głosu, kiedy wymawiam to słowo, oznacza, że myślę wręcz przeciwnie.

- Zdawało mi się, że byliśmy po imieniu, panie Dexter. I oczywiście zauważyłam, że ton, jakim pan wypowiada słowo „cudowny” nie pasuje do tego słowa... tyle że byłam zbyt uprzejma, by to wyrazić na głos.

Zachichotała i Clive już zaczął podejrzewać, że za chwilę pokaże mu język. Och, ale rzeczywiście, od kiedy tu była,

poczuł się lepiej. Usiadł i patrzył na nią przez całe pół minuty, podczas gdy ona powstrzymywała się, żeby znowu nie zachichotać.

Po chwili jego spojrzenie się zmieniło: teraz było pełne podziwu. Co prawda Clive nie zdawał sobie z tego sprawy, ale Kate tak - i czuła się z tego powodu uradowana.

* * *

Zdaniem Kate, ta zima była bardzo nudna. Prawie bez śniegu, a ona uwielbiała śnieg. Z pasją brodziła po nim w kaloszach albo lepiła bałwana. Nie było zbyt zimno - co prawda to akurat bardzo cieszyło takich ludzi, jak Marta, której przez większość roku nie było stać na rozpalanie kominka, tak że ciepło utrzymywał tylko mały piec kuchenny.

Wydawało się, że Marta już się pozbierała po pierwszym szoku wywołanym śmiercią Joego. Kate była tym zaskoczona, ale i rada. Nadszedł list z Ministerstwa Wojny, adresowany do pana i pani Rossi z wiadomością, że szeregowiec Giuseppe Antonio Rossi zostanie pochowany we Francji. Kiedy Kate zobaczyła ten list i wypisane w nim pełne imiona Joego we włoskim brzmieniu, w pierwszej chwili myślała, że to pomyłka.

Możliwe, iż to oficjalne potwierdzenie śmierci syna pomogło matce pogodzić się z jego stratą. Teraz rzadko wymieniała nawet imię Joego. Prawdopodobnie jej myśli pochłonęło nowe, mające się urodzić dziecko.

Kate zasypywała teraz przyjaciółkę pomarańczami, bo przeczytała w „Patty's Paper”, piśmie poświęconym zdrowiu i urodzie pań, że jedzenie dużych ilości pomarańczy zabezpiecza przed rozlicznymi chorobami, a poza tym bardzo dobrze robi ciężarnym kobietom.

- Jeżeli to dziecko urodzi się pomarańczowe, powiem ci parę słów do słuchu, moja panno - żartowała dobrodusznie

Marta, kiedy Kate wciskała jej do rąk kolejną torbę z owocami.

Dni robiły się coraz cieplejsze i dłuższe. Wraz z wybuchem wojny wprowadzono coś, co się nazywało „brytyjskim czasem letnim”, choć mało kto rozumiał, o co tu chodzi. Jazda pociągiem do pracy z Ormskirk do Liverpoolu była teraz przyjemniejsza, kiedy się mijało łąki pełne przebiśniegów, dzikich hiacyntów i krokusów.

Pewnego pięknego, słonecznego dnia w początkach kwietnia Kate wyszła za szkoły na lunch w nadziei, że spotka czekającą na nią Martę. Zamiast tego zobaczyła dzieci Marty, Lily i jej brata, siedzące na schodach do szkoły. Zerwali się na jej widok: dwie małe chudzinki, co prawda lepiej ubrane niż większość innych dzieciaków, które Kate zapamiętała z King's Court.

- Mama poszła - poinformowała ją Lily.

- Poszła do Londynu - uzupełnił Georgie. Kate nic nie rozumiała.

- Pojechała pociągiem? - spytała.

- Nie, poszła piechotą - odparła Lily. - Dziś rano złapała prom do Birkenhead i stamtąd poszła najpierw do Chester.

- Piechotą!? - Kate nie wierzyła własnym uszom. - Ale... co z dzidziusiem? - Marta była w szóstym miesiącu ciąży.

- Nasz tata też ją o to spytał. Powiedziała, że jak będzie czekać, aż się nowe dziecko urodzi, to już się nigdy nie wybierze.

- A kto się zajmuje wami dwojgiem?

- Nasz tata - beztrąsko odparła Lily. - Mama powiedziała, że jeśli się nie będzie nami porządnie opiekował, da mu solidne lanie.

- Piechotą - powtórzyła Kate. - Do Londynu? Ależ jej to zabierze mnóstwo czasu. Czy was poprosiła, byście tu przyszli i powiedzieli mi?

- Nie, powiedziała, żebyśmy nie mówili nikomu, ale ja i Georgie pomyśleliśmy, że ty to już na pewno powinnaś o tym wiedzieć.

- Och! - Kate poczuła się bardzo uradowana takim zaufaniem dzieciaków i była ciekawa, czego się po niej spodziewają. Ma dogonić Martę i dać jej pieniądze na pociąg, na przykład? - Chcielibyście loda? - spytała. Kiedy będą jadły, może zdąży wszystko przemyśleć.

- Prosimy! - zawołali chórem.

Zabrała ich do Woolwortha na Church Street, gdzie sprzedawano lody i napoje. Kupiła po rożku z lodami dla każdego i lemoniadę dla siebie.

- A właściwie po co wasza mama poszła piechotą do Londynu? - spytała, sama zdziwiona, że dotychczas im nie zadała tego pytania.

- Dla naszego Joego - wyjaśniła Lily. - Poszła do Londynu zobaczyć się z panem premierem w sprawie Joego.

Rozdział 13

Po zejściu z promu Marta szybko przeszła przez Birkenhead, z jego pełnymi klientów sklepikami i małymi uliczkami, wzdłuż których stały szeregowo domki, na ogół mieszkania robotników z Cammell Laird, miejscowej stoczni.

Była rada, gdy dotarła poza miasto, gdzie powietrze już nie śmierdziało sadzą i dymem, za to śpiewały ptaki i dookoła nie było widać ani jednego dachu czy komina. Bładożółte kwietniowe słońce stało niemal pionowo nad jej głową, przywołując na myśl wspomnienie czasów, kiedy była małą dziewczynką i mieszkała w Irlandii.

Wąską drogę, jaką podążała, otaczały słabo ulistnione jeszcze krzewy, przez które niekiedy prześwitywało ptasie gniazdo. Chętnie by się przyjrzała pisklętom, a choćby jeszcze tylko kupce małych jajeczek...

Która to może być godzina, zastanowiła się. Domyślała się, że albo jest bardzo późno rano, albo wczesne popołudnie.

Idąc, podśpiewywała pod nosem jakąś piosenkę. Dzisiaj czuła się zupełnie inaczej niż zwykle. Nie czuła się Martą Rossi, ale jakąś zupełnie inną kobietą będącą teraz w drodze do Londynu, żeby się spotkać z premierem, który się nazywa Herbert Asquith. Chciała mu opowiedzieć o Joem i zapytać, czy chłopcy w jego wieku nadal są posyłani do Francji na śmierć. Arthur Hanson jej powiedział, że już niejedną raz tę sprawę poruszano w Parlamencie.

W końcu dotarła do pierwszego kamienia milowego - niewielkiego kawałka granitu przy ścieżce, na której pomieściłby się najwyżej koń z wozem albo mały samochód. Na kamieniu był wryty napis „Little Bebbington - 3 mile”. Trzy mile, to około pięciu kilometrów. Z tego, co mówił Mister, wiedziała, że Little Bebbington jest jedną z miejscowości w bok od głównej drogi do Chester, jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od Birkenhead. Marta

zarezerwowała i opłaciła sobie nocleg w Chester na tę noc, chociaż już od następnego dnia będzie musiała szukać dalszych noclegów i płacić za nie. Ale od Bożego Narodzenia oszczędzała pieniądze - pensa tu, pensa tam - poza tym zastawiła tę śliczną zieloną sukienkę od Kate, a także (po raz enty) swoją ślubną obrączkę. Razem z tym, co dotychczas oszczędziła z pieniędzy wysyłanych z żołdu Joego, zebrała prawie dwadzieścia pięć szylingów.

W torbie na zakupy miała spis miejsc, w których się powinna zatrzymać, a także mapę Anglii, na której Mister fioletowym atramentem zaznaczył jej te wszystkie miejsca. Uprzedził ją, że będzie musiała minąć wiele, bardzo wiele takich kamieni milowych, zanim dojdzie do Londynu.

- Jesteś pewna, że dwadzieścia pięć kilometrów na dzień to dla ciebie nie za dużo? - zapytał.

- Kiedy jeszcze byłam dziewczynką, w Irlandii, codziennie szłam prawie pięć kilometrów do szkoły - odparła chełpliwie, zapominając, że były długie okresy, kiedy w ogóle do szkoły nie chodziła. - I z powrotem znowu pięć kilometrów. - Dwadzieścia pięć kilometrów do Chester to tyle co nic, skoro miała na to cały dzień.

- Ale... jesteś przecież w stanie... - powiedział, spoglądając wielkimi ciemnymi oczami na jej wzdęty brzuch, wyraźnie zbyt zawstydzony, by wypowiedzieć, w jakim ona jest stanie. - No, i nie jesteś już dziewczynką.

- Ale też nie jestem jeszcze stara.

Teraz się zastanawiała, ile już przeszła. Kamień milowy nie podawał odległości do Birkenhead czy Chester.

- Patrzysz teraz na mnie, Joe? - zapytała głośno. - Dla ciebie to robię, chłopaku. Tak mi przykro, że nie było mnie przy tobie, kiedy umierałeś i szedłeś do nieba, ale teraz to ci wynagrodzę. - Powstrzymała płacz i wytarła nos rękawem;

zapomniała zabrać ze sobą szmatki w charakterze chusteczki do nosa.

Zbliżył się jakiś koń, ciągnący rozklekotany wóz, a na nim drucianą klatkę pełną rozzłoszczonych, gdaczących kur. Woźnica, potężny mężczyzna z podbródkiem pełnym brodawek, uchylił czapki i pozdrowił Martę krótkim „bry wieczór”.

- Dobry wieczór - odparła Marta równie lakonicznie. W jej pojęciu wpakowanie tylu ptaków do klatki tak ciasno, że nie mogły oddychać, było czystym okrucieństwem. Nic dziwnego, że się złościły. Przyszło jej nawet na myśl, że pewnie nie wszystkie kury przeżyją tę podróż.

Poszła dalej, głęboko wdychając powietrze i pozwalając mu wychodzić z płuc z głośnym „Huuu!”. Po jakimś czasie zdjęła szal, złożyła go i wsadziła do sznurkowej torby; przedłużyła rączki tak, że teraz mogła ją przewiesić przez ramię. W torbie miała poza tym ręcznik, flanelową myjkę do twarzy, mydło, grzebień i parę majtek, spis miejscowości od Mistera, który je wypisał dużymi literami, i jeszcze jakieś drobiazgi. Portmonetka bezpiecznie spoczywała w kieszeni jej szarej sukni.

Minął ją kolejny wóz, tym razem wiozący niewielki pług. Kierowca coś do siebie gadał i w ogóle nie zwrócił na nią uwagi. Czuła się tym trochę urażona i równocześnie zwolniła kroku. Byłoby głupotą męczyć się niepotrzebnie.

Czy nie zbliżała się już pora, kiedy Lily i Georgie wracają ze szkoły, zastanowiła się w jakiś czas później. Carlo obiecał, że im zrobi podwieczorek. Ostatnio było między nimi coraz lepiej, to znaczy pomiędzy nią i Carlem, od Gwiazdki, kiedy mu powiedziała o dziecku. Od czasu do czasu rozmawiali, a on przestał się włóczyć po ulicach i gapić na piękne, kiedyś przez siebie układane mozaiki. Niemniej jeszcze spędzał za dużo czasu, wyłudzając w barach drinki od ludzi.

- Lepiej znalazłbyś sobie jakąś robotę, zanim się to dziecko urodzi - przestrzegała go. - Nie będę mogła zabierać ze sobą niemowlęcia do pracy, Mister by tego nie wytrzymał, a ty się chyba nie nadajesz do samodzielnej opieki nad nim, co?

- Nie, Marto - przyznał. - Znajdę sobie jakąś pracę... nie martw się.

- Bo jeżeli nie, skończymy wszyscy w przytułku.

Była to pusta groźba: Marta nigdy nie pozwoliłaby, żeby jej dzieci znalazły się choćby w pobliżu takiego miejsca.

Według tego, co było napisane na kolejnym drogowskazie, do Chester miała jeszcze jakieś osiemnaście kilometrów.

Osiemnaście! To znaczyło, że dotąd przeszła tylko siedem, a miała wrażenie, że ich było dziesięć, a nawet więcej.

- Psiakość - mruknęła. Buty zaczynały obcierać jej pięty, mimo że je wyścieliła brązowym papierem. Dziecko w brzuchu wydawało się wyjątkowo ciężkie. - Psiakość! - Kopnęła jakiś kamyk, objęła brzuch obiema rękami i podtrzymała.

Szła teraz wolniej, powłócząc nogami. Było jej o wiele za gorąco, ale ponieważ szal już zdjęła, nie miała niczego więcej, co mogłaby zdjąć, z wyjątkiem słomkowego kapelusza. Ściągnęła go z głowy i schowała do torby: to mogło pomóc.

- Robię to dla Joego - przypominała sobie, prostując ramiona i starając się za wszelką cenę utrzymać w miarę przyzwoite tempo, po prostu na wypadek, gdyby synek jednak patrzył na nią z nieba i zauważył, że zaczyna się wlec. Musi dzisiaj dojść do Chester, choćby miała się tam doczołgać na czworakach, choćby o północy.

Siadła na następnym kamieniu milowym, myśląc, że powinna była zabrać butelkę wody i coś do jedzenia. Mimo jej ostatnich przyrzeczeń, dotarcie do Chester jeszcze dzisiaj nie

było absolutnie konieczne... Może w najbliższej miejscowości spyta o jakiś nocleg ze śniadaniem, przenocuje, a do Chester dojdzie nazajutrz?

Patrzcie no tylko! Dotychczas nie minęła jeszcze żadnej miejscowości. Od czasu do czasu trafiał się tylko pojedynczy duży dom, ale tak daleko od drogi, że nie przydałby się jej do niczego.

Już się szykowała do wstania i podjęcia dalszej wędrówki, kiedy znów usłyszała stukot kopyt i zobaczyła konika, biegnącego w jej stronę i ciągnącego elegancką granatową dwukółkę z wypolerowanymi kołami. Powożąca nim kobieta o surowym wyglądzie, w tweedowej spódnicy, brązowym aksamitnym żakiecie i zamszowym kapeluszu z zielonym piórkiem, zawołała:

- Prrr, Noble! - i powozik się zatrzymał.

- Nic pani nie jest? - kobieta zwróciła się do Marty, która rozpaczliwie próbowała się podnieść, oderwać od kamienia milowego.

- Nie, dziękuję. Po prostu siadłam odpocząć.

- Może panią podwieźć? Dokąd się pani wybiera?

- Do Chester. - Chester wymagało mniej wyjaśnień niż Londyn.

- No tak... ja jadę do Thornton Heath. To przy tej drodze, a potem skręcam o jakieś pięć kilometrów stamtąd, ale mogę panią podwieźć w stronę Chester. Wskakuj pani, jeżeli chcesz!

To chyba nie było w porządku. Przysięgła pójść do Londynu, a nie być podwożona co kawałek. Ale... być może porwała się z motyką na słońce? W każdym razie Joe jej to wybaczy. Na pewno rozumiał wszystko, co czuła.

- Dziękuję.

Podniesienie się z kamienia wymagało iście nadludzkiego wysiłku, a drugiego takiego samego wdrapanie się do

powoziku. Teraz widziała ponad krzakami wsie, gnieźdzące się pod niewielkimi pagórkami i pasące się na łąkach krowy.

Kobieta nie przedstawiła się Marcie, ani nie zapytała jej o nazwisko, niemniej była bardzo gadatliwa. Jechała się zobaczyć z synową, leniwą, do niczego dziewczyną, która przyjechała tutaj z Manchesteru. „Proszę sobie wyobrazić: z Manchesteru!”. Wymawiała tę nazwę z takim niesmakiem, jakby mówiła o Sodomie i Gomorze.

- Czasami po południu - wie pani, ona ma przyjaciółki, też z Manchesteru, i razem palą papierosy i piją sherry. To młode mężatki, tak jak ona: przyjeżdżają do niej samochodem. I teraz ona żąda, żeby mój syn kupił samochód dla niej, a ja mam straszliwe przeczucie, że chłopiec zaczyna słabnąć.

Marta pomyślała, że z przyjemnością spędzałaby popołudnia na picciu sherry, ale uznała, że powiedzenie tego głośno nie byłoby mądre.

- Kiedy wychodziła za mojego syna, nie potrafiła nawet upiec bochenka chleba - ciągnęła gniewnie kobieta. - Jeśli zaś chodzi o dzem, to ona chyba myśli, że już urodził się w słoiku, a nie że się go smaży.

- A ma dzieci? - spytała Marta. Była trochę zastraszona intensywnością doznań tej kobiety.

- Jeszcze nie - odparła tamta ponuro. - Kiedy je urodzi, chyba będę się musiała do nich przenieść. Ta głupia dziewczyna nie ma najmniejszego pojęcia, jak się zająć taką kruszynką.

- No, ja myślę, że to jest coś, co przychodzi kobietom w naturalny sposób - nieśmiało rzekła Marta i aż się cofnęła, kiedy w odpowiedzi usłyszała gniewne warknięcie.

- Nic Victorii nie przychodzi w naturalny sposób! Jest chyba najbardziej bezużyteczną osobą na świecie.

Od tej chwili Marta już się nie odzywała, w obawie, że kobieta wyrzuci ją z powozu, jeżeli usłyszy opinię choćby odrobinę broniącą Victorii.

Przerwa w marszu bardzo źle zrobiła jej nogom. Ku swemu przerażeniu stwierdziła, że już w ogóle nie jest w stanie iść, tak kuleje. Każdy krok sprawiał jej coraz więcej bólu. Zaczęła się modlić o następną okazję podwiezienia, ale na drodze prawie nie było ruchu. Przejechał jakiś samochód, ale w przeciwną stronę, a zaraz po nim jakiś mężczyzna na koniu, który życzył jej wesoło „miłego popołudnia”.

- Miłego popołudnia... - niemal zaszlochała w odpowiedzi, ale wtedy już koń i jeździec nie mogli jej usłyszeć.

Ależ była głupia! I dlaczego Mister nie starał się jej bardziej wyperswadować, że dwadzieścia pięć kilometrów dziennie to za dużo dla takiej osoby jak ona? Jej stopy były za delikatne i teraz bolały przy każdym kroku.

W jaki sposób spędzi tę noc, zastanawiała się. Pewnie będzie spała pod gołym niebem... miejmy nadzieję, że nie zacznie padać. Właściwie najchętniej zrobiłaby to już teraz - położyłaby się i podłożyła sobie pod głowę torbę, jak poduszkę.

Kuśtykając powoli, przypatrywała się, czy nie znajdzie szpary w krzakach rosnących wzdłuż drogi, przez które mogłaby się przedostać na pole, ale chociaż krzewy miały jeszcze niewiele liści, spletały się ciasno ze sobą, tak że nigdzie nie było nawet śladu jakiegokolwiek luki.

- Najświętsza Panno, Matko Boska, pomóż mi! - wymamrotała na głos.

Matka Boska natychmiast zareagowała, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Niech Ją Bóg błogosławi!

Z tyłu zbliżył się jakiś samochód: ryknął i zatrzymał się o parę metrów przed nią ze zgrzytem hamulców.

Ze środka wyskoczył mężczyzna.

- Marto! - zawołał, chwytając ją w ramiona, jakby była jego dawno utraconą krewną. - Już myślałem, że cię nigdy nie znajdę. Jak u diabła udało ci się dotrzeć aż tutaj?

- Podwieźli mnie. - Marta wybuchnęła płaczem.

Spotkała dotychczas Clive'a zaledwie parę razy i uważała za bardzo miłego człowieka. Fakt, że pojechał jej szukać, że naprawdę wyglądał na uszczęśliwionego, znalazłszy ją, sprawił, że się jeszcze rzewniej rozplakała. - Bola mnie nogi - szlochała - a ten dzieciak waży chyba cholerną tonę.

- Chciałabyś, żebym cię zabrał z powrotem do domu? - z czułością zapytał Clive, prowadząc ją do auta.

Gwałtownie potrząsnęła głową.

- Jasne, że nie! Idę do Londynu! Dzisiaj mam zamówiony nocleg w Chester.

- Och, Marto! - Potrząsnął głową, jakby chciał powiedzieć, że to przekracza jego pojmowanie, ale otworzył tylne drzwi auta i pomógł jej wsiąść. - Zdejmij buty - polecił. - Gdzie się masz zatrzymać w Chester?

- To miejsce nazywa się Runo. Mister zamówił tam dla mnie nocleg.

- Ten twój Mister powinien za to odpowiadać przed sądem. Wątpię, czy ja zdołałbym przejść trasę do Chester w jeden dzień - a ja nie oczekuję dziecka.

* * *

Runo okazało się pomalowanym na biało domkiem, ze ścianami pociętymi na krzyż czarnymi belkami. Domek stał w rogu placu, wybrukowanego kocimi łbami. Clive zaparkował przed domkiem i pomógł wsiąść swojej pasażerke.

- Nie musisz wkładać teraz butów - poradził. - Za chwilę coś zrobimy z tymi twoimi nogami.

Pomaszerował do środka, Marta za nim. W końcu długiego, ciemnego korytarza siedziała za biurkiem jakaś kobieta w średnim wieku w czarnej sukni.

Przypatrywała się idącym. Na jej twarzy odmalowało się ponure zdziwienie na widok Marty, idącej bez butów, bez kapelusza i strasznie kulejącej, z włosami w nieładzie i wystającym brzuchem. Niosła swoje rzeczy w sznurkowej torbie, a nie, jak większość gości, w eleganckim skórzanym neseserze. Marta była pewna, że wyrzucono by ją, mimo rezerwacji zrobionej przez Mistera, gdyby Clive nie podszedł do stołu przed nią i nie zażądał klucza do pokoju pani Rossi.

- Pani Rossi ma zarezerwowany pokój numer trzy na pierwszym piętrze, ale to jest pokój dla jednej osoby - zaprotestowała kobieta, jakby była przekonana, że Clive ma zamiar dzielić ten pokój z Martą. Na samą myśl Marta oblała się rumieńcem.

- I właśnie taki ma być: dla jednej osoby - wyniośle potwierdził Clive. - Niech pani będzie tak dobra i natychmiast przyśle miskę gorącej wody, ręcznik i czajnik herbaty dla dwóch osób.

- Za herbatę płaci się dodatkowo - poinformowano go głosem, który był niemal opryskliwy.

- Zapłacę, kiedy będę stąd wychodził, madame. Chodź, Marto.

Kobieta przerażona dosłownie zamachała rękami.

- Sir! Nie mogę panu pozwolić wejść do pokoju tej pani, chyba że pan jest panem Rossi... w co wątpię.

Clive obdarzył ją spojrzeniem pełnym wzdargy.

- Madame! Jestem lekarzem pani Rossi i mam zamiar zająć się leczeniem jej skaleczeń u niej w pokoju. Jeżeli

jednak jest tutaj jakiś salon dla gości, zrobię to tam, publicznie, skoro pani woli.

Kobieta bez słowa wręczyła mu klucz.

Clive ujął Martę pod łokieć i poprowadził na górę.

- Będę wyglądał przez okno, a ty tymczasem ściągniesz pończochy - powiedział, kiedy znaleźli się już w niewielkim, ale wygodnym pokoiku, z oknem wychodzącym na plac. Marta usiadła na brzegu wąskiego łóżka.

- I co wtedy masz zamiar zrobić? - spytała.

- Nic. Wymoczysz nogi w tej wodzie. Och, oczywiście, naleję nam obojgu herbaty i posłucham, a ty mi wyjaśnisz, co dokładnie zamierzasz.

Rozległo się stukanie do drzwi i weszły dwie kobiety, jedna bardzo stara, druga młoda. Stara niosła cynową miednicę, a na ramieniu miała ręcznik. Młodsza trzymała srebrną tacę z zastawą do herbaty. Tacę ustawiły na małym sekretarzyku pod oknem, a miednicę na stojaku, na którym już stała miska do mycia i dzbanek. Obie kobiety dygnęły i wyszły z pokoju.

Marta już zdążyła odpiąć pończochy ze sfatygowanych podwiązek. Nogi miała gołe - nie tylko gołe, ale zakrwawione. Skrzywiła się z bólu. Skóra na każdym palcu była otarta, a pięty obdarte do żywego mięsa.

- Coś takie! - zawołał Clive, rzucając surowe spojrzenie na jej poranione stopy. Przyniósł wodę, ukląkł i delikatnie włożył jej do miski najpierw lewą, a potem prawą stopę. - Czy teraz lepiej?

Marta westchnęła.

- Och, tak!

Natychmiast zmęczenie obu nóg zaczęło ustępować.

- Dlaczego to wszystko robisz? - spytała. - To znaczy... dlaczego jesteś dla mnie taki miły. To znaczy... przecież ledwie mnie znasz.

Patrzył na nią, nadal klęcząc u jej stóp.

- Bo cię ogromnie podziwiam, Marto. Jesteś dzielna i wytrwała. Krzyczysz na policjanta i stawiasz czoła szczególnie niemiłemu politykowi, w jego własnej jaskini. Uczysz się czytać tylko po to, by móc napisać do Joego i czytać jego listy. Pracujesz, żeby utrzymać swoje pozostałe dzieci i najwyraźniej bezużytecznego męża. Jesteś dzielniejsza i bardziej wytrwała niż wszyscy mężczyźni, których znam.

Marta, zawstydzona, spuściła głowę.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Kate mi powiedziała, a jej powiedziały twoje dzieci.

- Nie pozwoliłam im nikomu o tym mówić.

- I to też powiedziały Kate. - Wstał. - Napijesz się teraz herbaty, kiedy będziesz moczyła nogi?

- Z przyjemnością, dzięki. Usłyszała za sobą szcęk naczyń.

- Cukru? - spytał. - Przyniosły taki w kostkach.

- Siedem kostek, proszę.

- Siedem!

- W domu właściwie nigdy nie mamy cukru, chyba na Boże Narodzenie. Siedem kostek to dla mnie prawdziwa uczta, pod warunkiem, że coś zostanie dla ciebie, kochany - dodała z niepokojem.

- Jest tego mnóstwo, ja zresztą biorę tylko jedną. Proszę. - Podał jej herbatę w cienkiej porcelanowej filiżance, na spodeczku. - Herbata z siedmioma kostkami cukru. Na pewno smakuje okropnie.

Głośno pociągnęła łyk.

- Smakuje fantastycznie - westchnęła zadowolona.

- Kiedy skończysz, porozmawiamy o tym, jak dokładnie masz zamiar dotrzeć do Londynu na tych pokrzwawionych nogach - zaproponował.

* * *

Przed odejściem, płacąc za herbatę, Clive zamówił dla Marty kolację i poprosił, żeby jej podano jedzenie do pokoju. Wyszedł z hotelu, wskoczył do auta i pognął z powrotem do Birkenhead, gdzie wjechał na prom, nerwowo stukając palcami po kierownicy, aż znowu ruszył do Liverpoolu.

Kiedy znalazł się z powrotem w biurze, wkręcił kartkę do maszyny i zaczął z pasją wystukiwać tekst, prawie nieświadom tego, że w pewnym momencie Herbert wsadził głowę w drzwi, by powiedzieć mu dobranoc; że ludzie wychodzą ze sklepów i biur i wracają do domów...

Mniej więcej pół godziny później wyciągnął papier z maszyny i przeczytał. Zapisał dwie kartki z podwójnym odstępem.

WĘDRÓWKA MARTY

W dniu dzisiejszym pewna kobieta, imieniem Marta, rozpoczęła wędrówkę. Marta jest całkiem zwyczajną osobą, pracuje w małej fabryczce, szyjąc worki. Do niedawna miała pięcioro dzieci, jej środkowym dzieckiem był syn Joe, czternastoletni.

Pewnego czerwcowego dnia Joe powiadomił matkę, że zaciągnął się do wojska. Skuszono go do tego szylingiem zaoferowanym przez miejscowego policjanta, sierżanta, który doskonale wiedział, ile chłopiec ma lat. Marta natychmiast poszła na posterunek policji i sprzeciwiła się sierżantowi, ale nadaremnie. Odwiedziła też majora Normana Browna, członka Parlamentu z jej okręgu, który powiedział bezlitośnie, że powinna być dumna, iż jej młody syn będzie walczył w tej „wojnie, która zakończy wszystkie wojny”, jak ją nazwał.

Wkrótce z wojska nadeszły papiery Joego. Miał należeć do Dywizji Piechoty Zachodniego Lancashire i Marta wiedziała, że nie ma innej możliwości, że musi mu pozwolić wyjechać - czego potem serdecznie żałowała.

Cztery miesiące później Joe został zabity, jako jedna z tysięcy ofiar bitwy pod Loos.

Okazuje się, że ten dzielny chłopiec wyciągnął spod kul swojego przyjaciela z dzieciństwa, Albiego (też czternastolatka), który chwilowo oślepl na skutek wybuchu; Joe zaciągnął go z powrotem do okopów, sam ciężko ranny w nogę. Po uratowaniu Albiego i nie bacząc na własne rany, Joe, mimo wielkiego bólu, posłuchał rozkazów pewnego oficera, który mu kazał natychmiast wracać na pole bitwy. W jakiś czas potem Joe otrzymał ranę, która okazała się śmiertelna. Przez cały ten okropny czas Albie był zmuszony do słuchania głosu swojego umierającego przyjaciela, który wzywał matkę i jego po imieniu. Po jakimś czasie Joe zamilkł i już więcej nie krzyczał...

Chociaż Marty tam nie było i nie mogła słyszeć ostatnich słów syna, nie potrafi ich zapomnieć.

Oto dlaczego wczoraj, będąc w szóstym miesiącu ciąży ze swoim szóstym dzieckiem, rozpoczęła wędrówkę do Londynu. Ma zamiar pójść tam do premiera Herberta Asquitha i błagać go, żeby już nigdy więcej takie dzieci, jak jej Joe, nie umierały przedwcześnie.

Dzisiaj piszący te słowa reporter spotkał Martę o kilka kilometrów od jej pierwszego celu, Chester. Stopy jej krwawiły, była wyczerpana, ale nadal jest zdecydowana dotrzeć do celu swojej podróży.

Mam zamiar towarzyszyć Marcie w jej wędrowaniu, a kiedy już nie będzie w stanie dalej iść, podwozić ją swoim autem. Moje reportaże będą się ukazywały codziennie, aż Marta przybędzie do Londynu, kończąc w ten sposób swoją wędrówkę.

Dzisiaj w naszym kraju są tysiące takich kobiet, jak Marta. Kobiet, które straciły synów lub mężów na tej okropnej wojnie, wojnie nie mającej żadnego realnego celu,

prowadzonej na parunastu kilometrach błota w kraju, który nie jest nasz. To wojna będąca wynikiem próżności i umiłowania władzy i nie mająca nic wspólnego ze sprawiedliwością czy wolnością. To wojna, która nie powinna była nigdy wybuchnąć, winna natomiast się jak najszybciej zakończyć.

Należy tu podkreślić, że wyżej wymienione poglądy są poglądami autora tego artykułu, a nie pisma, w którym on się ukazuje.

Clive wybiegł z biura i wskoczył do samochodu - już trzeci raz w ciągu tej doby. Tym razem celem jego podróży był Blackpool. Prowadził tak samo nieostrożnie, jak przedtem tego dnia.

„Lancashire Post” w swoim wstępnym kształcie zwykle nie docierał do drukarni wcześniej niż koło dziesiątej. Kiedy Clive wpadł do biura naczelnego i rzucił mu na biurko artykuł o Marcie, zastał Edgara Hendersona literalnie wyrywającego sobie włosy z głowy.

- Przeczytaj to! - zażądał Clive. - Jeżeli odmówisz wydrukowania, to tu i teraz składam rezygnację i zaniosę to do innej gazety. Postanowiłem, że będę pracował tylko dla takiej, która potrafi opublikować coś poważnego na poważne tematy.

- Masz cholerny tupet - parsknął naczelny.

- Ale mam też projekt cholernie dobrego cyklu artykułów o pewnej historii, która może się ciągnąć przez cały tydzień, a może nawet dłużej. - Popchnął kartki w stronę redaktora, aż się znalazły dosłownie pod jego nosem. - Masz zamiar to przeczytać, czy nie?

- Przeczytam - pośepnie powiedział Edgar Henderson. - A ty z kolei może przeczytasz to: to protokół z wczorajszego wieczornego zebrania rady miejskiej Blackpool, ortografia i gramatyka są koszmarnie. W szkołach teraz nie uczą tak gruntownie, jak za moich młodych lat.

Clive wziął ołówek i usiadł po drugiej stronie biurka. Reporter rzeczywiście napisał słowo „budynek” przez „ó” i stale pisał „swojom” zamiast „swoją”.

Jego własny artykuł został przeczytany w całkowitej ciszy. Wreszcie rękopis Clive'a wylądował znów na biurku.

- W porządku. Puszczę go - rzekł redaktor tak samo ponuro, jak przedtem.

- To będzie coś w rodzaju dziennika - wyjaśnił Clive. - Zgadzasz się go publikować każdego dnia, aż do momentu, kiedy Marta dotrze do Londynu?

- Chyba powinniśmy kończyć coś, co zaczynamy, prawda? Miejmy nadzieję, że ta Marta uważa tak samo.

- Marta nigdy nikogo nie zawiedzie - obiecał Clive.

- A w jaki sposób będziemy dostawać opisy tej „wędrowni”, kiedy ona będzie już blisko Londynu? - kwaśno spytał Edgar Henderson. - Kto będzie to opisywał i wysyłał do nas? O ile dobrze pamiętam, to jesteś reporterem „Posta” w Liverpoolu. Ile reportaży z życia miasta dziś napisałeś?

Clive wskazał głową swój artykuł.

- Tyle - oświadczył. - Ludzie, którzy normalnie nie czytają „Posta”, zaczną kupować tę gazetę, żeby poznać całość historii Marty. Nakład ogromnie wzrośnie.

- Albo jeszcze spadnie - mruknął mężczyzna. - Dobrze, wyślę kogoś do Liverpoolu, żeby cię zastąpił w codziennych informacjach przez te parę dni, czy coś takiego. Obawiam się, synu, że nie do końca zdajesz sobie sprawę, z jakim zapalem ludzie w naszym kraju popierają tę wojnę.

Clive zdołał opanować gniew, który miał ochotę wylądować na naczelnym.

- Może kiedyś tak było, ale teraz za dużo młodych ludzi bez potrzeby straciło na tej wojnie życie, żeby to poparcie było tak silne, jak dawniej. A ty? Zdajesz sobie sprawę, ilu jest teraz ludzi przeciwnych wojnie? Słyszałeś kiedyś o

Międzynarodowej Lidze Kobiet, o Niezależnej Partii Pracy, o Stowarzyszeniu Przeciwników Poboru, o Związku Pojednania, o Związku Kontroli Demokracji? Jeżeli chcesz, mogę wymienić jeszcze więcej.

Przerwał, czekając na odpowiedź, której jednak nie usłyszał. Uważając sprawę za załatwioną, Clive wrócił do domu.

Rozdział 14

- Nie ma jej, wyszła - niegrzecznie powiedziała kobieta, siedząca za biurkiem w Runie, następnego ranka, kiedy Clive spytał o panią Rossi. Ta sama, która tak nieuprzejmie ich potraktowała wczoraj.

„Wyszła!”. Przecież jej powiedział, żeby na niego czekała - no, w każdym razie to zasugerował, tak żeby mogli wspólnie opracować jakąś strategię, posprawdzać przygotowaną przez Mistera listę miejsc, przez które powinna przejść i policzyć, ile jest pomiędzy nimi kilometrów.

- Jak się czuła? - spytał.

- Nie uważałam za swój interes pytać. - Kobieta odwróciła się z lekceważącym wzruszeniem ramion.

- Cóż, ja też nie uważam za swój interes pytać, dlaczego jest pani taka nieuprzejma, bo mnie to po prostu nie obchodzi. - Znowu ją obrzucił spojrzeniem pełnym pogardy. - Kiedyś będzie pani dumna, że pod dachem tego hotelu nocowała pani Marta Rossi. - Kupił dziś rano egzemplarz „Lancashire Post”: jego artykuł o Marcie ukazał się na widocznym miejscu na trzeciej stronie, najlepszej po tytułowej. Zamaszystym ruchem znowu włożył czapkę. - Życzę miłego dnia, madame. W nadziei, że się już nigdy nie spotkamy.

Kiedy odchodził, dama stała jak wryta z szeroko otwartymi ustami. Już miał wyjść z hotelu, gdy złapała go za ramię starsza kobieta, ta, która wczoraj przyniosła wodę do pokoju Marty.

- Słyszałam, jak pan pytał o tę panią z pierwszego piętra z chorymi nogami - mówiła. - Wcześniej jeszcze pytała, jak stąd daleko do Waverton. Powiedziałam jej, że to będzie jakieś osiem, może dziesięć kilometrów. Poszła w tamtą stronę.

Clive podziękował jej wylewnie i też się udał tą samą drogą.

Tuż za Chester zjechał na trawę na skraju drogi i zahamował, nie wyłączając silnika. Martwił się, że Marta nie zdaje sobie sprawy z ogromu zadania, na jakie się porwała, czyli dojścia pieszo do Londynu. W tym tempie najwcześniej po tygodniu doszłaby do Cheshire, a jeszcze przecież musiałyby przejść przez Shropshire, Worcestershire, kawałek Gloucestershire. Dalej było jeszcze do przejścia hrabstwo Oxfordshire, Buckinghamshire, Middlesex i dopiero Londyn. Musiałyby iść co najmniej kilka miesięcy. Ale nie chciał jej zniechęcać - to nie była jego sprawa. Skoro mąż Marty i jej dzieci się zgodziły, żeby poszła, kto mógłby ją od tego powstrzymać?

Co teraz powinien zrobić? Chyba jechać dalej, aż się na nią natknie i dowieźć do Waverton samochodem?

Właściwie mógłby ją zawieźć do samego Londynu. Dojechaliby tam spokojnie przed wieczorem. Ale wiedział, że Marta nie zechce. Wykonała pewien symboliczny gest, idąc w sprawie Joego i wszystkich innych młodych chłopców, którzy o wiele za wcześnie zostali żołnierzami.

Zwolnił hamulce i wyjechał z powrotem na drogę. Będzie jechał powoli i, skoro tylko dostrzeże Martę przed sobą, pojedzie za nią w dyskretnej odległości, starając się ocenić, jak się czuje, zobaczyć, czy nie utyka, nie kuleje, ani nie szura nogami. A może idzie szybko? Co prawda, wątpił w to, biorąc pod uwagę wczorajszy stan jej nóg.

Nadal jechał powoli, kiedy dotarł do Waverton. Ani śladu Marty. Zatrzymał się i sprawdził na mapie kolejną miejscowość, do której miała dojść. Halton Heath. Pojechał teraz szybciej, ale i w Halton Heath nie napotkał po drodze Marty.

- Do diabła! Niech to szlag! - zaklął, zaniepokojony, że może wpadła gdzieś do rowu, a on przejechał obok niej, nie

zauważywszy, albo, co gorsza, że ktoś nieodpowiedni zaofiarował się ją podwieźć i może zawiózł Bóg wie gdzie.

Zatrzymał się obok małego zajazdu z rdzawej cegły, z dachem pokrytym mchem. Przed karczmą stały stoły, a gości obsługiwała mniej więcej sześćdziesięcioletnia kelnerka w lśniącym białym czepku i fartuchu. Wiszący nad drzwiami napis głosił, że jest to „Koza i But”, co było dość niezwykłą nazwą tego atrakcyjnego miejsca. Zegarek Clive'a wskazywał prawie pierwszą. Był i głodny, i spragniony. Zaparkował obok budynku i podszedł do pustego stolika. Usiadł, czekając, aż go obsłużą.

Podeszła kelnerka. Z bliska było widać, że jej twarz jest pełna zmarszczek, ale uśmiechała się naprawdę uroczo. Clive zamówił ciemne piwo i spytał, czy podaje się tu jakieś przekąski.

- Tak, naturalnie, sir. Kruche bułeczki, albo duże bułki z serem i piklami, z szynką i musztardą albo z wołowiną z sosem z rzodkwi.

- Proszę dużą bułkę z szynką. - Kelnerka miała już odejść, kiedy Clive zapytał:

- Och, przepraszam, czy nie widziała pani dziś przypadkiem przechodzącej tędy kobiety? Ma na sobie szarą suknię i czarny szal i jest... - Nie chciał się wyrazić wprost, że jest w ciąży, więc w końcu powiedział po francusku: jest enceinte.

- Owszem, sir... czy to ostatnie słowo znaczy, że ona jest... przy nadziei? Tak, właśnie taka kobieta, jaką pan opisał, odpoczywa teraz u nas na górze. Przyjechała wozem z beczkami piwa, jakieś pół godziny temu. Strasznie ją bołą nogi, biedactwo. Kazałam jej się zaraz położyć.

- Mogę ją zobaczyć? - skwapliwie spytał Clive.

- Pewnie, że tak, sir - serdecznie odparła kobieta. - To drzwi na wprost, na szczycie schodów. Ja tymczasem przygotuję panu bułkę i piwo.

- Dziękuję bardzo.

Clive poszedł skręcającym trochę w lewo korytarzem i wdrapał się po schodach, które z kolei skręcały w prawo. Zastukał w nieszczelne drzwi na górze. Marta odezwała się słabym głosem:

- Tak?

Otworzył drzwi.

- To ja - powiedział. - Myślałem już, że cię zgubiłem. Dopiero ta kobieta na dole powiedziała mi, że tu przyszałaś, bardzo roztrzęsiona.

- W tym tempie - rzekła Marta, z przygnębieniem pociągając nosem - nie dojdę do Londynu nawet na Boże Narodzenie.

Clive przytaknął.

- Masz rację, Marto. Wobec tego, co robimy?

- Nie wiem. - Wyglądało na to, że się zaraz rozplacze. - Już nawet nie tyle Joe... ale co Lily i Georgie pomyślą, jeżeli wrócę dosłownie zaraz? Powiedzą, że mama poniosła klęskę, tak samo jak ich tata. Zawiodę ich tak, jak zawiodłam Joego.

- Ale wyznaczyłaś sobie cel niemożliwy do osiągnięcia - zaprotestował Clive. - A co do dzieci, to uważam, że Lily i Georgie będą zachwyceni, kiedy ich mama wróci do domu. Zaraz cię tam odwiozę - zaproponował wbrew sobie - oczywiście, jeżeli chcesz.

Gdyby się zgodziła, zrobiłby z siebie kompletnego głupca w oczach Edgara Hendersona, który się z takim entuzjazmem odniósł do wydania cyklu artykułów. Zrozumiałe, że będzie wściekły, jeżeli cała ta sprawa ograniczy się do czterdziestu ośmiu godzin.

Marta zmarszczyła brwi i z gniewem wydeła usta.

- Nie, tego nie chcę. Nie wrócę do domu, za nic.

Clive poczuł w tym momencie i ulgę, i wstyd. Tak długo, jak Marta będzie wędrowała, on będzie miał swoją historię.

- A jak dzisiaj twoje nogi? - spytał.

- Jeżeli chcesz znać prawdę, to okropnie.

- Chcesz, żebym ci je znowu wymoczył?

- A cóż ty sobie myślisz? Że kim jesteś - Marią Magdaleną? Clive ukrył uśmiech i zignorował jej uwagę.

- Potrzebne ci nowe buty. Pozwól, że cię zabiorę do sklepu i kupimy jakieś - zaproponował.

- Gdzie? - spytała podejrzliwie. - Do Liverpoolu nie wrócę za żadne skarby świata.

- W Nantwich, to jakieś szesnaście, może dwadzieścia kilometrów stąd.

- Ale nie będziemy się cofali?

- Nie, Marto, pojedziemy naprzód - odparł cierpliwie. Niechętnie przystała, pod warunkiem jednak, że potem odda mu każdego pensa, jakiego wyda: na jej buty czy na cokolwiek innego.

- Nie chcę, by ktokolwiek myślał, że jestem naciągaczką.

- Jestem całkowicie przekonany, że nikt czegoś podobnego nie pomyśli - zapewnił ją Clive.

* * *

Kiedy wrócił do biura w Liverpoolu, było już dobrze po czwartej. Ani śladu reportera, którego Edgar obiecał przysłać na jego miejsce.

- Wszedł - powiadomił go beztrąsko Herbert. - To jakiś stary facet, ma najmniej czterdzieć, ani się nie umywa do pana, szefie.

- A gdzie jest teraz? - spytał Clive.

- W policyjnym handelku. Clive uniósł brwi.

- W jakim policyjnym handelku?

- No, na posterunku policji, szefie! - zaśmiał się Herbert. - Ten stary gość też nie wiedział, co to znaczy. Jakiś idiota próbował napaść na bank z dzieciennym pistoletem.

Clive wolałby nie mieć tak często ochoty, żeby fizycznie uszkodzić Herbiego.

- Co się jeszcze wydarzyło?

Chłopak zaczął wyczytywać z przygotowanej przez siebie listy mało ważne wydarzenia, z których większość już przesłał do biura „Posta” w Blackpool albo przekazał telefonicznie.

- Aha, jeszcze była tu ta smakowita dziewczuszka, Kate Kellaway, i szukała pana. Powiedziałem jej, że nie wiem, kiedy pan wróci.

- Dziękuję, Herbercie. - Poklepał chłopaka po ramieniu. - Bardzo dobrze się spisałeś. - Był ciekaw, co też pomyślałaby Kate, gdyby wiedziała, że ją określono jako „smakowitą dziewczuszkę”, ale określenie było trafne. Wykręcił numer „Lancashire Post” i poprosił o rozmowę z redaktorem naczelnym.

- Jak tam dziś Marta? - chciał natychmiast wiedzieć Edgar Henderson. Clive'a zaskoczył jego przyjacielski ton.

- Nie najgorzej, sir - odparł ostrożnie.

- Sprawa polega na tym, synu, że telefonowali do mnie dziś rano z redakcji „Manchester Guardian”. - Starał się to powiedzieć obojętnie, jakby codziennie miał telefony od jednej z najwyższej ocenianych gazet w kraju. - Otóż... oni przeczytali tę twoją Wędrowkę Marty i chcieliby ją drukować razem z nami. Wydaliby jutro to, co się wydarzyło wczoraj i dzisiaj, w ten sposób od jutra obie gazety będą równocześnie drukować tę samą historię. To prawdziwy powód do dumy, Clive, drukować swój artykuł w „Guardianie”, i to już teraz, kiedy masz raptem dwadzieścia jeden lat. - Przerwał, żeby nabrać tchu. - I jeszcze jedno: mógłbyś nam dostarczyć

zdjęcie Marty na dzisiaj, albo na jutro najdalej? Mogę je przesłać telegraficznie do „Guardiana”.

- Zrobię, co będę mógł, sir - obiecał Clive. Kiedy tylko skończy pisać dzisiejszy artykuł, podjedzie na King's Court i poprosi o fotografię. Był prawie pewien, że to będzie ślubne zdjęcie.

- A dokąd dotarła dzisiaj nasza bohaterka, jeśli wolno wiedzieć?

- Do Nantwich. Jutro będzie szła do Drayton, w hrabstwie Shropshire.

- Doskonale, Clive, staruszkule! Tak trzymać! - Rozległ się dźwięk, podobny do tykania zegara. To mogło być tylko stukanie zębami o ołówek redaktora. Robił tak wyłącznie w chwilach dużego podniecenia. - To mi przypomina, że od dzisiaj nie musisz wracać do biura na noc. Ten chłopak z „Guardiana”, nazywa się Alex Scott, może pisać reportaże razem z tobą. Będzie je zabierał do Manchesteru i telegraficznie przekazywał tutaj do nas. Może tak być?

- Tak, sir. Dziękuję.

Clive'owi zrobiło się trochę żal, że sprawy wymykają mu się z ręki, ale nie chciał się sprzeczać. Im dalej od biur „Lancashire Post”, tym trudniej mu będzie przekazywać artykuły. W przeciwieństwie do „Guardiana”, jego pismo nie miało kontaktów w innych hrabstwach.

Edgar Henderson odłożył słuchawkę.

Clive przysunął bliżej maszynę do pisania i wystukał „Wędrownica Marty - Dzień drugi” u góry strony.

Z dłońmi uniesionymi nad klawiaturą zastanawiał się, jak zacząć opis dzisiejszej dalszej drogi Marty i z przerażeniem skonstatował, że właściwie nie ma pojęcia, co napisać. Nic wielkiego się nie wydarzyło. Nie spotkał nawet Marty aż do popołudnia, a i wtedy wszystko, co zrobił, to zawiózł ją do Nantwich i kupił dla niej parę kosztownych skórzanych

bucików, które, jak go zapewniała, były wygodne. Poza tym nabył rolkę bandaża, butelkę jodyny, trochę waty i nożyczki do paznokci, żeby mogła odciąć bandaż.

Chciał ją zameldować w porządnym hotelu, ale nalegała na znalezienie czegoś „okropnie taniego”, jak mówiła, tak by mogła za ten nocleg sama zapłacić, zapewniając go, że ma dość pieniędzy. Wysadził ją wobec tego przed zaniedbanym pensjonatem, nie wyglądającym na zbyt czysty.

Poczuł zimno, a ręce zawieszzone nad klawiaturą zaczęły drżeć.

„Nie bądź takim frajerem”, skarcił sam siebie. Jesteś w końcu reporterem. Jeżeli nie wiesz, co napisać, wymyśl coś.

WĘDRÓWKA MARTY - DZIEŃ DRUGI

Wczorajszego ranka wiosenne słońce ostro się odcinało od bladoniebieskiego tła nieba, kiedy Marta opuściła Chester w radosnym nastroju, z modlitwą na ustach. Spała mocno, bez snów, i teraz się czuła rześka i wypoczęta. Kiedy szła w kierunku ślicznej miejscowości Waverton, następnego punktu docelowego, myślała o swoim zmarłym synu Joem, o małych dzieciach, które zostawiła w domu pod opieką męża - inwalidy.

W końcu jednak jej krok stał się ociężały, ostatecznie jest kobietą trzydziestoosmioletnią, kobietą, która teraz nosi swoje szóste dziecko, osobą wielkiej odwagi - i chociaż jej serce jest ochocze, ale ciało mdłe. Kiedy w końcu zatrzymał się jakiś wóz i woźnica zaproponował, że ją podwiezie dalej, nie miała wyjścia i musiała się zgodzić.

Piszący te słowa reporter spotkał się z nią w Halton Heath.

Tam odkryłem, że jej stopy są pokryte świeżymi ranami, obok niezagojonych wczorajszych. Zabrałem ją do Nantwich, gdzie została zaopatrzona w bardziej odpowiednie obuwie na jutrzejszą dalszą drogę - do Drayton.

Zostawiłem ją w żalonym pensjonaciku, gdzie uparła się przemocować.

- Dobranoc, Marto - szepnąłem, odchodząc. - Przyjemnych snów.

Dalszy ciąg historii Marty ukaże się jutro.

Clive czytał kilka razy swój artykuł. Dla jego uszu brzmiał on nazbyt sentymentalnie: ot, takie słodkie, cukierkowe dziennikarstwo, którego nie lubił. Edgarowi pewnie się spodoba, ale podejrzewał, że kiedy przeczytają to tam, w „Guardianie”, pożałują, że się zobowiązali do zamieszczania Wędrówki Marty aż do końca. Przypomniał sobie, że teraz powinien podjechać na King's Court, gdzie miał nadzieję zdobyć fotografię Marty.

* * *

Ku swemu zdumieniu zastał tam Kate, grającą w karty z dziećmi Marty, których imiona brzmiały: Lily i Georgie. Oboje wyglądali blado, byli jakby trochę niedożywieni, chociaż ubrania mieli ciepłe, mimo że niezupełnie czyste. Przywitali się grzecznie z Clive'em. Pokój, w którym przebywali, robił wrażenie rozpaczliwie nędznego.

- Cześć, Clive. - Kate wyglądała na okropnie zadowoloną, że go widzi. On był chyba równie zadowolony ze spotkania z nią. - Przyszłam sprawdzić, czy dzieci zjadły porządny posiłek. Carlo... to znaczy mąż Marty, wspaniale sobie radzi. Teraz tylko wyszedł na szybkiego drinka. Kiedy wróci, pojedę do domu. Widziałeś Martę? - spytała. Lily i Georgie wpatrywali się w niego z niepokojem, jakby czekając, co odpowie.

- Tak. I ma się dobrze - odparł, niepewny, czy mówi prawdę, czy kłamie. - Szczerze mówiąc, o waszej matce piszą w dwóch gazetach, w „Lancashire Post” i w „Manchester Guardian”. Właśnie dlatego tu jestem - ciągnął - żeby was

spytać, czy macie jakąś fotografię waszej matki: na przykład z dnia, kiedy ona i wasz ojciec brali ślub?

- Tak, mamy ślubne zdjęcie rodziców i mama na nim pięknie wygląda - z powagą rzekła Lily. - Tata też wygląda fantastycznie. Zdjęcie stoi na komodzie. - Zerwała się. - Zaraz je panu przyniosę.

Jaka ona wtedy była śliczna! Clive podniósł zdjęcie bliżej do bladego już światła. I co za piękny uśmiech: całkowicie zmieniał jej twarz, tak że z trudem można było ją poznać. Nie w tym rzecz, że teraz wyglądała dużo starzej, w sposób nieunikniony starzej. Bardziej chodziło o to, że obecnie miała wyraz twarzy osoby nieszczęśliwej, zmęczonej rozczarowaniami i stratami - nie tylko Joego, ale utratą nadziei i marzeń, których było w niej pełno, kiedy brała ślub. A jednak nic nie zmniejszyło jej woli życia i walki o swoją rodzinę.

- Wasz tata był wtedy niesamowicie przystojny - zauważyła Kate.

- Nadal wygląda przystojnie, kiedy włoży najlepsze, świąteczne ubranie - zapewniła ją Lily.

- I kiedy się ogoli - uzupełnił Georgie. - I kiedy ostrzyże włosy i umyje zęby.

Clive był ciekaw, czy Carlo ma nadal taką samą szopę czarnych kędziorów na głowie, jak na fotografii. Przyglądał swoje rozpaczliwie proste włosy - zawsze się bał, że pewnego dnia będzie łysy, zupełnie jak ojciec.

Podziękował za herbatę, tłumacząc, że jeszcze musi pojechać do Blackpool z fotografią.

Kate odprowadziła go do drzwi.

- Mogłabym kiedyś pojechać z tobą do Blackpool? - spytała grzecznie. - Tak bym chciała zobaczyć, jak wygląda redakcja gazety! W końcu - dodała z ważną miną - kiedyś i ja będę reporterką.

- Serdecznie zapraszam. - Clive nie miałby nic przeciwko temu, żeby Kate pojechała z nim nawet teraz. Byłby naprawdę zachwycony, mając takie miłe towarzystwo w drodze tam i z powrotem. A kiedy wrócić do Liverpoolu, zaprosi ją na późną kolację do... na przykład do Adelphi.

Ale nic z tego.

- Cześć, dzieciaki - zawołał.

- Do widzenia, panie Dexter - odkrzyknęły.

* * *

Marta wlokła się do miejscowości Drayton w hrabstwie, o jakim nigdy nie słyszała - nie wiedziała nawet dotąd, że Anglia jest podzielona na coś takiego, co się nazywa „hrabstwa”, dopiero Mister jej to wytłumaczył. Tak czy owak, to hrabstwo, do którego szła, nazywało się Shropshire, a to, które właśnie opuszczała, Cheshire.

Tak czy owak, miała już wszystkiego powyżej uszu. Nogi jej dokuczały mimo nowych butów. Właściwie nie mogła już nawet przypomnieć sobie czasu, kiedy jej stopy były normalną, nie bolącą częścią ciała. Poza tym była głodna - w pensjonacie, w którym nocowała, dali jej na śniadanie miskę czegoś, co ledwie przypominało owsiankę, a smakowało okropnie.

Już odmówiła podwiezienia wozem węglarza, bo biedny, smutny koń i tak ciągnął za duży ciężar, dwa tuziny worków z grubym i drobnym węglem. Nie chciała jeszcze dodawać pracy biednemu stworzeniu.

Kiedy ten Clive się pojawi, zastanawiała się.

Może powinna po prostu klapnąć na kamień milowy, niczym galareta, i czekać na niego? Ale to nie wydawało jej się w porządku. Nie robiła żadnego prawdziwego wysiłku, żeby dotrzeć do Londynu, tylko zdawała się na Clive'a. A poza tym nie miała pojęcia, dlaczego taki miły, młody chłopak

jak on się fatyguje, żeby jej pomagać i naprawdę ma z tym dużo roboty.

Z przeciwnej strony podjechał jakiś samochód, większy niż auto Clive'a. Kiedy się zbliżył, Marta dostrzegła, że kieruje nim kobieta. Była zdumiona, gdy samochód się zatrzymał, a kobieta otworzyła drzwiczki i głośno zawołała:

- Ty jesteś Marta?

- Tak - wyjąkała.

- W takim razie wskakuj szybko, kochanie, zabiorę cię do Drayton. - Poklepała zachęcająco siedzenie obok siebie. Była chyba bardzo stara, bo skórę miała tak pomarszczoną, że przypominała pognieciony żółty papier; na głowie tkwiło gniazdko srebrnych włosów.

- Ale... skąd pani wie, kim jestem i dokąd idę?

- Czytałam o tobie w gazecie, skarbie. Dzisiaj rano, w „Manchester Guardian”. Było tam też twoje zdjęcie. Wsiadasz czy nie? Jeżeli nie wsiądziesz, moje siostry będą strasznie rozczarowane. A propos, nazywam się Imogen Cunningham.

- Dzień dobry. - Marta nerwowo wdrapywała się do samochodu. - Ale to nie ta droga - pokazała palcem.

Imogen się roześmiała.

- To auto naprawdę potrafi zawrócić i pojechać w przeciwnym kierunku. - Właśnie to zrobiła, gwałtownie kręcąc kierownicą, tak że auto zatrzęszczało i o mało się nie wywróciło.

Po paru chwilach już jechały w szybkim tempie do Drayton. Marta spytała:

- Ile pani ma sióstr?

- Trzy prawdziwe siostry i setki niespokrewnionych, z którymi nie łączy mnie krew, ale idee i ideały - nieco teatralnie odparła Imogen. - Należę do Międzynarodowej Ligi Kobiet, oddział w Shropshire; wszystkie jesteśmy siostrami. Słyszałaś może o nas?

- Nie - szepnęła ze wstydem Marta. Poczula się rozpaczliwie niedouczona. - A co robicie?

- No cóż. Po pierwsze, jesteśmy przeciwne wojnie - mówiła Imogen ogłuszająco donośnym głosem. - Walczymy o prawo głosu dla kobiet, wspieramy związki zawodowe, niektóre z nas należą do Partii Pracy, niektóre są komunistkami, mamy też trochę anarchistek, a pani Beulah Whittaker jest buddystką. A ty, kim jesteś, Marto?

- Ja? Katoliczką - odparła Marta nieśmiało. Czy bycie katoliczką wystarczało, żeby należeć do Międzynarodowej Ligi Kobiet? - Czy to wystarczy?

- Ależ doskonale, kochanie - wrzasnęła Imogen w odpowiedzi. - A teraz się mocno trzymaj, za momencik będziemy na miejscu. - Nacisnęła klakson, chociaż droga była zupełnie pusta i pojechała jeszcze szybciej.

Marta, przerażona, przywarła do siedzenia i zamknęła oczy. Nie otworzyła ich, aż dojechały do Drayton.

Zatrzymały się przed małym domkiem z żółtej cegły, stojącym samotnie w polu, gdzie rosło mnóstwo drzew. Marta miała później odkryć, że to się nazywa sad.

Poznała najpierw prawdziwe siostry Imogen: Abigail, która była jeszcze starsza niż Imogen i poruszała się o kulach, Priscillę gotującą coś w kuchni oraz Josephine, najmłodszą z rodziny, koło sześćdziesiątki, ubraną w najbardziej falbaniastą, koronkową i haftowaną suknię, jaką Marta w życiu widziała na kimś dorosłym. Josephine wachlowała się często i przybierała piękne pozy, pozwalając się siostronom traktować jak dziecko.

W małym saloniku były też inne panie: Pani Jakaś - tam z Manchesteru; Pani Jakaś - Inna z Madeley Market, dokąd Marta miała pójść później. Marta Rossi czuła się tak zmieszana, że kiedy pojawiło się jeszcze więcej pań, po prostu przestała to przyjmować do wiadomości, żeby nie zwariować.

Podano jej herbatę w pięknej porcelanowej filiżance, razem z talerzem miękkich kanapek w kształcie trójkątów, ale kiedy tylko wzięła jedną do ust i ugryzła, ktoś ją o coś zapytał - musiała ją połknąć bez pogryzienia jak należy, tak że utkwiła jej w gardle i dopiero musiała ją popić herbatą. Nie udało jej się dojść, co było w środku.

Och, jak by to było cudownie móc się położyć choćby na chwilę, myślała. Zeszłej nocy siennik był tak twardy i pofałdowany, że prawie nie spała.

Nagle Imogen wstała, zastukała łyżeczką w filiżankę i oznajmiła, że Marta powie za chwilę parę słów.

- Ma zamiar nam powiedzieć, dlaczego wędruje do Londynu. Co było motywem twojej decyzji, kochanie?

Co to może znaczyć „motywem”? Najświętsza Panno, Matko Boża, co u diabła mam powiedzieć?

Imogen patrzyła na nią zachęcająco. Z przerażeniem w sercu Marta się podniosła. Każda kosteczka trzęsła się w niej jak liść. O dobry Boże! W dodatku strasznie jej się teraz zachciało siusiu.

- Nasz Joe miał dopiero czternaście lat, kiedy ten tłusty gliniarz dał mu szylinga za to, żeby się zaciągnął do wojska, i to nie było uczciwe. A potem go wysłali do Francji i to też nie było uczciwe. Bo widzicie - tu lekko kaszlnęła - chłopaki nie powinni iść do wojska, dopóki nie skończą osiemnastu lat, a wtedy też nie wolno ich wysyłać z kraju, dopiero jak mają jeszcze o rok więcej. - Z trudem przełknęła ślinę. - Obiecali, że Joego odeślą z powrotem do domu, ale on nigdy nie wrócił, i to już jest najbardziej nieuczciwa rzecz ze wszystkich: pozwolić, żeby go zabili, kiedy to był tylko chłopak, który dopiero rok temu wyszedł ze szkoły. Jeszcze nawet nie zmieniał głosu, a podbródek miał taki gładki i miękki, jak wtedy, kiedy był malutki. Ani jednego włoska. Nie dorósł jeszcze do tego, żeby chodzić do barów, więc dlaczego jakiś

tam żołnierz pomyślał, że można go zabić? Nie potępiam tego żołnierza - dodała rozsądnie - może on sam też był tylko chłopakiem i może teraz także nie żyje. A już prawie na pewno miał mamę i tatę, jak Joe miał mnie i mojego Carla. I siostry, i braci też. Oni go będą pamiętać tylko jako chłopca, kiedy już dorosną. Może przyjdzie czas, że w ogóle zapomną, iż mieli brata, kiedy już teraz jest tylko wspomnieniem. Oczywiście my nigdy o Joem nie zapomnimy.

Kiedy tak myślała i wypowiadała to na głos, zaczęła czuć rosnący gniew.

- No tak, to nie jest w porządku, no nie? - spytała obecne tu panie, jakby jej mogły na to odpowiedzieć. - Nic z tego nie jest w porządku! - parsknęła. - Wojna też nie. Dlaczego my kobiety mamy rodzić dzieci i pozwalać jakimś... jakimś cholernym zapitym szychom - pomyślała o majorze Normanie Brownie, członku Parlamentu - czy innym grubym pierdołom gliniarzom zabierać je i pozwalać zabić, w ogóle nie wiadomo, po co? - Jęknęła. - Czy ktoś może mi, proszę, pokazać, gdzie tu jest ubikacja?

Gdyby tam zaraz nie poszła, zmoczyłaby majtki wobec całej miejscowej filii Międzynarodowej Ligi Kobiet w Shropshire.

* * *

Chociaż Clive nie był pijakiem, w tej chwili na gwałt potrzebował wlać w siebie jakiś alkohol, whisky albo brandy. Czystą. A poza tym koniecznie musiał się dostać do telefonu i zadzwonić do Edgara Hendersona.

Był w Chester i pamiętał, że w Runie może skorzystać z jednego i drugiego: z drinka i z telefonu. Przyszedł tam, potężnie spocony i z sercem walącym jak młot, jakby to była najlepsza część dnia.

Jego najmniej ulubionej kobiety tym razem nie było za biurkiem, co z przyjemnością zauważył. Poszedł wprost do

baru i zamówił podwójną whisky, po czym zabrał ją ze sobą do holu, gdzie była kabina telefoniczna. Wyjął z kieszeni garść drobnych, wykręcił zero i poprosił operatora o połączenie z „Lancashire Post” w Blackpool.

- Czy mogę mówić z panem Hendersonem? - spytał, kiedy już miał połączenie. - Proszę mu powiedzieć, że dzwoni Clive Dexter.

Telefon to naprawdę mały cud, pomyślał, słysząc głosy i stukanie maszyn do pisania na drugim końcu przewodu, tak daleko stąd.

- Hallo, Clive - odezwał się redaktor.

- Robiłem, co mogłem - rzucił Clive w słuchawkę. - Jeździłem po całym Shropshire przez całątę dzień, ale, proszę mi wybaczyć, sir, nie mogłem nigdzie znaleźć Marty. Byłem w Nantwich i w Drayton, i ani śladu. Teraz jestem z powrotem w Chester i nie mam pojęcia, co zrobić. - Otarł wilgotne czoło i czekał, aż facet wybuchnie.

- Nie masz się czym zamartwiać, synu - beztrąsko odrzekł Edgar Henderson. - Chłopak z „Manchester Guardian” zorganizował jej ten cały dzień. Rano była w Drayton z paniami z Międzynarodowej Ligi Kobiet, a po południu w jakimś Madeley z grupą tych, co odmawiają pójścia do wojska z powodu przekonań i których wysłali do pracy w kopalniach. Alex powiedział, że wygłosiła jedno czy dwa całkiem przyzwoite przemówienia.

Marta wygłosiła przemówienia? Reporter z „Manchester Guardian” zorganizował jej dzień? Co się, u ciężkiego diabła, dzieje?

- Ktoś powinien był mi o tym powiedzieć - poskarżył się gorzko Clive. - Co najmniej osiem godzin jeździłem po całej okolicy, szukając jej. - Wykrzywił się brzydko do słuchawki. - Czy to oznacza, że od tej chwili Alex Scott przejmuje ode mnie Wędrowkę Marty?

Pan Henderson się roześmiał.

- Oczywiście, że nie, Clive, chociaż napisał fajny mały kawałek o Marcie do jutrzejszego wydania. A propos, Marta będzie dziś nocowała na plebanii w Coalthorpe. To jest na pewno blisko kościoła, tak że ją łatwo znajdziesz. Alex czeka na ciebie - dodał, tak jakby Alex Scott robił Clive'owi wielką łaskę.

- Dzięki - krótko rzucił Clive. Ze złością odwiesił słuchawkę.

Właściwie to mógł zostać tam, gdzie był, pomyślał, spędzić noc w Runie i pojechać do Coalthorpe wcześniej rano, w nadziei, że złapie Martę przed wyjściem, prawdopodobnie w towarzystwie Alexa Scotta.

Zamówił pokój, poprosił o upranie koszuli i wyprasowanie garnituru. Wrócił do baru, nadal rozzłoszczony.

Czyżby w Coalthorpe - jak by wskazywała nazwa - były kopalnie węgla? Jeżeli tak, on nic o nich nie wiedział. Gdyby go spytali, powiedziałby, że ta miejscowość leży gdzieś na północy.

Czuł się nie tylko zepchnięty na boczny tor, ale też niedouczony.

Rozdział 15

Ledwie dniało, kiedy dziecko kopnęło Martę tak mocno, że ją natychmiast wyrwało ze snu. Pomasażowała brzuch, żeby je uspokoić, i pomyślała, z jaką rozkoszą napiłaby się herbaty. W domu pierwszą rzeczą, jaką sobie przyrzadzała po wstaniu z łóżka, była filiżanka herbaty. Nawet gdyby na dnie puszki była już tylko odrobina proszku, to ten proszek po zalaniu wodą pozwalał jej na rozruszanie się.

Nagle sobie przypomniała, gdzie jest, stęknęła i wtuliła głowę w miękką puchową poduszkę. Plebania!

Dom należący do prezbiteriańskiego pastora Paula Hughesa i jego żony Flo. Czowała się tak, jakby popełniła wielki grzech: naprawdę spała pod tym dachem i tutaj się modliła. Kiedy następnym razem pójdzie do spowiedzi, będzie musiała o tym powiedzieć, tak na wszelki wypadek, bo może to grzech... może nawet śmiertelny? Oboje, pastor i jego żona byli okropnie mili, poprosili, żeby im mówiła po imieniu, co Marcie szło wyraźnie niezręcznie. W końcu pastor to prawie to samo, co ksiądz, a nie mogła sobie po prostu wyobrazić mówienia po imieniu ojcu Lawless. Jak to możliwe, żeby mu mówić „Bill” czy „Jack”, czy jakoś tam. Jak i tego, by jej poczciwy ksiądz mógł mieć żonę!

Wygramoliła się z łóżka i podciągnęła ciemnozieloną żaluzję. Na horyzoncie rysowała się dopiero blada zapowiedź dnia. Marta zastanawiała się, ile jeszcze czasu upłynie, zanim Paul i Flo wstaną.

Pewnie całe wieki, pomyślała ponuro. Ubrała się i siadła na brzegu łóżka, gotowa na nudy najbliższych paru godzin, ale pocieszył ją odgłos czyjś dreptania. Zeszła na dół i w kuchni zastała Flo, stawiającą właśnie czajnik na ogniu.

- Dzień dobry, Marto - rzekła pogodnie. - Paul poszedł wydoić krowę i zajrzeć do kur. - Była mniej więcej w wieku Marty, szczupła i schludna, ciemne włosy miała spięte z tyłu

głowy szylkretowym grzebykiem. Wsypywała łyżką herbatę do ślicznego czajniczka, malowanego w tradycyjne niebieskie wzory. - Nie mogłaś spać? - zapytała. - Ja zwykle wstaję, kiedy tylko zaświta. Ale przecież wczoraj miałaś strasznie zajęty dzień. Pewnie zaraz zasnęłaś.

- Tak, ale nie przeszłam wczoraj dużo - rzekła Marta, zła na samą siebie. - Wiem, że nie mogę przejść tyle, ile bym chciała, bo jestem w ciąży, ale ten cały Alex musiał nas chyba wieźć setki kilometrów. - Właściwie całkiem polubiła „tego całego Alexa”, chociaż nie aż tak jak Clive'a.

- Z Drayton do Madeley Market może być najwyżej czterdzieści kilometrów, moja droga.

- Mnie się wydawało, że setki.

Flo chyba postanowiła się nie spierać.

- Napijesz się herbaty? - spytała.

- Marzę o filiżance herbaty! Jak zresztą zawsze.

Marta usiadła przy wielkim kuchennym stole i rozejrzała się po pokoju. Jak to musi być gospodarzyć w takiej kuchni jak ta, z ciepłą podłogą z kafelków, z rzędem wypolerowanych miedzianych rondli wiszących na ścianie i z sosnowym kredensem, w którym było pełno pięknych talerzy - co prawda, nie wszystkie pasowały do siebie. Ogień zaczynał już wygasać w czarnym ołowianym palenisku, z którego jednego boku wisiała miedziana szkanдела do wygrzewania pościeli, z drugiego miech, a obok kosz pełen polan. Na parapecie okiennym stał wazon błękitnych dzwoneczków.

A jednak Paul i Flo nie mieli dzieci, Marta zaś woląла już mieć dzieci niż najpiękniejszą nawet kuchnię świata. Bez dzieciaków nie mogła sobie wyobrazić życia.

- Pijesz z cukrem, Marto? - spytała Flo.

- Tylko jedną łyżeczkę, proszę. - Nie chciała prosić o więcej.

- A może coś zjesz?

- Och, może kawałek grzanki, to mi wystarczy.
 - Żadnego gościa nie wypuszczam z tego domu bez porządnego śniadania - surowo oświadczyła Flo. - Kiedy tylko Paul wydoi Clarę (to nasza krówka) i powybiera jajka kurom, zrobię ci omlet, do tego chleb i masło.
 - To chyba wspaniałe, zbierać własne jajka - zachwyciła się Marta - i mieć mleko od swojej własnej krowy.
 - W Liverpoolu nie masz ogródka?
 - Nie, tylko podwórko.
 - Dam ci na drogę butelkę świeżego mleka - obiecała Flo.
 - To dobrze zrobi i tobie, i dziadziusiowi. Czy będziesz czekała na tego miłego pana Scotta, żeby cię zabrał do... dokąd teraz się wybierasz?
 - Do Wolverhampton. - Marta nigdy przedtem nie słyszała tej nazwy.
 - Ach, prawda. Dzisiaj masz spotkanie w Niezależnej Partii Pracy, tak? - Paul i Flo należeli do ruchu pokojowego i z tego powodu Paul miał kłopoty z Kościołem.
 - Chyba tak. - Marta nie była pewna.
- Wczoraj ta Imogen Cunningham i Międzynarodowa Liga Kobiet, a potem w Madeley Market spotkanie z grupą naprawdę miłych młodych ludzi, którzy odmówili pełnienia służby wojskowej ze względu na przekonania i posłano ich do ciężkiej pracy w kopalniach...
- Dowiedziała się wczoraj, że odmowa służby wojskowej wymagała wielkiej odwagi. Ludzie pluli na takiego człowieka, a policjanci potrafili nawet pobić zniecacka. Kobiety wręczały im białe pióra (choć w tym Marta nie widziała nic złego). Była zdumiona, że tylu niezwykle dzielnych i mądrych ludzi interesuje się tym, co ma do powiedzenia ktoś taki jak ona.
- Wolałabym nie czekać na pana Scotta - wyznała. - Wolę wyjść zaraz po śniadaniu i mieć już za sobą trochę drogi, jeżeli nie masz nic przeciw temu.

- Oczywiście, że nie, Marto - grzecznie odpowiedziała Flo. - W końcu idziesz ze względu na Boga.

Marta się sprzeciwiła.

- Ależ nie, kochanie. Ja idę ze względu na mojego małego Joego.

* * *

Paul musiał przestudiować mapę, żeby znaleźć najlepszą drogę, jaką Marta miała pójść do Wolverhampton.

- Ta na Boningdale będzie najlepsza - stwierdził wreszcie po chwili. - Ale wolałbym, żebyś poczekała u nas na tego reportera, Marto. On będzie dokładnie wiedział, którą jechać.

Ale Marta była zdecydowana. Podziękowała pastorostwu za przenocowanie jej, a oni ucałowali ją i życzyli spokojnej drogi.

Była dopiero ósma rano i słońce jasno świeciło. Zastanawiała się, czy zdoła dotrzeć aż do Londynu bez deszczu. Było jeszcze trochę chłodno, tak że owinęła się ciaśniej szalem, nie tylko ramiona, ale i szyję. Droga do Boningdale przypominała raczej szeroką ścieżkę niż prawdziwą drogę, a rosnące po jej obu stronach krzewy lśniły od rosy, która teraz skapywała z gałązek do rowu.

Może pożywne śniadanie sprawiło, że czuła się pełna energii, i dzięki temu szła szybko, chociaż wiedziała, że niedługo poczuje zmęczenie nóg i ból w plecach, a dziecko będzie znowu ważyło tonę.

Miała nadzieję, że Clive przyjedzie wcześniej niż Alex.

Alex był niesamowicie przystojny: wysoki, z blond czupryną i błękitnymi oczami. Poza tym niezwykle czarujący. Clive tak samo był przystojny, chociaż w inny, spokojniejszy sposób. Poza tym był wrażliwy i lojalny i ufała mu bezgranicznie.

Usłyszała za sobą odgłos konia i powozu. Odwróciła się i zobaczyła, że siedzi w nim korpulentny, dobrze ubrany mężczyzna w okrągłym, filcowym kapeluszu.

Powozik zwolnił i usłyszała wołanie:

- Pani jest panią Rossi?

- Tak, oczywiście jestem.

Strasznie to było dziwne - znaleźć się w gazecie. Wczoraj było w niej zdjęcie z jej ślubu z Carlem. Miała teraz w torbie egzemplarz, bo chciała go pokazać mężowi i dzieciom, kiedy wróci.

- Tak? No, to ja pani pokażę, co sędzę o was wszystkich, dziwkach, sufrażystkach!

Mężczyzna wydobył spomiędzy nóg wiadro i wylał jego zawartość na Martę, która odskoczyła, niestety nie na tyle, żeby uniknąć oblania jakimś płynem od stóp do głów.

Wrzasnęła ze strachu, ale woźnica uderzył konia batem i szybko się oddalił.

Na szczęście, to była tylko woda! Co prawda bardzo zimna, ale chociaż zimna woda w taki chłodny poranek i tak była dostatecznie przykra, Marta przedtem myślała, że to mogło być coś naprawdę obrzydliwego - i trochę odetchnęła.

Otrząsnęła się, zdjęła szal i też otrzepała, po czym podniosła kapelusz, który jej spadł z głowy. Ciężkim krokiem ruszyła w dalszą drogę z daremną nadzieją, że dzięki temu szybciej wyschnie.

- Boże, błagam cię, daj, żebym tylko nie złapała kataru - modliła się. Gdyby się rozchorowała, to mogłoby zaszkodzić dziecku, któremu i tak jej marsz do Londynu na pewno nie pomagał. Wyobraziła sobie, że ją zanoszą na Downing Street w łóżku!

- Marta! Co się u licha stało? Jesteś całkiem przemoczona.

- Clive! - Była tak zajęta marszem, że nie usłyszała samochodu. - Och, jak się cieszę, że cię widzę! Jakiś ohydny stary drań wylał na mnie wiadro wody. Nazwał mnie sufrażystką, czy jakoś tak.

Clive już ją sadzał na siedzeniu pasażera.

- Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli wrócisz na plebanie, tam się tobą zaopiekują - powiedział, zatrzasnął drzwi. Zawrócił auto i pojechał z powrotem.

Po jakichś dwudziestu minutach już siedziała blisko ognia w kuchni pastora, owinięta w wełniany szlafrok Flo i piła gorące mleko z kubka, a jej ubranie suszyło się nad piecem. Flo poszła odwiedzić jakąś młodą kobietę, która za parę dni miała urodzić dziecko, a Paul był zajęty w kościele.

- Nie jesteś bezpieczna, kiedy idziesz sama - mówił Clive serdecznie. Siedział za jej plecami, przy stole. - Powinnaś przez cały czas mieć kogoś, kto by cię ochraniał.

Marta się roześmiała, chociaż właściwie niewiele jej brakowało, by się rozplakać. Powiedzmy, że Clive by nie przyjechał po nią albo że ten mężczyzna wylałby na nią coś gorszego niż woda... I co za świństwo - zrobić coś takiego kobiecie w ciąży! Mogła przecież zemdleć z przestraszenia - no, niektórym kobietom to się zdarza.

- Jak się czujesz? - zapytał Clive.

- Tak, że z przyjemnością zabiłabym tego cholernego drania - odparła. Nie czuła ani odrobiny miłosierdzia czy chęci wybaczenia mu. - Czy ty wiedziałeś, że kobiety nie mogą głosować w czasie wyborów? - spytała Clive'a.

- Tak, Marto, wiedziałem. A kto ci o tym powiedział?

- Flo, właśnie teraz. Kiedy jej powtórzyłam, że ten mężczyzna, co mnie oblał wodą, nazwał mnie dziwką i sufrażystką, wytłumaczyła mi, co to takiego ta sufrażystka. Wydaje się, że do wybuchu wojny potrafiły podpalać, wybijać okna, łamać meble, wszystko po to, żeby kobiety dostały

prawo głosu. Była nawet jedna kobieta, nazywała się Emily jakoś - tam, która się naumyślnie rzuciła pod koła i dała się zabić przez konia w dniu wyścigów w Derby. - Przerwała, wpatrzona w ogień, i napiła się łyk mleka. - To mi się wydaje trochę głupkowate - zauważyła w zamyśleniu. - To znaczy na pewno głosowanie to ważna rzecz, ale nie tak ważna jak życie. W każdym razie - ciągnęła - większość sufrażystek dała sobie spokój z demonstracjami aż do końca wojny... no, ale nie Flo. I nie mam jej tego za złe - zakończyła z westchnieniem.

Rozległo się pukanie do drzwi wejściowych i Clive poszedł otworzyć.

Młody człowiek przed drzwiami wyglądał zupełnie, jakby zszedł z kart romantycznej powieści: stylowy bohater, który w ostatnim rozdziale rozkochuje w sobie po uszy bohaterkę. Był ubrany w modne tweedy, miał skórzaną czapkę i samochodowe rękawiczki.

- Dzień dobry - przywitał się uprzejmie, dotykając dłonią czapki. - Przyszedłem po Martę.

- Pan musi być Alexem Scottem - odparł Clive również uprzejmie. Chociaż miał pretensję do tego faceta, nie było sensu robić z niego nieprzyjaciela. - Jestem Clive Dexter z „Lancashire Post”. Jak się pan ma? - Nie spodziewał się, że reporter „Guardiana” będzie tak modnie ubrany i chyba niewiele starszy niż on.

Co więcej, Alex Scott był albo bardzo dobrym aktorem, albo rzeczywiście się ucieszył z poznania go. Potrząsnął ręką Clive'a z takim entuzjazmem, że aż zaboląła.

- A więc to wszystko dzięki panu! To pański był ten cudowny pomysł, żeby napisać tak wspaniały artykuł o Marcie i jej wyprawie do Londynu. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko udziałowi w tym wszystkim mojej gazety?

Clive mruknął coś, co miało oznaczać, że nie ma nic przeciw temu, chociaż tak naprawdę miał bardzo dużo... no, ale to w końcu mogło się okazać całkiem niezłe.

- Im więcej reklamy dla niej, tym lepiej - burknął.

- Mówmy sobie po imieniu, dobrze? A gdzie ona jest, à propos? - Alex nie czekając na odpowiedź Clive'a, spojrzał ponad jego ramieniem, jakby się spodziewał, że Marta stoi gdzieś za nim.

- Dzisiaj rano coś się wydarzyło. - Clive wyszedł na zewnątrz, tak żeby Marta go nie mogła słyszeć. - Jakiś sukinsyn dopiero co wylał na nią wiadro wody i przemoczył do nitki. Marta jest tam w środku, suszy się.

Na przystojnej twarzy Alexa odmalował się gniew.

- A jest jakaś możliwość, żeby tego drania złapać i połamać mu obie nogi? - zawołał. Wyglądało na to, że mówi całkiem poważnie.

- Nie byłem świadkiem tego wydarzenia, niestety. - Clive też był w szoku, ale z zupełnie innego powodu. On również uważał, że napastnik zasłużył nawet na więcej, niż połamanie obu nóg, ale nie myślał nawet o zrobieniu czegoś podobnego: tak właśnie się zaczynają wojny, od chęci wyrównania rachunków. - Może wejdiesz? Jak powiedziałem, Marta się suszy przy piecu.

- A jest... przyzwoicie ubrana?

- Jasne, jak najbardziej.

Alex przywitał się z Martą, jakby byli parą najlepszych przyjaciół. Clive nie mógł się nie poczuć trochę zazdrosnym. Ten facet z „Guardiana” był tego rodzaju, że się natychmiast zaprzyjaźniał dosłownie z każdym, kogo poznawał. Marta została obdarzona potężnym uściskiem i pocałunkami w oba policzki, chociaż było widać, że jest tym wyraźnie zażenowana.

Flo, żona pastora, wróciła i aż się oblała rumieńcem, kiedy jej dłonią potrząśnięto z upodobaniem graniczącym z żarliwością.

- To naprawdę szalenie miło z pani strony, że się pani tak wspaniale zaopiekowała Martą - rzekł Alex gorąco.

- Ależ... to był dla mnie zaszczyt - zapewniła go pastorowa. Minęła jeszcze godzina, zanim Flo osądziła, że ubranie Marty wyszło na tyle, by je można było z powrotem włożyć. Panowie wyszli na zewnątrz i czekali.

- Którym samochodem ją zawieziemy, twoim czy moim? - spytał Alex.

- Jeżeli nie masz nic przeciw temu, to moim, a ty możesz jechać za nami. - Clive miał ochotę nadrobić zaległości w wiadomościach o Marcie, dokładnie się dowiedzieć, co robiła poprzedniego dnia. - Masz może swoją gazetę? - zapytał. Wyjechał z Chester za wcześnie, by móc ją kupić.

Alex mu wręczył numer „Manchester Guardian” i Clive zabrał się do czytania. Proza Alexa była chyba jeszcze bardziej kwiecista niż jego własna w poprzednim dniu. Marta została opisana jako „niezwykle odważna”, jako „współczesna Joanna d'Arc”, wreszcie jako „Sylvia Pankhurst (Sylvia Pankhurst (1882 - 1960) córka sufrażystki Emmelyne Pankhurst, feministka, komunistka, działaczka antyfaszystowska i antykolonialna.) klasy robotniczej”, która posiada „taką samą umiejętność poruszania serc swoimi porywającymi przemówieniami”.

- Niezłe - powiedział, kiedy skończył.

- Muszę ci powiedzieć - rzekł Alex - że w Wolverhampton zorganizowałem dla Marty powitanie. Będzie tam też jeden z naszych fotoreporterów.

- Powitanie? - zdziwił się Clive.

- Wiesz, będą protestujący przeciwko wojnie, członkowie Niezależnej Partii Pracy i inne grupy. Będą na nią czekali przy

wejściu do ratusza. Jutro to wszystko się znajdzie w gazecie. - Przygryzł wargę. - Po prostu tak mi przyszło do głowy...

* * *

Podczas tej drugiej podróży w stronę Boningdale Marta się rozglądała, szukając miejsca, gdzie na nią wylano wodę, ale ziemia już wyschła, tak że nie mogła nic ustalić.

Clive prowadził samochód spokojnie, nie spiesząc się. W pewnej chwili wyjechali ze Shropshire i wjechali do hrabstwa Staffordshire, gdzie zatrzymali się w małej osadzie, żeby tam zjeść lunch. Na skrzyżowaniu dróg stało najwyżej tuzin domków: nad jednym z nich wisiał napis Gospoda pod Pantoflem.

Ledwie usiedli, dołączył do nich Alex, który jechał za nimi. Zamówili zapiekankę z mielonej wołowiny i nerek z tłuczonymi kartoflami, a na deser szkocki pudding z sosem. Po wszystkim Marta poprosiła jeszcze o czajniczek herbaty, a panowie wypili po kuflu ciemnego piwa.

Ledwie upiła trochę herbaty, odstawiła filiżankę i odezwała się cichym głosem:

- To jest zupełnie nie w porządku. Jem lepiej niż mój mąż i dzieciaki, które zostawiłam w domu. Po prostu dobrze się bawię. A przecież nie po to poszłam, żeby się bawić! Poszłam ze względu na Joego i to, że mnie bolą stopy i plecy, jest właśnie w porządku! Powinnam cierpieć, tak jak on, moje biedne dziecko, a nie siedzieć tutaj jak jakaś dama i opychać się jedzeniem. - Chlipnęła i pociągnęła nosem. - Od tej chwili mam zamiar jeść tylko kanapki.

- To na pewno nie posłuży dziecku, Marto - przypomniał jej Clive. - A co powiedziała by Joe, gdybyś się głodziła teraz, kiedy nosisz jego brata albo siostrę?

- Brata - poprawiła. - Noszę chłopca. - Znowu płaczliwie pociągnęła nosem. - Och, nie wiem już naprawdę, co robić! Pogubiłam się w tym wszystkim.

Alex objął ją ramieniem, a Clive zaraz pomyślał, że powinien był to zrobić pierwszy.

- Głowa do góry, staruszko - pocieszająco rzekł Alex. - Każda chmura ma otoczkę ze srebra... w każdym razie tak mówią.

Marta stuknęła go mocno łokciem w żebra.

- Tylko nie „staruszko” - zwróciła mu uwagę. - Nawet chyba nie mogłabym być jeszcze twoją matką. A co do tej „srebrnej otoczki”, to pleciesz bzdury. Są takie dni, kiedy widzi się tylko czarne chmury bez żadnych otoczek.

- No dobrze, nie będę się z tobą spierał, Marto - zgodził się Alex.

Zdjął rękę z jej ramienia, roztarł obolałe żebra, stwierdził, że jest wyjątkowo mądrą kobietą i obiecał już nigdy nie traktować jej protekcjonalnie.

* * *

- Co to właściwie znaczy „protekcjonalnie”? - spytała Marta Clive'a, kiedy już byli w drodze do Wolverhampton. Pogoda zrobiła się piękna, a powietrze takie świeże, że aż ciarki człowieka przechodziły. Tak ładnie nie było od dnia, kiedy opuścili Birkenhead, czyli, jak im się wydawało, od miesięcy, a nie od paru dni.

- Hmm... to znaczy, przemawiać do kogoś z góry. - Wiedział, co znaczy to słowo, ale wytłumaczyć je nie było łatwo. - No, mówić do kogoś, jak do dziecka.

- No właśnie! Nie pozwolę mu na to już nigdy więcej. To znaczy Alexowi - stwierdziła zdecydowanie. - Czy ty mnie też „traktowałeś protekcjonalnie”?

- Mam nadzieję, że nie. A jeśli nawet, to cię bardzo za to przepraszam.

- Na przyszłość będę uważała na ludzi, którzy mnie „traktują protekcjonalnie”.

Po tych słowach zapadło milczenie. Marta nie odezwała się aż do chwili, kiedy mijali kamień milowy z wyrytym napisem „Wolverhampton 3 mile (5 kilometrów)”. Samochód zaczął zwalniać.

- Dlaczego stajemy? - spytała Marta.

- Obawiam się, że mi się skończyła benzyna - ponuro oświadczył Clive. - Już wcześniej widziałem, że paliwo się kończy, ale od wyjazdu z plebanii w Coalthorpe nie minęliśmy ani jednej stacji benzynowej. Powinienem był wcześniej napełnić bak.

- Po prostu musimy poczekać, aż Jego Lordowska Mość do nas dołączy.

- Ależ... Alex wyjechał z gospody wcześniej niż my i już na pewno jest w Wolverhampton. Umówiłem się z nim, że się spotkamy przy ratuszu.

Dlaczego nazwała Alexa „Jego Lordowską Mością”? Clive zastanawiał się nad tym.

- No, to co teraz zrobimy? - Robiła wrażenie, jakby jej to nic a nic nie przejmowało.

- Możemy tu tkwić całe lata. - Odwrócił głowę. - Ktoś jedzie. Poproszę, żeby cię podwiózł na miejsce.

- Ależ nie trzeba - zaprotestowała Marta.

Ale Clive już wyskoczył z auta i machał obiema rękami w stronę nadjeżdżającej dwukółki z kucykiem: powoziła elegancko ubrana dama w aksamitnym płaszczyku koloru wina i takim samym kapeluszu.

- W czym mogłabym pomóc? - spytała, ściągając kucykowi wodze i zatrzymując się.

- Zabrakło mi benzyny - wyjaśnił Clive - a moja pasażerka powinna być już w ratuszu w Wolverhampton. Byłaby bardzo wdzięczna za podwiezienie, gdyby pani była tak dobra.

- Nie chcę żadnego cholernego podwożenia - odezwał się głos z wnętrza auta, ale Clive nie zwrócił na to w ogóle uwagi.

- Właściwie nie jadę aż do ratusza - tłumaczyła się dama - ale mogę podwieźć pana pasażerkę bardzo blisko.

Clive otworzył drzwiczki i pomógł Marcie wysiąść. Spojrzała na niego ze złością i wdrapała się do bryczuszki.

- Może będzie najlepiej, jak powiem Alexowi, w jakim jesteś kłopotcie, to cię z tego wyciągnie - mruknęła.

- Będę bardzo wdzięczny, Marto. Dziękuję.

* * *

- Żeby dojść do ratusza, musi pani pójść w pierwszą ulicę w prawo, potem pierwszą w lewo i drugą w lewo - objaśniła dama Martę w jakieś pół godziny później. Ściągnęła lejce i zatrzymała dwukółkę na jednej z małych, bocznych uliczek. Przez całą, dosyć krótką, wspólną podróż prawie ze sobą nie rozmawiały.

Marta podziękowała uprzejmie i ruszyła pieszo. Jeszcze ciągle była zła na Clive'a, choć właściwie nie wiedziała, dlaczego.

Poszła we wskazanym kierunku i dotarła przed wejście do wspaniałego gmachu z kolumnami. Stał tam już niewielki tłumek. Kiedy się zbliżyła, tłumek zaczął bić brawo - dopiero po chwili się zorientowała, że to ją oklaskują. Ludzie wyszli jej naprzeciw, podawali jej ręce, klepali po ramionach, ściskali i mówili, jak się cieszą, że ją widzą, i jakie wielkie zadanie wykonuje swoją wędrówką.

- Jestem taka przejęta! - wołała jedna z kobiet, zarzucając jej ręce na szyję i całując w oba policzki.

Ktoś wcisnął jej w dłonie bukiet żółtych narcyzów... i nagle się okazało, że jest już w połowie schodów do tego eleganckiego wejścia, przed którym stali ludzie. Zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na nią wyczekująco. Nagle rozjaśniło

jej się w głowie i przeraziła się: przecież oni czekają, żeby im coś powiedziała!

Co u diabła miałyby im powiedzieć? To było gorsze niż wczoraj, kiedy musiała przemówić tylko do kilku kobiet, a nie do połowy ludności takiego miasta, jak Wolverhampton.

Odkaslnęła, przełknęła ślinę, znowu zakasłała i rzekła:

- Dziękuję, że przyszliście mnie poznać.

- To my dziękujemy za przyjście do nas! - zawołał ktoś z tłumu. Marta skorzystała z okazji, żeby odchrząknąć.

- Jestem przeciwko wojnie - ciągnęła i te parę słów przyjęto z ogromnym aplauzem. - Jestem przeciwko temu, żeby takich chłopców, jak mój Joe, brać do wojska i kazać im walczyć. - Dalsze okrzyki. Zorientowała się, że tłum wznosi okrzyki po każdym jej słowie i że to dobrzy ludzie, którzy tak samo jak ona odczuwają zło wojny, wojny, która odbiera życie tylu młodym ludziom. Przecież możliwe, że część z nich to byli krewni: żony, matki i ojcowie, bracia i siostry mężczyzn, którzy teraz walczą, albo mężczyzn, którzy już zginęli.

Jakoś udało jej się skończyć przemówienie, chociaż głos jej zachrypł, tak głośno musiała mówić. Jeszcze raz podziękowała wszystkim za przyjście na spotkanie z nią i tłum zaczął się rozchodzić. Ludzie znowu potrząsali jej ręką, jakby czuli potrzebę, by jej dotknąć. W końcu została tylko jedna osoba.

- Świetny występ, Marto - pochwalił Alex Scott.

Przyszła tu i kompletnie zapomniała o tym, że Clive tkwi gdzieś na drodze bez benzyny i bez pomocy.

- W porządku - uspokoił ją Alex, kiedy mu o tym powiedziała. - Przyjechał parę minut temu i poszedł zarezerwować nam hotel.

- A skąd wziął benzynę?

- Nie mówił.

Alex wziął ją pod rękę. Czy kiedyś w ogóle pomyślałaby, że będą się nią opiekować w drodze przez cały czas aż dwaj przystojni młodzi mężczyźni?

W kraju na pewno znalazłyby się setki dziewcząt, które oddałyby nie wiem co, byle tylko znaleźć się na jej miejscu.

- Hotel jest na tej ulicy - powiedział Alex.

* * *

Hotel był wielki i naprawdę wytworny: wejście miało niemal tak wspaniałe, jak to do ratusza.

Clive czekał na nich w holu. Hol miał ściany wyłożone tapetami ze złożonego papieru i dywan o pięknym wzorze, prawdopodobnie z Indii albo z Persji. Marta przypomniała sobie, że kiedyś, jeszcze na Gerard Street miała w saloniku perski dywanik. Kupiła go w sklepie z używanymi rzeczami za całe dziesięć szylingów. Już wtedy wydawało jej się to ogromną ekstrawagancją.

Kiedy Clive ich zobaczył, zerwał się.

- Zamówiłem herbatę - rzekł. - I mam tu menu tego, co dają na kolację.

- Umieram z chęci wypicia filiżanki herbaty.

Czy kiedykolwiek była taka chwila, kiedy nie miała na to ochoty?

Marta zapadła się w wielki, pluszowy fotel. To popołudnie i jego niespodziewane zakończenie sprawiło, że aż ją zemdliło z przejęcia. W głowie jej wirowało.

- Naprawdę, świetnie się sprawiłaś, Marto. - Alex był szczęśliwy jak dziecko. - Zaslugujesz na coś więcej niż herbata. Co powiesz na szampana?

- Szampana! - Marta nie tylko, że nigdy jeszcze nie znalazła się nawet w pobliżu szampana, ale nawet nigdy dotąd nie wymówiła tego słowa. - Och, nie wiem... - powiedziała ostrożnie.

- Sądzę, że Marta jednak wolałaby herbatę - mruknął Clive.

- To prawda, wolałabym. - Marta przypomniała sobie to, co powiedziała wcześniej tego dnia, że nie jest tu po to, aby się dobrze bawić, ale że idzie w jakimś celu. - Tylko herbatę, proszę... - powtórzyła. I nie powinni myśleć, oni obaj, że Marta zechce zamówić jakąś wytworną kolację: wystarczy jej zupa. To na pewno będzie lepsze, a poza tym dobrze zrobi dziecku. Często zapominała, że je dźwiga, chyba że szła za daleko, albo za szybko.

Zauważyła w drugim końcu holu jakąś modnie ubraną panią, która jej się wydała znajoma.

- Kto to jest? - spytała, wskazując głową w stronę tej kobiety.

- Och, to pani Kavanagh - odparł Alex. - Jest członkinią Międzynarodowej Ligi Kobiet w tym okręgu.

Marta przyglądała jej się, szukając w pamięci, gdzie już spotkała tę kobietę. Może wczoraj, u Imogen Cunningham... Nie, to było później.

Nagle zauważyła, że Clive wyraźnie robi wrażenie zakłopotanego. W tym momencie skojarzyła.

- To ta pani, co mnie podwiozła kucykiem i dwukółką! - Spojrzała na Clive'a. - Czy to znaczy, że ci wcale nie zabrakło benzyny? - Z jakiegoś powodu chciał, żeby ją ta kobieta podwiozła.

Clive zwrócił się do Alexa.

- Ty skończony idioto. Widzisz, coś narobił.

- Co ja narobiłem? - Alex wyglądał na zdziwionego. - O Boże! - zawołał nagle. Skrzywił się i spuścił głowę. - Przepraszam, zapomniałem.

O czym zapomniał? Co tu się dzieje? Podano herbatę, ale Marta jej nie ruszyła. Dlaczego Clive udał, że nie ma paliwa, i poprosił tę dziwną kobietę, żeby podwiozła Martę, i to nie

prosto do ratusza, ale o parę ulic od niego? Minęła dobra chwila, zanim w końcu Marta znowu załapała.

- Chcieliście, żebym przyszła piechotą do ratusza, prawda? - rzekła oskarżycielsko. - Chcieliście, aby każdy myślał, że przeszłam całą drogę od Coaltown?

- Coalthrope - poprawił ją Alex.

- To oszustwo. To cholerne, skończone oszukaństwo. - Była... nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa... czuła się jakaś taka. - Jesteście parą cholernych oszustów i przez was ja jestem taka sama jak wy! - Zerwała się z fotela, znowu zapominając o dziecku i prawie zemdląła przy tym wysiłku. - Idę poszukać noclegu. Nie zostanę tu, jak jakaś modna cizia!

- Marta! - Clive złapał ją za ramię. - Zaraz się ściemni. Zostań tu tę jedną noc, proszę. Musisz być zmęczona, a tutaj za wszystko płaci gazeta Alexa.

- Guzik mnie obchodzi, kto płaci. Ale zostanę - zgodziła się niechętnie, zanadto zmęczona, żeby teraz jeszcze łązić po mieście i szukać taniego noclegu. Ale jutro znowu weźmie swoje życie we własne ręce, a Clive i Alex mogą sobie wracać do tego, co przedtem robili, zanim ona postanowiła wędrować do Londynu.

* * *

Portier w liberii wskazał jej pokój na parterze. Niósł jej sznurkową torbę tak pieczołowicie, jakby to był jakiś nieprawdopodobnie kosztowny bagaż. Dała mu pół pensa za tę fatygę.

Znalazła się w luksusowym pokoju, położyła na łóżku, rozpamiętując wszystko, co się dziś wydarzyło. Czuła się przygnębiona. Chętnie złapałaby tych dwóch młodych chłopaków za karki, tak żeby się stuknęli głowami.

Mniej więcej po godzinie wszedł kelner i przyniósł jej talerz cienko pokrajanej zimnej wołowiny, marynowane cebulki i chleb z masłem. Do tego biszkopt z bitą śmietaną i

czajniczek herbaty. Zjadła wszystko z wyjątkiem biszkopta i wysączyła herbatę do ostatniej kropelki.

Potem wyjęła z torby listę, przygotowaną przez Mistera, by sprawdzić, dokąd ma dojść jutro. Okazało się, że do miejsca zwanego Birmingham, chociaż przy pomocy Clive'a i Alexa równie dobrze może wylądować zupełnie gdzie indziej, na przykład na jakimś cholernym biegunie północnym.

Chciała wyjść i poszukać ubikacji, kiedy zauważyła w rogu pokoju lekko uchylone drzwi. Kiedy je popchnęła, okazało się, że ma tu swoją własną łazienkę ze ścianami z czarnych kafelków i z ogromną wanną ze lśniącymi srebrem kurkami.

Po skorzystaniu z ubikacji umyła ręce i wytarła je w jeden z puszystych białych ręczników, po czym przejrzała się uważnie w lustrze.

- Święta Mario, Matko Boża! - zamruczała. Wyglądała jak ktoś, o kim ludzie mówią, że wygląda jak „żywy trup”. W jej twarzy nie było ani śladu koloru, oczy zapadnięte, usta też, a włosy robiły wrażenie, jakby się właśnie przedzierała przez krzaki.

Spostrzegła naczynie z solami do kąpieli na półce pod lustrem i pomyślała, jaka to byłaby rozkosz wsypać je wszystkie do wanny z gorącą wodą i tak się moczyć pół godziny, czy coś koło tego. Ale... to nie byłoby w porządku. Nie przybyła tutaj, żeby sobie dogadzać.

Jednak później, kiedy już trochę odpoczęła, uklękła w wannie i dokładnie się umyła. Dopiero teraz zauważyła, że śmierdzi jak zdechła mysz.

Ale nie było jej dane odpocząć tej nocy.

Właściwie ani na chwilę nie zmrużyła oka, bo kiedy tylko się położyła, rozległo się pukanie do drzwi i jakiś chrapliwy głos zawołał:

- Proszę otworzyć drzwi, pani Rossi. W tej chwili proszę otworzyć!

- Kto tam? - spytała drżącym głosem, siadając.

- Policja, proszę pani. Otwierać! - To mówił jakiś drugi głos, tak samo chrapliwy.

Zrozumiała, że nie ma wyjścia. Otworzyła drzwi i natychmiast gliniarze rzucili się na nią, wyciągnęli z pokoju i z hotelu: dwaj wielcy faceci z brudnymi wąsiskami i paskudnym oddechem.

Przed hotelem wsadzili ją do jakiegoś furgonu, ciągniętego przez konia. Jeden gliniarz został z nią, drugi powoził.

- Co ja takiego zrobiłam? - spytała tego, który został.

- Nic poza tym, że złamała pani prawo - parsknął szyderczo. Och, jak ona nie cierpiała tych cholernych gliniarzy! - Tylko naruszyła pani Akt Obrony Zjednoczonego Królestwa, tak to się nazywa. Swoimi ostatnimi wystąpieniami mogłaby pani być nawet winna spowodowania zamieszek. Poza tym w czasie wojny cudzoziemcom zabrania się oddalać od miejsca zamieszkania dalej niż na osiem kilometrów.

- Cudzoziemcom? Jestem Irlandką, a Irlandia stanowi część Wielkiej Brytanii. - Mogła być głupia, ale to wiedziała na pewno. Tego ją nauczili w szkole.

- Będziemy się tym musieli zająć - odparł groźnie, jakby był w stanie przenieść Irlandię w jakieś inne miejsce, gdyby chciał.

Kiedy dotarli na posterunek, wysadzili ją z furgonu, niezbyt delikatnie, jak na jej stan, i wepchnęli do małego pokoiku, którego całe umeblowanie stanowił stół z ławką po każdej stronie. Tam jej kazali usiąść i wyjaśnić powód, dla którego podróżuje po całym kraju i na każdym postoju wygłasza przemówienia, które są zdradą państwa.

Marta nie odpowiedziała. Nie miała zamiaru wymawiać imienia swojego ukochanego syna wobec tych dwóch bydlaków, a gdyby chciała cokolwiek wyjaśniać, musiałyby to zrobić. Może to i było głupie, ale nie bała się gliniarzy: nie zrobiła przecież nic złego. Ta para ohydnych drani bynajmniej jej nie przestraszyła, najwyżej rozgniewała.

Po dobrej godzinie udręki wyszli, po czym wrócili, by jej powiedzieć, że zostanie zatrzymana na całą noc.

- A jutro - powiedzieli jej - przyprowadzimy lekarza, żeby zrobił badanie ginekologiczne, czy nie masz czasem choroby „W”.

- Wu? - zdziwiła się Marta.

- Choroby wenerycznej, moja pani.

- Co? - wrzasnęła. - Myślicie, że mam jakiegoś cholernego trypra?

Obaj wyszczerzyli zęby w uśmiechu, złapali ją pod ramiona i powlekli do zimnego pokoiku z paroma deskami zamiast łóżka, do tego z poduszką twardą jak żelazo.

- Miłych snów! - zarechotał jeden z nich.

Rozdział 16

- Jeżeli przyszedł pan mnie zbadać, to niech się lepiej pan od razu zajmie czymś innym - powiedziała Marta lekarzowi, który następnego ranka wszedł do celi.

Podniosła głowę i zsunęła nogi z tak zwanego łóżka, na którym przesiedziała całą noc, nie śpiąc ani przez chwilę. Doktor był wysoki, chudy, gładko wygolony, ubrany w garnitur w prążki, wyprasowany do perfekcji, a pod szyją miał muszkę w groszki. Domyśliła się, że to lekarz, bo miał ze sobą czarną skórzaną torbę.

Zdjął kapelusz i uśmiechnął się chłodno.

- Nawet bym nie pomyślał o badaniu kobiety w zaawansowanej ciąży na okoliczność choroby wenerycznej, to mogłoby zaszkodzić dziecku. Posiedzę tu chwilę i powiem sierżantowi, że nie jest pani zarażona. Wtedy panią zwolnią i będzie pani dalej robić to, co dotychczas.

- Wielkie dzięki.

Marta była skonsternowana. Nie mogła wywnioskować, czy doktor trzyma jej stronę, czy nie. Jego słowa dowodziły, że tak, niemniej mało przyjazny wyraz jego twarzy temu przeczył.

Zresztą rzucił jej spojrzenie tak pełne pogardy, że nie było szansy, by mógł trzymać jej stronę.

- Nie potrzebuję pani podziękowań, pani Rossi. Nie robię pani żadnej przysługi. Gdybym był zwyczajnym członkiem społeczeństwa, z całym przekonaniem przytarłbym pani rogów, chociaż nie tak, jak to robi policja.

Marta poczuła się urażona.

- Dlaczego miałby mi pan przytrzeć rogów? - spytała, zaciekawiona.

- W naszym kraju jest teraz wojna - odparł, jakby o tym nie wiedziała. - Nasz kraj nie potrzebuje takich ludzi jak pani, którzy trąbią o tym, jakim wojna jest złem i krytykują to, jak

się ją prowadzi. Mam syna we Francji, który ryzykuje życie dla ojczyzny, i pani, pani Rossi, nie przyda się ani jemu, ani nikomu innemu.

- Ile lat ma pana syn, doktorze?

- Dwadzieścia dwa. - Twarz mu złagodniała, a głos zadrżał. Natychmiast zrobiło jej się go żal.

- No tak... mój syn, ten, którego zabili, miał dopiero czternaście.

- Przykro mi z tego powodu. To straszne, co się z nim stało, ale chyba nie ma sensu robić z tego takiego zamieszania. Powinna była pani przyjąć to spokojnie.

- A czemu pan myśli, że tak tego nie przyjąłem? - rzuciła z gniewem. - Przede wszystkim poszłam to załatwić z gliniarzami, potem spotkałam się z tym idiotą politykiem, zalanym w pestkę, co to mi powiedział, jaka powinnam być szczęśliwa, że mój Joe poszedł walczyć. A potem ten facet z gazety napisał do Ministerstwa Wojny, ale nawet słówkiem mu nie odpowiedzieli. Nikogo to nic nie obchodziło - rzekła stanowczo. - Wszyscy to mieli gdzieś. To był tylko biedny dzieciak z robotniczej rodziny, i nikt nie musiał się nim przejmować. - Popatrzyła na lekarza, który widział, jak oczy jej płoną.

Odwrócił się i wyszedł z celi bez słowa.

W parę sekund potem wszedł jeden z grubych policjantów i powiedział, że może sobie pójść. Kiedy drzwi celi się otworzyły, usłyszała, jak ktoś na zewnątrz woła - nie, wołają: to było dwóch ludzi! Obaj się darli na całe gardło i walili w coś pięściami.

Okazało się, że to Clive i Alex tak wrzeszczą i walą pięściami w kontuar przy wejściu na posterunek.

- Gdzie ona jest? - darł się Clive, kopiąc kontuar.

- Coście zrobili z panią Rossi? - Alex był równie wściekły.

Za nimi stał, milcząc, trzeci młody człowiek.

- Tutaj jestem - powiedziała spokojnie Marta i omal się nie przewróciła, kiedy Clive i Alex wręcz walczyli ze sobą, żeby ją jak najprędzej uściskać.

Trzeci młodzieniec okazał się miejscowym adwokatem, który miał dokładnie zbadać, za co Martę aresztowano i czy ją jeszcze będą trzymać.

Za biurkiem siedział teraz inny policjant niż ten nocny, miły, młody posterunkowy, który przedstawił rejestr i poprosił, żeby Marta się wypisała. Zdecydowanie odmówiła.

- Nie wpisywałam się tam, więc nie mam powodu się wypisywać! - rzekła gwałtownie.

- Nie dziwię się pani - odparł posterunkowy. - Na pani miejscu też bym tego nie zrobił.

* * *

Kiedy wrócili do hotelu i usiedli wygodnie w holu, Clive wyjaśnił, że rano poszedł do jej pokoju, by ją obudzić, ale nikt nie odpowiadał na pukanie. Poprosił pokojówkę, żeby otworzyła drzwi i weszła, ale w środku nikogo nie było.

- Wtedy już spanikowałem - powiedział. Nocny portier, zapytany, co się stało, wyjaśnił mu, że tuż przed północą zabrało ją dwóch policjantów.

- Powiedział, że obchodzili się z tobą bardzo szorstko. To prawda?

- No, grzeczni to oni nie byli - przyznała Marta. Nie musieli jej przecież popychać ani ciągnąć tak, jak to zrobili.

- Czyli użyli siły w sposób nieuzasadniony? - spytał prawnik. Marta się skrzywiła i chwilę pomyślała.

- Chyba tak. Niezbyt dobrze znoszę areszt... w moim stanie. - Ziewnęła. Była strasznie zmęczona. - Jaki dzisiaj dzień? - spytała.

- Gdzie jesteśmy? Nie mogę sobie przypomnieć.

Gdyby jej powiedzieli, że w Timbuktu, wcale nie byłaby zdziwiona.

- Dziś jest sobota, a jesteśmy w Wolverhampton - poinformował ją Clive. - Czyli w hrabstwie Staffordshire - dodał, wiedząc, że ją interesują takie sprawy. - Dziś po południu jedziemy do Birmingham, a jutro, w niedzielę, mamy dzień na odpoczynek, tak jak nam nakazuje Biblia. Następnym przystankiem będzie Warwick.

- Wolalabym, żeby ten wolny dzień był dzisiaj. Tam na posterunku nie zasnął ani na chwilę. - Marta się przeciągnęła i znów ziewnęła, a Clive zaproponował, by zaraz poszła do łóżka i przespała się.

- Zaraz pójde do dyrektora i dopilnuję, żeby twój pokój był jeszcze dziś dostępny.

Marta serdecznie popatrzyła za nim i przypomniała sobie, jaka była na niego zła zeszłej nocy - i na Alexa. Ale naprawdę ją wzruszył i przejął ich autentyczny gniew, z jakim walczyli o nią na policji dziś rano. To byli naprawdę uroczy chłopcy. Westchnęła. Kiedy się zacznie pobór, pewnie ich obu wezmą do wojska. Miała nadzieję i modliła się o to, żeby z tego koszmaru uszli z życiem.

Kiedy już leżała w łóżku, czuła dziwny spokój, słysząc stłumione dźwięki dochodzące z sąsiednich pokoi. Wyobrażała sobie, jak tam odkurzają meble, polerują je, trzepią dywany i zmieniają pościel.

Zasnęła bardzo szybko, a kiedy się zbudziła, nie miała pojęcia, jak długo spała. Czuła się strasznie osłabiona. Dopiero teraz zdała sobie w pełni sprawę z wydarzeń zeszłej nocy i chciało jej się płakać na myśl, jak okrutnie obeszli się z nią policjanci i jak ani przez chwilę nie zastanowili się, że mogą zaszkodzić jej dziecku. Jakie to głupie - dopiero teraz bać się zamknięcia w tym pełnym zaduchu, małym i zimnym

pokoiku z kratami w oknach. Na samą myśl o tym chciało jej się krzyczeć z przerażenia.

Cóż to był za okropny świat. Za nic nie chciałyby go poznać. I miała już dość tych dni, nigdy nie wiedziała, gdzie jest, dokąd idzie, ani gdzie była. Czas całkiem stracił znaczenie, a dni się mieszały ze sobą i w końcu miała w głowie zupełny zamęt. Chciałyby, żeby jej życie znowu było spokojne, spokojne i zorganizowane, chociaż zwyczajne.

Pomyślała o maluchach, Lily i Georgiem. Czy Carlo się nimi porządnie opiekuje? Nawet za Carlem tęskniła: co prawda teraz miał niewielki wpływ na jej życie, ale w końcu był mężem. Och, i naprawdę tęskniła za Kate. Wspomnienie Kate skierowało jej myśli na ubrania: tak chciałyby mieć jeszcze jedną suknię i nową parę majtek!

Gdyby ją tak zostawiono samą na dłużej, z pewnością by się solidnie wypłakała: schowałaby głowę w poduszkę i wypłakała wszystko, co ma na sercu. Dobrze, że się nie poddała temu uczuciu, bo po chwili rozległo się pukanie do drzwi i Clive powiedział cicho:

- Już nie śpisz, Marto?
- Nie śpię - westchnęła.
- Zaraz coś zjemy, a potem pojedziemy do Birmingham - powiedział. - Jesteś głodna?

Nagle się zorientowała, że umiera z głodu.

- Za chwileczkę wyjdę - obiecała.

* * *

Do niedawna, jak to już przedtem zaznaczyliśmy, Marta Rossi była najzwyczajniejszą gospodynią domową, żoną „przy mężu”, ale jako że czasy są niezwykle, i Marta stała się niezwykle kobietą.

Nasz kraj bierze teraz udział w wojnie - z przyczyn, które trudno wyrazić słowami. Szukając wyjaśnienia, dlaczego jej czternastoletni syn Joe został zabity w bitwie na obcej ziemi,

Marta wędruje teraz do Londynu, czasem piechotą, czasem nie - jest już w szóstym miesiącu ciąży ze swoim szóstym dzieckiem, dlatego nie może za dużo chodzić - w nadziei, że nasz premier odpowie jej na to pytanie.

Czytelnik niniejszego artykułu, podobnie jak i jego autor, bez wątpienia uważa, że ten kraj - nasz kraj - powinien być krajem wolnym; że posiadamy pewne swobody, wywalczone stopniowo na przestrzeni wieków, kiedy człowiek uczył się osądzać, co jest uczciwe i sprawiedliwe, a co nie do przyjęcia w cywilizowanym społeczeństwie.

Zeszłej nocy Marta odkryła, jak haniebnie potrafią się zachowywać tak zwani strażnicy naszego społeczeństwa, kiedy ją gwałtem wyciągnięto z hotelu w Wolverhampton, w którym nocowała - i zabrano na posterunek policji, gdzie przedstawiciele prawa ją poinformowali, że jej szlachetna wędrówka do Londynu jest złamaniem Aktu Obrony Zjednoczonego Królestwa.

Zamknęli ją na noc w celi bez łóżka i bez ciepłego napoju, oznajmiając, że nazajutrz będzie zbadana przez lekarza na okoliczność choroby, której nasza gazeta wolałaby nie wymieniać, gdyż byłoby to wstrętą i skandaliczną obrazą dla tej prawej i cnotliwej kobiety.

Clive czytał głośno artykuł, a Alex mu od czasu do czasu przytakiwał. Napisali go wspólnie.

- Mnie się wydaje bardzo dobry - rzekł młody adwokat, nazwiskiem Samuel Rootes. Ten dzień okazał się dla niego o wiele bardziej interesujący, niż się spodziewał, kiedy go dziś rano wezwano na posterunek policji. - To jeszcze nie koniec?

- Prawie koniec - rzekł Alex. - Kiedy tylko go skończymy, przetelefonuję tekst do redakcji.

- Muszę wobec tego kupić jutrzejszą gazetę. Powiedział pan, że to „Manchester Guardian”?

- Tak, ale jutro go pan nie kupi, bo jest niedziela i żadna z naszych gazet nie wychodzi. Następną będzie w poniedziałek. Znajdzie tam pan też zdjęcie Marty na stopniach ratusza w Wolverhampton.

- Czemu zatrzymujecie się w Birmingham - spytał Samuel - skoro możecie dojechać do Londynu już dzisiaj wieczorem?

- No cóż... nasza kochana Marta rozpowszechnia wiadomość o sobie, prawda? - odparł Alex. - Im więcej miejsc odwiedzimy, tym większa liczba ludzi o tym usłyszy.

* * *

Chyba śniła. Był już następny ranek i Marta schowała głowę pod poduszkę, jakby chciała ten sen stłumić, mimo że był przyjemny. Słyszała, jak Lily i Georgie wołają ją, jak stukają do drzwi - a to przecież było niemożliwe. Czuła się zanadto zmęczona, żeby się rozbudzić. Dzisiaj niedziela, jak mętnie sobie przypominała. Dojechała do Birmingham, gdzie dziś miał być dzień odpoczynku, a tego właśnie przede wszystkim chciała: odpocząć.

Krzyki i stukanie trwały jednak dalej.

- Mamo! - wołała Lily. - Obudź się, obudź

Marta posłusznie się obudziła i przetarła oczy. Usłyszała, jak Georgie mówi:

- Jeżeli zaraz się nie podniesie, przepadnie nam śniadanie.

- Jezusie Maryjo! - Zerwała się z łóżka i otworzyła drzwi.

Lily w swojej jaskraworóżowej sukience i Georgie tańczyli w górę i na dół po schodach.

- Mama!

Rzucili się do niej, a ona przytuliła oboje tak, jakby chciała ich zgnieść w ramionach.

- Co wy tu robicie? Jak się tu dostaliście? Czy tata też przyjechał? Kto was tu przywiózł?

Zasypywała dzieci pytaniami i pocałunkami. Nie minął nawet tydzień od czasu, kiedy opuściła Liverpool, ale jej się wydawało, że nie widziała dzieciaków od miesięcy. Naprawdę, Lily wyglądała na wyższą niż przedtem.

- Tata jest tutaj. Stoi na dole i rozmawia z Clive'em. I Kate też jest... na zewnątrz.

- Na zewnątrz, to znaczy gdzie? - Marta była już w połowie drogi do okna, kiedy Lily odparła:

- Jest tu, na korytarzu, mamó.

- Kate!

Wybiegła z pokoju i wpadła w ramiona Kate.

- Pomyślałam, że powinnam najpierw pozwolić ci zobaczyć dzieci - rzekła dziewczyna.

- Och! - jęknęła Marta. - No, jeżeli to nie jest największa niespodzianka na świecie, to już nie wiem, co mogłoby nią być. Przyjechałaś swoim samochodem?

- Tak. Mój ojciec nas przywiózł. Chce tutaj spędzić dzień ze swoim starym przyjacielem. - Uśmiechnęła się tym swoim szerokim uśmiechem od ucha do ucha. Objęły się, a Kate podała Marcie małą walizeczkę. - Przywiozłam ci trochę rzeczy.

Weszła do pokoju i położyła walizkę na łóżku. Otworzyła ją.

- Lily i ja uznałyśmy, że chciałybyś mieć jeszcze jedną sukienkę. Kupiłyśmy ją na targu na Great Homer Street, prawda, kochanie?

- To ja ją wybrałam, mamó, to ja wybrałam! - Lily wyciągnęła brązową suknię we wzór z różyczek i zaprezentowała ją matce.

- Jest fantastyczna, kochanie. - Marta przyłożyła suknię do siebie przed lustrem. Miała wysoki kołnierzyk z falbanek, rękawy też z falbankami i była uszyta z grubej bawełny, dostatecznie ciepłej, by się nadawała do noszenia wiosną i

jesienią. Spódnica była chyba na tyle szeroka, żeby zostało dość miejsca dla dziecka. Marcie zajęło parę chwil odczytywanie metki z tyłu sukni: czytała ją literka po literce. Viyella! Sześć miesięcy temu jeszcze nie umiałyby tego przeczytać. - Dziękuję wam. - Znowu miała powód, żeby wycałować wszystkich po kolei.

- Kiedy wrócisz do domu, będziesz musiała też ucałować naszego Franka - powiedziała Lily. - Kupił dla ciebie perfumy w takiej przepięknej buteleczce!

- A Joyce przysłała ci różowy kapelusz - dodał Georgie - chociaż dla mnie to wygląda bardziej na miskę do puddingu.

- W walizce jest jeszcze parę rzeczy - mówiła Kate - a także te perfumy, bielizna i kapelusz. Rozpakujesz to później. I możesz zatrzymać walizeczkę, też kupiłam ją na targu. Teraz podróżujesz głównie samochodem, tak że nieważne, ile masz bagażu.

- Skąd wiesz, że podróżuję samochodem? - spytała Marta.

- Czytam artykuły Clive'a i Alexa, czyż nie? - odparła Kate. - Musiałabyś chyba być Tarzanem i skakać z drzewa na drzewo, żeby przebywać codziennie takie odległości. Moja matka i ojciec też czytają te sprawozdania... i w ogóle cała masa ludzi, których znam. - Wzięła Martę pod ramię. - Jesteś teraz bardzo sławną osobą w Liverpoolu, Marto. Naprawdę, jestem dumna, że mogę się nazywać twoją przyjaciółką.

- Mama! - Georgie podskakiwał na łóżku, osiągając zawrotne wysokości. - Clive powiedział, że jak nie zejdziemy na dół do dziesiątej, nie dostaniemy śniadania. A po śniadaniu możemy pójść na mszę.

- Zejdźcie wszyscy na dół, a ja się ubiorę i będę tam za minutkę.

Marta podśpiewywała pod nosem, wkładając cudowną, czystą bieliznę, fildekosowe pończochy, zupełnie nowe, i kwiecistą sukienkę, bez żadnego pęknięcia czy rozdarcia.

Umyła twarz, uczesała się, pokropiła się za uszami odrobiną perfum od Franka i poczuła się, jak zupełnie nowa osoba.

* * *

Carlo też wyglądał na kogoś zupełnie innego niż ten, do którego się przyzwyczaiła przez ostatnie lata. Ktoś - może zresztą on sam - zajął się jego garniturem, wyprasował koszulę, krawat i wyczyścił buty. Naprawdę była z niego dumna. Miał nawet niepokalanie czystą chusteczkę, wetkniętą w kieszonkę na piersi. Później się okazało, że to Joyce dopilnowała prania i czyszczenia rzeczy, a Carlo tylko oczyścił buty do połysku i kupił nową chusteczkę. Marta pocałowała go nieśmiało w policzek.

- Jak to miło cię widzieć, kochanie - rzekła cicho.

- I ciebie też, cara.

Jego brązowe oczy uśmiechały się do niej. Marta czuła, że w tym momencie z powrotem odzyskali coś z gorącej intymności, która między nimi kiedyś była, chociaż dla połatania ich małżeństwa uśmiech nie wystarczał.

Alex zatarł ręce.

- Jeżeli zaraz nie pójdziemy na śniadanie - rzekł - chyba zemdleję z głodu.

- Ja też! - zawołał z przejęciem Georgie.

* * *

Całą rodziną poszli na mszę do wspaniałego kościoła, do zapierającej dech w piersiach katolickiej katedry pod wezwaniem świętego Chada (Święty Chad - anglo - saksoński biskup Yorku z VII wieku.). Kate też poprosiła, żeby ją zabrali „dla doświadczenia” i przyrzekła, że nie zrobi ani jednego ruchu, nie uklękawszy przedtem.

- Czuję się oczyszczona - oznajmiła, kiedy wyszli z kościoła i zobaczyli, że na ulicy przed kościołem Clive i Alex - dwaj dorośli mężczyźni - grają kawałkiem drewna w piłkę nożną.

Clive zaproponował pójście do Cannon Hill Park, gdzie było jezioro, po którym można pływać łódką, a w niedziele często grała orkiestra.

Dzieci aż podskoczyły z radości. Marta wolałaby wrócić do katedry, spokojnie uklęknąć gdzieś z tyłu i porozmawiać sobie z Panem Bogiem, ale byłoby nieładnie zostawić tych wszystkich, którzy tyle drogi przejechali, żeby się z nią zobaczyć. Usiadła na ławce i przypatrywała się, jak się bawią w „ślepią babkę” i grają w piłkę tym samym kawałkiem drewna.

Mniej więcej po pół godzinie poszli nad jezioro na łódki, z wyjątkiem Carla, który siadł obok żony na ławce. Rozmawiali o przeszłości i przyszłości.

- Zaczę teraz wszystko od nowa - obiecał. Jego angielski był poprawny, choć nadal zachował ślad włoskiego akcentu, mimo tylu lat spędzonych w Anglii. - Jak tylko wrócisz do domu, powiedz Misterowi, że nie chcesz już dla niego pracować, a ja znajdę pracę.

- Jaką? - spytała Marta.

- Szukają ludzi, mężczyzn i kobiet do pracy w fabryce amunicji za wodą ("Za wodą" - tak mieszkańcy Liverpoolu określają dzielnice podmiejskie, Birkenhead i Wallasey, znajdujące się po drugiej stronie „fiordu” wcinającego się w Liverpool). Mówi się, że płace są tam niewiarygodnie wysokie.

- Ale co z twoją ręką, kochanie? - Żyły i ścięgna jego prawego nadgarstka były poważnie pocięte nożem już wiele lat temu. Lekarz w szpitalu powiedział, że Carlo stracił bardzo dużo krwi i ma szczęście, że w ogóle przeżył. Odtąd prawa dłoń i przedramię były jak martwe. Podniosła jego chorą rękę i pogłaskała uszkodzony nadgarstek. Wiedziała z własnego doświadczenia, że do pracy w fabryce potrzebne są dwie zdrowe ręce.

- Znajdą tam coś i dla mnie. - Popatrzyła mu w oczy, a on się smętnie uśmiechnął. - Przepraszam... - rzekł cicho, i zrozumiała, że ją przeprosza za te wszystkie lata, kiedy był tak bardzo bezużyteczny.

Marta ostrożnie położyła jego rękę na kolanie. Była zadowolona, że ją przeproszał, ale to przecież nie dosyć. Co więcej, wcale nie chciała, żeby jej mąż pracował w fabryce amunicji, robiąc broń i kule, których potem ktoś użyje przeciw młodym żołnierzom tam, po drugiej stronie. Ale, jak mówi stare przysłowie, „jak się nie ma, co się lubi...”.

Potem wróciły dzieci z Alexem. Kate i Clive gdzieś zniknęli.

Alex wyglądał dzisiaj szczególnie przystojnie w blezerze w szare i białe pasy oraz w popielatych letnich spodniach. Marta była zdziwiona, że zwolniono go ze służby wojskowej z powodu astmy, którą przeszedł w dzieciństwie. Spytał, czy może dać dzieciom pieniądze na lody. Lily i Georgie patrzyli spode łba, jakby się bali, że mama odmówi.

Ale Marcie nawet przez myśl nie przeszło, by powiedzieć „nie”. Alex dał każdemu po trzy pensy i, kiedy odbiegli, klapnął też na ławkę i oznajmił, że jest kompletnie wykończony.

Po krótkim milczeniu zapytał, czy Kate jest dziewczyną Clive'a.

- Nie - odparła Marta. - Ani on nie jest jej chłopcem.

- Nie ma ich już od nie wiem kiedy - poskarżył się, nadąsany. Szurał stopami po trawie. - Ona jest nieprawdopodobnie śliczna, to znaczy Kate.

- To urocza dziewczyna - zgodziła się Marta.

- Nie miałbym nic przeciw temu, żeby z nią pogawędzić, zanim odjedzie.

- Och, jestem pewna, że będzie na to dość czasu - uspokoiła go, myśląc, jakie to musi być miłe: podobać się

takim dwóm ślicznym chłopcom! Pomyśleć tylko, że i ona swego czasu paru chłopakom zawróciła w głowie... ale jedyny mężczyzna, którego kiedykolwiek kochała naprawdę, siedział teraz obok niej i to też było przyjemne.

Pan Kellaway wrócił po miłym dniu spędzonym z przyjacielem. Marcie mało nie pękło serce, kiedy się żegnała z Carlem i dziećmi i, oczywiście, ze swoją przyjaciółką Kate.

Machała ręką, kiedy auto odjeżdżało, aż jej ręka zemdląła, a Lily i Georgie też jej machali zza tylnego okna samochodu.

Rozdział 17

Kate wysadziła Carla i dzieci na King's Court, myśląc, jakie to miejsce jest ponure. Doprawdy, Marta zasługiwała na to, żeby mieszkać gdzieś, gdzie byłoby o wiele przyjemniej. Carlo, gdy był trzeźwy, okazał się całkiem miłym człowiekiem, a kiedy się umył i ogolił, nawet całkiem atrakcyjnym. Sądząc z dość niewyraźnego zdjęcia w „Lancashire Post”, można było powiedzieć, że razem z Martą tworzyli bardzo ładną parę.

Co do Alexa Scotta, był wyjątkowo urodziwy. Jednak Kate nie podobał się tak jak Clive, który był poważny i mądry, a przy tym potrafił być niezwykle czarujący, kiedy chciał. Tego dnia, w parku w Birmingham, zapytał, czy mogłaby z nim pójść na obiad, kiedy wędrówka Marty się zakończy i Clive wróci do Liverpoolu. Naturalnie się zgodziła.

Ale później Alex też ją zaprosił na obiad, kiedy już wróci do Manchesteru.

Właściwie nie myślała o tym poważnie, ale też się zgodziła - i teraz czuła się prawie jak femme fatale.

* * *

W hotelu w Birmingham Clive i Alex mieszkali w jednym pokoju. Siedzieli teraz na łóżkach i omawiali przyszły tydzień. Jutro, w poniedziałek, w ich gazetach ukaże się nie tylko zdjęcie Marty na stopniach ratusza w Wolverhampton, ale w artykule znajdzie się opis tego, jak ją potraktowała tamtejsza policja. Będą mieli mnóstwo czasu, żeby kupić obie gazety przed wyjazdem do Warwick.

- Naprawdę powinniśmy byli pokazać Marcie ten artykuł - mówił Clive z grymasem. - To bardzo osobiste. Powinniśmy byli ją spytać o zdanie, zanim go wysłaliśmy. Kłopot w tym, że co by było, gdyby nie zechciała, aby to wydrukowano? Co byśmy wtedy zrobili?

- Też o tym myślałem... - Alex zmarszczył nos na znak, że również się z tym nie czuje dobrze. - Manipulujemy nią, a to nie jest uczciwe.

- Ona o tym wie. Pamiętasz, co nam powiedziała parę dni temu, kiedy się zatrzymaliśmy na obiad w tej gospodzie w... no, nie pamiętam gdzie. Gdzie to było? Pamiętasz? Właściwie prawie nigdy nie wiem, gdzie jesteśmy.

- To było niedaleko od Coalthorpe - oświadczył Alex po namyśle - ale to było dlatego, że nie chciała jeść nic porządnego... no i była na mnie zła, bo do niej powiedziałem „staruszko”. Tamtej nocy czuła się naprawdę wściekła za naszą sztuczkę z benzyną... no, żeby sama weszła do miasta i poszła pieszo do ratusza, tak by każdy myślał, że w ten sposób idzie już mnóstwo kilometrów.

- Tak, to prawda - przyznał Clive. - To chyba był twój pomysł, nie mój - dodał sucho.

- Masz rację - zgodził się Alex. - Ale zaraz potem te bestie gliny położyły na niej swoje łapy. Od tej pory jest markotna.

Zamilkli na chwilę.

- Z nas też są bestie - zdecydował Alex. - Może to dlatego, że jesteśmy reporterami i dla nas ważny jest wyłącznie artykuł.

Clive podniósł kubek kakao, które zamówili do pokoju.

- Za artykuł! - zawołał, jakby wznosił toast.

- Za artykuł! - Alex w odpowiedzi kpiarsko zasalutował. Znowu zapadła cisza, po czym powiedział: - Myślę, że dla Marty powinniśmy zrobić wyjątek. Przystaniemy nią manipulować?

- Dobrze mówisz! - Clive znowu podniósł swój kubek. - Ja też myślę, że już czas, byśmy przestali niepotrzebnie rozdmuchiwać tę wędrówkę. Proponuję, żebyśmy sobie darowali Warwick.

- Wybacz, przyjacielu, ale to niemożliwe. Jutro będzie ją tam witał cały komitet. Ale wiesz co... - Alex wstał z łóżka i zaczął przeglądać mapę. - Po tym spotkaniu jedźmy prosto do Oksfordu: tam Marta solidnie wypocznie, a następnego dnia już będziemy w Londynie. Jest wykończona i myślę, że ma już dość podróżowania i przemawiania. - Znowu wrócił na łóżko. - Co ty na to?

- Jestem za. - Artykuły zaczynały się powtarzać, przemówienia także. I Marta była naprawdę zmęczona. - Tak... tak zrobimy.

- Kate też była tego zdania.

Clive zerknął na niego spode łba. Nie wiedział, że Kate i Alex rozmawiali ze sobą.

- Teraz tak powiedziała?

Alex przytaknął.

- Mogę zgasić światło?

- Pewnie.

- Dobranoc, stary - rzekł jowialnie Alex.

- Dobranoc - odparł Clive, raczej mniej niż bardziej zadowolony. Po kilku minutach Clive dopił mleko i obaj młodzi ludzie zasnęli jak niemowlęta.

* * *

Skoro tylko Berenice Dexter zeszła na dół, poprosiła gosposię o posłanie kogoś po numer „Manchester Guardian”.

- Ale za chwilę już tu będzie chłopak z „Timesem” - przypomniała jej gosposia.

- Wiem, wiem... tak... ale mnie chodzi o „Manchester Guardian”, rozumie pani... - poważnie wyjaśniła Berenice.

Była zawsze niesłychanie uprzejma dla służby i nigdy się nie złościła, ale nie mogła zapamiętać ich nazwisk, niezależnie od tego, jak długo u niej pracowali.

Wpłynęła do jadalni w koraloworóżowym negliżu i puchatych kapciach, naleła sobie małą filiżankę kawy i siadła przy stole, czekając, aż jej przyniosą gazetę.

Wtedy otworzyła ją czym prędzej na trzeciej stronie i znalazła tam napis wielkimi czarnymi literami Wędrowniacy Marty, a pod spodem, mniejszymi „Reportaż Clive'a Dextera i Alexa Scotta”.

Złożyła ręce pod brodą i westchnęła z radością, chociaż podczas lektury artykułu napisanego przez jej syna i jeszcze jednego reportera zrobiło jej się niedobrze, zwłaszcza gdy przeczytała, ile cierpień doznała ta biedna Marta z rąk policji. Ale i tak cudownie było widzieć nazwisko Clive'a w jednym z najbardziej szacownych dzienników w kraju. Pozostała dwójka jej dzieci była akurat w domu - przyjechali na Święta Wielkanocne. Musi czym prędzej pokazać ten artykuł Guyowi, kiedy się obudzi - i Veronice, gdy wróci z całonocnego pobytu u przyjaciół w Północnej Walii. Będą zachwyceni.

Do jadalni wszedł Jeffrey, jej mąż, coś mruknął i przygotował sobie duże śniadanie z tego, co stało przygotowane na stole z boku. Zatknął serwetkę pod brodę, jak dziecinny śliniaczek - okropny zwyczaj klasy pracującej, pomyślała - i rzucił się po prostu na jedzenie, jakby to był wróg, którego trzeba pokonać.

- Co czytasz? - zauważył po jakimś czasie.

- Gazetę, kochanie.

- Co za zmiana. Zwykle masz głowę wetkniętą w jakiś głupkowaty magazyn mód.

- Masz na myśli „Vogue”? Wcale nie jest głupi, Jeffrey - zapewniła go. - Jest w nim dużo całkiem rozsądnych i trzeźwych artykułów, które na pewno spodobałyby ci się. - Uwielbiała też czytać „Puncha”. Było w nim pełno złośliwych dowcipów i naprawdę rozkosznych karykatur polityków.

Jeffrey nie wiedział, że Berenice to czytuje. Uznała, że będzie jej z nim łatwiej żyć, jeżeli będzie ją uważał za głupią. - Ale dzisiaj - ciągnęła - czytam gazetę, w której znajdziesz nazwisko naszego kochanego Clive'a. - Wiedziała, że go to zirytuje. Uważał, że jako żona powinna się poddać jego przewodnictwu i po prostu wyrzec się ich najstarszego syna.

- Aha, pewnie „Lancashire Post” - rzekł z pogardą. - Cały poświęcony miejscowym awanturom, tak oklepanym i mało ważnym, że nie warto tego czytać. A jakież to pasjonujące informacje tam dzisiaj znalazłaś? Jakiemuś nieszczęśnikowi zapaliły się sadze w kominie, albo mu ukradli koło od roweru?

- Nie czytam „Posta”, tylko „Manchester Guardian” - poinformowała męża Berenice. - Clive i jeszcze jeden młody człowiek są autorami serii artykułów, które wzbudziły wielkie zainteresowanie w całym kraju. - Trochę może przesadziła, ale równie dobrze mogła to być prawda.

Jeffrey zmarszczył brwi. Żółtko jajka, które właśnie miał włożyć do ust, spadło na serwetkę - dobrze, że ją założył pod brodę.

- Skąd wiedziałaś, że to będzie w dzisiejszym numerze? - prychnął.

- Może tego nie zauważyłaś, ale Clive'a już prawie tydzień nie ma w domu. Jedzie teraz bardzo powoli do Londynu z pewną damą, która się nazywa Marta Rossi, bohaterką naszych czasów. Clive telefonuje do mnie co wieczór, żeby powiedzieć, dokąd dojechali. - Wstała od stołu, zostawiając na nim gazetę, otwartą na trzeciej stronie. - Możesz to sobie sam przeczytać, ale nie wyrzucaj potem. Chcę to pokazać Guyowi i Veronice. Wiem, że będą tak samo dumni z brata, jak ja.

Wyszła z pokoju. Jeffrey nadal jadł z prawdziwą pasją. Dopiero kiedy skończył śniadanie, wziął gazetę i przeczytał Wędrowkę Marty.

Sprytnie wykoncypowane, pomyślał z podziwem, zrobić z artykułu coś w rodzaju dziennika. I chociaż bardzo popierał wojnę, uważał za zwykłą bezczelność werbowanie dzieciaków do walki. Właściwie bardzo podziwiał tę Martę za to, co robi. A co do policji, to im się należą porządne cięgi.

Przed domem trzy razy zatrąbił samochód. To Thomas, jego „człowiek”, który wykonywał całą ciężką robotę w domu, w tym prowadził auto. Jeffrey włożył kapelusz, wziął teczkę, wetknął pod pachę numer „Timesa” i wyszedł.

Kiedy jechali w stronę Daimler, poprosił Thomasa, żeby się zatrzymał przy najbliższym kiosku i kupił egzemplarz „Manchester Guardian”. Pokaże go dzisiaj wieczorem w klubie. Nareszcie Clive dał mu coś, czym można się pochwalić.

* * *

Mniej więcej w tym samym czasie Clive i Marta dojeżdżali do Warwick. Niebo tego dnia było szare, a temperatura o parę stopni niższa od wczorajszej. Marty niemal nie było widać, tak się szczelnie owinęła swoim czarnym szalem.

Alex pojechał przodem, żeby zamówić małe przyjęcie w hotelu, który mu polecono. W ostatnim epizodzie Wędrówki Marty zapowiedział, gdzie dzisiaj będą i - jakimś czarodziejskim sposobem - zorganizował jej zaraz po przybyciu do Warwick spotkanie z członkami stowarzyszeń antywojennych.

Jej fotografia na stopniach przed ratuszem w Wolverhampton, z rękami uniesionymi, jakby w obronnym geście, wyglądała bardzo dramatycznie, a pobyt na posterunku policji został tak ubarwiony, jakby cudem umknęła egzekucji za zdradę państwa. Clive miał nadzieję, że ludzie powinni być rozgniewani sposobem, w jaki ją potraktowano. On był!

Wsunął gazety do bocznej kieszeni walizki i wstawił ją do bagażnika. Nie chciał ich pokazywać Marcie, chyba że go o to poprosi.

Przez pierwsze parę kilometrów nie odzywała się ani słowem. Podejrzewał, że jest przygnębiona po wczorajszym dniu spędzonym z rodziną i po ich powrocie do domu, podczas gdy ona odjeżdżała od nich coraz dalej i dalej.

Dla przełamania lodów spytał o męża i o to, gdzie pracował, chociaż doskonale wiedział, że Carlo od co najmniej dziesięciu lat nie ruszył palcem. Kate mu o tym opowiadała. Powiedziała, że to leniwy niechluj, który większość czasu spędza w pijackim otępieniu, zostawiając Marcie troskę o utrzymanie jego i dzieci.

Tymczasem Marta przedstawiła mu naprawdę zasługującą na współczucie wersję wypadku Carla i skutków, które mu uniemożliwiły dawną pracę. Clive jeszcze bardziej ją polubił za to, że stawiała w obronie swojego beznadziejnego męża - znowu określenie Kate - aż do upadłego. Lojalność była dla niego cechą, którą najbardziej podziwiał.

- Chce niedługo znaleźć pracę w jednym z tych tam miejsc, co w nich robią amunicję - opowiadała Marta. - Mówi, że płacą tam nie z tej ziemi. Czy to nie byłoby wspaniałe, gdybyśmy mieli znowu własny mały domek? - Spojrzała spod oka na Clive'a. - Wiesz, kiedyś mieliśmy dom. Nie zawsze mieszkaliśmy na King's Court. Mieliśmy własne filiżanki i pasujące do nich spodeczki... i zapasową zmianę pościeli.

- Miejmy nadzieję, że te dni już wkrótce powrócą, Marto.
- Powiedział to ze szczerego serca.

- Ja też mam taką nadzieję. - Nie zabrzmiało to jednak zbyt pewnie. - Ej, a co to takiego?

Byli w samym sercu jakiejś wiejskiej okolicy i właśnie mijali śliczną starą wioskę Knowle. Tuż przed nimi, przy furtce do jakiegoś niewidocznego gospodarstwa stał siwy

mężczyzna, trzymający w rękach kartonik, na którym wielkimi literami wypisano: „Marto Rossi - zatrzymaj się!”.

Clive posłusznie przystanął, wysiadł z auta i spytał:

- O co chodzi?

- A... pani Marta Rossi? - spytał mężczyzna. Robił wrażenie tak starego, jak ta miejscowość, i miał nogi wykrzywione w iks. Twarz była jedną wielką zmarszczką.

- No tak... pani Marta Rossi jest tu, w samochodzie - zgodził się Clive.

- Mielśmy nadzieję, że państwo będziecie tędy przejeżdżać. - Głos mężczyzny był zaskakująco młodzieńczy.

- Jaśnie pani bardzo pragnie zamienić kilka słów z panią Rossi.

- W jakim celu? - podejrzliwie spytał Clive. - I kto to jest, ta jaśnie pani? - Nie chciał narażać Marty na kolejne fizyczne napaści.

- Jaśnie pani to lady Kerry, potomkini księcia Warwick, a chciałyby podziękować pani Rossi za jej wędrowkę i wyrazić swoje współczucie z powodu zachowania w stosunku do niej policji i tej osoby, co ją oblała wodą. - Mężczyzna skłonił się lekko, zginając się w pasie i miał najwyraźniej trudności z wyprostowaniem się z powrotem. - Ja się nazywam Walter Butler, sir, tak więc nic w tym dziwnego, że już jako młody chłopak zostałem butlerem, czyli, powiedzmy, kamerdynerem lorda Kerry.

- A czy jaśnie pani wyjdzie na spotkanie z Martą, czy my mamy pójść do niej? - szybko spytał Clive, przestraszony, że jeżeli nie zatrzyma potoku wymowy Waltera Butlera, tamten opowie mu całą historię swojego długiego życia.

- Jaśnie pani dobiega obecnie setki i już od wielu lat nie chodzi. Gdyby pan uprzejmie wjechał swoim wehikułem na podjazd, zaprowadzę państwa do niej.

Podjazd był krótki i prowadził do wspaniałego domu z wąskimi ogrodami po obu stronach. Ogrody z latami stawały się coraz mniejsze i bardziej zaniedbane, tak że właściwie były już tylko paskami trawy i chwastów. Niegdyś wytworna wieżyczka obserwacyjna pomału się rozpadała, a fontanna, prawie czarna ze starości, sączyła wodę po kropelce, zamiast wyrzucać ją lśniącym strumieniem, jak przed laty.

Walter im opowiedział, że ród Kerrych był niegdyś posiadaczem niemal pięćdziesięciu akrów ziemi, ale że „prawnicy ciągle ją sprzedawali po kawałku po to, by reszta jakoś funkcjonowała. Dzisiaj już nie ma ani kawałka do sprzedania i Bóg jeden wie, co się stanie z jaśnie panią, kiedy i dom pójdzie na sprzedaż”.

* * *

Lady Gabrielle Kerry wpatrywała się w twarz Marty.

Niegdyś błękitne oczy damy wyblakły z wiekiem i patrzyła niepewnie, jakby prawie nic nie widziała. Inaczej niż jej służący, jaśnie pani nie miała na twarzy ani jednej zmarszczki! Cera blada, woskowa obciągała delikatne kości niby cieniuteńkim jedwabiem.

- Jesteś bardzo dzielna, moja kochana - wyszeptała - że tak wędrujesz całą drogę do Londynu tylko po to, aby przedstawić swój punkt widzenia.

- Dzielna? - Marta uznała za stosowne też mówić szeptem. - Nie, wcale nie. Prawdę mówiąc, jestem zwariowana i chyba robię z siebie prawdziwe widowisko. Nie, wszystko, tylko nie „dzielna"! Poza tym niewiele przeszłam pieszo, większość drogi wiozę mnie samochodem.

- Och, ależ ty naprawdę jesteś dzielna, moja droga. Podziwiam cię z całej duszy.

Stara kobieta leżała na kanapie, okryta czymś, co, jak Marta sądziła, było kapą na łóżko z ciemnozielonego aksamitu z grubą złotą frędzlą. Materiał robił wrażenie starego i

zetłalego, a frędzle były bardzo wystrzępione. Podobnie pokój: pełen starych mebli, z poprzecieranymi zasłonami w oknach i lustrami, które już dawno powinno się było odnowić. W spowitym pajęczynami kandelabrze brakowało elementów, a wzór na dywanie niemal całkowicie zniknął.

Wszystko w tym domu wyglądało na jeszcze starsze niż jego właścicielka.

- Kiedy urodzisz dziecko? - spytała. - Czytałam w gazecie, że się spodziewasz... W czasach mojej młodości żadna kobieta nie marzyła nawet o ogłaszaniu swojego stanu w gazecie. Kiedy już zaczynało być coś widać, siedziałyśmy prawie cały czas w domu.

- Mniej więcej w końcu czerwca - odpowiedziała Marta.

- Zanim odejdziecie, Walter da ci prezent dla niemowlęcia. - Zwróciła oczy w stronę kamerdynera. - Przynieś mi srebrną łyżeczkę chrzcielną z biurka w gabinecie jego lordowskiej mości - zarządziła. - I jeden z tych tartanowych kocyków, które jego lordowska mość i ja przywieźliśmy z Edynburga po naszym srebrnym weselu. Taki kocyk na pewno się pani Rossi przyda w samochodzie. - Walter wyszedł, a lady wzięła Martę za rękę; w jej uścisku nie było ani odrobiny siły. - Walter mi czytał gazetę. A ci okropni policjanci... usłyszeli od ciebie?

Marta spojrzała na Clive'a.

- Powiedziała im parę słów - rzucił.

Był wyraźnie zniecierpliwiony, chciał już jechać, ale Marta bynajmniej nie miała zamiaru wychodzić, póki stara dama nie powie wszystkiego, co zamierza.

Tymczasem jaśnie pani nagle zasnęła. Delikatna, błękitna skóra pod oczami miała więcej barwy, niż same oczy. Oddech przypominał trzepot motyli skrzydełek.

- Czy powinnam ją obudzić i pożegnać się? - spytała Marta Waltera, który właśnie wrócił do pokoju.

- Najlepiej byłoby ją tak zostawić, pani Rossi - doradził kamerdyner. - Pani sypia bardzo niewiele i każda chwila odpoczynku to dla niej prawdziwe błogosławieństwo.

- Mam nadzieję, że nie uzna mnie za bardzo niegrzeczną, jeżeli pójdę.

- Kiedy się obudzi, bardzo możliwe, że w ogóle nie będzie pamiętała, iż pani tu była. Może sobie o tym przypomnieć później, w ciągu dnia, albo nawet za tydzień, ale na pewno nie zauważy, że jej pani nie pożegnała.

Wyszli z domu korytarzem. Po obu stronach ogromnych frontowych drzwi stały białe marmurowe posągi niekompletnie ubranych kobiet.

- Czy jaśnie pani chciała ze mną porozmawiać o czymś szczególnym? - spytała Marta Waltera. Jej głos zdawał się unosić wysoko w górę, w stronę odległego sufitu.

- Tak, o Postępowej Partii Pań - odparł Walter. Clive spojrział na niego, zaciekawiony.

- Nigdy nie słyszałem o czymś takim - oświadczył.

- Bo to jej lordowska mość stworzyła tę partię z przyjaciółkami i prowadziła ją przez czterdzieści lat - odpowiedział Walter z dumą. - Swego czasu miała setki członkiń, ale kiedy jej zdrowie zaczęło szwankować, a równocześnie rozpoczął się ruch sufrażystek... ale to lady Kerry, na długo przed nimi, walczyła o prawo głosu dla kobiet!

- Bardzo interesujące. - Clive poprowadził Martę pod ramię od frontowego wejścia do auta, a Walter wręczył jej kocyk w szkocką kratę i małe pudełko z aksamitu.

Marta gorąco podziękowała, ucałowała go na pożegnanie - i odjechali.

Ale kiedy tylko wyjechali za bramę, Marta zażądała, żeby Clive zatrzymał wóz.

- Zapomniałaś czegoś? - spytał z lekką irytacją.

- Nie, tylko chcę przelożyć ten koc do kredensu z tyłu.
 - Do jakiego kredensu? Z jakiego tyłu? - Jeszcze bardziej się zdenerwował.
 - No, z tyłu auta, ty niedomyślny chłopaku, tam, gdzie są walizki. - Aż potrząsnęła głową nad jego głupotą.
 - Masz na myśli bagażnik?
 - Co mam na...?
 - Tak, bagażnik - rzucił przez zaciśnięte zęby. - Ale dlaczego mam stawać, Marto?
 - Żeby mogła tam odłożyć ten koc. Jest w nim pełno moli. Wszędzie widać ich jajeczka. Chyba nie chcemy mieć moli w aucie, co?
 - To go po prostu wyrzucić przez okno.
 - Tak! A Walter go jutro znajdzie! To byłoby bardzo niegrzeczne, Clive - odparła rozsądnie.
- Zahamował i czekał, aż Marta ułoży koc w bagażniku.
- A co, jeżeli mole tu znowu przejdą? - spytał, kiedy z powrotem usiadła za nim.
 - Może dostaniemy kulki przeciwmolowe w Warwick.
 - Pfuj! - Otarł czoło. - Tak, to rzeczywiście dobry pomysł.

* * *

Alex czekał na nich tam, gdzie obiecał - w holu hotelu Swan, w samym sercu Warwick, kolejnego uroczego starego miasteczka z mnóstwem pięknych gmachów.

Ledwie Clive wprowadził Martę do hotelu, już roześmiany Alex wyprowadzał ich z powrotem.

- Nigdy byście się nie domyślili - mówił z przejęciem - ale Wędrowną Martę zainteresowały się: „The Times”, „Mail”, „London Evening Standard” i kilka lokalnych gazet. - Uroczyście ucałował Martę w oba policzki. - Ich reporterzy czekają na rozmowę z tobą w Silversmith Hall, tu zaraz za rogiem, no i jest jeszcze trochę innych ludzi.

Kiedy Marta weszła do budynku, wybuchły okrzyki i oklaski. Pierwszy raz w życiu zdała sobie sprawę, że się rumieni, kiedy ją otoczyli ludzie, z których każdy chciał jej dotknąć, a ci, którzy nie byli w stanie jej dosięgnąć, machali do niej i posyłali jej rękami pocałunki.

Dosłownie wepchnięto ją na niewielkie podium w końcu sali i wtedy, bez żadnego sygnału, cały tłum zamilkł: wyraźnie czekali, by Marta coś powiedziała.

Odchrząknęła.

- Mam nadzieję, że nie myślicie, iż cały ten dzień szłam piechotą - zaczęła wreszcie. - Nie lubię nikogo oszukiwać. Kiedy zaczęłam wędrówkę, naprawdę chciałam iść pieszo aż do Londynu, ale nie miałam nawet pojęcia, jak to daleko. Przeszłam tylko kilka kilometrów, kiedy już stopy zaczęły mnie... no, po prostu mordować. Siadłam na takim milowym kamieniu, niedaleko od Liverpoolu, kiedy się zjawił Clive ze swoim autem i podwiózł mnie do Chester. I odtąd Clive stale mnie podwozi.

W tym momencie Clive z niezwykłą u niego spontanicznością, bo z reguły stał gdzieś z tyłu - wskoczył na podium i uściskał Martę. Rozległy się śmiechy i okrzyki.

- Ależ ty jesteś jedna na milion, Marto! - krzyknął ktoś. Marta wyczuła, że atmosfera robi się trochę napięta.

- Sama mam syna, który walczy we Francji - zawołała z gniewem jakaś kobieta. - Pani Rossi, dziękuję z całego serca za to, co robisz! Może w końcu zwrócisz uwagę rządu na te jatki, jakie się tam odbywają!

- Myśli pani, że rząd o tym nie wie? - krzyknęła inna kobieta. - Najważniejsze, co robi Marta, to to, że im uświadomi, iż my, szare społeczeństwo, wiemy, co się dzieje; że nie jesteśmy takimi idiotami, za jakich nas mają. Że mamy mózgi, takie same jak oni.

- Mamy lepsze niż oni - poprawił jakiś mężczyzna.

- Opowiedz nam, Marto, jak to było, kiedy spędziłaś noc w więzieniu w Wolverhampton?

- Strasznie! Koszmarnie! - Marta aż się zatrzęsała.

- Co masz zamiar powiedzieć premierowi, kiedy już będziesz w Londynie?

- Nie wiem jeszcze - wyznała. - Właściwie o tym nie myślałam. Po prostu muszę poczekać i powiedzieć to, co mam na sercu, kiedy już nadejdzie pora.

Dobrze się czuła, cieszyła ją uwaga i podziw ludzi, a nawet ostre flesze, które wskazywały, że jej robili zdjęcia. Była zadowolona z dopiero teraz odnalezionej w sobie umiejętności stawania wobec zebranego tłumu...

I nagle się zorientowała, że zupełnie zapomniała o swoim ukochanym, utraconym synu, za którym tak tęskniła. Właściwie przez cały ten dzień prawie nie pomyślała o Joem! Zamiast tego siedziała po prostu w samochodzie Clive'a i podziwiała domy, odwiedziła staruszkę, o której mówiono „jaśnie pani”. A teraz robiła z siebie widowisko, pchając się w światła reflektorów!

Tak nie powinno być, naprawdę nie powinno. Co robić?

Marta upadła na kolana i wybuchnęła płaczem. Flesze błyskały, robiono jej następne fotografie. Tłum jęknął „Aach!” i niektórzy ludzie zaczęli płakać razem z nią.

Rozdział 18

Następnego ranka jeszcze przed świtem Marta wyszła z hotelu w Warwick i powlokła się drogą w stronę Oksfordu. Niebo było jaskrawoczerwone, a ona w obecnym, niepewnym stanie ducha, nie mogła sobie przypomnieć, czy to dobry, czy zły znak, wróżący dzisiejszą pogodę.

Po chwili doszła do wniosku, że chyba jednak zły, bo ta czerwień wyglądała jednak dość złowieszczo. Przez jakiś czas szła ze wzrokiem wbitym w ziemię i kiedy znowu podniosła oczy, niebo było pokryte ciemnymi, szarymi chmurami niemal całkowicie, tylko odrobina światła pozostała tuż nad horyzontem, tam, gdzie zaczynało wschodzić słońce - chociaż Marta wątpiła, czy po wejściu będzie je widać przez szarą opończę chmur. Ptaki śpiewały, ale też jakoś nieśmiało, jakby były równie zmęczone jak ona.

Wątpiła, czy można być bardziej godną pożałowania istotą, niż ona była teraz. Jutro już znajdzie się w Londynie. Bała się tego więcej niż czegokolwiek na świecie. Dlaczego w ogóle postanowiła tam iść?

Teraz jej najgorętszym marzeniem było wrócić na King's Court, gdzie Lily i Georgie wkrótce będą się wybierać do szkoły. Ona powinna też zaraz iść do pracy w fabryce „Worki i Żagle Ackermana”. Carlo zostanie w łóżku, a Londyn nadal będzie miejscem, o którym tylko słyszała, ale nigdy nie myślała go odwiedzić.

Jednak nie chciałyby, żeby znowu wrócił tamten Carlo. Gdyby nie zostawiła mu dzieci pod opieką, nadal spędzałby całe dnie, wędrując po Liverpoolu i upijając się do nieprzytomności, noc po nocy. Czy tak by było? Ostatnio rzeczywiście wyglądało na to, że chce zacząć nowe życie.

Dzidzius, niezadowolony, że go tak wcześnie obudziła, grał chyba w piłkę nożną w jej brzuchu, a walizka wydała jej się naprawdę ciężka: rączka dotkliwie ugniatała jej dłoń.

Sznurkowa torba, którą zabrała z domu, była łatwiejsza do niesienia - jeżeli zaczynała doskwierać, można ją było przewiesić przez ramię. Ale teraz miała przeszło dwa razy tyle rzeczy niż na początku i nie zmieściłyby się do torby. Nogi też ją bolały, a zeszłej nocy prawie nie spała.

- Do cholery! - krzyknęła w kierunku krzewów, drzew i zmęczonych ptaków: domy, które widziała na początku, znikły jej z oczu i w ogóle tego nie zauważyła.

Minęło ją auto i zatrzymało się o parę metrów przed nią. Clive wysiadł, jego twarz nic nie mówiła. Obszedł wóz dookoła i otworzył drzwiczki dla pasażera. Kiedy Marta się zbliżyła, wziął od niej walizkę i wstawił do „kredensu z tyłu”, podczas gdy Marta wsiadała. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa.

Przejechali dobry kawałek drogi, kiedy Clive zapytał:

- Dobrze się teraz czujesz? - Jego zdaniem, była trochę zdenerwowana.

- A dlaczego myślisz, że się nie czuję dobrze? - powiedziała przeciągle Marta.

- Spodziewam się, że tak jest, bo musiałas chyba wstać przed świtem, nie zjadłaś śniadania i wyszłaś, nie powiedziawszy nikomu złamanego słowa. Co do mnie, bałem się, że może spędziłaś kolejną noc na posterunku policji.

- To nie jest śmieszne - zauważyła.

- Ja wcale nie żartuję. Naprawdę myślałem, że się wydarzyło coś bardzo, bardzo złego. Aha! Powiedziano mi, że niedawno w nocy ktoś rzucił cegłą w okno posterunku policji w Wolverhampton. - Zachichotał. - Była zawinięta w kartkę z napisem: „To za Martę”.

- I to też nie jest śmieszne - parsknęła. - A co do zeszłej nocy, to była okropna: ja na kolanach w tej wielkiej sali... zrobiłam z siebie koszmarne widowisko. Przeze mnie inni ludzie też płakali, a ja jeszcze nigdy nikogo nie

doprowadziłam ani do płaczu, ani do rzucania cegłami w okna!

- Marto - powiedział trzeźwo Clive - kiedy zobaczyłem fotografię Joego, to i mnie się chciało płakać. Nie wędrujesz do Londynu ot tak, dla kaprysu, ale dla wszystkich ludzi, mężczyzn i kobiet, co nienawidzą tej przeklętej wojny, ale nie mają albo czasu, albo odwagi, albo możliwości czy też siły woli, żeby samemu odbyć taką podróż. Możesz nie uważać, że robisz to dla nich, ale oni tak myślą. - Jego głos mimo woli nabrał czułości. - Wszyscy cię podziwiają, włącznie ze mną. - Byłaby zażenowana, gdyby jej powiedział, jak bardzo.

Zastanawiała się przez chwilę. Musiała wyczuć w jego głosie prawdę, bo w odpowiedzi tylko spytała, gdzie jest Alex.

- Jeszcze w hotelu. Zjada nasze śniadania, ten żarłok.

- Nie jadłeś nic dziś rano?

- Ani kiełbaski - poskarżył się żałośnie.

- Przepraszam, że wyszłam tak wcześnie. - Z roztargnieniem potrząsnęła głową. - Po prostu musiałam zrobić coś sama, z własnej woli. Już miałam dosyć tego, że się mną kieruje.

- A teraz już ci przeszło? Parsknęła i skrzywiła się.

- Nie, ale to chyba nieważne. Z przyjemnością wrócę do domu. Po tych słowach zapadła w odrętwienie.

Clive nie wspomniał, że po powrocie do domu Marta zastanie jedną wielką zmianę.

Jej Mister pojawił się w jednej z gazet jako Dariush Baig, poszukiwany listem gończym za jakieś paskudne przestępstwa w Persji, z której pochodził. To nie Clive podał prasie szczegóły na temat tego gościa, ale jakiś bystrzak zaczął badać jego życiorys i w paru gazetach ukazała się informacja, dyskredytująca Martę. Bo nie wszystkie gazety zgadzały się z tym, co robiła. Pewna część dziennikarzy wykorzystała fakt, że jej pracodawca okazał się kryminalistą, i użyła tej

wiadomości, aby ją pognać. Marta dotąd o niczym nie wiedziała. Z tego, co mówiła, ów facet był jej dobrym przyjacielem. Teraz go prawdopodobnie deportują. Chociaż sprawiedliwości się stanie zadość, wstyd pozostanie wstydem.

Patrzył na jej zgnębioną twarz i na to, jak się kulila na swoim siedzeniu.

- Chciałabyś, żebym zawrócił i odwiózł cię z powrotem do Liverpoolu, tu i teraz? - zaproponował, wiedząc doskonale, że odmówi.

Natychmiast się wyprostowała i odrzuciła ramiona do tyłu.

- Nie bądź taki cholernie głupi - powiedziała drwiąco. - Miałabym teraz wracać! Jutro będziemy w Londynie, tak?

Clive przytaknął.

- W końcu tygodnia będzie po wszystkim.

- A jaki jest ten Oksford? - spytała. Clive odparł, że nie ma pojęcia.

- Nigdy nie byłem w tych miejscach, które mijaliśmy, z wyjątkiem Chester. No, i Londynu. Ale większość jest dla mnie równie nowa, jak dla ciebie.

Pomyślał, że chętnie by pojechał tam znowu, ale już po wojnie. Ciekaw też był, czy Kate pojechałaby razem z nim. Myśli zaczęły biec, potem pędzić. Czy Kate za niego wyjdzie? Czy będą mieli dzieci? Czy się zgodzi być z nim do końca życia?

- Może się zatrzymamy i coś zjemy? - spytał, kiedy zobaczył przed sobą hotel, a właściwie stary zajazd.

- Tak, proszę, Clive. Żołądek mi przysechł do krzyża, a poza tym marzę o herbacie.

* * *

Alex się pojawił, kiedy byli w połowie śniadania: spostrzegł zaparkowany samochód Clive'a. Zamówił zaraz talerz muffinek i czekał na nie, podśpiewując „Some of These Days”. („Będą takie dni” - popularna piosenka z 1910 roku.)

- Śpiew przed śniadaniem to płacz przed podwieczorkiem
- upomniała go Marta.

- Zjadłem już trzy śniadania - pochwalił się.

- Wobec tego przed podwieczorkiem się rozchorujesz.

Spędzili spokojny dzień w Oksfordzie. Poranny artykuł nie wspominał, gdzie Marta dziś będzie, tylko że ma jeden dzień na odpoczynek przed dotarciem do celu - Londynu.

Hotel nie był tak wspaniały jak inne, w których nocowali. Marta powiedziała, że zwiedzanie jej zupełnie nie interesuje, może innym razem.

- Ale pewnie nie. Kiedy wojna się skończy, chciałabym pojechać do Francji i zobaczyć, gdzie nasz Joe jest pochowany. Zawiozę mu największy bukiet kwiatów na świecie. A potem już nie chcę nigdy wyjeżdżać z Liverpoolu.

Po obiedzie poszli razem do pustego holu, gdzie Alex kupił Marcie porto z cytryną.

- Więc co będzie jutro? - spytała Clive'a.

- Zawiozę cię na Downing Street, tam wysiądziesz i zapukasz do drzwi domu numer dziesięć - powtórzył.

- Tylko tyle? - Była wyraźnie wystraszona, twarz miała przeraźliwie bladą.

- Tak.

Nie powiedział, że informacja o celu jej wędrówki i godzinie przyjazdu: Downing Street o 12.30 po południu, znalazły się w odcinku Wędrówki Marty, napisanym przez niego i Alexa tego popołudnia. Alex już przetelefonował tę wiadomość do biura „Guardiana” w Manchesterze, skąd przekazano ją dalej, do „Lancashire Post” na ręce Edgara Hendersona. A zamiast pojedynczej fotografii - zamieszczono tam szereg zdjęć z całej podróży.

- A co mam powiedzieć, jeżeli na moje pukanie ktoś mi odpowie? - Marta nerwowo gryzła palce. Chyba nie miała

zamiaru wypić jednym haustem połowy porcji porto z cytryną, ale to zrobiła i zaraz dostała ataku kaszlu.

- Wtedy powiesz, dlaczego tu jesteś. - Clive wziął ją za rękę. Czuł, jak cała drży. - Że tu przybyłaś, aby zobaczyć się z premierem.

- Zapomniałam, jak się nazywa.

Alex ścisnął jej drugą rękę.

- Herbert Asquith. Wygląda na całkiem fajnego gościa.

- Całkiem fajny gość - powtórzyła. - Ale co, jeżeli każe mi spieprzać?

Młodzi ludzie spojrzeli po sobie i uśmiechnęli się szeroko. Clive wzruszył ramionami i rzekł:

- Przypuszczam, że może się tak zdarzyć, iż nie będzie miał czasu cię przyjąć. W gruncie rzeczy może go tam w ogóle nie być. Ale zawsze możesz zostawić wiadomość, opowiedzieć mu o Joem i o tym, że musi nas zapewnić, iż małych chłopców nie będą więcej wcielać do wojska, a tym bardziej wysyłać na front, do walki. Drżąc, skinęła głową.

- W porządku, wszystkiego się nauczę na pamięć, dzisiaj przed zaśnięciem. Właściwie już teraz pójde do łóżka. - Wstała, uwolniła ręce i pogłaskała po twarzy najpierw Alexa, a po nim Clive'a.

- Niech was Bóg błogosławi, chłopaki - rzekła ciepło. - Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiliście przez ten ostatni tydzień.

Z tymi słowami wyszła.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, zawstydzony Clive musiał powstrzymać łzę.

- Niech cię diabli, Clive Dexter - mruknął Alex zdławionym głosem. - Aleś mnie urządził...

Obaj młodzi ludzie mogliby sobie teraz pozwolić na krótki, zawstydzający płacz, gdyby drzwi do holu nie otworzyły się z hukiem i jakiś głos nie zawołał:

- Nie mogłam przepuścić dnia Marty w Londynie! Tata dowiedział się przez telefon, gdzie jesteście tej nocy, i zamówił mi pokój w tym hotelu. Przyjechałam pociągiem. Gdzie Marta?

- Kate! - Clive rzucił się w tył na krzesło. - Co ty tu u licha robisz?

- Przecież ci przed chwilą powiedziałam! - Kate aż zachichotała. - Nie chciałam opuścić wielkiego dnia Marty. Gdzie ona jest?

- Poszła spać - wykrztusił Clive.

- Zaraz do niej wpadnę i powiem jej dobranoc.

- Nie możesz tego zrobić. - Alex zerwał się z krzesła i zagroził Kate drogę. - Ona naprawdę musi się wyspać przed jutrzejszym dniem.

Kate wyglądała na zaskoczoną.

- Ale ja... tylko na minutkę - zaprotestowała.

Clive się wtrącił:

- Ona już może spać.

- Och, dobrze - Kate wzruszyła ramionami. Usiadła. - Przyjechałam pociągiem i po drodze nagryzmoliłam parę notatek. Pomyślałam, że moglibyśmy opisać ostatni etap Wędrówki Marty razem, we troje.

- Nie! - powiedzieli równocześnie Clive i Alex.

- A niby dlaczego? - Jej głos aż zadygotał ze złości.

- Bo to nasza praca, za to nam płacą. - Clive pomyślał, że była chyba najbardziej denerwującą kobietą na świecie.

- Tak, to prawda. - Alex kiwnął głową na znak, że się zgadza.

Zerknęła na nich obu, wyciągnęła z torby notes w czerwonej okładce i zaczęła coś w nim pisać.

Obaj przez chwilę patrzyli na nią podejrzliwie, wreszcie Alex ziewnął demonstracyjnie i rzekł:

- Chyba pójdę spać.

- Ja też. Tylko poproszę jeszcze o kubek kakao. Napijesz się czegoś, Kate?

- Tak, proszę, Clive. - Cały czas coś pisała i nawet nie spojrzała na nich. - Poproszę o szklankę gorącego mleka.

- Powiem, żeby ci ją zanieśli do pokoju.

- Bardzo ci dziękuję. Dobranoc.

- Kobiety! - rzekł Clive, kiedy razem z Alexem wchodzili na górę. - Nigdy ich nie zrozumiem.

- Ani ja, stary. Ani ja.

* * *

Następnego ranka namówili Kate, chociaż z trudem, by pojechała do Londynu z Alexem. Clive chciał, aby Marta sama przeżyła ten dzień, bez wygłaszanych na cały głos opinii Kate o wszystkim i o niczym: pragnął dać Marcie czas na wyrobienie sobie własnego zdania.

Po długiej jeździe do Londynu, w trakcie której Marta się prawie nie odzywała, nagle ożywiła się gwałtownie, kiedy już dotarli do stolicy, wspaniałej, pulsującej życiem, dymami i ruchem ulicznym, stanowiącym mieszankę starego z nowym: widziało się ręcznie ciągnięte wózki, wozy konne, autobusy z otwartą górą dla pasażerów i najnowocześniejsze auta. Wszystko to robiło wrażenie centrum świata.

- A to co takiego? - wołała Marta, wskazując palcem na jakąś wieżę czy imponujący budynek. Clive nie miał pojęcia. Znał w Londynie głównie okolice South Kensington, gdzie państwo Dexterowie mieli apartament, i West End, gdzie robili zakupy i jadali w swoich ulubionych restauracjach. Znał pałac Buckingham, wieżę Tower i Trafalgar Square, ale to wszystko.

Jednak fakt, że nie potrafił jej odpowiedzieć, nie miał znaczenia, gdyż Marta nawet na to nie czekała, po prostu zaraz wskazywała następny obiekt:

- A to? Czyj to pomnik? Kto tu mieszka?

- W Liverpoolu też jest trochę wspaniałych budynków, na przykład w okolicy Pier Head - przypomniał jej po jakimś czasie, urażony, że Marta tak szczerze obdarza pochwałami Londyn, będąc mieszkanką naprawdę pięknego miasta. - A St. George's Hall jest jednym z budynków budzących największy zachwyt w Europie.

- Naprawdę? - Marta była szczerze zdziwiona. - Będę mu się musiała dokładniej przypatrzeć, kiedy wrócę do domu.

Wyglądała dzisiaj naprawdę ładnie, pomyślał Clive, w brązowej sukni w kwiatki, którą jej kupiła Kate, w różowych rękawiczkach i małym różowym kapelusiku z woalką. Rankiem, jeszcze w Oksfordzie, stoczyła ostrą walkę z Alexem, który koniecznie chciał, żeby dzisiaj miała na sobie starą szarą suknię i szal.

- Nie chcę się spotkać z premierem, wyglądając jak łązega - rzuciła ze złością.

- Ale przecież tak się właśnie ubierasz na co dzień... - próbował rozsądnych argumentów Alex.

- No właśnie, a tutaj nie jestem na co dzień, prawda? Mam dzisiaj być w Londynie. Czyżbyś uważał mnie za kogoś bez wstydu? Że nie włożę najlepszych rzeczy na tak ważne spotkanie, jak z tym cholernym premierem? Tak czy owak ta sukienka kosztowała raptem parę szylingów na targu przy Great Homer Street.

- Ale widzisz, ja bym chciał, aby on od razu widział, że jesteś biedna, z klasy pracującej! - zawołał Alex i od razu się zmitygował, uświadomiwszy sobie, że uwikłał się w spór, w którym na pewno przegra.

- Ja jestem biedna i jestem z klasy pracującej - z dumą stwierdziła Marta - ale od pana Asquitha chcę tylko tego, żeby skończył z braniem do wojska czternastoletnich dzieci! I guzik go powinno obchodzić, czy mam na sobie chustkę, czy piękny różowy kapelusz.

W pobliżu Downing Street było już tylu ludzi, z czego dużą część stanowili policjanci, że Clive nie mógł znaleźć miejsca na swój samochód. W końcu zostawił go przy Parliament Square i oboje z Martą wysiedli.

- Tam na Downing Street musi się coś dziać - zauważył Clive. - Chyba jakaś demonstracja. To niedaleko, zaraz tam dojdziemy. - Wziął jej rękę i wetknął pod swoje ramię. - Zdenerwowana?

- Tak się boję, że zupełnie zeszywniałam.

- Wobec tego chodźmy. - Przycisnął jej rękę.

Kiedy już się zbliżyli do demonstracji, Clive wyczuł, że nastrój wokół niej jest ogólnie smutny. Mało kto z zebranych się uśmiechał. Było kilku ludzi z aparatami fotograficznymi. W ogóle niewielu mężczyzn. Resztę tłumu stanowiły kobiety z tabliczkami, na których były wypisane imiona... męskie imiona, jak zauważył, kiedy razem z Martą podeszli bliżej: Cyril, Mikey, Hubert, Charlie, Francis...

Nagle tuż przy nich jakaś kobieta wykrzyknęła:

- Marta!!!

- Jest tutaj! - zawołała inna.

Clive przeklinał sam siebie za głupotę: nie zorientował się, że te kobiety przyszły tu dla Marty. Nigdy nawet nie marzył, że będzie ich tak dużo. Marta w jakiś sposób oderwała się od niego i natychmiast zniknęła, otoczona gęstym kręgiem czarno ubranych kobiet. Od czasu do czasu tylko błyskał wśród czerni jej różowy kapelusik. Był zadowolony, kiedy zauważył, że tylko ona jedna nie była w żałobie.

- Marta jest tutaj! - słyszał powtarzające się słowa.

- Chodź, dziewczyno, dalej!

- Tędy, kochanie!

A przecież ona nie miała nawet tabliczki z imieniem! Imiona na tabliczkach - to musieli być mężowie, synowie, bracia lub ojcowie, najdrożsi, którzy w tej nienawistnej wojnie

zostali zabici albo ciężko ranni - a Marta nie miała tabliczki z imieniem Joego, którą powinna zanieść na Downing Street.

W tej chwili już zupełnie nie wiedział, gdzie ona jest, nie było też śladu Alexa czy Kate. Poczł się straszliwie samotny, chociaż w tłumie ludzi - mimo że stopniowo ten tłum go wypychał na zewnątrz - mimo że przecież opisywanie wędrówki Marty do Londynu było jego własnym pomysłem! Gdyby nie on, nic by się tu dzisiaj nie działo.

- Aha, tu jesteś, stary. Gdzieś zgubiłem Kate. - To był Alex, który wyglądał na tak promiennego i szczęśliwego, że Clive tym bardziej poczuł się zgnębiony. Dlaczego on nie mógł wyglądać tak jak tamten?

W tej chwili Kate nic go nie obchodziła.

- Marta nie ma tabliczki z wypisanym imieniem Joego...

Niemal płakał, taki był sfrustrowany i wściekły, nie wiadomo czemu.

- Ależ ma: przygotowałem coś takiego. Och, gdybyś ją zobaczył, Clive, na czele tej całej procesji! Lada chwila wejdą na Downing Street.

- A premier tam jest? Nie wiesz?

- Jest w drodze. Powinien tu dotrzeć za jakąś godzinę, ale czy zechce rozmawiać z Martą? Nie wiem.

* * *

Marta stała na chodniku dokładnie naprzeciwko numeru dziesiątego na Downing Street. Podążające za nią kobiety ustawiły się rzędami z tyłu, kolejne ich setki pozostały dalej, jako że policja nie dopuściła ich ze względu na bezpieczeństwo. Na chodniku naprzeciwko stali fotografowie, którzy wołali:

- Spójrz tutaj, Marto!

- Obróć trochę głowę, kochanie!

Kobiety zaintonowały pieśń „Naprzód, żołnierze Chrystusa”, stary protestancki hymn, którego Marta nie znała,

a potem śpiewały „Keep the Home Fires Burning”, piosenkę z tej wojny - choć właściwie nie było to miejsce na pieśni wojenne.

Ale być może Joe słyszał je tej ostatniej nocy na wojnie, tej nocy, kiedy tak ją wzywał, tej nocy, kiedy umarł.

Alex przygotował chorągiewkę na patyku z napisem:

Joe Rossi, bohater, zabity we Francji, lat 14.

Teraz kobiety śpiewały jeszcze coś innego, ale Marta już nie słuchała. Myślała o Joem. Wrażenie było tak realistyczne, jakby była w stanie wywołać jego ducha, jakby stał teraz przed nią, szeroko uśmiechnięty, ledwie widoczny, prawie przezroczysty. Wyciągnęła ręce i dotknęła cienia jego twarzy, warg, podbródka, włosów... Czuła jego zapach, czuła jego oddech na twarzy. Objęłaby go, gdyby nie zniknął, nie rozpląnął się w powietrzu. Nadał jednak czuła wyraźnie jego obecność.

Drzwi numeru dziesiątego się otworzyły i z domu wyszedł jakiś mężczyzna. Powitano go lekkim okrzykiem, chociaż to bynajmniej nie był premier Herbert Asquith, którego wczoraj Clive i Alex dokładnie jej opisali. Ten pan był w miarę przystojny, miał jasnobrązowe włosy i miły uśmiech.

Ależ ona go znała! Nie była wcale zaskoczona, kiedy mężczyzna podszedł, uścisnął jej obie ręce i ucałował.

- Marto - rzekł - ależ ty jesteś dzielna! I co za poświęcenie z twojej strony! Jestem naprawdę dumny, że mogę się uważać za twojego przyjaciela.

To był Arthur Hanson, asystent Normana Browna, członka Parlamentu z Liverpoolu.

- Kiedy powiedziałem premierowi, że się znamy, dostałem specjalne zezwolenie na powitanie cię na Downing Street.

- Witaj, kochany.

Była zbyt przejęta, aby powiedzieć coś więcej. To wrażenie, że Joe jest tu z nią razem, i że tylu ludzi chce słuchać jej każdego słowa... ścisnął jej dłonie.

- Premier jest w drodze, wraca teraz z Chequers. Wejdiesz do środka? Kiedy przyjedzie, będzie z tobą rozmawiał osobiście.

Już miała przyjąć jego ofertę, ale się rozmyśliła.

- Nie - rzekła zdecydowanie. - Jeżeli pozwolisz, nie wejdę do środka. Nie jestem tu jedyna, która straciła kogoś ukochanego na tej strasznej wojnie. Jest ze mną mnóstwo innych kobiet. Nie chcę, żeby mnie traktowano jakoś specjalnie. Jeżeli premier zechce ze mną rozmawiać, musi to zrobić tu, przy wszystkich.

Arthur Hanson się uśmiechnął.

- Mogłem się tego spodziewać, Marto. - Złożył jej lekki ukłon. - Zobaczą, co się da zrobić.

„Brawo, mamó!” - usłyszała głos Joego, który ciągle jeszcze gdzieś tutaj był.

* * *

Ani Clive, ani Alex nie mieli pojęcia, co się dzieje przed domem na Downing Street. Stali o wiele za daleko. Jednak według relacji wychodzącego tego samego popołudnia dziennika „Evening Standard”, kiedy na ulicę wjechał samochód premiera, on sam wysiadł i podszedł uściskać Marcie rękę. Rozmawiali mniej więcej dwie i pół minuty, potem ścisnął ręce innych kobiet. Wreszcie polityk podszedł do drzwi numeru dziesięć, cały czas machając zgromadzonym ręką. Zniknął wewnątrz, a tłum zaczął śpiewać hymn „Jerusalem”.

Clive i Alex słyszeli ten śpiew, kiedy się oparli o balustradę na Parliament Square, blisko miejsca, gdzie Clive zaparkował auto. Zastanawiali się głośno, jak długo będą

musieli czekać na Martę. Nic nie wskazywało na to, żeby tłum miał się rozchodzić.

- Pójdę jej poszukać - zaproponował Alex. - A na wypadek, gdybyśmy się pogubili, spotkajmy się gdzieś później: musimy napisać ostatni odcinek Wędrówki Marty. Gdzie, jak myślisz?

- W Birmingham? - Clive rozmyślał akurat, jak dziwnie brzmi ta pieśń śpiewana wyłącznie przez kobiety. - To będzie w połowie drogi między Londynem i Manchesterem. Spotkajmy się w tym hotelu, w którym mieszkaliśmy.

- Dobry pomysł, staruszk. - Clive aż się skrzywił, kiedy jego ramię potraktowano potężnym klepnięciem. - Wiesz co? Kiedy Marta przyjdzie, ty ją zawieź do domu. I jeżeli ja przyjdę, a ciebie nie będzie, zrozumieć, że już ją znalazłeś. Jeśli natomiast ja ją znajdę, przyprowadzę ją tutaj do ciebie, żeby nie było zamieszania. Och, to samo, jeżeli idzie o Kate.

- Rozumiem - skłamał Clive, zupełnie zdezorientowany.

Stał tam, gdzie był, przez jakieś pół godziny, czując się coraz bardziej samotny, coraz bardziej wyobcowany - i poczuł ogromną ulgę, kiedy wreszcie zobaczył Martę, rozczochraną, kulejącą, ale zdążającą w jego stronę.

- Ludzie podeptali mi dosłownie wszystkie palce u nóg - poskarżyła się. - I powiedzieli, że kiedy już urodzę dziecko, mam tu, w tym cholernym miejscu stale wygłaszać przemówienia. Mogę wejść z tyłu i położyć się? - poprosiła.

- Naturalnie, Marto. - Otworzył drzwiczki. - Co powiedziałaś premierowi?

- To, co mu chciałam powiedzieć, ale nie pamiętam, co mi odpowiedział. - Wsiadła do auta. - Był cały czas bardzo miły, tylko Joe mi bez przerwy przeszkadzał.

- Joe? - Clive poczuł dreszcz w krzyżu.

- Pyskaty mały łobuziak - rzekła z przejęciem. - Bez przerwy robił bardzo niegrzeczne uwagi. I wiesz co, Clive? O

mało nie dygnęłam przed panem Asquithem. Gdybym to zrobiła, znienawidziłabym siebie do samej śmierci!

Odwrócił się i spojrzał na nią. Jej policzki płonęły, uszy też.

- Jak się czujesz? - spytał zaniepokojony.

Chciałby, żeby tu była Kate i zaopiekowała się Martą.

- Beznadziejnie, jeżeli chcesz wiedzieć. - Roześmiała się trochę histerycznie. - Mam wrażenie, że głowę ktoś mi nakręcił kluczykiem. Jeżeli gdzieś przepadnie, brzęcząc jak nakręcany bąk, będziesz wiedział dlaczego.

Zapadła się w głąb siedzenia i kapelusz jej spadł z głowy. Clive go podniósł i położył na półce z tyłu. Martwił się o Martę. Niewiele wiedział o kobietach w jej stanie, ale miał wrażenie, że powinny dużo odpoczywać. Miał raptem siedem lat, kiedy na świat przyszła Veronika, ale pamiętał, że pod koniec ciąży matka codziennie dużo odpoczywała. No, co prawda Marta była mocniejszej konstrukcji.

Wyprowadził samochód i zapalił. Zawrócił i pojechał do Birmingham.

WĘDRÓWKA MARTY - DZIEŃ OSTATNI

Wczoraj wydarzyło się coś niezwykle ważnego. Zupełnie zwyczajna kobieta rozmawiała z najważniejszym politykiem w naszym kraju. Rozmawiali niczym równy z równym, a więc tak jak powinno być, bo nierzadko się zdarza, że właśnie całkiem zwyczajni ludzie potrafią pokazać tak zwanym lepszym, jak się należy zachowywać. Czytelnicy, którzy śledzili Wędrówkę Marty, z pewnością wiedzą, że jej mąż jest inwalidą i ona sama wychowała pięcioro dzieci, pracując przy tym w małej fabryczce, gdzie szyje worki. Ale później jej syn Joe, zaledwie czternastoletni, został przez kogoś, kto powinien był lepiej wiedzieć, co robi, nieuczciwie wciągnięty do wojska i zginął tragicznie w bitwie.

Marta nie przyjęła pokornie jego śmierci. Próbowwała składać skargę, ale nikt jej nie słuchał. Postanowiwszy, że ktoś ją musi wysłuchać, Marta - od sześciu miesięcy oczekująca następnego dziecka - wyszła piechotą z miasta, by swoją sprawę przedstawić osobiście komuś, kto dzierży władzę, żeby nalegać, by dzieciom poniżej osiemnastu lat nie pozwalano na udział w wojnie.

Szczerze wierzymy, że przeszłaby piechotą całą drogę do Londynu, choćby nikt jej nie pomagał w wędrówce. Wiedziała od przyjaciela syna, że jej Joe, kiedy umierał w błocie na polu bitwy w obcym kraju, wzywał ją, swoją matkę - i to był jej sposób na szukanie dla niego sprawiedliwości.

Mówi się, że gdyby światem rządziły kobiety, nie byłoby już więcej wojen. Nie do końca się z tym zgadzamy. Bywają kobiety równie okrutne i bezwzględne jak mężczyźni. Ale większość z nich jest podobna do Marty: nie uważają swoich dzieci za narzędzia do prowadzenia wojny. Nie chcą, żeby były „mięsem armatnim”, by oddawały życie za ojczyznę, która ich nie żywiła tak jak należy, ani nie wykształciła, a kiedy podorastały, nie znalazła dla nich dobrej pracy czy odpowiedniej opieki lekarskiej w razie choroby.

Chcemy z tego miejsca oddać hołd najdzielniejszej kobiecie, jaką znamy, bohaterce swoich czasów, Marcie Rossi.
WITAJ W DOMU.

Alex się śmiał, czytając zgrabnie napisany artykuł Clive'a.

- Czyżbyś został feministą, stary?

- Może już nim byłem - przyznał Clive.

- Jest dobry, znakomity, jestem pod wrażeniem. Ogromnie cię podziwiam.

- Może powinieneś zrobić jakieś poprawki? W końcu to wyjdzie pod naszymi dwoma nazwiskami.

- Nie, jestem całkiem zadowolony z tego, tak jak jest - zapewnił Alex - tyle że może byłoby uczciwiej, gdybyś

pozmieniał te wszystkie „my” na „ja”. Zaslugujesz tym artykułem na osobiste uznanie. Ja tu nie dodałem ani słowa.

Clive był oburzony.

- Ani przez chwilę nie pomyślałem, że mógłbym zrobić coś takiego. Obaj mamy tu taki sam udział.

- Ależ z ciebie prawdziwy stary nudziarz, Dexter. - Klepnął Clive'a po ramieniu tak energicznie, jak poprzednio tego dnia, po czym hałaśliwie zatarł ręce. - Czy można tu coś zjeść w tym zakładzie? Jak to Marta mówi: „żołądek mi przysechł do krzyża”.

- Pójdę po kartę dań. - Clive wybiegł pospiesznie.

Siedzieli w holu hotelu w Birmingham, tego samego, w którym już raz nocowali. Ledwie przyjechali tam we dwoje z Martą, kiedy pojawił się Alex z Kate. Marta oświadczyła, że musi przysnąć na pół godzinki, a Clive i Alex spędzali ten czas, starając się być dla Kate jak najmiłszymi, żeby jej wynagrodzić nieuprzejmość zeszłego wieczoru. Dała się przeprosić dopiero, kiedy już wyjeżdżali.

* * *

W drodze powrotnej do Liverpoolu Kate przesiadła się do auta Clive'a. Alex musiał jechać do Manchesteru, gdzie mieli zaraz drukować ostatni odcinek Wędrówki Marty, tak by już nazajutrz się ukazał.

Razem z Kate odwieźli Martę na King's Court, gdzie na jej przyjazd niecierpliwie czekali Carlo i dzieci. Clive i Kate ucałowali ją serdecznie i odprowadzili do drzwi.

- No tak... to już skończone - rzekł potem Clive z westchnieniem ulgi. - Teraz czas na nas: musimy to uczcić. Co byś powiedziała na kolację w hotelu Adelphi?

- Przecież już po jedenastej wieczór! - przypomniała mu Kate.

- Co ty powiesz? - Nie zdawał sobie sprawy, że już tak późno. Dzień się skończył, ale on jeszcze go skończyć nie zamierzał.

Kate musiała domyślić się, co czuł; może zresztą czuła to samo.

- Mógłbyś mnie odwiedzić do domu - zaproponowała - i tam coś zjemy: takie święto o północy. Możesz u nas przenocować w pokoju gościnnym. Moja matka będzie zachwycona.

Clive zaczął wyprowadzać auto z King's Court. Znakomity pomysł!

Rozdział 19

Po podróży Marta była okropnie osłabiona. Jedyne, co wymogła na sobie, to że podniosła się z łóżka i wyszykowała dzieci do szkoły.

Nie była w stanie pójść do pracy w fabryczce „Worki i Żagle Ackermana”. Frank udał się na Back Seel Street, by wytłumaczyć sytuację matki, ale wrócił z wiadomością, że drzwi fabryczki są zamknięte na kłódkę, a na pukanie nikt mu nie odpowiadał.

Kate nalegała, by wezwać lekarza, który orzekł, że pacjentka jest rozpaczliwie umęczona i wymaga natychmiastowego odpoczynku i leżenia w łóżku co najmniej przez kilka tygodni.

- Potrzebuje pani środka wzmacniającego - dodał. - Najlepsze byłoby żelazo. Radzę je przyjmować raczej w płynie niż w tabletkach.

- Tak, panie doktorze. - Marcie nawet się podobał pomysł leżenia w łóżku przez dwa tygodnie, ale jak rodzina wyżyje bez jej zarobków?

- Nie wolno ci - rzekła poważnie matka Kate do córki - proponować jej pieniędzy. Wiem, że możemy to zrobić, ale teraz jest pora, aby ten Carlo pokazał, że ma charakter. Oczywiście, możesz kupić dla Marty lekarstwa i pilnować, żeby ona ani dzieci nie były głodne, ale tylko tyle.

Jednak to Frank pierwszy wykazał się charakterem.

Zamieszkał z powrotem w domu i podjął pracę w rybnym stoisku na targu St John's. W drodze powrotnej wpadał do publicznej łaźni, gdzie się solidnie szorował, ale i tak wnosił ze sobą do domu lekki zapach ryb. Teraz, kiedy ogłoszono pobór, Frank, który miał niedługo skończyć osiemnaście lat, spodziewał się wezwania, chociaż bynajmniej na nie nie czekał. Nie podzielał entuzjazmu młodszego brata dla żołnierskiej profesji.

Narzeczonego Joyce, Edward, który liczył sobie dwadzieścia jeden lat, też oczekiwał w każdej chwili dokumentów powołujących go do wojska, wobec czego młoda para planowała ślub zaraz po tym, jak Marta urodzi.

- W ten sposób będziesz mogła na nasz ślub włożyć jakąś ładną sukienkę, mamó - mówiła Joyce. - Ale gdyby Edwarda powołali wcześniej, pobierzemy się w trybie natychmiastowym, czy jak się to nazywa.

Tymczasem Carlo rozpaczliwie poszukiwał pracy.

Dobrze umiał czytać i czuł okropny wstyd, ujrawszy, że go nazwali w gazecie „inwalidą” i stale podkreślali, iż to jego żona przez tyle lat utrzymywała rodzinę. Ale co może robić mężczyzna z jedną sprawną ręką? Ta druga była tylko martwym ciężarem, myślał z niesmakiem. Lepiej, żeby jej w ogóle nie było.

W końcu znalazł robotę sprzątacza na stacji przy Lime Street, gdzie popychał przed sobą wózek z narzędziami do sprzątania i zdrową ręką wymachiwał szczotką. Chociaż tego nie cierpiał, praca nie była aż tak trudna, jak początkowo myślał, i miał uczucie dumy, kiedy w piątek wieczorem przychodził do domu z wypłatą i wręczał ją Marcie, zatrzymując dla siebie tylko parę szylingów - nadal bowiem lubił wieczorem wypić kufelek czy dwa, ale starał się ograniczać.

Carlo czasami miał wrażenie, że ktoś go obserwuje, że jakaś ważna osoba na niego patrzy i że teraz, dzięki tej pracy sprzątacza, wykazał, co potrafi, kiedy się weźmie w garść.

Czuł się teraz ustawiony w świecie, w którym nareszcie był mężczyzną, zdecydowanym zaopiekować się własną rodziną.

Po miesiącu zajęcia na stacji ni stąd ni zowąd dostał list, zapraszający go na rozmowę o pracy w fabryce amunicji „za

wodą", gdzie, jak mu mówili, płacono niebotycznie wysokie pensje.

- To istny cud - powiedział Marcie po powrocie do domu z tej rozmowy. - Wzięli mnie do pracy w biurze, jako kasjera przyjmującego faktury.

- Co to są „faktury”? - spytała Marta.

Carlo wyglądał teraz o dziesięć lat młodziej, niż gdy dziś rano wychodził z domu. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy go ostatni raz widziała tak przejętym.

- To są rachunki - poinformował ją mąż. - Jeżeli coś sprzedajesz, albo robisz coś dla kogoś, wystawiasz mu rachunek, żeby ci zapłacił. Ja dobrze piszę lewą ręką. I wiesz co, Marto - dodał przyciszonym głosem - będą mi za to płacili trzy funty i dziesięć szylingów tygodniowo!

- Jasny gwint! - krzyknęła Marta i omal nie zemdląła z wrażenia.

* * *

To sprawiło, że dziecko Marty nie przyszło na świat na King's Court, jak się obawiała, tylko w eleganckim mieszkaniu z trzema sypialniami w szeregowym domku na Globe Street w podmiejskiej dzielnicy Bootle, w obecności przyzwoitej położnej. Ów dom wynalazł dla nich Clive: komorne było nieprawdopodobnie niskie.

Właściwie to Clive w sekrecie kupił go za dwadzieścia pięć funtów, właśnie z myślą o Rossich. Jego ojciec okazał dobrą stronę swojej natury i załatwił dla Carla pracę w fabryce amunicji.

Marta była naprawdę szczęśliwa, kiedy kupowała meble - zresztą same używane. Najmniejsza sypialnia przypadła Lily, tylko dla niej, a w średniej spali razem Frank i Georgie, chociaż teraz, kiedy matka była już dobrze urządzona, a ojciec pracował, Frank beztrąsko wrócił do dawnego stylu życia i od czasu do czasu zniknął na całe dni. Marta nie pytała, dokąd

chodził. Jeszcze trochę i wyląduje w wojsku, a wtedy pozostanie jej tylko modlić się za niego.

* * *

- Och, ona jest taka cudowna! - zawołała Kate, wpatrując się z zachwytem w śnieżnobiałą buzię dziecka z jasnymi włoskami, uśpionego w ramionach Marty. - Carlo mówił, że chcecie ją nazwać Josephine.

- Tak, nazwiemy ją Josephine, ale będziemy do niej mówić „Jo”. - Marta spojrzała na przyjaciółkę. - Widzisz, teraz mogę mówić „Jo” z uśmiechem na twarzy. Nigdy nie myślałam, że tak znowu będzie.

Clive, który nadal pracował w „Lancashire Post”, załatwił w redakcji przyście fotografa do domu i zrobienie zdjęcia Marty z dzieckiem.

- Zrób kilka fotografii - radził koledze. - Jedną z mężem i jedną z dziećmi. Aha, jeszcze mają teraz kota... no, kociątko. Jeżeli możesz, niech i ono będzie na zdjęciu.

Edgar Henderson z „Posta” uznał, że takie zdjęcie całej rodziny będzie bardzo atrakcyjne. Pojawiło się w gazecie następnego dnia i przedrukowały je inne krajowe gazety, które też zamieszczały reportaże z wędrówki Marty.

Na fotografii była Marta z Jo w ramionach, Carlo stojący za jej krzesłem, Joyce i Frank po jej obu stronach, a Lily i Georgie klęczeli u stóp matki, zaś Tarzan, puszysty czarny kociak, pięknie pozował na froncie, przed całą rodziną.

W przepiękny, słoneczny lipcowy dzień, kiedy słone powietrze w małym Bootle lśniło jak kryształ, Clive kupił po egzemplarzu wszystkich gazet, żeby je pokazać Marcie.

Obierała właśnie ziemniaki w kuchni, a mała Jo spała w koszu na bieliznę na stole w salonie. Wytarłszy ręce o fartuszek, Marta nalewała do czajnika wodę na herbatę. Clive nigdy nie widział jej tak niezmiernie, tak różowo szczęśliwej, chociaż w oczach dostrzegał cień smutku, który nie każdy

zauważał, zwłaszcza jeżeli nie znał jej historii - cień smutku, który, jak podejrzewał, nigdy nie zniknie.

- Popatrz na to! - zawołała, teatralnym gestem wskazując ręką pokój.

- Co takiego, Marto? - spytał dla porządku.

Znowu mu pokazywała wszystkie cuda nowego mieszkania, co zresztą robiła za każdym razem.

- Zlew, porządny zlew, z miejscami do suszenia naczyń po obu stronach. - Stała i wpatrywała się w zlew wzrokiem miłośnika sztuki, podziwiającego wartościowy obraz. - I kredens z półkami, kociołek na bieliznę i wieszak na ubrania. Już naprawdę zapomniałam, kiedy miałam taki wieszak, od kiedy zamieszkaliśmy na King's Court.

- A jak gotujesz wodę? - spytał Clive. Kiedy kupował to mieszkanie, nie pomyślał o tym.

- Woda się grzeje przy palenisku na kuchni. A wodę na herbatę gotuję na ogniu. Tutaj jest piekarnik. Teraz grzeje się w nim gulasz barani na podwieczorek. - Popatrzyła na Clive'a serdecznie. - I ufaj tu mężczyźnie, który nie wie takich rzeczy!

Weszli do saloniku, gdzie Marta przewinęła Jo i postawiła czajnik na półce, z boku kominka, pokazując przy tym Clive'owi, jak się go zawiesza nad ogniem.

- Ludzie przysyłają pieniądze po obejrzeniu twojej fotografii - rzekł Clive, kiedy usiedli. - I prezenty dla małej, także Lily i Georgie dostają podarki.

- Och, czy ci ludzie nie są cudowni? - zawołała ze łzami w oczach. - Prezentami jestem zachwycona, ale pieniądze lepiej oddaj na dobroczynność, tak jak przedtem.

Kiedy Marta zakończyła wędrowkę, ludzie przysłali jej ponad sto funtów, ale nie przyjęła ani pensa.

- To tak, jakby mi płacili za śmierć Joego - utrzymywała.

- Muszą być tysiące rodzin, które tych pieniędzy potrzebują bardziej niż my.

- No, i przychodzą ciągle zaproszenia do wywiadów - przypomniał jej Clive.

- Wystarczy, jak napiszesz w gazecie, że wszyscy mamy się dobrze - powiedziała - i podziękuj za podarki. - Wpatrywała się w ogień.

- Dostaliśmy dziś rano list - rzekła. - Wysłali go na King's Court, ale ktoś go przyniósł tutaj. Chcesz przeczytać?

Droga Pani Rossi!

Nie słyszała Pani o mnie - wiem, bo znalazłem do połowy napisany list, jaki Joe zaczął pisać do swojej mamy, opowiadał w nim o życiu we Francji, ale nigdy go nie skończył. (Armia ten list zabrała, inaczej wysłałbym go do Pani).

Nazywam się Reggie Moules, jestem sierżantem, a Joego poznałem w Calais, gdzie był w obozie z młodziami i czekał na odwiezienie z powrotem do Blighty. A że był to bardzo inteligentny chłopak i umiał doskonale czytać, przydzielono mi go do pomocy w urządzaniu centrum łączności w Saint - Omer. Uparł się, że weźmie ze sobą kolegę, Albiego.

Na wypadek, gdyby pani chciała wiedzieć, jak Joe sobie radził, zanim umarł, zapewniam panią, że obaj chłopcy mieli niezły czas.

Okazało się, że Albie dobrze gotuje, a pani Joe przez cały dzień fruwał na rowerze po wzgórzach, zawożąc wiadomości w rozmaite miejsca, tymczasem Albie siedział w kuchni i szykował obiad. Czasem Joe zabierał Albiego ze sobą; tak właśnie było, kiedy natknął się na nich ten kapitan Whitley - Neville. W dwa dni później Joe już nie żył, a Albie był ciężko ranny.

Może nie powinienem tego mówić, pani Rossi, ale od chwili, kiedy to się wydarzyło, każdej nocy modliłem się, żeby tego kapitana spotkała jak najgorsza śmierć. Nie miał prawa wysyłać dwojga dzieciaków na pierwszą linię frontu.

Nie mogę też nie wspomnieć o Emily, psie, którego Joe uratował od śmierci. Teraz suczka jest już zdrowa jak koń: to moja najlepsza na świecie przyjaciółka. Jeśli mi nie pozwolą jej zabrać do Blighty, wolę zostać we Francji z Emily. Ja i ten pies postanowiliśmy nigdy się nie rozdzielać.

No, moja Droga, chyba powinienem już kończyć. Mogę tylko powiedzieć, że to była prawdziwa przyjemność poznać tak świetnego chłopaka, jak ten Pani syn. A za to, co zrobił dla Albiego, zasługuje na medal.

Łączę się z Panią w bólu i w nadziei, że ta okrutna wojna wkrótce się skończy.

Reginald Moules

* * *

Po wizycie u Marty Clive szedł w dół ulicą Dock Road, od początku do końca zapchaną pojazdami i marynarzami z całego świata. Mężczyźni, których kolor skóry wahał się od białego do najczarniejszego z czarnych, rozmawiali językami, jakich Clive nigdy nie słyszał. Atakowały go dziwne wonie, intrygowały dziwne obrazy, takie jak widok trzech małych dziewczynek - Chincek, ciągniętych w wózku przez kobietę na rowerze. Za nimi dreptał biały koń z girlandą papierowych kwiatów na szyi, a z tyłu jechał pojazd z kominem, z którego buchały kłęby dymu. Nie miał pojęcia, po co to wszystko i w ogóle - jak to nazwać.

Znał jednak losy kapitana Whitleya - Neville'a, o którym sierżant Moules wspominał w liście do Marty.

Czytywał wtedy „Manchester Guardian”, mógł zatem śledzić to, czym się zajmował jego przyjaciel, Alex Scott. Otóż zauważył zawiadomienie o śmierci oficera służby czynnej na wojnie, acz nie na polu walki, ale podczas urlopu, w domu w Abingdon w Oxfordshire. Jego uwagę zwróciło nazwisko Whitley - Neville. Przypomniał sobie relację Albiego, w której chłopiec nazywał oficera „diabłem”.

Alex podjął się przeprowadzenia śledztwa i w końcu przekazał przyjacielowi wiadomość, że kapitan, uczestniczący w bitwie pod Loos, zginął z własnej ręki, ale w dokumentach zaznaczono, żeby tej prawdy nie wyjawiać Ministerstwu Wojny.

Clive ciągle jeszcze debatował sam ze sobą, czy Marcie lepiej zrobi poznanie prawdy, czy jej przemilczenie. Kapitan prawdopodobnie zwariował po jatce, jaka się wokół niego rozpętała, a do której sam się przyczynił własnymi decyzjami. Zupełnie możliwe, że czuł się osobiście odpowiedzialny za śmierć małego Joego Rossi.

Clive westchnął i zastanowił się, dlaczego w samym środku tego pulsującego życia kawałka Liverpoolu, w jego całej żywotności i hałasie - on się czuje tak przygnębiony. To uczucie towarzyszyło mu stale od chwili powrotu z wędrówki do Londynu razem z Martą. Czuł jakiś brak w swoim życiu; brak celu i znaczenia. Kiedy młodszy od niego tysiącami ginął we Francji w obronie jego życia, on nie robił nic w zamian.

Ale w końcu musi coś zrobić. Musi dać coś od siebie. Przecież kiedy ta cholerna wojna dobiegnie końca, a on nie zrobi ani kroku, żeby wziąć w niej udział, już zawsze będzie mu wstyd. Za żadne skarby nie chciał nikogo zabijać, nawet gdyby to miał być Niemiec, ale... były przecież inne sposoby pomocy.

Rozwiązał to natychmiast po powrocie do biura: postanowił napisać do Ministerstwa Wojny, tak jak już chciał to zrobić przed Bożym Narodzeniem, zanim złamał rękę. Chciał poinformować ich, że jest przeciwny służbie wojskowej, ale pragnie pracować w jakimkolwiek innym charakterze na froncie. Wątpił, czy w razie powołania przeszedłby pozytywnie badania lekarskie, bo złamane ramię ciągle jeszcze nie funkcjonowało jak należy. Czasami ból był

tak nieznośny, że Clive wątpił, czy zdołałby nosić karabin, a tym bardziej strzelać z niego.

Zależało mu jednak na tym, żeby pomagać rannym, a nie pomnażać ich liczbę.

A potem, kiedy już odsłuży, co trzeba, ożeni się z Kate - o ile ona go zechce.

* * *

Kate napisała artykuł o wędrowce Marty do Londynu, wydrukowano go w jakimś socjalistycznym piśmie o małym nakładzie. Zapłacili jej za to pół gwinei. Byłoby najlepiej, gdyby jej go nie wydrukowano, bo natychmiast uznała, że może z miejsca dostać pracę w gazecie - co, mimo jej starań, się nie ziściło.

Skończyła roczne zajęcia w swojej szkole handlowej, co rodzice uczcili pójściem na kolację i zaproszeniem Clive'a. Spotkali się wszyscy w Southport, w swoim ulubionym hotelu, może nie tak wspaniałym jak Adelphi, ale za to zdecydowanie tańszym.

- Czy w „Lancashire Post” pracują jakieś kobiety? - spytała Clive'a Kate.

- Bardzo niewiele. Właściwie nie ma kobiet - reporterów, z wyjątkiem Margaret Humble, która pisze w soboty o wyrobach rękodzielniczych. Ale ona jest raczej felietonistką niż reporterem.

Kate parsknęła i wykrzywiła się okropnie.

- Nie mam zamiaru pisać o ręcznych robótkach. Chcę pisać o wojnie i morderstwach, i o zbrodniach w afekcie.

- Kate! - zawołała matka, przerażona albo miną córki, albo jej słowami; a może jednym i drugim.

- Pewnie! - zawołała Kate buntowniczo. - Niby dlaczego mam być traktowana inaczej niż Clive czy Alex?

- Bo ty się różnisz od nich, Kate - odparła matka. - Ty jesteś dziewczyną, a oni są mężczyznami.

- Jestem kobietą, a nie dziewczyną - podkreśliła Kate, krzywiąc się jeszcze paskudniej.

W tym momencie nawet jej łagodny ojciec uznał za słuszne zaprotestować.

- Kate, kochanie! Dziewczyna czy kobieta, jakie to ma znaczenie? Którąkolwiek z nich jesteś, w każdym razie na pewno nie jesteś prawdziwą damą.

Kate zawsze chętniej słuchała ojca.

- Tak czy owak, to nie jest uczciwe - stwierdziła, już tylko nadąsana. - Założę się, że gdybym nawet napisała do każdej gazety w kraju, nie dostałabym pracy reportera. Wiem! - Jej twarz się rozjaśniła. - Od tej chwili będę pisać i udawać, że to napisał mężczyzna.

- Ale mogą się zorientować, że nim nie jesteś, kiedy cię zaproszą na rozmowę.

- Wtedy im pokażę, że jestem tak samo dobra, jak mężczyzna, tatusiu.

- A kto to jest Alex? - chciała wiedzieć pani Kellaway. - Wspomniałaś o nim już przedtem.

- Zawsze mogłabyś wyjść za mąż - rzekł Clive.

- Wyjść za mąż! - Kate wpadła we wściekłość. - Uważasz, że wyjście za mąż jest lepsze niż praca reportera? A może ty byś się ożenił i oddał mi swoje zajęcie?

Clive wzruszył ramionami.

- Faktycznie mogę oddać, jeżeli chcesz.

- Co takiego? - Patrzyła na niego zdumiona.

- Co przez to rozumiesz, Clive? - łagodniej niż córka zapytała pani Kellaway.

- To, że pod koniec przyszłego tygodnia wyjeżdżam do Francji - wyjaśnił Clive. - Już złożyłem wypowiedzenie w „Lancashire Post” i nawet poprosiłem wydawcę, żeby na moje miejsce przyjął Kate. Zgodził się ją zaangażować na miesiąc, na okres próbny.

Kate wyglądała równocześnie na zmartwioną, zadowoloną i zaniepokojoną.

Pan Kellaway zmarszczył brwi.

- Nie powiesz chyba, synu, że się zaciągnąłeś do wojska?

- Nie, zarejestrowałem się jako przeciwny służbie wojskowej i mam być sanitariuszem.

Pani Kellaway położyła mu rękę na ramieniu.

- Jesteś cudowny, Clive - rzekła zdławionym głosem. - A... kiedy mówiłeś, że chciałbyś się ożenić, kogo miałeś na myśli?

- Kate, oczywiście.

Matka Kate zwróciła się do córki.

- Co na to powiesz, kochanie?

- No, myślę, że powiem „tak”.

- Mogłabyś okazać więcej entuzjazmu - zauważył jej ojciec.

- Ale on przecież nie prosił mnie o rękę, on powiedział to tak ogólnie.

- Miałem na myśli wyłącznie ciebie, Kate - uśmiechnął się Clive - a nie twoją matkę czy twojego ojca. Spotkajmy się w przyszłym tygodniu, to wybierzemy pierścionek zaręczynowy. Co ty na to?

Kate wzruszyła ramionami.

- Dobrze.

Pan Kellaway skinął na kelnera.

- Nie mam zielonego pojęcia, co się dzieje, czy moja córka wychodzi za mąż, czy nie, ale coś mi mówi, że trzeba zamówić butelkę szampana. A kiedy już go podadzą, może mi ktoś poradzi, komu i czego mam gratulować?

* * *

- Nie jesteś zadowolona, kochanie? - spytała pani Kellaway w samochodzie, kiedy wracali do Ormskirk.

- Ależ jestem, mamusiu.

- Jakoś na to nie wyglądasz.

- Może jutro będę bardziej zadowolona niż dziś. Teraz, jeżeli już musisz wiedzieć, jestem trochę oszołomiona.

Niezadowolona? Była strasznie, potwornie, okropnie, ogromnie zadowolona. W poniedziałek się spotka z Clive'em, a on jej kupi pierścionek i powie, jak bardzo ją kocha.

Teraz matka zaczęła mówić o pierścionku.

- Z iloma brylantami byś chciała, kotku? - spytała. - Z trzema czy z pięcioma? A może wolałabyś „solitera”?

- Nie mam pojęcia, czego bym chciała.

Nieprawda, wiedziała. Chciałaby być teraz sama i móc spokojnie pomyśleć o małżeństwie z Clive'em: gdzie będą mieszkali, ile będą mieli dzieci i w ogóle, jak będą wyglądali...

Już niedługo po tym, leżąc w łóżku, zastanawiała się nad krojem swojej ślubnej sukni, aż w końcu zmorzył ją sen.

* * *

Clive brnął, nieprzytomny, po dywanie usłanym z ciał - Brytyjczyków, Francuzów, Niemców... w większości martwych. Leżeli tam, gdzie upadli: czasem zwinięci w kłębek jak niemowlęta, czasem wyprostowani i z rozrzuconymi rękami jak wiatraki; wszyscy w błocie; niektórym brakowało ręki, nogi... czasem obu, niekiedy nawet głowy...

Czuł zapach krwi. Od czasu do czasu słychać było jęk, wskazujący na kogoś żywego: Clive powinien obok niego klęknąć, wziąć za rękę i szeptać:

- Pomoc już nadchodzi. Trzymaj się, stary.

Poprzez mgłę i dym, czy ciemności nocy doszedł go głos: Dexter, gdzie jesteś? Ale Clive nie zwracał na to uwagi.

Usłyszał jakiś odgłos krztuszenia się, poruszyła się jakaś głowa: ruszył z chlupotem przez gęste błoto w kierunku tego dźwięku. Pochodził od chłopca z białą jak papier twarzą, o wiele za młodego na to, żeby się tu w ogóle znaleźć.

- Joe! - wyszeptał Clive. - Synku, myślałem, że nie żyjesz. Twoja mama myśli, że umarłeś.

Łagodnie położył rękę na oczach chłopca. Zamknęły się - na zawsze.

Clive w duszy zdawał sobie sprawę, że to nie był Joe. To po prostu sztuczka, jaką mu płatał umęczony mózg. Już przecież upłynął rok od dnia, kiedy Joe Rossi zmarł.

Clive odwrócił się i dostał torsji. Pokusa, jaką odczuwał już przedtem, żeby podnieść jakikolwiek pistolet i skończyć ze sobą, znów powróciła. Wolałby to, niż dalej być częścią świata, w którym dzień się kończy dywanem usłanym z tysięcy trupów - i to jest normalne. Tylko w pierwszym dniu tej bitwy - nad Sommą - wyłuczono niemal dwadzieścia tysięcy Brytyjczyków, poza tym jeszcze wiele tysięcy zaginęło albo było ciężko rannych.

O, Chryste Panie, co za potworność! Dzisiaj kobiety, których nigdy nie pozna, zostały wdowami, a dzieci straciły ojców. Skutki tego rozszerzały się na cały udręczony świat, obejmując braci i siostry, dziadków, ciotki i wujów, aż pewnego dnia nie będzie nikogo, kto by nie stracił krewnego: do tego czasu cała ziemia już będzie czerwona od krwi.

Jak można tak kierować światem, pozwalając Śmierci grasować po polach, pozwalając rządzić Diabłu!

- Dexter, jesteś tam?

- Clive, stary druhu...

Clive dotknął policzka martwego chłopca i podniósł się ciężko; błoto wciągało go, jakby chciało zatrzymać na miejscu. Stanął nad ciałem i starał się wyobrazić sobie, że jest ojcem tego chłopca.

Dopiero w tym momencie się zorientował, że chłopak był w niemieckim mundurze.

Ogarnęła go fala wściekłości, w gardle miał ucisk i czuł, że się krztusi. Jak oni mogą? Jak do jasnej cholery się

ośmielają, ci nadęci, aroganccy, bezlitośni faceci, którzy prowadzą wojny, którzy wszczynają wojnę jednym pociągnięciem pióra, którzy ludzkie życie uważają za bezwartościowe?

Gdyby się ożenił z Kate i gdyby mieli dziecko, i gdyby to dziecko było chłopcem, równie dobrze taki mógł być jego los.

- Chryste! - wymamrotał. - Chryste Wszchemogący!

W tym momencie kula trafiła go w pierś, i Clive powoli i z mimowolną gracją osunął się w błoto. Nie miał czasu pomyśleć, czy to jego koledzy wzięli go omyłkowo za wroga, czy też jakiś niemiecki żołnierz znalazł swoją ostatnią ofiarę.

Myśli w jego głowie krążyły jak szalone, gorączkowo i bez konsekwencji. Grał w karty z bratem, huśtał siostrę na huśtawce... kłócił się z ojcem, siedział na kolanach matki, która mu czytała... kupował Kate pierścioneł, całował jej wargi...

Ale kiedy nadszedł ostatni oddech, ostatnia myśl, Clive ujrzał kobietę, otuloną czarnym szalem, maszerującą zdecydowanie w jego stronę poprzez błoto. Wyciągnął do niej rękę.

- Marto! - zawołał bezgłośnie. - Jestem tutaj.

Epilog

BOŻE NARODZENIE, 1940

- Och, ale ja myślałam, że wyjdiesz za Clive'a - zawołała z rozczarowaniem Betty. - Był taki czarujący.

- Właśnie, był czarujący - zapewniła ją Kate. - I był też bardzo dzielny, właśnie dlatego pojechał do Francji. - Spojrzała na zegarek. - Już prawie południe, a Marty wciąż ani śladu.

- Było ci smutno, kiedy go zabili?

- Miałam złamane serce.

Tak było naprawdę. Właśnie zaczynała szyć ślubną suknię, kiedy się dowiedziała, że Clive nie żyje. Miała dopiero osiemnaście lat, nigdy przedtem nie przeżyła tragedii, a teraz się czuła, jakby jej życie dobiegło końca. Pierścienek zaręczynowy, który jej kupił, nosiła nadal na trzecim palcu prawej ręki.

- A co się stało z... och, tam było tak dużo ludzi! - Dziewczynka dotknęła palcem podbródka. - Co się stało z innymi dziećmi Marty?

Kate poprawiła się na krześle. Tak długo trwała w jednej pozycji, że siedzenie jej zdrętwiało. W pokoju wcale nie było ciepłej, ale już się do jego temperatury przyzwyczaiła. Przypomniała sobie, że mniej więcej godzinę temu miała zamiar rozpaść ogień, żeby było ciepło, kiedy Marta wróci. Zrobi to za chwilę - tak samo sobie przedtem obiecywała.

- No cóż: Joyce wyszła za Edwarda, który potem został ranny na wojnie. Gaz musztardowy uszkodził mu płuca, więc musieli wyjechać gdzieś, gdzie jest lepszy klimat, bo w Liverpoolu było za wilgotno. Mają troje dzieci - mówiła dalej do Betty - i prowadzą mały hotelik na wyspie Man. Byłam tam kilka razy podczas wakacji.

- Frank też mi się podobał, chociaż to trochę czort, nie taki jak Joe.

Kate się zaśmiała.

- Masz rację, Frank był i nadal jest trochę czortem. Przeżył całą wojnę i nawet się nie zadrasnął, a potem zaczął pracować na stacji benzynowej. Teraz ma własną.

- A ożenił się?

- Nie.

Nie tłumaczyła dziewczynce, że Frank od żony wolał mieć przyjaciółki, w dodatku co tydzień inną. Niemało dzieci w okolicy mówiło o nim „wujek Frank”.

- Zanim spytasz - ciągnęła Kate - to Lily nie wyszła za mąż. Uczyła się, studiowała, została nauczycielką i mieszka w Maghull.

Co prawda, kiedy ostatnio ze sobą rozmawiały, Lily myślała o rzuceniu pracy w szkole na rzecz służby wojskowej. Kto był następny? Georgie!

- Georgie - mówiła - wyrósł na przystojnego mężczyznę i teraz jest artystą, z sukcesem występuje w reklamach. Ożenił się, ma dwoje dzieci i mieszka w Londynie.

Marta umierała ze strachu, że Georgie, który teraz miał zaledwie trzydzieści cztery lata, będzie musiał iść do wojska.

- A Jo, ta dzidzia, jest też w Londynie, razem z moją córką Lucie. Są teraz na szkoleniu dla pielęgniarek.

- Ależ niektórzy mają ciekawe życie! - Betty aż przewróciła oczyma z rozpaczy. - A moje życie... nudne jak flaki z olejem. Nigdy się nie dzieje nic podniecającego.

- Założę się, że i moje było nudne jak flaki z olejem, kiedy miałam czternaście lat. - Nie mogła sobie jakoś przypomnieć, jakie ono wtedy było, więc chyba nieciekawe. - Zapomniałaś spytać o jedną osobę - zwróciła dziewczynce uwagę. - Zapomniałaś o Carlu, mężu Marty. Umarł na zapalenie płuc w 1930. Miał dopiero pięćdziesiąt parę lat.

To się wydarzyło zupełnie nagle. Wszyscy byli w szoku, a najbardziej mała Jo. Nigdy się nie dowiedziała, że jej ojciec

przez prawie dziesięć lat nie pracował i żona musiała go utrzymywać.

Rozległ się brzęk przy frontowych drzwiach: ktoś przeciągał na zewnątrz klucz wiszący przy skrzynce na listy, po czym drzwi się otworzyły. Kate wyszła do korytarza, myśląc, że to Marta - była to jednak Ethel Daniels z sąsiedztwa. Już skończyła sprzątanie i chciała zabrać z powrotem wnuczkę.

- Pewnie cię zameczyła i zdenerwowała. Kate się uśmiechnęła.

- Ani przez chwilę mnie nie denerwowała. Po prostu ciekawie sobie porozmawialiśmy.

- Naprawdę, babciu - zapewniła Betty. - Mówiliśmy o pierwszej wojnie światowej. Kiedy już wrócę do szkoły, poszukam w bibliotece książek o tym.

Ethel potrząsnęła głową.

- Zawsze z nosem wetkniętym w książkę, oj, ta młoda dama! - poskarżyła się i równocześnie jej oczy aż promieniały z dumy. - Powinnaś była rozpalić ogień, Kate. Może ja to zrobię?

- Ależ nie! - Kate była zaskoczona pomysłem. - Zrobię to sama. Ty idź do siebie, Ethel, usiądź i odpocznij. Należy ci się. Co do mnie, zaraz sobie zrobię następną filiżankę herbaty.

- Jesteś pewna? - Ethel przygryzła wargę z powątpiewaniem. Muszę robić wrażenie całkowitej niedorajdy, pomyślała Kate.

- Pewnie, że jestem pewna - powiedziała zdecydowanie.

- No dobrze, ale jakbyś czegoś chciała, moja dziewczynko, to się nie krępuj, tylko poproś. Będę cały dzień w domu.

Kate obiecała się nie krępować i obie, babcia i wnuczka, wyszły - co prawda Betty z o wiele większą niechęcią niż

babka. Pewnie miała nadzieję usłyszeć dalsze opowiadania z przeszłości - opowiadania o Marcie.

Dwadzieścia cztery lata temu imię Marty Rossi było powszechnie znane, ale od tamtych czasów znów stało się zupełnie anonimowe.

Kate wyszła na podwórze i zdołała nabrać pół wiadra, głównie miału, z prawie pustej komórki na węgiel. Wzięła też parę kawałków drewna, jakieś stare gazety z tejże komórki i zaniósła to wszystko do kuchni. W szafce pod zlewem znalazła kawałek podpałki.

Nie będę rozpalać, zanim Marta nie wróci, powiedziała sobie: mogę coś nabałaganić i zmarnuję podpałkę.

Była beznadziejna w rozpalaniu ognia, zresztą tak samo, jak w większości zajęć domowych.

Ale przynajmniej byłam dobrym reporterem, pomyślała, klęcząc przed pustym paleniskiem.

Przejęła pracę po Clivie, ale przez krótki okres współpracy z „Lancashire Post” nie trafiło jej się ani jedno morderstwo, ani zbrodnia w afekcie, o czym tak marzyła. Obecnie dostarczała krótkie artykuły na temat wojny z punktu widzenia cywila. Zawsze sobie obiecywała, że wróci do reportażu, kiedy tylko dzieci dorosną, jednak potem niespodzianie pojawił się na świecie Harry i musiała swoje plany odłożyć na później. Ale, co zadziwiające, wcale się tym nie przejmowała. Woląca mieć Harry'ego.

Otworzyła gazetę, pozwijała strony w długie tuby, każdą z nich skręciła w ciasny zwitek i poukładała na palenisku, ostrożnie kładąc na tym drewno i przy pomocy obcęgow kawałki węgla na samym wierzchu - nie cierpiała dotykać węgla palcami, bo się zaraz robiły całe czarne. Podpałkę wetknęła gdzieś w środek tego stosu. Przed wojną zawsze ogień rozpalał jej mąż. Od czasu, kiedy poszedł na wojnę, musiała się przyzwycząić do wielu rzeczy. On, Peter i Lucie

odeszli na wojnę niemal w tym samym czasie... czy ona się kiedyś przyzwyczai do prawie pustego domu?

Podniosła się i roztarta plecy. Starzeję się, pomyślała i o mało nie wyskoczyła przez sufit, kiedy coś dotknęło jej nogi.

- Tarzan! - zawołała. - Gdzie ty byłeś dotychczas?

Tarzan numer trzy był ogromnym, pręgowanym, niezmiernie serdecznym kocurem. Zwykle podczas nalotów spał na łóżku Marty.

- Byłeś tu na górze cały czas? - Podniosła go i mogłaby przysiąc, że kot naumyślnie objął ją łapkami za szyję i ucałował. - Powinni cię byli nazwać Romeo - stwierdziła. Wytłumaczyła mu, że zaraz zrobi sobie herbatę i zaniósła go do kuchni, gdzie otworzyła spizarkę. Kot wyrwał się z jej objęć, kiedy na najniższej półce dojrzał mleko.

Kate naląła mu trochę na spodeczek, postawiła na podłodze, a kot zaczął hałaśliwie chleptać. Pewnie był nie tylko spragniony, ale i głodny. No cóż, nie miała zamiaru dotykać cennego bekonu Marty, który aż lśnił na talerzu, ani zjedzonej do połowy puszki sardynek.

Dała kotu kawałek chleba i uspokoiła, że mama nakarmi go porządnie, kiedy wróci.

W puszcze było trochę herbaty, niewiele, tak że Kate pomyślała, czemu nie przyniosła herbaty ze sobą, ale zaraz przypomniało jej się, że sama już prawie nic nie ma. Naląła wody do czajnika, zapaliła gaz i nastawiła czajnik.

Kiedy czekała, usłyszała nagle, że ktoś zaczął wystukiwać kołatką przy frontowych drzwiach „Kotlety”. („Kotlety” - prosty walczyk z 1877 roku, melodyjka grana przez dzieci w początkach nauki gry na fortepianie.)

- Alex! - zawołała, biegnąc do drzwi. - Och, Alex!

To był on: stał przed drzwiami.

Miał teraz czterdzieści sześć lat i był tak samo przystojny jak zawsze. Pociągnęła go do korytarza, a on ją podniósł w górę i ucałował, potem zaniósł do salonu.

- Podwieźli mnie - rzekł, kiedy się przestali całować, ale nadal trzymali się w ramionach. - Jeden z chłopaków miał coś dostarczyć do Manchesteru, a stamtąd złapałem okazję.

- Na jak długo przyjechałeś do domu? - Jak to byłoby cudownie, gdyby jej odpowiedział „na zawsze”.

Skrzywił się.

- Na cztery dni. Ale to chyba lepsze niż nic.

- To znaczy, że tu będziesz w Boże Narodzenie i w drugie święto. Cztery dni, to wspaniale. - Pewnie, że „na zawsze” byłoby o wiele lepiej. Przyjrzała mu się uważnie. - Czy ci kiedyś mówiłam, że kiedy się poznaliśmy, pomyślałam, jakim mógłbyś być świetnym modelem? Wiesz, takim, który reklamuje stroje wieczorowe w wytwornych pismach o modzie. Wyglądałbyś znakomicie w pelerynie i cylindrze, wsparty na laseczce ze złotą gałką.

- I z papierosem w srebrnej cygarniczce! Mówiłaś mi to co najmniej tuzin razy. - Znowu ją przyciągnął do siebie. - A kiedy ja pierwszy raz zobaczyłem ciebie, pomyślałem: „Z tą dziewczyną chciałbym się ożenić”. A potem się zorientowałem, że Clive już wcześniej miał ten sam pomysł i byłem stuprocentowo pewny, iż nie mam żadnych szans.

- Biedny Clive - powiedziała rzeczowo Kate. Często się zastanawiała, czy ona i Clive byliby ze sobą szczęśliwi. I jakie to jednak dziwne, zgoła nienaturalne, że jej miłość do Clive'a spłynęła tak gładko i bez wysiłku na Alexa, który był przecież jego serdecznym przyjacielem.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem? - zapytała. Usiadł w fotelu Marty i wziął Kate na kolana.

- Harry zostawił na stole kartkę, że będziesz u Marty. Na pewno mu mówiłaś, że mogę przyjechać do domu. Na wszelki

wypadek dał znać, gdzie jesteś. Poza tym napisał, że idzie na lunch z babcią. A nawiasem mówiąc, nie napisał lunch, tylko l - u - n - s - h.

- Wymawia się tak samo.

- Wiem. Odtąd na cześć naszego Harry'ego będę pisał lunch z „s” zamiast „c”.

Przy drzwiach coś się działo. Znowu klucz przejechał przez skrzynkę na listy i drzwi się otworzyły. Tym razem była to Marta. Zatrzymała się w korytarzu, żeby powiesić płaszcz.

- Dlaczego w mojej kuchni jest pełno pary? - spytała, wchodząc do salonu.

- Do diabła! - Kate o mało nie zleciała z kolan męża. - Właśnie szykowałam herbatę, kiedy zjawił się Alex.

- No dobrze, ja też się chętnie napiję, jeżeli nie macie nic przeciwko temu - rzekła Marta. Stała pośrodku pokoju i przypatrywała się kominkowi.

- Alex, kochany, mógłbyś podpalić ten tak skandalicznie ułożony stosik? Aha, i wciśnij podpałkę pogrzebaczem do środka. Powinna być pod tym wszystkim, a nie pływać po środku. Ta twoja żona nie ma pojęcia o niczym, nie potrafi zrobić nawet najprostszego ciasta, nie mówiąc o rozpalaniu ognia.

Alex zrobił, co mu poleciła, a Kate podała herbatę.

- Gdzie ty u licha była? - spytała, kiedy wszyscy troje, z filiżankami w rękach, siedli przed kominkiem i czekali z niepokojem, kiedy się rozпали. Tarzan, napchany chlebem, siedział, mruczając, na kolanach Marty, wyraźnie zadowolony, że już ją ma z powrotem.

Wyglądała dzisiaj bardzo elegancko w prostej brązowej sukni ze sznurem bursztynów wokół szyi.

Może dlatego, że Kate dopiero co opowiadała Betty o ich pierwszym spotkaniu, teraz trudno jej było kojarzyć tę kobietę z tamtą, którą poznała dwadzieścia pięć lat temu, w starym

wielkimi włosami na wypłowiałej, sięgającej kostek sukni. Wtedy miała włosy długie, brązowe i niezbyt czyste. Teraz dobiegała sześćdziesiątki, jej krótkie włosy były porządnie ostrzyżone i ułożone: ich brąz prawie całkiem zmienił się w szarość.

- Byłam na przyjęciu gwiazdkowym - wyjaśniła. - W domu Arthura Hansona w Sefton Park.

Dziesięć lat temu, kiedy Norman Brown zmarł na marskość wątroby, jego asystent, Arthur Hanson, został w jego miejsce wybrany na członka Parlamentu w okręgu liverpoolskim.

- Nalot był tak ostry, że prawie nikt nie szedł do domu. Zamiast tego schroniliśmy się w piwnicy i na cały głos śpiewaliśmy kolędy, żeby tylko zagłuszyć huk bomb. Dzisiaj rano pomagałam Arthurowi posprzątać, kiedy już wszyscy poszli do domów.

- Często się widzisz z Arthurem - zauważyła Kate.

- No pewnie, przecież dla niego pracuję, prawda? - wojowniczo odparła Marta, jakby podejrzewała Kate o jakieś aluzje.

Kate tylko się uśmiechnęła.

Kiedy Marta już się sama nauczyła czytać, po wielu latach nauczyła się też pisać na maszynie i została sekretarką Arthura Hansona - w niepełnym wymiarze godzin.

- W każdym razie, Marto, teraz, kiedy już wiem, że jesteś bezpiecznie w domu, pozwól, że ja i Alex się ulotnimy. Powinniśmy być z powrotem przed moją mamą i Harrym: wyobrażam sobie, jaki będzie przejęty, że tata przyjechał!

Marta się podniosła, serdecznie ucałowała ich oboje, a Kate uszczypnęła w policzek.

- Dzięki, że się o mnie martwiłaś - powiedziała. - Miło zastać kogoś po powrocie do domu, nawet jeżeli ten ktoś o

mały włos tego domu nie podpalił, zostawiając czajnik na ogniu.

- Postaraj się przyjść do nas w Boże Narodzenie, dobrze?
- prosiła Kate. - A jeśli nie, to my przyjdziemy do ciebie.

- Coś wymyślimy - obiecała Marta. Poganiała ich do wyjścia, lekko klaszcząc w ręce. - No już, wracajcie do domu, do Harry'ego i twojej mamy - nalegała.

* * *

Kiedy Kate i Alex wyszli, dom wydał się Marcie nieznośnie spokojny, ale potem już tylko spokojny, o wiele za spokojny, od kiedy prawie nikt jej nie odwiedzał.

A przecież była najwyżej jedna czy dwie takie osoby, które z przyjemnością zegnała.

Westchnęła i weszła do kuchni, gdzie spróbowała wycisnąć z czajniczka resztę herbaty. Prawie jej się udało, ale kiedy upiła łyk, herbata okazała się zimna. Zagotowała odrobinę wody i dołała do filiżanki.

- A ty, co dziś porabiałeś? - spytała po powrocie do salonu. Wzięła do ręki fotografię Joego z półeczki i postawiła na stole, obok fotela, na którym zamierzała usiąść. Rozmawiała z Joem częściej i więcej niż z innymi dziećmi. Pozostał w jej sercu i w głowie chłopcem, czternastoletnim dzieciakiem, podczas gdy inne dzieci dorastały i stawały się coraz starsze i starsze. Joyce miała już czterdzieści jeden lat, a Frank tylko o rok mniej.

- Nigdy byś się nie domyślił, skarbie, co mi się dzisiaj wydarzyło. - Zrobiła pauzę, żeby zwiększyć efekt. - Ktoś mi się oświadczył! - Spojrzała na młodziutką twarzyczkę Joego. - No, i co o tym myślisz?

Tarzan wskoczył jej na kolana; poczochnęła mu futerko na szyi.

- Za chwilę dam ci coś zjeść - obiecała.

„I co, masz zamiar przyjąć te oświadczyzny?” - spytał Joe.

- Nie wiem, słonko. Nie wiem.

Miała już pięcioro wnucząt, które ledwie знаła, Frank i Lily nie mieszkali daleko, ale byli bardzo zajęci, tak że mogła się cieszyć, jeśli ich widziała raz w tygodniu; a teraz Jo pojechała do Londynu z Lucie, córką Kate, szkolić się na pielęgniarkę.

Marta była bardzo dumna ze wszystkich swoich dzieci - och, ale tęskniła za nimi dwa razy bardziej!

Może byłam stworzona tylko na żonę i matkę, pomyślała. Może nie czułabym się tak źle, gdyby żył Carlo. Moglibyśmy razem jeździć na weekendy do New Brighton, czy gdzieś indziej. To, że teraz sama szła na mszę, wydawało jej się nienaturalne. W ogóle większość rzeczy, które robiła, wydawała jej się nienaturalna bez przynajmniej dwójki dzieciaków wlokących się za nią.

„No, ale co z tymi oświadczynami?” - dopytywał się Joe.

Tak, co z nimi?

Kiedy o tym myślała, aż ją skręcało, tak by się napiła więcej herbaty, ale zebrała się w sobie i postanowiła się bez niej obejść. Rezygnacja z pochłaniania litrów herbaty nie powinna być wielkim wyczynem ze strony ludności cywilnej; w każdym razie teraz, kiedy chłopcy z Marynarki Handlowej tracą życie, przywożąc ją z Indii i Chin czy jeszcze z innych dalekich krajów.

- To Arthur Hanson mi się oświadczył, kochanie.

Nie przysięgał, że ją kocha, ani nie pytał, czy ona go kocha. Lubili się bardzo, dobrze się czuli ze sobą, byli przyjaciółmi. Nie starał się jej nawet pocałować - zastanawiała się teraz, co by zrobiła, gdyby spróbował?

Ale czy ona, Marta Rossi, kobieta, która się nauczyła czytać dopiero w wieku trzydziestu siedmiu lat, była odpowiednią kandydatką na żonę członka Parlamentu,

mieszkającego w Sefton Park, w najelegantszej dzielnicy Liverpoolu?

- A dlaczego nie? - spytała raczej siebie, niż Joego. Dlaczegożby nie? Była kobietą, która przebyła całą drogę do Londynu, mimo że już nie była młoda i w szóstym miesiącu ciąży.

No, niezupełnie, przyznała. Większość drogi przejechała, a resztę przekuśtykała. Ale próbowała. Włożyła w to całe serce, chociaż bez Clive'a chyba nie byłaby w stanie tego dokonać.

Do diabła! Zawsze, ilekroć pomyślała o Clivie, chciało jej się płakać.

Joe i Clive... dwaj cudowni młodzi mężczyźni, na swój sposób męczennicy. Co za koszmarna strata.

Kiedy wojna się skończyła, ona i Carlo pojechali do Francji zobaczyć grób Joego: po prostu maleńki spłachetek ziemi i krzyż z jego imieniem i wiekiem: „Giuseppe Antonio Rossi, lat 14”. O Boże, gdyby nie musiała wytrzymać, utonęłaby chyba we łzach.

Zaczynała się rozklejać!

Powinna zamiast herbaty wypić szklaneczkę sherry, co trudno by uznać za ofiarę. W każdym razie zbliżało się Boże Narodzenie. I nadszedł czas, by i ona zrobiła coś na rzecz wojny: na przykład została strażniczką pożarów, przyłączyła się do Ochotniczej Służby Kobiet... wyszła za mąż za Arthura i poprowadziła mu dom - równie dobrze, jak mu dotychczas prowadziła biuro.

A teraz musi się z tym wszystkim przespać.

Jutro postanowi.

Od autorki

W pisaniu tej powieści pomocą mi były następujące książki:

Norman Longmate, *How We Lived Then*, Arrow Books.
John Jackson, *Private 12768, Memoir of a Tommy*, Tempus Publishing Ltd.

Richard Van Emden, *Boy Soldiers of the Great War*,
Headline. The Guardian First World War Series.

Sir Arthur Markham, członek Parlamentu, wspomniany w tej książce, istniał naprawdę i niezmordowanie walczył o zakaz udziału dzieci w wojnie. W 1916 roku, kiedy wprowadzono pobór, a także przepis nakazujący przyszłym żołnierzom okazywanie metryk urodzenia, praktyka wysyłania na wojnę młodocianych nareszcie dobiegła końca.